

ZESZYT STO CZTERDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2003

ZESZYT STO CZTERDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2003

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 525

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0193-2

Editeur: ASSOCIATION INSTITUT LITTERAIRE KULTURA
91 av. de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Imprimé en France.

Marek KORNAT

INTERPRETACJE BOLSZEWIZMU I SYSTEMÓW TOTALITARNYCH W POLSCE (1918-1939)*

Wśród autorów piszących o systemach totalitarnych panuje dość rozpowszechnione przekonanie, że historiografia tych systemów zaczyna się po II wojnie światowej, w klimacie „zimnej wojny”. W rzeczywistości początki studiów z tego zakresu datują się na lata trzydzieste. W odrodzonej Polsce – którą geografia usytuowała pomiędzy hitlerowskimi Niemcami a stalinowskim Związkiem Sowieckim – refleksja nad fenomenem totalitaryzmu miała szeroki zasięg i toczyła się niewątpliwie na wysokim poziomie. Debata ta została wszakże przerwana wybuchem wojny w 1939 r. i poszła w zapomnienie. Powstałe przed II wojną światową refleksje polskich uczonych i intelektualistów (głównie prawników, socjologów i ekonomistów) na temat systemów totalitarnych nie są znane, właściwie nie były one przedmiotem analiz. Studia te z powodu bariery językowej pozostają bardzo słabo znane w nauce światowej.



U źródeł zainteresowania intelektualistów polskich systemami totalitarnymi (bolszewizmem, faszyzmem, narodowym

* Rozszerzona wersja artykułu, który ukaże się w roku przyszłym w pracy zbiorowej „The Heritage of Totalitarianism” pod red. J. W. Borejszy.

socjalizmem) tkwiło przeświadczenie, że ustroje te stanowią zasadnicze *novum* w historii Europy, że ich powstania nie sposób wyjaśnić analogiami historycznymi¹. Takie założenie było dla nich zasadniczą inspiracją. Nie mniej ważną motywacją do studiów z tej problematyki było stwierdzenie bezprecedensowych przeobrażeń społecznych i gospodarczych, intelektualnych i politycznych, jakie spowodowała Wielka Wojna, która głęboko przeorała życie społeczne i zburzyła dotychczasowy porządek społeczny w Europie. Początki studiów nad systemami totalitarnymi wiązały się z ostrym kryzysem dotychczasowej tradycji myślenia o państwie i prawie. Kryzys państwa demokratycznego, kryzys europejskiego liberalizmu, kryzys pozytywizmu prawniczego były faktem i na ogół uważano je za proces nieodwracalny. Na ich gruzach wyrosło państwo totalitarne.

W rozważaniach niniejszych chcemy odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób polscy prawnicy i socjologzy okresu międzywojennego rozumieli i stosowali pojęcie „totalizmu”. Jak w polskiej nauce prawa tego okresu wyobrażano sobie państwo totalne? W czym różniło się „państwo totalne” od klasycznej dyktatury?²

Owocna analiza rodzących się ruchów totalitarnych wymagała przezwyciężenia dotychczasowej formuły nauki prawa. Bezużyteczna tu okazała się uprawiana dotychczas nauka, zorientowana przede wszystkim na dogmatykę tekstu prawnego (ustawy), utrzymana w konwencji pozytywizmu prawniczego³. Potrzebne stało się podejście socjologiczne, „socjologizująca nauka o państwie” – jak to ujął Konstanty Grzybowski. Słusznie pisał w latach sześćdziesiątych polski prawnik i politolog Franciszek Ryszka, że w badaniu ustrojów

1. Wielu publicystów np. uważało, że totalitaryzm jest nawrotem absolutyzmu. Tak też uważał prawnik Ignacy Czuma („Absolutyzm ustrojowy”, Lublin 1934).

2. Szerzej o tych sprawach traktuje obszerne studium autora tych słów: „Bolszewizm – totalitaryzm – rewolucja – Rosja. Początki sowietologii i studiów nad systemami totalitarnymi w Polsce (1918-1939)”, Kraków 2003 (w druku).

3. Miał tego świadomość Eric Voegelin. Por. jego recenzję z dzieła Hannah Arendt „Korzenie totalitaryzmu” (E. Voegelin, „The Origins of Totalitarianism”, *The Review of Politics*, nr 1, 1953, s. 68-76).

„nowego typu” nie można się ograniczyć do studiowania dzieł instytucji i ustawodawstwa. Trzeba rekonstruować motywacje ludzi tworzących historię. Takie stanowisko jest bezwzględnie słuszne. Międzywojenni badacze ustrojów totalitarnych nie dysponowali dostępem do źródeł archiwalnych. Nie ograniczali się wszakże do analizy ustawodawstwa. Nie rezygnowali z szerszej refleksji socjologicznej i filozoficznej.

W ocenie ustaleń polskich prawników i socjologów z lat trzydziestych nie można pominąć uwarunkowań, w jakich formułowali oni swe interpretacje totalitaryzmu. Ich obserwacje dotyczyły zjawisk *in statu nascendi*. Dlatego docenić należy wysiłki i przemyślenia tych autorów, którzy stawiali sobie za cel ogarnięcie długofalowych procesów społecznych. Żaden z polskich prawników i socjologów międzywojennych nie przedstawił monograficznego opracowania struktur totalitarnego państwa, lecz wiele ich spostrzeżeń trafnie opisywało główne mechanizmy władzy totalitarnej. Zrozumienie, czym był totalitaryzm, wymagało perspektywy długofalowej. Z tego przywileju nie mogli korzystać autorzy pierwszych prac poświęconych ustrojom „nowego typu”.

W poszukiwaniu definicji totalitaryzmu

Polscy prawnicy okresu międzywojennego używali terminu „totalizm”. Pojęcia „totalizmu” i „państwa totalnego” zaczerpnęli z niemieckiej nauki prawa⁴. Posługiwali się aparaturą pojęciową zapożyczoną z niemieckiej literatury prawniczej, stworzoną przez Hermanna Hellera, Carla Schmitta, Ernsta Forsthoffa, Waldemara Guriana. Termin „państwo totalne” (*totale Staat*) stał się pojęciem kluczowym. Przypomnieć tu trzeba, że w latach trzydziestych funkcjonowały w obiegu przynajmniej dwie definicje „państwa totalnego”.

W pierwszym (węższym) znaczeniu „państwo totalne” było wytworem demokracji i przewagi mas. W takim ujęciu

4. O tych sprawach powstała bogata literatura. Por. F. Jesse, „Die Totalitarismusforschung im Streit der Meinungen”, [w:] tenże, „Totalitarismus im 20. Jahrhundert. Eine Bilanz der internationalen Forschung”, hrsg. E. Jesse, Bonn 1996. Por. też W. Wippermann, „Totalitarismustheorien. Die Entwicklung der Diskussion von den Anfängen bis heute”, Darmstadt 1997.

„państwo totalne” to państwo opanowane przez masy. W znaczeniu drugim, szerszym, „państwo totalne” jest represyjną dyktaturą „nowego typu”, dyktaturą, która nie zadowala się wymuszeniem posłuszeństwa rządzonych, ale usiłuje maksymalnie skutecznie kontrolować wszystkie przejawy życia człowieka. Polscy autorzy nawiązywali do tego drugiego rozumienia pojęcia totalizmu. Termin „totalizm”, którym posługiwano się w Polsce, był nieostry i precyzyjnie nie zdefiniowany⁵. Rozszerzonym rozumieniem pojęcia totalizmu – często w sposób uproszczony – obejmowano właściwie wszystkie rodzaje dyktatur antyliberalnych, jakie wygenerowała międzywojenna Europa, od Hiszpanii gen. Franco i Portugalii Salazara, aż po dyktatury w krajach bałtyckich, włączywszy Niemcy, ZSSR i Włochy. W drugim – węższym – rozumieniu totalizmu mieściły się tylko sowiecka Rosja, faszystowskie Włochy i Niemcy hitlerowskie.

Termin „totalizm” był tak szeroko stosowany, iż miał tę zasadniczą wadę, że zacierał pojęcia „autorytaryzmu” i „totalitaryzmu”, które wymagają precyzyjnego rozgraniczenia. Termin „autorytaryzm” wprowadził do obiegu Erich [Eric] Voegelin, lecz w Polsce lat trzydziestych on się nie przyjął⁶. Definiując autorytaryzm jako system, w którym rzeczywistą władzę sprawuje *de iure* lub *de facto* inny organ niż ciało ustawodawcze⁷, i zakładając, że ustroj ten charakteryzuje unicestwienie pluralizmu politycznego oraz wertykalny charakter społeczeństwa, trzeba mieć na uwadze, że totalizm (totalitaryzm) pod tę definicję nie podpada. Niesprecyzowane i wieloznaczne było też pojęcie „monopartyjnego państwa totalnego”, którym posługiwał się prawnik i sowietolog Wiktor Sukiennicki⁸.

5. Por. R. Skarżyński, „Od chaosu do ładu. Carl Schmitt i problem tego, co polityczne”, Warszawa 1992, s. 19-27.

6. Por. E. Voegelin, „Der autoritäre Staat. Ein Versuch über das österreichische Staatsproblem”, Wien 1936. Przypomnijmy tu jeszcze, że J. Żarnowski wprowadził sformułowanie „faszyzm wielki i mały”. Por. *idem*, „Faszyzm wielki i mały”, *Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi*, t. 6, 1980, s. 31-42.

7. Tę definicję zaakceptował też Ernst Nolte.

8. Por. W. Sukiennicki, „Ewolucja ustroju Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w świetle oficjalnych publikacji władzy radzieckiej”, cz. 1, Wilno 1938, s. 38.

Państwo takie „nie dopuszcza przeciwstawienia ideologii partii rządzącej żadnej innej ideologii” i pragnie „objąć decydującymi wpływami wszystkie dziedziny życia ludzkiego: społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego”⁹.

Termin „państwo totalne” (*Totalstaat, stato totalitario*) usiłowano zastąpić odpowiednikiem polskim. W tym też celu historyk Kazimierz Zakrzewski wprowadził pojęcie „państwa całkowitego”. Państwo takie ogarnia całokształt życia człowieka i „nie może żadnej dziedziny zostawić w prywatnej dyspozycji swoich obywateli”¹⁰. Termin „państwo totalne” przyśwoił polskiej nauce ekonomista Roman Rybarski w książce „Siła i prawo”¹¹. Zaznaczyć tu trzeba, że w Polsce międzywojennej wymiennie posługiwano się terminami „totalizm” i „totalitaryzm”, bez precyzyjnego rozgraniczenia znaczeń tych terminów. Dominowali zwolennicy pojęcia „totalizmu”. Terminem tym posługiwali się prawnicy: Stanisław Kutrzeba¹², Wacław Komarnicki¹³, Maciej Starzewski¹⁴, Kazimierz W. Kumaniecki¹⁵; socjolodzy: Aleksander Hertz¹⁶ i Feliks Gross¹⁷, jak też teoretyk kultury Zygmunt Mysłakowski¹⁸.

9. *Ibidem*.

10. K. Zakrzewski, „Państwo liberalne – państwo całkowite – państwo polskie”, *Pion*, nr 15, 1935, s. 4.

11. R. Rybarski, „Siła i prawo”, Warszawa 1936. Była to – jak się wydaje – najważniejsza polska praca poświęcona zagadnieniu totalizmu w polskim piśmiennictwie międzywojennym.

12. S. Kutrzeba, „Państwa totalne. Światła – cienie – przyszłość”, Kraków 1937.

13. W. Komarnicki, „Nowy ustrój Związku Sowieców”, *Rocznik Prawniczy Wileński*, t. 10, 1938, s. 169-208.

14. M. Starzewski, „Rosja Sowiecka”, Kraków 1934; *idem*, „Powstanie i ustrój ZSRR”, Kraków 1938; *idem*, „Demokracja a totalizm”, Kraków [1937]; *idem*, „Elita i wódz w projekcie ustroju Trzeciej Rzeszy”, Poznań 1933.

15. K. W. Kumaniecki, „Ustrój polityczny Polski. Konstytucja kwietniowa i system wyborczy (sejmowy, senacki, prezydencki)”. Tekst i studium, Kraków 1937.

16. A. Hertz, „Szkice o totalitaryzmie”, oprac. W. Lamentowicz, Warszawa 1994, (szczególnie znaczenie miały tu jego studia: „Militaryzacja stronnictwa politycznego” [1936]; „Drużyna wodza” [1937]; „O władzy Stalina” [1937]).

17. F. Gross, „Proletariat i kultura. Warunki społeczne i gospodarcze kultury proletariatu”, Warszawa 1938.

18. Z. Mysłakowski, „Totalizm czy kultura”, Kraków 1938.

Byli wszakże i autorzy posługujący się pojęciem totalitaryzmu, jak np. prawnicy: Antoni Wereszczyński¹⁹ i Tadeusz Chromecki²⁰. Roman Rybarski z kolei odrzucając oba te terminy zaproponował własny – „państwo monopoliczne”, chcąc tym terminem postawić zasadniczy akcent na „monopolizację całego życia społecznego przez państwo”²¹. Termin Rybarskiego ostatecznie nie przyjął się i poszedł w zapomnienie. W tym kontekście trzeba jeszcze przypomnieć wprowadzone przez K. Zakrzewskiego pojęcie „państwa omnipotentnego”. Państwo takie, będące rezultatem „rewolucji antyliberalnej”, obala bariery, jakie liberalizm ustanowił między państwem a społeczeństwem. Również ta definicja państwa „nowego typu” nie weszła na trwałe do obiegu naukowego.

Polscy prawnicy okresu międzywojennego uważali, że nie ma jednego modelowego wzorca dyktatury totalitarnej. Fenomen totalizmu nie był dla nich jednorodny. Wyodrębniali różne rodzaje dyktatur totalitarnych wskazując na różny stopień ich zaawansowania w podporządkowywaniu państwu poszczególnych dziedzin życia. W związku z tym prawnik Waław Komarnicki (profesor Uniwersytetu w Wilnie) uwzględnił dwa rodzaje totalizmu: totalizm nacjonalistyczny (faszizm, hitlerizm) i sowiecki, najbardziej ze wszystkich dotychczasowych ustrojów tego typu zaawansowany w kontrolowaniu różnych przejawów życia ludzkiego²². Komarnicki uważał, że system sowiecki w wersji stalinowskiej w niepomiarnej większym stopniu zniewala jednostkę ludzką niż inne systemy totalistyczne, gdyż znosi własność prywatną i w ten sposób skutecznie pozbawia jednostkę ludzką wszelkich środków obrony swej autonomii.

W Polsce lat 1918-1939 podejmowano różnorakie próby zdefiniowania fenomenu totalizmu (totalitaryzmu). Ma rację socjolog współczesny Paweł Śpiewak, twierdząc, iż od końca

19. A. Wereszczyński, „Państwo antyczne i jego renesansy. Przyczynki do reformy ustroju Polski”, Lwów 1928. [Korzystaliliśmy z wyd. 2, rozszerzonego z r. 1939].

20. T. Chromecki, „Autorytatywne państwo korporacyjne Mussoliniego”, Warszawa 1938.

21. R. Rybarski, *op.cit.*, s. 158.

22. W. Komarnicki, „Totalizm a Polska”, *Myśl Narodowa*, nr 49, 1937, s. 751.

lat dwudziestych pojęciem totalitaryzmu posługiwano się „w kształcie opisowym”²³. Nie brakowało wszakże wartościowych przemyśleń o charakterze socjologicującym.

Interesujące refleksje pozostawił Władysław Leopold Jaworski – jeden z czołowych przedstawicieli polskiej nauki prawa, filozof i teoretyk państwa i prawa, związany najpierw z normatywizmem, a następnie krytyk tego kierunku. W 1928 roku Jaworski pisał, iż totalizm charakteryzuje dążenie państwa do opanowania wszystkich dziedzin życia człowieka, programowo znosząc podział między tym, co publiczne i prywatne. W jego przekonaniu proces „upaństwowienia” życia jednostki występował zarówno w sowieckiej Rosji, jak i we Włoszech Mussoliniego. Tak faszyzm, jak i bolszewizm bezwzględnie likwidują wszelką opozycję, z tym że faszyci zepchnęli przeciwników poza margines życia publicznego, podczas gdy twórcy systemu sowieckiego dążą do fizycznego unicestwienia opozycji²⁴.

Feliks Młynarski – ekonomista nie rezygnujący z szerszej refleksji socjologicznej – charakteryzował totalizm jako „doktrynę wszechwładzy państwa”. Był to w jego interpretacji ustrój, w którym „nie ma i być nie może granic władzy państwowej”²⁵. W „państwie totalnym” zachodzi pełne utożsamienie państwa i rządu²⁶. Według Młynarskiego totalizm cechowała dynamika wchłaniania coraz to nowych dziedzin życia w obręb „omnipotentnego” państwa. Tym też odróżniały się ustroje totalitarne od klasycznych dyktatur. Wywody te były zbieżne ze stanowiskiem José Ortegi y Gasset, który za istotę systemów totalitarnych uznał ich dążenie do „upaństwowienia życia ludzkiego”²⁷. Dość podobnie myślał prawnik niemiecki Waldemar Gurian, który pisał, że „reżimy totalitarne zmierzają do uczynienia grup i jednostek tak bezsilnych jak to tylko możliwe w warunkach koncentracji władzy w rękach totalitarnych władców”.

23. P. Śpiewak, „Doświadczenie totalitaryzmu”, *Przegląd Polityczny*, nr 60, 2003, s. 112-125.

24. W. L. Jaworski, „W sprawie nowej konstytucji”, Kraków 1928.

25. F. Młynarski, „Totalizm czy demokracja w Polsce”, Warszawa 1938, s. 7, 22.

26. *Ibidem*, s. 22.

27. F. Młynarski w swej książce nie powołuje się na Ortęę y Gasset. Wydaje się, iż doszedł on tu niezależnie do podobnych wniosków.

W interpretacji Wacława Komarnickiego „państwo totalne” nie poprzestawało na likwidacji opozycji, wymuszeniu posłuszeństwa obywateli i pacyfikacji stosunków wewnętrznych. „Państwo totalne” nie jest też państwem policyjnym. Totalizm stawia sobie cele sięgające o wiele dalej i dąży do gruntownej przebudowy podstaw ustroju społecznego, do podporządkowania ideologii wszystkich dziedzin życia, a w skali długofalowej do wychowania „nowego człowieka”²⁸. Charakteryzując „państwo totalne” Komarnicki mocno podkreślał, że jest ono fenomenem zasadniczo odmiennym od klasycznej dyktatury autorytarnej. Prawnik ten był świadom występowania różnych form państwa autorytarnego. Przyjmował on, iż łączy je (a) dyktatura jednej partii; (b) programowy elitaryzm, a w praktyce rządu oligarchizm; (c) odrzucenie zasady podziału władz; (d) rządy pozbawione kontroli politycznej przez instytucje przedstawicielskie. Rząd autorytarny to tyle co nieodpowiedzialny prawnie i w działaniu nie związany prawem stanowionym.

„Istotą totalizmu jest podporządkowanie całego życia kraju jakiemuś systemowi ideologicznemu (...)” – pisał ekonomista i sowietolog Stanisław Swianiewicz²⁹. „Dla osiągnięcia celów zakreślonych przez ten system ideologiczny niezbędne jest odpowiednie podłoże psychiczne, wspólny nastrój ogarniający szerokie warstwy społeczeństwa, sugestia wiary w te ideały (...)”. „Refleksja, krytycyzm, swoboda dyskusji siałyby ziarna zwątpienia, utrudniałyby mobilizację energii psychicznej mas”³⁰. Obejmująca wszystkie dziedziny życia ideologia była w interpretacji Swianiewicza „esencją” totalizmu.

Ważne i wnikliwe rozważania na temat specyfiki historycznej totalizmu pozostawił Eugeniusz Jarra – profesor teorii prawa na Uniwersytecie Warszawskim³¹. Zauważył on, że totalistyczne państwo – będące przeciwieństwem państwa liberalnego – stawia sobie za cel osiągnięcie „moralnej, politycznej

28. W. Komarnicki, „Nowy ustrój Związku Sowieców”, *passim*.

29. S. Swianiewicz, „Polityka gospodarcza Niemiec hitlerowskich”, Warszawa 1938, s. 181.

30. S. Swianiewicz, *op.cit.*, s. 182.

31. E. Jarra, „Jedność obywatelska w dziejach filozofii prawa”, Warszawa 1937.

i ekonomicznej jedności narodu”³². Dlatego też prawo w państwie totalnym „rozciga swe władztwo na wszystkie formy życia”³³. Doprowadzenie do „światopoglądowego ujednolicenia” wszystkich obywateli uważał Jarra za punkt docelowy dążeń ruchów totalistycznych.

Rozpatrując charakter władzy totalitarnej polscy prawnicy zwracali uwagę, iż państwo takie swobodnie orzeka o tym, kto jest „wrogiem” obowiązującego w nim ustroju. Tę myśl akcentowali Leopold Caro i Konstanty Grzybowski przypominając, że kluczowym pojęciem w doktrynie bolszewików jest pojęcie „kontrrewolucyjności”. Nie było ono kategorią prawną, ale polityczną. Tym pojęciem posługiwała się rewolucyjna władza. Zasada „kontrrewolucyjności” dawała władzy nieograniczone możliwości ingerencji w życie jednostki. Pozwalała zakwalifikować do obozu kontrrewolucji każdego obywatela. W praktyce przyniosła skrajnie represyjną politykę rewolucyjnych władz, zgodnie z dewizą, iż „nie może być tolerancji dla inaczej myślących”³⁴.

W analizie systemu prawnego państw totalitarnych polska myśl prawnicza bardzo mocno akcentowała: (a) „płynność” norm prawnych w systemach totalitarnych, wskazując, że żadna norma nie chroni tu jednostki, nie zabezpiecza jej praw wobec arbitralności władzy; (b) w charakterystyce systemu sowieckiego z reguły podkreślano, że ustrój ten ma charakter przejściowy na drodze do urzeczywistnienia „społeczeństwa bezklasowego” i stwarza swoisty rodzaj „stanu wyjątkowego”; (c) wskazywano wreszcie, że rozumienie tych samych pojęć prawniczych w sowieckiej Rosji i na Zachodzie jest zupełnie odmienne i nie można tej zasadniczej różnicy nie brać pod uwagę lub go kwestionować; (d) w charakterystyce sowieckiego ustawodawstwa konstytucyjnego podnieszono słusznie, że podczas gdy na Zachodzie istotą konstytucjonalizmu jest ograniczenie władzy państwowej i zagwarantowanie jednostce określonych uprawnień zabezpieczających

32. Państwo liberalne jest postrzegane przez teoretyków totalizmu jako równoznaczne z anarchią.

33. E. Jarra, *op.cit.*, 2.

34. L. Caro, „Idee przewodnie ustawodawstwa sowieckiego”, *Ruch Prawniczy Ekonomiczny i Socjologiczny*, R. IX, (II półrocze) 1929, s. 213.

ją przed uzurpacją władzy, to w ZSSR, konstytucja jest środkiem do celu – tj. do realizacji ideologicznego programu.

W kręgu refleksji nad specyfiką systemów totalitarnych ważne były refleksje prawnika Antoniego Wereszczyńskiego profesora prawa na Politechnice we Lwowie, zawarte w jego książce „Państwo antyczne i jego renesansy” (1934)³⁵. Ustrój totalitarny nie powstaje drogą zamachu stanu. System taki ma zawsze u podstaw przewrót o charakterze rewolucyjnym – przewrót dokonany z zaangażowaniem wielkich sił społecznych³⁶. W takich warunkach „ustrój państwowy, narzucony przez zwycięską rewolucję, oprze się na apoteozie instytucji państwowej, na wierze w jej cudowną niemal wszechmoc, wszakże przy związaniu ścisłym tego państwa tylko ze zwycięską organizacją, względnie z reprezentującym tę organizację wodzem, a przy odsunięciu od wszelkich wpływów całej reszty ludności”³⁷.

Totalitaryzm odrzuca i znosi zasadę pomocniczości państwa, zasadę uznaną zarówno przez liberalizm, jak i przez naukę społeczną Kościoła katolickiego. Nawiązując do tej myśli Antoni Wereszczyński z naciskiem podkreślał, że w systemach totalitarnych państwo „jest celem samo dla siebie, celem najwyższym, absolutnym, a ogół ludności jest tylko środkiem do zaspokojenia celów tej instytucji (...)”³⁸. W interpretacji Wereszczyńskiego państwo totalne „wkracza w najwyższej mierze we wszelkie sfery, obejmuje całość życia, rozstrzyga autorytatywnie o wszystkim za wszystkich”³⁹. System prawny państwa totalitarnego jest tak zbudowany, aby nastąpiło „przekreślenie jednostki, umożliwienie władzy rządzącej dysponowania w najdalszych granicach życiem i mieniem poddanych, utrwalenia w drodze represji prawnych nowego ustroju politycznego i gospodarczego (...)”⁴⁰. W systemie totalistycznym nie funkcjonuje społeczeństwo jako organizm odrębny od państwa. Występuje natomiast podział

35. A. Wereszczyński, „Państwo antyczne i jego renesansy”, wyd. 2, Lwów 1939.

36. Dlatego też Feliks Młynarski mówił o „państwach rewolucji totalistycznej”. Por. *idem*, „Człowiek w dziejach”, Warszawa [1937], s. 155.

37. A. Wereszczyński, „Państwo antyczne i jego renesansy”, s. 177-178.

38. A. Wereszczyński, *op.cit.*, s. 177-178.

39. A. Wereszczyński, *op.cit.*, s. 178.

40. A. Wereszczyński, *op.cit.*, s. 200.

na władzę i „ludność”, która stanowi „bezmyślną szarą masę, motłoch pędzony batem w kierunku wskazanym przez wszechmocną władzę”⁴¹. Ten wertykalny charakter relacji władza – społeczeństwo podkreślali polscy prawnicy. Analizując kształtowanie zachowań społecznych przez systemy totalne, Wereszczyński wskazywał jednak nie tylko na terror i przemoc. Dostrzegał zarazem oddziaływanie państwa totalnego w sferze duchowej na świadomość i nastroje społeczeństwa.

W końcu lat trzydziestych pojawiły się interesujące refleksje prawników i socjologów rzucające sporo światła na psychologiczne podłoże rozwoju ruchów totalitarnych.

Autorzy pierwszych interpretacji systemów totalitarnych stawiali sobie pytanie, jak było możliwe ich powstanie. Historyk ustroju Stanisław Estreicher tłumaczył, że przebieg „wielkiej wojny” spowodował wkroczenie państwa w szereg dziedzin życia ludzkiego, które dotychczas pozostawały przestrzenią pozostawioną swobodzie jednostki ludzkiej. Wielki kryzys gospodarczy pogłębił te tendencje. Tak utworzona została droga do powstania państwa totalnego. Wereszczyński odwoływał się natomiast do psychologicznej interpretacji genezy systemów totalitarnych i utrzymywał, że totalizm stanowi swoistą odpowiedź na zapotrzebowania człowieka doby kryzysu. Jednostka dotkliwie doświadczona kryzysem wartości, kryzysem gospodarczym, upadkiem dotychczasowego ładu moralnego i porządku prawnego, poszukuje stabilizacji za wszelką cenę i dobrowolnie godzi się na totalizm. Wyzbywa się swojej wolności. Jednostka potrzebuje silnego, opiekuńczego państwa. Totalizm odpowiada na te oczekiwania zapewniając przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa.

O psychologicznej potrzebie „wodza” nader interesująco pisał Zygmunt Mysłakowski w eseju „Totalizm czy kultura”, ogłoszonym w roku 1938⁴². Zwracał uwagę, że „tęsknota do «wodza» tak znamienne dla naszego czasu, jest psychologicznie rewoltą stłumionych a niezupelnie przewycięzonych

41. A. Wereszczyński, *op.cit.*, s. 198.

42. Z. Mysłakowski, „Totalizm czy kultura”, Kraków 1938. Totalizm był dla Mysłakowskiego formą „antykultury”. Stąd sformułowanie tytułowe tej książki.

kompleksów podświadomych”⁴³. Człowiek „wewnętrznie niedojrzały” do wolności, wewnętrznie zniewolony, ceni sobie „stadowość”, nie szuka „towarzystwa ludzi wolnych i równych”. Woli zrezygnować z wolności i „samostanowienia o sobie, czego tak bardzo się lęka”, w zamian za poczucie siły, które daje mu „roztopienie się” w bezmiennej masie, kierowanej przez „wodza”. Człowiek czasów kryzysu poszukuje tego, co irracjonalne, „roztopienia się we wspólnocie, w kolektywnych wyobrażeniach i emocjach”. To wszystko jest „ucieczką od osobistego ryzyka, od własnego ja”⁴⁴.

Te przemyślenia Zygmunta Mysłakowskiego antycypują dość wyraźnie późniejsze refleksje Ericha Fromma, którego „Ucieczka od wolności” ukazała się w roku 1941⁴⁵. Było niewątpliwą zasługą Ericha Fromma (i Wilhelma Reicha) uświadomienie zachodniej opinii naukowej, iż w człowieku wielokrotnie dochodzą do głosu irracjonalne siły. To przeświadczenie autora „Ucieczki od wolności” pozwalało wiele zrozumieć z fenomenu totalitaryzmu⁴⁶. W tym kierunku co Fromm w Polsce międzywojennej podążał Mysłakowski, który opisał zjawisko „ucieczki od wolności”. Zjawiska te wiązały z funkcjonowaniem społeczeństwa masowego, podkreślając jego wewnętrzne antynomie. Psychologiczną interpretację totalitaryzmu, sformułowaną przez Mysłakowskiego, trzeba tu odnotować jako jedną z ważniejszych.

Polscy autorzy pierwszych interpretacji systemów totalitarnych starali się uchwycić ich dynamikę. Dostrzegali, że fenomen totalitaryzmu należy postrzegać raczej jako skomplikowany i wielowymiarowy proces, a nie jako instytucję. Słusznie więc pisał S. Estreicher, że analizując realia wewnętrzno-ustrojowe ZSSR i III Rzeszy trzeba mieć na uwadze, że „proces ustrojowy nie jest jeszcze zakończony ani w jednym kraju ani w drugim”⁴⁷. Totalizm dla Estreichera był procesem. Na

43. Z. Mysłakowski, *op.cit.*, s. 71.

44. Z. Mysłakowski, *op.cit.*, s. 74-75.

45. E. Fromm, „Ucieczka od wolności”, tłum. A. i O. Ziemilscy, Warszawa 1970.

46. Zob. E. Fromm, „Ucieczka od wolności”, przedm. E. Wnuk-Lipiński, przekł. O. i A. Ziemilscy, Warszawa 1997. (z tego wydania korzystaliśmy).

47. R. Rybarski, *op.cit.*, s. 124.

czynnik dynamiki wewnętrznej ustrojów „nowego typu” zwracali też uwagę A. Hertz i K. Zakrzewski. Dostrzeżenie tej dynamiki systemów totalitarnych było jednym z najważniejszych ustaleń polskich autorów piszących o tych ustrojach przed rokiem 1939.

Spróbujmy zreasumować wnioski formułowane przez polskich prawników, ekonomistów i socjologów na temat systemów totalitarnych. (1). W systemie totalitarnym władza państwowa nie jest i nie może być związana żadną normą, która ograniczałaby jego arbitralność w stosunku do obywatela. (2). Społeczeństwo w tych ustrojach jest zatomizowaną, amorficzną masą, swobodnie modelowaną przez totalitarną władzę z wykorzystaniem „praw” inżynierii społecznej. (3). Totalitarna władza nie respektuje podziału na to, co jest publiczną, a co prywatną sferą życia jednostki ludzkiej. Państwo usiłuje ogarnąć wszystkie dziedziny życia człowieka.

Podkreślając mocno uprzedmiotowienie i zniewolenie jednostki ludzkiej w systemach totalitarnych polscy prawnicy zwracali zarazem uwagę, że totalitaryzm „spełniony” jest ideałem, jest modelem docelowym. Jego pełna realizacja jest raczej niemożliwa, chociaż ustrój totalitarny stawia sobie cele maksymalistyczne. Totalizm dąży do „zniesienia osobowości ludzkiej” – jak pisał filozof ks. Jan Stepa w książce „U źródła niemieckiego totalizmu”⁴⁸.

Nowe pojęcia

Przede wszystkim na uwagę zasługują nowe pojęcia wprowadzone przez polskich autorów piszących o ustrojach totalitarnych. Należy je tu przypomnieć, gdyż wiele z nich nie jest pozbawionych aktualności, chociaż zostały zapomniane i nie weszły do języka nauk społecznych.

Z pewnością godna uwagi wydaje się koncepcja „cezarizmu demokratycznego”, zaproponowana przez Antoniego Peretiatkowicza, profesora prawa Uniwersytetu Poznańskiego. Jako jeden z pierwszych w Polsce i Europie, Peretiatkowicz

48. Ks. J. Stepa, „U źródła niemieckiego totalizmu”, Warszawa 1938, s. 37.

zwrócił uwagę, że nowo powstałe reżimy antyparlamentarne nie mieszczą się w modelu dyktatury wojskowo-konserwatywnej, ale mają realne poparcie społeczne i noszą charakter „demokratycznej dyktatury”.

„Cezaryzm demokratyczny” był według Peretiatkowicza „połączeniem zasady jedynowładztwa z zasadą zwierzchnictwa narodu”. „Cezaryzm demokratyczny” to „faktyczna władza jednej osoby, ale z zachowaniem form, niekiedy pozorów demokracji. Faktyczna bowiem dyktatura jednej osoby stara się tu zawsze o uzyskanie w jakiś sposób sankcji woli narodowej”⁴⁹. Po zakończeniu Wielkiej Wojny „cezaryzm demokratyczny” rozwinął się jako reakcja „przeciw skrajnym rządóm parlamentarnym”⁵⁰. „Cezaryzm demokratyczny” – w ujęciu Peretiatkowicza – nie był zjawiskiem tożsamym z totalizmem, niekoniecznie też musiał prowadzić do totalitarnej formy rządów. „Cezaryzm demokratyczny” ze swej natury jest systemem dynamicznym. Jego ewolucja nie jest jednak „zaprogramowana”. Ewolucja ta może (lecz nie musi) prowadzić do totalizmu. Dzieje się tak wtedy, gdy następuje dalsze ograniczenie autonomii jednostki i jej pełne podporządkowanie państwu. Do państw opartych na idei cezaryzmu demokratycznego Peretiatkowicz zaliczał Włochy Mussoliniego, Niemcy Hitlera, Turcję Kemala, Portugalię Salazara. Podkreślał zarazem, że w państwach tych fenomen „cezaryzmu demokratycznego” wystąpił „w różnych formach i odcieniach”⁵¹. Ustrój ZSSR nie mieścił się w tej formule. Miał własną odrębność i specyfikę.

Ważne w tym kontekście wydają się rozważania Konstantego Grzybowskiego – prawnika i jednego z twórców podstaw nauk politycznych w Polsce – pochodzące z roku 1932. Odnotować tu trzeba wprowadzone przez niego pojęcie „państwa biurokratyczno-plebiscyтарnego”. „W wieku XIX społeczeństwo burżuazyjne opanowało państwo absolutystyczne.

49. A. Peretiatkowicz, „Państwo współczesne”, s. 72. Por. *idem*, „Cezaryzm demokratyczny a konstytucja polska”, *Przegląd Współczesny*, t. 31, 1929, s. 76-85.

50. A. Peretiatkowicz, „Kryzys współczesnego państwa”, *Przegląd Współczesny*, t. 64, 1938, s. 25.

51. *Ibidem*.

W wieku XX państwo biurokratyczno-plebiscytarne opanowało społeczeństwo klasowe” – pisał Grzybowski⁵². Pojęcie „państwa biurokratyczno-plebiscytarnego” wydaje się synonimem pojęcia „cezaryzmu demokratycznego”. I dyktatura, i demokracja może być wyrazem nieograniczonej „suwerenności państwa”, jego dominacji nad jednostką. Tak demokracja, jak i dyktatura może być wyrazem „reakcji antyliberalnej”⁵³. Antyliberalna rewolucja (reakcja) stała się możliwa z chwilą, gdy załamał się obowiązujący w XIX-wiecznych społeczeństwach mieszczańskich konsensus co do tego, że prawa jednostki są niewzruszone, a państwo prawne ideałem ustrojowym.

Bez wątpienia interesującym pomysłem badawczym pozostaje teoria „państwa monopolicznego”, przedstawiona przez Romana Rybarskiego. Koncepcja ta była zapewne najważniejszym polskim przyczynkiem do studiów nad fenomenem totalizmu, w okresie przed rokiem 1939. Rybarski zdefiniował „państwo monopoliczne” jako takie, które dąży do ogarnięcia możliwie wszystkich dziedzin życia jednostki, do kontroli prywatnej sfery jej życia, kontroli nad osobowością ludzką. Usiłuje zdominować nie tylko życie polityczne i gospodarcze, ale również społeczne i kulturalne. W książce „Siła i prawo” – obfitującej w wiele wartościowych refleksji socjologicznych – Rybarski utrzymywał, że „państwo monopoliczne” ma charakter dynamiczny, że totalizm opiera się na dążeniu do „ideału”, czyli do pełnej kontroli państwa nad życiem jednostki, z tym że taki „ideał” jest nieosiągalny⁵⁴. W konsekwencji też „doskonały” model „państwa monopolicznego” nie jest możliwy. Ta elastyczna definicja totalizmu, opatrzona tym tak ważnym zastrzeżeniem – zbudowana przez Rybarskiego w roku 1936 – na pewno zasługuje na uwagę.

52. K. Grzybowski, „Mit państwa”, *Czas*, nr 293, 1932, s. 2. Przytoczone tu poglądy Grzybowskiego wnikliwie rozpatruje B. Sobolewska, „Dyktatura, Demokracja i Historia w rozprawach i pracach Konstantego Grzybowskiego”, [w:] „Księga Pamiątkowa ku czci Konstantego Grzybowskiego”, Kraków 1971, s. 223-224.

53. K. Grzybowski, „Deklaracja praw człowieka”, *Czas*, nr 280, 1929, s. 2.

54. Mocno to akcentował historyk niemiecki H. Buchheim, „Totalitarian Rule: Its Nature and Characteristics”, Middletown 1968, s. 38-39.

Rybarski sformułował dwie definicje „państwa monopolicznego”⁵⁵. W węższym znaczeniu „państwem monopolicznym” (totalnym) dla niego było takie państwo, w którym władza należy do „zamkniętej grupy rządzącej”, chociaż nie zostały jeszcze wykorzenione pozostałości pluralizmu. W ustroju takim funkcjonuje tylko jedna partia sprawująca władzę, gdyż pluralizm polityczny został definitywnie zlikwidowany. Partia rządząca jest zorganizowana hierarchicznie i ma charakter elitarny. Partia ta wykonuje władzę zwierzchnią nad wszystkimi urzędami państwowymi. Wewnątrz niej koncentruje się życie polityczne. „Państwo monopoliczne” w szerszym rozumieniu to państwo spełniające powyższe kryteria, z tą różnicą, że zwycięska monopartia zdołała opanować i podporządkować sobie za pośrednictwem aparatu państwowego całe życie gospodarcze. Monopol partii rozciąga się tu nie tylko na życie polityczne, ale też na życie duchowe, religijne i kulturalne, na ustrój gospodarczy, na życie społeczne, na szkolnictwo i wychowanie. W państwie takim nie mogą funkcjonować żadne formy życia społecznego poza ścisłą kontrolą państwa. „Wszystko jest poddane jednemu kierownictwu, jednemu planowi, wszystko jest upaństwowione”⁵⁶. Upaństwowienie wszystkich sfer życia ludzkiego nie tyle jest urzeczywistnionym stanem rzeczy, ile postulatem, zamysłem i programem, do którego „państwo monopoliczne” zmierza. W interpretacji Rybarskiego, „życie nie zawsze w całej pełni urzeczywistnia tę zasadę, ale ona jest kresem ku któremu zmierza rozwój tego państwa”⁵⁷. Rybarski był świadom, że „państwo monopoliczne” stawia sobie za cel wychowanie „nowego człowieka”. Pisał, że zasadniczym celem, jaki stawia przed sobą ruch totalitarny, jest „przekształcić charakter narodu”⁵⁸.

Autorem interesującej teorii „rewolucji antyliberalnej” był historyk Kazimierz Zakrzewski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i zarazem płodny publicysta⁵⁹. Na szczególną

55. R. Rybarski, *op.cit.*, s. 95.

56. R. Rybarski, *op.cit.*, s. 95-96.

57. R. Rybarski, *op.cit.*, s. 96.

58. R. Rybarski, *op.cit.*, s. 96.

59. K. Zakrzewski, „Walka o mit”, *Droga*, nr 1, 1930, s. 31-40; *idem*, „Genealogia państwa liberalnego”, *Droga*, nr 12, 1933, s. 1206-1229; *idem*,

uwagę zasługuje tu jego esej „Od Lenina do Hitlera”⁶⁰. „Rewolucja antyliberalna” była długofalowym i wielowarstwowym procesem, którego początki lokował Zakrzewski w spustoszeniach i perturbacjach społecznych wywołanych przez I wojnę światową. Proces ten wiązał się przede wszystkim z nawrotem kolektywizmu.

„Rezultat rewolucji – pisał – jest wszędzie identyczny i następuje ustanowienie nowego typu państwowości. Powstaje państwo onnipotentne, obalające bariery, jakie liberalizm ustawił między państwem a społeczeństwem, jego produkcją i jego kulturą. Zwycięski obóz ustanawia monopol politycznego, lub nawet społecznego organizowania ludności; może to być monopol faktyczny, lub nawet formalny. Tworzy on zakon mniej lub więcej zamknięty, budujący i cementujący państwo rewolucyjne. Zakon ten oparty jest o takie lub inne zasady wewnętrznej hierarchii, które chronią integralność myśli rewolucyjnej i paraliżują wpływy oportunistów, napływających do rządzącego obozu. Partia-zakon wyzbywa się cech stronnictwa politycznego, jako funkcji demokracji liberalnej, a zbliża się do organizacji kościoła wojującego (...)”⁶¹. Teoria „rewolucji antyliberalnej” Zakrzewskiego wydaje się być zbieżna ze sformułowaną niezależnie przez Franza Borkenaua koncepcją „rewolucji totalitarnej”. Ta interpretacja fenomenu totalitaryzmu wyraźnie zbliża się do późniejszej teorii Noltego, dla którego faszyzm wyrastał z ponadnarodowego „charakteru epoki”.

Do najważniejszych ustaleń polskich prawników międzywojennych należą uwagi Wacława Komarnickiego o systemie politycznym ZSSR pisane w latach 1937-1938, ogłoszone pt.

„Rewolucja Lenina i państwo Stalina”, *Droga*, nr 12, 1935, s. 1006-1017; *idem*, „Przewyciężanie marksizmu”, *Droga*, nr 4, 1935, s. 309-323; *idem*, „Narodziny nowej moralności”, *Droga*, nr 1, 1932, s. 2-22; *idem*, „Duch katastrofizmu i nacjonalizmu”, *Droga*, nr 6, 1932, s. 541-557; *idem*, „Faszyzm w dziejach Europy”, *Przełom*, nr 6, 1934, s. 1-6; *idem*, „Krach międzynarodówek”, *Przełom*, nr 2, 1934, s. 9-11; *idem*, „Polska i Europa wobec przewrotu niemieckiego”, *Przełom*, nr 4, 1933, s. 2-3; *idem*, „Nowy klimat polityczny”, *Przełom*, nr 1, 1933, s. 2-5; *idem*, „Kryzys demokracji”, Warszawa 1930.

60. K. Zakrzewski, „Od Lenina do Hitlera”, Warszawa 1932.

61. K. Zakrzewski, „Najazd barbarzyńców”, *Przełom*, nr 9, 1931, s. 4.

„Ustrój Związku Sowieków”. Definiując charakter systemu władzy w ZSSR prawnik ten wprowadził termin „ideokratyczna oligarchia”⁶².

W swej interpretacji systemu sowieckiego Komarnicki podkreślał, że realną władzę w tym ustroju sprawuje biurokratyczna oligarchia, która ma wszakże szczególny charakter. „Oligarchia ta z tendencji swych jest uniwersalistyczna w sensie dążenia do objęcia przez nią ogółu istniejących lub mających w przyszłości powstać republik socjalistycznych”⁶³. Rodzącym się systemom totalistycznym wspólne było „odrzuć zasady podziału władz” i „potępienie parlamentarizmu”⁶⁴. Dyktatura proletariatu była – w ocenie Komarnickiego – praktyką rządów mniejszości nad większością. Różnice, jakie występowały między tymi systemami, dotyczyły – według niego – „stopnia intensywności tych zjawisk”⁶⁵.

W tym miejscu przypomnieć trzeba, że dla wielu prawników międzywojennych ustrój sowiecki był scentralizowanym systemem biurokratycznym, stosującym „pragmatycznie” ideologię w celu możliwie skutecznej kontroli społeczeństwa⁶⁶. Z kolei dla badaczy odwołujących się do tezy W. Guriana ustrój ten był „ideokracją”, czyli systemem najbardziej zideologizowanym wśród znanych dotychczas form ustrojowych. Komarnicki poszukiwał syntezy pomiędzy tymi rozbieżnymi interpretacjami systemu sowieckiego. Stąd jego pojęcie „ideokratycznej oligarchii”. Użycie terminu „oligarchia” miało podkreślać, że realną władzę w partii bolszewickiej

62. Martin Malia – oczywiście nie znając poglądów W. Komarnickiego wprowadził dla określenia systemu stalinowskiego termin „ideokracja biurokratyczna” (*idéocratie bureaucratique*). Brzmi to nader zbieżnie z koncepcją polskiego prawnika. Por. M. Malia, „Comprendre la Révolution russe”, préf. A. Besançon, Paris 1980. (rozdz. „La genèse du stalinisme ou la victoire de l'idéocratie bureaucratique”, s. 180-211).

63. W. Komarnicki, *op.cit.*, s. 186. Na ten uniwersalistyczny charakter bolszewizmu zwracał też uwagę Stanisław Starzyński, „Współczesny ustrój prawno-polityczny Polski i innych państw słowiańskich”, Lwów 1928, s. 239.

64. Na to, że ustawodawstwo sowieckie nie uznaje zasady podziału władz, zwrócił też uwagę Antoni Peretiatkowicz, „Państwo współczesne”, wyd. 7, Lwów – Warszawa 1935, s. 127.

65. *Ibidem*.

66. Tak pojmował system sowiecki Oswald Spengler.

sprawuje wąska elita – „elita zamknięta”, posługując się terminologią Vilfreda Pareto⁶⁷.

Na przypomnienie i uważne przeanalizowanie zasługują analizy Aleksandra Herta poświęcone „militaryzacji stronnictwa politycznego”⁶⁸. W jego interpretacji „monopartia ideologiczna” stanowi „odrębny typ stronnictwa politycznego”⁶⁹. Za szczególnie istotny polski socjolog uważał proces militaryzacji monopartii. Zwracał tu uwagę, że jej struktura organizacyjna ma charakter militarny. W przekonaniu Herta taki charakter miała zarówno partia faszystowska, jak i narodowo-socjalistyczna „Cechy militarne są właściwe również i stronnictwu komunistycznemu, jednakże mają postać i charakter odmienny” – pisał Hertz w roku 1937. Zmilitaryzowane stronnictwo masowe charakteryzuje „bojowość”, przez którą autor rozumiał „stan moralny uczestników grupy, ich postawę psychiczną, warunkującą ich działania agresywne lub obronne”⁷⁰.

Polski socjolog z dużą wnikliwością i w sposób niewątpliwie nowatorski przemyślał, wyodrębnił i opisał procesy zachodzące w partii totalitarnej – analizując tę problematykę na przykładzie Związku Sowieckiego i Niemiec hitlerowskich. Hertz zwrócił uwagę na bardzo ważne procesy socjologiczne związane z funkcjonowaniem systemów totalitarnych. Przypomnijmy w tym miejscu, że Hannah Arendt z wielkim naciskiem zwracała uwagę na dynamiczny charakter partii totalitarnej, będącej ruchem masowym, mającym wszakże charakter hierarchiczny, oparty na bezwzględnej dyscyplinie i posłuszeństwie wodzowi.

Dla studiów nad fenomenem totalitaryzmu szczególne znaczenie miało zwrócenie przez Aleksandra Herta uwagi na cechy „masowego stronnictwa światopoglądowego”. Autor studium o „Posłannictwie wodza” wskazywał na element

67. Por. R. Aron, „Socjologia Pareta”, [w:] „Szkoła frankfurcka”, J. Łoziński (red.), t. 2, cz. 2, Warszawa 1987, s. 209-234.

68. Rozważania A. Herta zdają się korespondować z przemyśleniami Sigmunda Neumanna, który analizując fenomen partii „nowego typu” wprowadził pojęcie „partii dyscypliny”. Por. *idem*, „The Permanent Revolution”, New York 1942.

69. *Ibidem*.

70. A. Hertz, *op.cit.*, s. 7.

„monopartyjnego uniwersalizmu” jako szczególnie charakterystyczny dla nowoczesnych ruchów totalitarnych⁷¹. Partia „nowego typu” miała w ujęciu Hertza charakter „grupy specjalnej o specyficznych przymiotach charyzmatycznych”. Socjolog polski akcentował też znaczenie czynnika wspólnej przeszłości, będącego siłą integrującą w kształtowaniu elity władzy w państwie zawłaszczonym przez ruch totalitarny. Był on niewątpliwie prekursorem socjologii polityki w skali światowej. Pisarstwo Hertza było wprowadzeniem do socjologicznej interpretacji totalitaryzmu, do socjologii ustrojów „nowego typu”.

Szczególną wartość mają powstałe w latach trzydziestych studia Hertza z problematyki funkcjonowania władzy w systemach totalitarnych. Za prekursorskie i nie pozbawione doniosłości uznać należy jego refleksje porównawcze, uwzględniające bolszewizm, narodowy socjalizm i faszyzm. Na uwagę zasługuje zwłaszcza rzeczowe, pozbawione jednostronności podejście polskiego socjologa do marksizmu, połączone z demaskatorską analizą deformacji systemu sowieckiego pod rządami Stalina⁷². Rozpatrując dorobek Hertza z dzisiejszej perspektywy, można by bez większych zastrzeżeń przyjąć, że jego studia dawały początek nowemu – nie w pełni do dziś rozwiniętemu kierunkowi studiów – socjologii systemów totalitarnych.

Ważną – trudną do pominięcia – rolę w debacie wokół systemów totalitarnych spełniła teoria modernizacji⁷³. Jej zarys powstał jednak nie po II wojnie światowej, ale w latach trzydziestych. Do teorii modernizacji niewątpliwie nawiązywał Stanisław Swianiewicz, który był w Polsce jednym z jej prekursorów. Swianiewicz uważał, że w wyniku realizowanej od roku 1929 polityki industrializacji w Rosji stworzony zostanie od podstaw potencjał przemysłowy, który zmieni

71. W tej kwestii Hertz odwoływał się również do S. Neumanna, „Die deutsche Parteien, Wesen und Wandel nach dem Kriege”, Berlin 1932.

72. Tu por. recenzję A. Hertza z książki G. D. H. Cole’a, „Istotny sens marksizmu” (Warszawa 1935), *Przegląd Socjologiczny*, t. 3, 1935, s. 757-760.

73. Por. R. Sarti, „Fascist modernisation in Italy: Traditional or Revolutionary?”, *American Historical Review*, Vol. LXXV, no 4, 1970, s. 1029-1045.

charakter gospodarczy państwa z rolniczego na przemysłowo-rolniczy, i to bez względu na ustrój.

W debacie wokół ustrojów totalitarnych – prowadzonej w Polsce w latach trzydziestych – postawiono pytanie o trwałość tych systemów, o perspektywy ich przyszłości. W tej dyskusji zabrał głos Stanisław Kutrzeba książką „Państwa totalne. Światła – cienie – przyszłość”⁷⁴. Prawnik ten nie kwestionował istotnych osiągnięć – zwłaszcza ekonomicznych – zarówno bolszewizmu, jak nazizmu. Totalizm uważał jednak za system nietrwały, narażony na destabilizację i bardzo uzależniony od czynnika ludzkiego – tj. od jednostki przywódczej. Ustrój ten nie posiada wewnętrznych mechanizmów transformacji władzy. O sukcesji władzy decyduje najczęściej siła. Ta opinia Kutrzeby o ustrojach totalistycznych była dość szeroko podzielana przez prawników polskich okresu międzywojennego.

U polskich prawników nie znajdziemy fascynacji „systemami totalistycznymi”, i to trzeba tu podkreślić. Starali się stosować podejście badawcze, na ile to możliwe, i rezygnowali z ideologicznego nastawienia. Autorzy pierwszych opracowań poświęconych systemom totalitarnym podkreślali niemal jednogłośnie pozorną stabilność tych ustrojów. W rzeczywistości systemy te cechuje nietrwałość. W oparciu o przemoc nie można w sposób trwały rozwiązać problemów społecznych targających nowoczesne państwo. Trwały ustrój musi być zbudowany na zasadzie kompromisu między głównymi siłami społecznymi⁷⁵. Stabilny ustrój – powtarzano w ówczesnych pracach – winien czynić zadość potrzebie „równowagi” pomiędzy interesami jednostki a interesami społeczeństwa.

W kręgu studiów z problematyki totalitaryzmu polska socjologia międzywojenna wydała szereg prac niezwykle ważnych, doniosłych w warstwie interpretacyjnej, godnych uważnej lektury także dzisiaj. Przypomnijmy tu, że Stefan Czarnowski poszukując interpretacji zwycięstwa hitleryzmu w Niemczech

74. S. Kutrzeba, „Państwa totalne. Światła – cienie – przyszłość”, Kraków 1937.

75. Tak argumentował Konstanty Grzybowski w swojej książce „Od dyktatury ku kompromisowi konstytucyjnemu”, Kraków 1930.

piisał o „ludziach zbędnych w służbie przemocy”⁷⁶. Stanisław Ossowski – w przededniu wybuchu wojny – opublikował swoją znakomitą książkę „Więź społeczna i dziedzictwo krwi”, która przynosiła głębokie studium z problematyki rasizmu, będącego przecież ważnym komponentem totalitaryzmu hitlerowskiego⁷⁷. Nader wartościowym osiągnięciem Aleksandra Hertzka były jego – napisane w latach 1935-1938 – prace poświęcone zagadnieniu przywództwa w systemach totalitarnych, w tym zwłaszcza świetne studium „Drużyna wodza” zawierające, nie mającą odpowiedników w ówczesnej literaturze światowej, analizę charakteru partii totalitarnej i zasady wodzostwa. Dodać warto jeszcze, że do zrozumienia mechanizmów kształtowania się totalitaryzmu przyczynił się z pewnością Florian Znaniecki ogłaszając w roku 1931 „Studia nad antagonizmem do obcych”, będące próbą socjologicznej analizy nowoczesnego nacjonalizmu⁷⁸. Wszystkie te prace mają swoje istotne miejsce w historii polskiej myśli socjologicznej.

Miejsce bolszewizmu w historii Europy

Dobrze znany w nauce światowej polski antropolog Bronisław Malinowski pisał w książce „Freedom and Civilisation” – opublikowanej w roku 1942 – iż, głównymi wyznacznikami cywilizacji zachodniej, decydującymi o jej tożsamości, są wolność i prawa jednostki. „Totalitaryzm – podkreślał – odrzuca wolność i ustanawia siłę jako jedyną inspirację ludzkiego losu”⁷⁹. Malinowski przepowiadał, że rodzące się syste-

76. S. Czarnowski, „Ludzie zbędni w służbie przemocy” [1935], [w:] *idem*, „Dzieła”, oprac. N. Assorodobraj, S. Ossowski, t. 2, Warszawa 1956, s. 186-193.

77. S. Ossowski, „Więź społeczna i dziedzictwo krwi”, Warszawa 1939.

78. F. Znaniecki, „Studia nad antagonizmem do obcych”, Poznań 1931.

79. B. Malinowski, „Freedom and Civilisation”, New York 1942 [korzystaliśmy z wyd. 2, London 1947], s. 317. „The fundamental difference between democracy and totalitarianism is that democracy supplies us with all the means to deal with any serious threat to freedom. Totalitarianism denies freedom and substitutes force as the only effective inspiration in human conduct. If totalitarianism in its twofold dimension of military force and the doctrine of brutality, is allowed to continue, the end of civilisation is inevitable”.

my totalitarne – oparte na zasadach kolektywizmu – prowadzą do zupełnego unicestwienia cywilizacji zachodniej. Wypowiadał on tu myśli wspólne wszystkim właściwie krytykom systemów totalitarnych.

Nie Bronisław Malinowski jednak, ale Florian Znaniecki – jeden z klasyków socjologii – był w Polsce prekursorem socjologicznej refleksji na bolszewizmem. W książce pt. „Upadek cywilizacji zachodniej. Szkic z pogranicza filozofii, kultury i socjologii” Znaniecki podjął próbę szerokiej analizy dokonującej się transformacji cywilizacji zachodniej⁸⁰. Głównym przejawem tej transformacji było wkroczenie mas do życia publicznego. Podkreślić trzeba, że książka Znanieckiego – opublikowana w roku 1921 – wyprzedzała o osiem lat wystąpienie Ortegi y Gasset. Tłumaczony od razu na wiele języków „Bunt mas” ukazał się drukiem w roku 1929. Studia Karla Mannheima czy Petera Druckera dotyczące fenomenu „społeczeństwa masowego” powstały w latach trzydziestych⁸¹.

Bolszewizm był dla Znanieckiego przede wszystkim fenomenem socjologicznym, na drugim planie – określoną ideologią, na trzecim zaś dopiero miejscu – systemem ustrojowym ustanowionym w Rosji w wyniku przewrotu w roku 1917. W bolszewizmie Znaniecki dopatrywał się socjologicznie złożonego ruchu społecznego. Był to dla niego zarazem wielki prąd ideowy, wcale nie rosyjski, ale dotyczący zasadniczo wszystkich społeczeństw nowoczesnej Europy. Bolszewizm nie jest „formą ustroju społecznego – pisał polski socjolog – lecz skomplikowanym procesem społecznym, prowadzącym do rozkładu systemów istniejących”⁸². Swoje obserwacje dotyczące bolszewizmu i sowieckiej Rosji uściłował Znaniecki ująć w formę socjologicznych reguł, zgodnie ze swą wiarą w to, że socjologia powinna być „nauką nomotetyczną”⁸³.

80. F. Znaniecki, „Upadek cywilizacji zachodniej. Szkic z pogranicza filozofii, kultury i socjologii”, Poznań 1921.

81. Por. K. Mannheim, „Człowiek i społeczeństwo w dobie przebudowy”, Warszawa 1974. P. Drucker, „The End of Economic Man. A Study of the New Totalitarianism”, London 1939.

82. F. Znaniecki, *op.cit.*, s. 1069.

83. J. Szacki, „Wstęp” [w:] „Sto lat socjologii polskiej. Od Supińskiego do Szczepańskiego”. Wybór tekstów red. J. Szacki, Warszawa 1995, s. 69.

Każdy nowy ustrój – utrzymywał – kształtują dwa czynniki: „pozytywny ideał nowej formy życia kulturalnego” oraz „reakcja czynników społecznie negatywnych przeciwko zewnętrznej i wewnętrznej dyscyplinie ustroju społecznego”⁸⁴. Bolszewizm był rezultatem działania tego drugiego czynnika. „To, że owa reakcja odbywa się pod sztandarem idei komunistycznej – jest sprawą zupełnie drugorzędną. Jakakolwiek inna idea nowego porządku społecznego mogłaby była odegrać tę samą rolę, gdyby była użyta w podobny sposób jako narzędzie do gwałtownego wzburzenia mas (...)”. Socjalizm rozumiany „jako prąd polityczno-ekonomiczny” nie może ponosić odpowiedzialności za bolszewizm. Odpowiedzialnością taką można obciążać socjalizm tylko o tyle, że ruch ten dostarczył bolszewizmowi „intelektualnej podstawy” w postaci „materialistycznego poglądu na świat”⁸⁵. Bolszewizm nie obciąża odpowiedzialnością „zasad porządku społecznego, do którego urzeczywistnienia socjalizm dąży (...)”. Destrukcyjność bolszewizmu – wywodził – wynika z „planu gwałtownego przewrotu”, który proponuje jako „środek do urzeczywistnienia tego porządku” oraz z „dążności ochłokratycznych, które propaguje w ciągu swego rozwoju”⁸⁶.

W ujęciu Znanickiego bolszewizm był również wielkim ruchem społecznym. Rozpatrując fenomen bolszewizmu nie jako ideologię, „lecz jako ruch społeczny”, rozróżniał „trzy grupy zjawisk”⁸⁷. Wyodrębniał tu „zjawiska o specjalnie rosyjskim charakterze” (których znaczenia nie bagatelizował), „zjawiska cechujące wszystkie społeczeństwa zachodnie w obecnym okresie i zjawiska wspólne wszystkim mniej lub więcej cywilizowanym społeczeństwom we wszystkich okresach dziejowych”⁸⁸. To rozróżnienie jest bardzo ważne dla zrozumienia całej koncepcji Znanickiego.

Wychodząc z takich założeń polski uczone polemizował z tymi interpretacjami bolszewizmu, w świetle których ruch ten wpisujący się w dziedzictwo rewolucji francuskiej i stano-

84. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1099.

85. *Ibidem*.

86. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1069-1070.

87. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1070.

88. *Ibidem*.

wił jakby dalszy ciąg wolnościowej i humanistycznej tradycji europejskiego socjalizmu, związanej z „odwieczną walką o ogólnoludzką równość i braterstwo”⁸⁹. Bolszewizm dla Znanickiego nie był też wytworem europejskiego racjonalizmu – jak głosił Władysław L. Jaworski⁹⁰.

Autor „Upadku cywilizacji zachodniej...” wystąpił z krytyką tych interpretacji bolszewizmu, które biorą w obronę „ideał społeczny”, zawarty w tej ideologii. Polemizował z tymi poglądami na temat bolszewizmu, w których akcentowano, że ów ideał społeczny „jest zasadniczo konstrukcyjny”. Znanicki piętnował próby poszukiwania analogii „między rewolucją bolszewicką a rewolucją francuską, jako dwoma stadiami tego samego procesu historycznego”. Dowodził, że rewolucja francuska „istotnie zawierała pierwiastki konstrukcyjne”, podczas gdy „bolszewizm nie zawiera żadnych”⁹¹. W interpretacji Znanickiego bolszewizm „przyjął jako hasło socjalistyczny plan przyszłego rozwoju społecznego”. Podkreślał wszakże, iż „ruch społeczny nie może być rozumiany i oceniany według swych haseł, lecz według ich stosowania”⁹².

Znanicki argumentował, że żadna „doktryna nie jest konstrukcyjna lub destrukcyjna sama w sobie, lecz w swych praktycznych zastosowaniach, i jakkolwiek socjalizm mógłby być konstrukcyjny, gdyby był interpretowany i stosowany przez twórczych przodowników i dla twórczych celów, tak jak go interpretują i stosują bolszewicy, [u bolszewików] jest on jedynie narzędziem zniszczenia”⁹³. Warto tę myśl polskiego socjologa podkreślić.

Aprioryczne założenie Znanickiego, że każda rewolucja – nie tylko rosyjska – ma charakter destrukcyjny, zaważyła na jego ocenie bolszewizmu. „Bolszewizm – pisał – jest ostatecznym wyrazem i sprawdzianem mocy i znaczenia tych dążeń antykulturalnych, których cywilizacja zachodnia jeszcze nie zdołała poskromić, a które w warunkach wytworzonych przez

89. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1098. Takie oceny bolszewizmu polski socjolog uważał za „powierzchowne” i „zabójcze”.

90. O tym niżej.

91. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1098-1099.

92. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1099.

93. *Ibidem*.

zerwanie wszelkich tradycyjnych hamulców zostały ześrodkowane jako siły społeczne i obrócone w ruch masowy⁹⁴.

Dla Znanickiego bolszewizm nie był integralną częścią demokratycznej tradycji w historii Europy nowoczesnej, tradycji wolnościowej i egalitarnej, jak to utrzymywało wielu intelektualistów zachodnich doby międzywojennej i powojennej⁹⁵. W koncepcji polskiego socjologa bolszewizm rozpatrywany jako „konkretny proces społeczny nie jest w żadnej mierze częścią owego wielkiego ruchu historycznego, który dąży do zniesienia nierówności, prócz tych, które się opierają na rzeczywistych zasługach indywidualnych oraz do dania wszystkim członkom społeczeństwa równej sposobności do uczestniczenia w dobrodziejstwach cywilizacji”⁹⁶.

Na odrębną uwagę zasługuje interpretacja bolszewizmu sformułowana przez Władysława Leopolda Jaworskiego. W jego interpretacji bolszewizm był pokłosiem europejskiego racjonalizmu. Zarówno bolszewizm, jak i faszyzm stanowiły dla niego „rezultat przewagi racjonalistycznego myślenia”⁹⁷. W swej interpretacji W. L. Jaworski odniósł się polemicznie do tezy Konstantego Grzybowski, który za prawnikiem niemieckim Hellmutem von Gerlachem powtarzał, że „bolszewizm jest mistycyzmem”⁹⁸. W przekonaniu krakowskiego prawnika system sowiecki wyrastał z racjonalistycznego dziedzictwa Oświecenia.

W spojrzeniu na rewolucję rosyjską i bolszewizm Władysław L. Jaworski wychodził z założeń konserwatywnej filozofii polityki. Każda rewolucja była dla niego „zniszczeniem tych instytucji, które wrosły korzeniami w społeczeń-

94. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1069.

95. Wspomnijmy tu chociażby Bertranda Russella. Por. *idem*, „Autobiografia 1914-1944”, Warszawa 1998. Por. też F. Furet, „Przeszłość pewnego złudzenia”, tłum. M. Ochab, J. Górnicka-Kalinowska, Warszawa 1996 (tu szeroki kontekst problemu).

96. F. Znanicki, *op.cit.*, s. 1104.

97. W. L. Jaworski, *op.cit.*, s. 55. Pisząc w latach dwudziestych swe „Notatki” W. L. Jaworski nie mógł uwzględnić niemieckiego narodowego socjalizmu. Zmarł w lipcu 1930. r., a więc trzy lata przed przejściem przez hitlerowców władzy w Niemczech.

98. K. Grzybowski, „Ustrój Związku Socjalistycznych Sowietickich Republik. Doktryna i konstytucja”, Kraków 1929. Por. W. L. Jaworski, *op.cit.*, s. 145-146.

stwo, które tworzą jego organiczny skład”⁹⁹. Zarówno rewolucja francuska, jak i będąca jej dwudziestowiecznym przedłużeniem rewolucja rosyjska wyrastały z tradycji europejskiego racjonalizmu, z wiary w nieograniczoną potęgę rozumu, z wiary w potęgę inżynierii społecznej – z wiary w możliwość nieograniczonego przekształcania tkanki życia społecznego na miarę ideologicznego projektu.

W interpretacji Jaworskiego bolszewizm stanowił uwięzienie długofalowego i wielofazowego procesu racjonalizacji stosunków społecznych. Dążenie do oparcia stosunków społecznych, ustroju gospodarczego i politycznego na zasadach racjonalizmu cechowało nowożytną filozofię człowieka, nowożytną myśl polityczną. To dążenie stało się osią, wokół której ukształtowały się dzieje nowoczesnej Europy, Europy naznaczonej doświadczeniem rewolucji francuskiej. System sowiecki – przekonywał Jaworski – stał się rezultatem tych dążeń, dążeń będących kwintesencją nowoczesnej cywilizacji europejskiej. W świetle tej interpretacji nie ma zatem zerwania linii rozwojowej między rewolucją francuską 1789 r. a rewolucją rosyjską 1917 r., jak argumentował Znaniecki. Według Jaworskiego między obydwoma rewolucjami występuje pełna ciągłość. Te rozbieżne interpretacje rewolucji bolszewickiej występowały w polskiej międzywojennej literaturze prawniczej i socjologicznej.

W. L. Jaworski wiązał korzenie bolszewizmu ze spuścizną Oświecenia. Uważał, że z podbudowanych utopią doktryn racjonalnego urządzenia stosunków społecznych zrodziła się wiara we wszechmoc inżynierii społecznej. Bolszewizm i rewolucja rosyjska dowodziły jednak zarazem upadku racjonalistycznej filozofii życia społecznego. W wydarzeniach rewolucji rosyjskiej „okazało się szaleństwo budowniczych. Racjonalistyczne plany szły w niwecz, z doktryny komunistycznej coraz to nowe odpadają części”¹⁰⁰. „Jest to jeden z najbardziej uderzających paradoksów dziejowych – pisał w «Notatkach» – że na najdalszym Wschodzie Europy w Rosji realizują się ostatnie skrajne konsekwencje nowożytnej

99. W. L. Jaworski, *op.cit.*, s. 108.

100. W. L. Jaworski, *op.cit.*, s. 64.

kultury Zachodu. Załamują się, bo padły na grunt obcy, padły na społeczeństwo, które w rozwoju swym nie przekroczyło, o ile idzie o ogół, pierwotnego stadium¹⁰¹.

Prowadzony przez polskich intelektualistów spór o genezę bolszewizmu stawał się częścią składową sporu o dziedzictwo Oświecenia, sporem o „blaski i cienie” nowożytnej cywilizacji zachodnioeuropejskiej ukształtowanej w przemożny sposób przez tradycję Oświecenia. Taka argumentacja – połączona z sugestywną krytyką „społeczeństwa masowego” i cywilizacji przemysłowej dochodziła do głosu przede wszystkim u konserwatystów i u przedstawicieli myśli katolickiej. Spojrzenie Jaworskiego na rewolucję rosyjską – będącą dla niego w pierwszym rzędzie dziedzictwem europejskiego Oświecenia – jest nader zbieżne z tezą Erica Voegelina, który pisał w roku 1953, że „rewolucyjny wybuch totalitaryzmu w naszych czasach stanowi punkt szczytowy sekularnej ewolucji¹⁰².

W tym miejscu przypomnieć trzeba przemyślenia Kazimierza Zakrzewskiego. Na uwagę zasługuje przede wszystkim jego teoria „rewolucji antyliberalnej”. Powszechny odwrót od liberalizmu politycznego, od racjonalistycznej wiary w postęp, od idei praw człowieka, miały jego zdaniem znamionować nową epokę.

Zakrzewski utrzymywał, że rewolucja antyliberalna nie jest ani „burżuazyjna ani proletariacka¹⁰³. Jej oblicze nabiera momentów taktycznych, „takiego, lub innego klasowego zabarwienia”, ale – zdaniem Zakrzewskiego – nie to jest najważniejsze, w imię jakich haseł dokonuje się rewolucja. Ważny jest rezultat rewolucji, którym jest likwidacja pluralizmu politycznego i ustanowienie monopartyjnej, represyjnej dyktatury. Zakrzewski argumentował, że rewolucje – wyłączwszy *casus* Rosji Sowieckiej – zawsze opierają się na środowisku kombatanckim. Zaznaczał zarazem, że rewolucja musi mieć podłoże społeczne. „Rewolucja i dyktatury kombatanckie przyjmują (...) zabarwienie burżuazyjne albo proletaria-

101. W. L. Jaworski, *op.cit.*, s. 64.

102. E. Voegelin, „The Origins of Totalitarianism”, s. 68.

103. K. Zakrzewski, „Od Lenina do Hitlera”, s. 41. Por. również *idem*, „Najazd barbarzyńców”, *Przełom*, nr 9, 1931, s. 3.

riackie, lub równocześnie jedno i drugie (...)”¹⁰⁴. Faszyzm miał podłoże narodowe, bolszewizm – społeczne i klasowe¹⁰⁵. W interpretacji Zakrzewskiego rewolucje wypełniają „pustkę, którą wytworzył zmierzch dawnej ideologii (...)”¹⁰⁶. Procesy stanowiły rezultat „ogólnego kryzysu ustrojowo-gospodarczego”, którego przebieg przyspieszyła i zaostrzyła I wojna światowa. Rozważając w ten sposób różnorakie analogie między faszyzmem a bolszewizmem Zakrzewski dochodził do wniosku, że „między komunizmem a faszyzmem istnieje nie tyle różnica jakości, co różnica stopnia zamierzonego i osiągniętego przewrotu”¹⁰⁷. Teza ta brzmi niewątpliwie interesująco.

Autorzy pierwszych studiów i interpretacji systemów totalitarnych usiłowali osadzić korzenie tych systemów w przeobrażeniach społecznych i ideowych Europy XX wieku. W napisanej w roku 1926 książce „Naród, jednostka, klasa” Roman Rybarski odnotowywał przede wszystkim załamanie się optymistycznego racjonalizmu, mającego swój rodowód w epoce Oświecenia, ściśle związanego z ideałami praw człowieka¹⁰⁸. Przez cały wiek XIX – do wybuchu Wielkiej Wojny – trwała wiara w ewolucyjny rozwój cywilizacji zachodniej w oparciu o prawa człowieka i postęp gospodarczy. Wiarę tę podtrzymywało przeświadczenie, iż ludzkość, poznawszy „prawa natury, będzie się rządzić rozumem, będzie rozumnie urządzać swoje stosunki”¹⁰⁹. Warto tu przytoczyć jeszcze refleksje Konstantego Grzybowskiego. Stawiał on tezę, iż logicznym podłożem parlamentaryzmu jest ewolucjonizm, czyli wiara, że „postęp odbywa się stopniowo i ciągle”, że „nie będzie zasadniczych różnic między jedną a drugą generacją, że generacja młodsza będzie harmonijnie uzupełniać i modyfikować dzieło generacji starszej”, że „nie będzie burzyć tylko nadbudowywać”. „Wiek XX zadał kłam tej wierze. Cios ten zadała nie nauka i spekulacja, ale rozwój stosunków socjalnych”¹¹⁰.

104. K. Zakrzewski, *op.cit.*, s. 2.

105. K. Zakrzewski, „Najazd barbarzyńców”, *op.cit.*, s. 3.

106. K. Zakrzewski, „Rok 1931...”, s. 2.

107. K. Zakrzewski, „Od Lenina do Hitlera”, s. 45.

108. R. Rybarski, „Naród, jednostka i klasa”, Warszawa 1926.

109. R. Rybarski, *op.cit.*, s. 11.

110. K. Grzybowski, „Wiara w rewolucję jest potrzebna rewolucjo-

Rola mitu w systemach totalitarnych

Ważnym pomysłem interpretacyjnym – stworzonym w kręgu refleksji nad systemami totalitarnymi – było zwrócenie uwagi na „myślenie mityczne”, które warunkuje powstanie ideologii totalitarnej. Koncepcję tę stworzyli i wprowadzili do obiegu w Niemczech Ernst Cassirer i Paul Tillich¹¹¹. Ernst Cassirer – wybitny filozof niemiecki – nadał nowe znaczenie pojęciu „mitu”. Jego książka „Mit państwa” („The Myth of the State”) – ogłoszona już pośmiertnie w r. 1946 pozwalała zrozumieć, w jaki sposób w systemach totalitarnych miał miejsce fenomen emocjonalnej identyfikacji i zbiorowej fascynacji. Cassirer wychodził od tezy, że w „wieku techniki, rozwija się nowa technika mitu”¹¹². W dobie kryzysu, w okresie rewolucyjnych przewrotów „pragnienie zbiorowe osiąga przemożną siłę”. Dzieje się tak wówczas, kiedy pojawia się integrujący masy wielki cel, „gdy zawiodły wszelkie nadzieje na zaspokojenie normalnym trybem”¹¹³. Wtedy mit staje się niezastąpionym instrumentem rządzenia. To zjawisko nieodłącznie towarzyszyło rewolucyjnym wstrząsom i przeobrażeniom społeczno-ideowym w Europie pierwszej połowie XX wieku¹¹⁴. Mit może służyć zarówno „rządzającym i silnym”, jak i „zbuntowanym i bezsilnym” – dopowiadał Konstanty Grzybowski¹¹⁵. „Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat – pisał w roku 1945 Cassirer – przewaga myślenia mitycznego nad myśleniem racjonalnym we współczesnych systemach politycznych jest decydująca”. Dlatego też niemiecki filozof kultury mówił o pojawieniu się nowego zjawiska – „potęgi myślenia mitycznego”¹¹⁶.

nistom,” *Czas*, nr 166, 1933, s. 3. Dość podobnie rozumował Adam Krzyżanowski – por. jego artykuł: „Bogactwo i moralność zeszłego wieku”, *Przegląd Współczesny*, t. 51, 1934, s. 3-18.

111. Ks. K. Michalski, „Kościół wobec narodowego socjalizmu”, Kraków 1934, s. 6-7. Hitlerizm był dla Tillicha „nowym mitem”.

112. E. Cassirer, „Funkcja mitu w życiu społecznym”, [w:] „Filozofia i socjologia XX wieku”, cz. 1, Warszawa 1965, s. 80.

113. E. Cassirer, *op.cit.*, s. 82.

114. E. Cassirer, „The Myth of the State”, New Haven 1946.

115. K. Grzybowski, „Ojczyzna, naród, państwo”, Warszawa 1970, s. 130.

116. E. Cassirer, *op.cit.*, s. 3 [tłum. moje – MK].

W Niemczech ideologia nazizmu odwoływała się do mitu rasy i przestrzeni życiowej, w Rosji bolszewizm operował mitem państwa proletariackiego, mitem powszechnej równości i społeczeństwa bezklasowego. „Mit” – bez względu na swą treść – stanowi niezastąpiony czynnik legitymizacji systemu i dźwignię jego funkcjonowania¹¹⁷.

W Polsce (przed wybuchem wojny w 1939 r.), a więc przed wystąpieniem Cassirera, znanego wówczas przede wszystkim jako autora książki o „ewolucji form symbolicznych” doszło do dyskusji o roli mitu w systemach totalitarnych. Polscy badacze dopatrywali się tu zasadniczej dźwigni ruchów totalitarnych.

Niezwykle ważne było, że debatując nad specyfiką reżimów totalitarnych zwrócono uwagę na czynnik nieustającej mobilizacji wpisanej w naturę tych systemów. U podstaw tej mobilizacji dostrzegano „mit”, odwołując się tu do teorii Georgesa Sorela¹¹⁸. W nazizmie jest to mit rasy i „przestrzeni życiowej”. W komunizmie mit „bezklasowego społeczeństwa sprawiedliwości, braterstwa i rozumu” mający być początkiem nowego świata, ku któremu zmierzała cała dotychczasowa historia” – jak to ujął Erich Fromm¹¹⁹. „Mit” jest w systemach totalitarnych nie tylko rytuałem, ale również realną dźwignią ustroju. W międzywojennej Polsce na ten fenomen zwracał uwagę przede wszystkim Stanisław Swianiewicz.

Zagadnienie „mitu” w centrum uwagi stawiali ekonomiści Władysław Zawadzki i S. Swianiewicz. Zawadzki w książce „Teoria produkcji” (1923) stworzył pojęcie „społecznej woli pracy”, aby wyjaśnić fenomen masowej mobilizacji w systemach totalitarnych, aby pokazać, jak doniosłą rolę spełnia mit w tej mobilizacji wokół wielkich przedsięwzięć gospodarczych¹²⁰. Swianiewicz – o czym była powyżej mowa – podążał tym śladem.

117. Podkreśla to A. Gleason, „Totalitarianism”, Oxford 1995, s. 31.

118. S. Swianiewicz, „Psychiczne podłoże produkcji w ujęciu Jerzego Sorela”, *Czasopismo Prawnicze i Ekonomiczne* (Kraków), R. XXII, 1926, s. 150-230.

119. E. Fromm, „Zdrowe społeczeństwo”, tłum. A. Tanalska-Dulęba, wstęp M. Czerwiński, Warszawa 1996, s. 238.

120. W. Zawadzki, „Teoria produkcji”, Wilno 1923.

„Właśnie warstwy niższe, szerokie masy ludowe są potężnym rezerwuarem uczuć religijnych” – pisał Aleksander Hertz¹²¹. Dlatego też zdobycie władzy i jej utrzymanie wymaga, aby elita rządząca dysponowała własną ideologią, pełniącą rolę surogatu religii. To jest fundamentalny warunek sukcesu ruchów totalitarnych.

Zwrócenie uwagi na rolę, jaką spełnia w systemach totalitarnych mit, umożliwiło pokazanie funkcji ideologii w kształtowaniu tych systemów.

Usiłując zdefiniować fenomen totalizmu międzywojenni prawnicy, socjologzy i ekonomiści z reguły koncentrowali się wokół nadrzędnej roli ideologii w kształtowaniu tych systemów. Trafnie pisał filozof prawa Czesław Znamierowski, iż „(...) każdy ustrój państwowy ma wierzenia swoiste dotyczące natury państwa, podstaw władzy, jej stosunku do rządzonych. Są to wierzenia samych władców lub też ich poddanych”¹²².

„Każda rewolucja ma swój mit eschatologiczny, który każe wierzyć jej twórcom, że właśnie oni przy pomocy logicznego rozumowania znaleźli typ ustroju wieczny i dla wszystkich czasów niezmienny” – pisał wspomniany już K. Grzybowski, nawiązując do sformułowanej przez Maxa Webera koncepcji „władzy charyzmatycznej”¹²³. Rewolucyjna władza musi mieć charakter charyzmatyczny, gdyż to jest warunek zasadniczy jej legitymizacji.

Akcentowanie wiodącej roli mitu prowadziło do tezy o „ideokratycznym” charakterze reżimów totalitarnych. Termin „ideokracja” wprowadził do języka niemiecki prawnik Waldemar Gurian (uczeń Carla Schmitta), odwołując się do „teorii światopoglądów” Wilhelma Diltheya. Tym terminem Gurian usiłował oddać specyfikę systemów totalitarnych,

121. A. Hertz, „Socjologia Vilfreda Pareto i teoria elit”, [w:] *idem*, „Ludzie i idee”, Warszawa 1931, s. 51. W ten sposób Hertz nawiązywał do paretowskiej teorii „ideału społecznego”, który jest siłą sprawczą funkcjonowania władzy – również w społeczeństwach nowoczesnych, mimo dokonujących się równocześnie procesów racjonalizacji stosunków społecznych.

122. C. Znamierowski, „Wiadomości elementarne o państwie”, Warszawa 1934, s. 69-70.

123. K. Grzybowski, „Wiara w rewolucję...”, *op.cit.*, s. 3.

które – jego zdaniem – charakteryzowała dominacja ideologii. „Ideokracja” to ustrój, w którym ideologia ma rangę „absolutu”; jest niewątpliwie świeckim substytutem religii¹²⁴.

Interpretując systemy totalitarne jako oparte na micie – rozumianym w taki sposób, jak to sformułował Georges Sorel – zwrócono uwagę na ważne uwarunkowania w funkcjonowaniu tych ustrojów. *Primo*: rewolucja dokonuje się w imię „mitu”. *Secundo*: mit utrzymuje społeczeństwo w stanie permanentnej mobilizacji i zapewnia władzy realne poparcie. Mit może mieć różnorodną postać: może stawiać w centrum państwo narodowe i jego interes lub dobro klasowe ucieleśnione w „państwie proletariackim.

Franciszek Ryszka zwrócił uwagę, że totalitarna auto-kracja to system znajdujący realne poparcie znacznej części społeczeństwa. W ustroju tym licząca się część społeczeństwa identyfikuje się z totalitarnym systemem władzy¹²⁵. W ten sposób wytwarza się swoisty konsensus pomiędzy władzą a społeczeństwem¹²⁶. Ten stan rzeczy – w przekonaniu autora „Państwa stanu wyjątkowego” – przemawiał dostatecznie mocno przeciwko tym ujęciom interpretacyjnym totalitaryzmu, które akcentują ostry podział na władzę i społeczeństwo. Taki dualistyczny model systemu totalitarnego jest rzeczywiście nie do utrzymania. W tym miejscu zauważyć należy, że w socjologicznych studiach Aleksandra Hertza znajdziemy myśli bliskie poglądom Ryszki wypowiedzianym trzydzieści lat później.

Spór o charakter stalinizmu

W ZSSR w latach trzydziestych nastąpiła konsolidacja władzy w rękach Stalina. Przeobrażenia systemu sowieckiego zajmowały szczególną uwagę prawników – badaczy ustrojów

124. Termin „ideokracja” propagował działający w międzywojennej Polsce emigracyjny filozof rosyjski Sergiusz Hessen. Por. *idem*, „Istota i znaczenie poglądu na świat”, *Kultura i Wychowanie*, R. I, 1933-1934, s. 26-29.

125. Tak było – zdaniem tego autora – w III Rzeszy.

126. W jakim zakresie jest to „konsensus pozytywny”, a na ile „konsensus negatywny”, to pytanie otwarte. To rozróżnienie pojęciowe wprowadził Piotr Sztompka, „Socjologia. Analiza społeczeństwa”, Kraków 2002, s. 544.

totalitarnych. Zagadnieniem o nie mniejszej doniosłości było pytanie o stosunek Stalina wobec leninowskiego dziedzictwa.

Przypomnijmy tu, że autor książki „Elita bolszewicka” Konstanty Srokowski – socjolog-amator i publicysta – uważał za konieczne, aby w studiach sowietologicznych odróżniać „klasyczny bolszewizm leninowski od stalinowskiego”. „Bolszewizm leninowski” miał dla niego charakter rewolucyjny, powiązany z rewolucyjnym romantyzmem. „Bolszewizm stalinowski” miał natomiast charakter „ewolucyjny”¹²⁷.

W przekonaniu Wacława Komarnickiego Stalin dokonał istotnych zmian w rozumieniu zasad ustrojowych „państwa proletariackiego”. Stalin wychodził od tezy, która stwierdza, że „socjalizm zwyciężył w ZSRR ostatecznie i nieodwołalnie”. W takich warunkach „zadanie likwidacji klas jest zakończone pomyślnie: zlikwidowano tzw. kułaków (...)”¹²⁸. Teoria „socjalizmu w jednym kraju” była istotną modyfikacją doktrynalną bolszewizmu. W interpretacji Komarnickiego Stalin ze swoją koncepcją socjalizmu wyraźnie odbiegał od Marksa i Lenina. Pod jego rządami dokonała się transformacja spuścizny leninowskiej.

Za tezę, iż Stalin wyraźnie zrywa z dziedzictwem leninowskim, z jego koncepcją państwa i prawa opowiadał się prawnik Franciszek Ancewicz w swojej ważnej – nie przeanalizowanej przez krytykę naukową – książce „Stalinowska koncepcja państwa”. „Zasadniczą cechą (...) stalinowskiej koncepcji państwa jest właśnie ta – pisał – że jej twórca, odrzuciwszy bez większych ceremonii marksowsko-leninowską koncepcję państwa proletariacko-sowieckiego, która w rzeczywistości politycznej Rosji bolszewickiej zawsze była abstrakcją, jednocześnie zachował otrzymany w spadku po Leninie system monopartyjny, oparty o biurokratyczno-militarny i policyjny aparat oraz przydział go w szaty zewnętrzne, wzorowane na demokracji parlamentarnej Zachodu”¹²⁹. W interpretacji Ancewicza nie nastąpiło wszakże „przeobrażenie istoty ustroju politycznego” ZSSR. Polscy badacze ustroju sowiec-

127. K. Srokowski, „Bolszewizm w walnej bitwie o przyszłość”, *Tydzień*, nr 8, 1930, s. 3-4

128. W. Komarnicki, „Ustrój Związku Sowieców”, s. 185.

129. F. Ancewicz, „Stalinowska koncepcja państwa”, s. 178.

kiego (Ancewicz, Komarnicki i Sukiennicki) zgadzali się, że zasadniczą zmianą w funkcjonowaniu ustroju pod rządami Stalina jest odejście od systemu rad na rzecz rozrostu biurokratycznego „państwa aparatu”¹³⁰.

Autorzy piszący o systemie stalinowskim w latach trzydziestych z reguły podkreślali, że ustrój sowiecki ukształtowany został pod przemożnym wpływem poczucia nieustannego zagrożenia z zewnątrz. To musiało zaważyć na przyjętych rozwiązaniach ustrojowych, na praktyce sprawowania władzy. Spowodowało ewolucję systemu w kierunku likwidacji wszelkich form pluralizmu wewnątrz partii bolszewickiej, następnie zaś przygotowało grunt pod utrwalenie jedy-nowładztwa Stalina. Taka argumentację sformułował przede wszystkim Aleksander Hertz.

Sowietolodzy polscy trafnie utrzymywali, że rola ideologii w kształtowaniu praktyki ustrojowej i rzeczywistości społecznej w ZSSR po śmierci Lenina uległa zmianie. Przede wszystkim Stalin doprowadził do rehabilitacji historycznej spuścizny imperialnej Rosji. Na tę ważną sprawę zwracali uwagę zwłaszcza Wiktor Sukiennicki, Waclaw Komarnicki, Franciszek Ancewicz i niewątpliwie Kazimierz Zakrzewski.

W ujęciu historyka Włodzimierza Dzwonkowskiego w ZSSR lat trzydziestych – ściślej od roku 1932 – dokonywał się proces „kontrrewolucji”¹³¹. Postępowała nacjonalizacja ustroju sowieckiego. Reżim Stalina – przekonywał Dzwonkowski – ma charakter termidoriański, który charakteryzują rządy jednostki wsparte na biurokracji i armii. Wielkie procesy pokazowe i proklamowana przez Stalina walka z trockizmem prowadziły w jego interpretacji do „wytępienia starych bolszewickich kadr związanych z ideologią” na rzecz awansu nowej elity władzy wygenerowanej przez aparat biurokratyczny. Przypomnijmy w tym miejscu, że podobne wnioski formułowali Rafał Blüth i Franciszek Ancewicz. Dzwonkowski poszedł jednak dalej i stawiał tezę, że punktem docelowym tych przeobrażeń będzie stalinowska wersja faszyzmu.

130. Termin ten wprowadził F. L. Neumann, „The Behemoth. The Structure and Practice of National-Socialism”, Cambridge Mass. 1944.

131. W. Dzwonkowski, „Droga Stalina do faszyzmu”, *Wiadomości Literackie*, nr 40, 26 września 1937, s. 1.

„Dyktatura Stalina – pisał – nie jest obecnie niczym innym, jak odmianą faszyzmu”. Transformacja systemu sowieckiego polegała na przejściu od „kosmopolitycznego bolszewizmu do stalinowskiego faszyzmu”¹³².

W tym nurcie refleksji nad systemem stalinowskim utrzymane były refleksje Kazimierza Zakrzewskiego zawarte w jego artykule „Rewolucja Lenina i państwo Stalina”¹³³. Wchodząc w drugie dziesięciolecie swego istnienia system sowiecki – w interpretacji Zakrzewskiego – podlegał procesowi nacjonalizacji, „faszyzacji”. Proces ten – na który polski historyk zwracał uwagę jako jeden z pierwszych w sowietologii światowej – następował pod wpływem „bankructwa wiary w rychłe nadejście światowej rewolucji komunistycznej i wypływającej stąd konieczności oparcia się na narodowym podłożu rosyjskim”. Te spostrzeżenia Zakrzewskiego zasługują na uwagę.

„W Europie, przenikniętej przez faszyzmy, ZSRR zajmuje osobne miejsce” – pisał Zakrzewski. „Ale i Sowiety w toku swoich kilkunastoletnich dziejów odbyły znaczną ewolucję ku faszyzmowi. (...) Decydujący moment dla problemu «faszyzacji» Sowieców stanowi, jak słusznie podnoszą trockiści, fakt przyjęcia przez sztab stalinowski koncepcji «socjalizmu w jednym kraju»”¹³⁴. W interpretacji Zakrzewskiego socjalizm sowiecki stawał się „narodowym socjalizmem” – „oczywiście rosyjskim, trzymającym w ryzach inne narodowości Federacji; rewolucja sowiecka reprezentuje dziś taką samą rewolucję narodową, jak wszelkie faszyzmy”¹³⁵.

Zauważyć należy, że formułowane w latach trzydziestych interpretacje systemu stalinowskiego były dalece odmienne od naszych dzisiejszych, potocznych wyobrażeń na temat tej fazy dziejów systemu sowieckiego. Bolszewizm nie utożsamiano ze stalinizmem. Akcentowano – może nawet wyolbrzymiano – różnice między leninizmem a stalinizmem.

W gruncie rzeczy podobnie brzmiały refleksje Nikołaja

132. *Ibidem*. W takich warunkach – utrzymywał Dzwonkowski – Polskę czekała konieczność egzystowania „pomiędzy dwoma faszyzmami”.

133. K. Zakrzewski, „Rewolucja Lenina i państwo Stalina”, *Droga*, nr 12, 1935, s. 1006-1017.

134. *Ibidem*.

135. *Ibidem*.

Bierdiajew zawarte w jego książce „Problem komunizmu” ogłoszonej w roku 1937¹³⁶. Filozof ten zwracał uwagę na proces „nacionalizacji” systemu sowieckiego. Z chwilą przyjęcia teorii „budowy socjalizmu w jednym kraju” jego zdaniem „element międzynarodowy połączył się tak ściśle z elementem narodowo-rosyjskim, że trudno jest odróżnić jedno od drugiego”. W ten sposób deklarowany przez twórców rewolucji 1917 r. internacjonalizm „jako narodowe powołanie przybrał barwę idei rosyjskiej”¹³⁷.

W tym miejscu przypomnieć trzeba jeszcze poglądy Nikołaja Timasheffa [Timaszewa] – socjologa rosyjskiego wywodzącego się z kręgu petersburskiej szkoły Leona Petrażyckiego. W roku 1946 opublikował on książkę pt. „Wielki odwrót” („The Great Retreat. The Growth and Decline of Communism in Russia”)¹³⁸. To studium – napisane metodą analizy socjologicznej – poświęcone było znaczeniu i specyfice systemu stalinowskiego w dziejach „sowieckiego eksperymentu”. W przekonaniu Timaszewa każda rewolucja wyrasta z utopii. Po jej zwycięstwie utopia nieuchronnie traci żywotność i jej oddziaływanie na bieg dalszych wydarzeń stopniowo wygasa. Realia życia społecznego stawiają bowiem zawsze opór w realizacji utopijnego ideału. W takich warunkach nieuchronnie przebiegać musi proces „dezideologizacji” systemu. Stalinizm był dla Timaszewa wydatnym odwrotem od dominacji ideologii, w każdym razie od rewolucyjnego romantyzmu, który był tak charakterystyczny dla „leninowskiej” fazy rewolucji rosyjskiej. Dla Timaszewa Stalin był „likwidatorem bolszewizmu”. Dodajmy tu, że podobnie rozumował Kazimierz Zakrzewski.

Socjolog rosyjski zwrócił uwagę na szereg „pragma-

136. M. Bierdiajew, „Problem komunizmu”, tłum. M. Reutt, Warszawa 1937.

137. M. Bierdiajew, *op.cit.*, s. 218.

138. N. Timasheff, „The Great Retreat: The Growth and Decline of Communism in Russia”, New York 1946. Poglądy Timaszewa przypomniał Andrzej Walicki, „Marksizm i skok do królestwa wolności”, Warszawa 1996, s. 391-396. Z innych prac Timaszewa por. „Grundzüge des sowjet-russischen Staatsrecht”, Mannheim-Berlin-Leipzig 1925. Por. też jego studium „Die Organisation der Diktatur”, [w:] „Welt vor dem Abgrund”, hrsg. I. Iljin, Berlin 1931.

tycznych” i aideologicznych posunięć reżimu stalinowskiego w latach trzydziestych. Zwracał uwagę, że w pod rządami Stalina zaczęto wyraźnie zrywać z rewolucyjnym dziedzictwem leninowskim. Przypominał, że zerwano z eksperymentowaniem w szkolnictwie, przywrócono hierarchię stopni w armii, w szkole i prasie akcentowano zasadniczą rolę rodziny w społeczeństwie, propaganda została nasycona nacjonalistyczną frazeologią¹³⁹. W rezultacie emigracyjny socjolog rosyjski dochodził do konkluzji, iż Stalin stopniowo, ewolucyjnie i bez rozgłosu likwiduje rewolucyjną utopię na rzecz „normalności”.

Poglądy Timaszewa i Bierdiajewa warto tu przypomnieć chociażby dlatego, że są dość zbieżne z niektórymi wypowiedziami polskich badaczy systemu sowieckiego z lat trzydziestych.

Totalitaryzm, prawo, jednostka

Przypominając studia nad ustrojami totalitarnymi, jakie prowadzono w Polsce przed rokiem 1939, nie można pominąć powstałej wówczas literatury o wpływie ideologii totalitarnej na system prawny. Sporo bowiem uwagi w polskiej literaturze z lat trzydziestych poświęcano sprawie wpływu ruchów totalitarnych na prawo, zwłaszcza na ustawodawstwo karne¹⁴⁰.

Z pewnością interesujące pozostają refleksje porównawcze Rafała Lemkina poświęcone zbieżnościom w sowieckiej i włoskiej (faszystowskiej) myśli prawniczej, pochodzące z roku 1928¹⁴¹. W nauce światowej Lemkin pozostaje badaczem znanym – głównie jako twórca pojęcia *genocidium* (ludobójstwo) i autor obszernej, wielokrotnie cytowanej przez prawników

139. Por. A. Walicki, *op.cit.*, s. 394-396.

140. Sprawom tym poświęcił osobne studium L. Górnicki, „Prawo Trzeciej Rzeszy w nauce i publicystyce prawniczej Polski międzywojennej”, Bielsko-Biała 1993; *idem*, „Koncepcja prawa Trzeciej Rzeszy w poglądach prawników polskich (1933-1939)”, *Studia nad Faszysmem i Zbrodniami Hitlerowskimi* (Wrocław), red. K. Jonca, t. XVI, 1993, s. 83-122. Por. również J. Janiak, „W kręgu polskich socjologicznych interpretacji genezy narodowego socjalizmu z lat 1932-1939”, *Studia nad Faszysmem i Zbrodniami Hitlerowskimi* (Wrocław), red. K. Jonca, t. XII, 1987, s. 131-154.

141. R. Lemkin, „Wstęp”, [w:] „Kodeks karny Rosji Sowieckiej 1927”, Warszawa 1928.

książki „The Axis Rule in Occupied Europe” (1944)¹⁴². Bardzo słabo znane jest natomiast jego międzywojenne pisarstwo, powstałe w latach 1928-1938, poświęcone ustawodawstwu karnemu państw totalitarnych¹⁴³.

W interpretacji Lemkina prawo karne w systemach totalitarnych miało dawać najdalej idące środki ochrony państwa i obowiązującego ustroju przed możliwym zagrożeniem. Teoretycy faszystowscy postulowali badanie potencjalnego „niebezpieczeństwa grożącego społeczeństwu ze strony przestępcy”. Zadaniem wymiaru sprawiedliwości miało być badanie tego niebezpieczeństwa. W sowieckim systemie prawnym obywatel mógł znaleźć się w kolizji z prawem „nawet bez popełnienia konkretnego czynu zabronionego, chociażby przez swoją łączność ze środowiskiem uważanym za przestępcze”. Zarówno włoska, jak i sowiecka nauka prawa karnego posługiwała się pojęciem «sankcji ochrony społecznej» w miejsce kary¹⁴⁴.

Polski prawnik zwrócił uwagę na „klasowy” charakter prawa w rozumieniu twórców bolszewizmu i teoretyków sowieckiego państwa i prawa. Rafał Lemkin przypomniał stworzoną przez Lenina teorię sowieckiej polityki karnej. Polityka ta miała być „jedną z istotnych części składowych polityki dyktatury proletariatu”. Represje karne są w systemie sowieckim – i zasadniczo we wszystkich ustrojach totalitarnych – środkiem wychowawczym, odgrywają „rolę czynną w tworzeniu ustroju komunistycznego”. Nie są one „jedynie środkiem ochrony zdobyczy rewolucji proletariackiej”. Tego wymaga „wychowanie proletariatu w duchu nowej dyscypliny”, które „nie może także obejść się bez przymusu”. W

142. R. Lemkin, „The Axis Rule in occupied Europe: laws of occupation, analysis of Government, proposals for redress”, Washington 1944. Por. R. Szawłowski, „Rafał Lemkin – twórca pojęcia «ludobójstwo» i główny architekt konwencji z 9 XII 1948 (w czterdziestolecie śmierci)”, *Państwo i Prawo*, nr 10, 1999, s. 74-86.

143. Por. R. Lemkin, „Ustawodawstwo karne Rosji Sowieckiej. Kodeks Karny. Procedura Karna”, Warszawa 1938; *idem*, „Wstęp”, [w:] „Kodeks karny Rosji Sowieckiej. 1927”, Warszawa 1928. Por. też jego studium, „Sędzia w obliczu nowoczesnego prawa karnego i kryminologii”, Warszawa 1933; *idem*, „Wstęp”, [w:] „Kodeks karny faszystowski”, oprac. i tłum. R. Lemkin, Wstęp W. Makowski, Warszawa 1929.

144. *Ibidem*, s. 10.

ustroju sowieckim „przymus jest konieczny przy niszczeniu i przetwarzaniu burżuazji na klasę pracującą”¹⁴⁵.

Problematyce prawa karnego narodowo-socjalistycznych Niemiec interesujące wystąpienie poświęcił Władysław Wolter, wybitny prawnik, jeden z czołowych specjalistów polskich w zakresie prawa karnego w XX wieku¹⁴⁶. W szkicu „Prawo karne pod znakiem swastyki” omówił pochodzący z 1933 r. memoriał pruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych pt. „Narodowo-socjalistyczne prawo karne”. Wolter zwrócił uwagę na zasadnicze cechy ustawodawstwa karnego III Rzeszy. Przypomniął, że myślą przewodnią tego ustawodawstwa jest założenie, iż „ochrona interesów ogółu musi silnie wyprzedzać ochronę interesów jednostek”¹⁴⁷. Zwrócił też uwagę na represyjny kurs polityki karnej państwa. Nie pominął Wolter hitlerowskiego rasizmu, znajdującego odzwierciedlenie w przestępstwie „zdrady rasy”.

Problemy poruszone przez Władysława Woltera podjął w interesującym studium pt. „Przyszły kodeks karny Trzeciej Rzeszy” Emil Stanisław Rapaport, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, sędzieja Sądu Najwyższego i prezes Międzynarodowej Komisji Współpracy Prawniczej przy Lidze Narodów¹⁴⁸. Rapaport wyodrębnił cztery cechy hitlerowskiego prawa. Po pierwsze, była to „przesłanka nacjonalistyczna”, z której wychodził ustawodawca w III Rzeszy. U podstaw hitlerowskiego systemu prawnego tkwiło pojęcie misji dziejowej Niemiec, „entuzjastyczny nacjonalizm spowity we mgły pierwotnego mistycznego bohaterstwa”¹⁴⁹. Po drugie, Rapaport wskazywał na „różnicujący i eliminacyjny rasizm”. Po trzecie, lwowski prawnik zwrócił uwagę na porzucenie zasad praw człowieka i obywatela, z czym wiązała się „pośrednia tylko ochrona prawa własności i dóbr materialnych”. Po czwarte, za szczególnie charakterystyczne dla hitlerowskiego systemu

145. R. Lemkin, *op.cit.*, s. 3.

146. W. Wolter, „Prawo karne pod znakiem swastyki”, *Przegląd Współczesny*, t. 49, 1934, s. 231-246.

147. W. Wolter, *op.cit.*, s. 244.

148. E. Rapaport, „Przyszły kodeks karny Trzeciej Rzeszy Niemieckiej” (wskazania podstawowe prawa karnego hitlerowskiego), Warszawa 1934.

149. E. Rapaport, *op.cit.*, s. 14.

prawnego Rapaport dostrzegł „równouprawnienie ustawy z poczuciem prawnym” (ludowym, germańskim). Ten stan rzeczy stwarzał analogię z pojęciem „sumienia rewolucyjnego”, które w systemie prawnym ZSSR odgrywało rolę naczelną¹⁵⁰. Zastanawiając się w roku 1934 nad przyszłością hitlerowskiego systemu państwa i prawa Rapaport nie miał wątpliwości, iż ustawodawstwo III Rzeszy stanowi zerwanie z europejską tradycją prawa. Uważał wszakże, iż wszelkie prognozy przyszłości państw „nowego typu” miałyby charakter ryzykowny i z gruntu nienaukowy. Do spraw hitlerowskiego państwa prawnik ten powrócił w książce pisanej świeżo pod wrażeniem II wojny światowej – i ogłoszonej pt. „Naród – Zbrodniarz. Przystępstwa hitleryzmu a naród niemiecki”¹⁵¹. Tu dopiero wypowiedział Rapaport swe wnioski w formie oceniającej.

Jedną z najważniejszych analiz ustroju Niemiec hitlerowskich w polskiej nauce prawa sprzed 1939 roku pozostawił Konstanty Grzybowski przedstawiając w roku 1939 zarys ustroju politycznego III Rzeszy¹⁵². Podobnie jak E. Rapaport zwrócił Grzybowski uwagę na tkwiący u podstaw tego ustroju rasistowski nacjonalizm – będący antytezą „egalitarnego demokracji”. Krakowski prawnik mocno akcentował irracjonalny charakter rasizmu. Dobitnie podkreślał też zasadniczą rolę „mentalności antyliberalnej” w kształtowaniu klimatu zwycięstwa hitleryzmu¹⁵³. Hitleryzm przeciwstawia ideę wodzostwa zasadzie podziału władz. Wola Führera jest pojęciem prawnym i zastępuje zasady legalizmu. Grzybowski przypomniał, że ustrój III Rzeszy oparty został przede wszystkim na praktyce rządzenia, a nie na prawie formalnie stanowionym. Hitleryzm pojmuje naród nie jako sumę równych i równouprawnionych jed-

150. *Ibidem*.

151. E. Rapaport, „Naród-Zbrodniarz. Przystępstwa hitleryzmu a naród niemiecki. Szkic analityczny przestępczości i odpowiedzialności osobowo-zespołowej”, Warszawa 1945.

152. K. Grzybowski, „Niemcy. Ustrój polityczny Trzeciej Rzeszy”, [w:] „Encyklopedia Nauk Politycznych”, t. 4, z. 1, Warszawa 1939, s. 62-71. Poglądy Grzybowskiego na temat hitleryzmu przypomniał W. Kozub-Ciembroniewicz, „Faszyzm w interpretacji Grzybowskiego”, [w:] „Konstanty Grzybowski – myśliciel sceptyczny”, Kraków 2000, s. 267. i n.

153. K. Grzybowski, „Geopolityka”, cz. 2, mszp. powiel., Kraków 1939, s. 45-46.

nostek, gdyż członkowie partii narodowo-socjalistycznej stanowią wyodrębnioną elitę. Władza totalitarna odwołuje się do woli narodu. Naród akceptuje posunięcia władzy nie przez jej kontrolę, nie przez udział w rządzeniu, „ale w formie aklamacji”¹⁵⁴.

Polscy prawnicy zwrócili też uwagę na rozumienie tego aktu prawnego, jakim jest ustawa w hitlerowskiej teorii państwa i prawa. W tym kontekście prawnik Antoni Deryng przytoczył wywody Carla Schmitta, który utrzymywał, że „ustawa jest formą rozkazu wodza, będąc zarazem jednym z najważniejszych środków przewodzenia” narodowi¹⁵⁵. Schmitt nie był ideologiem hitleryzmu, był w pierwszym rządzie „rewolucyjnym konserwatystą”. W tym miejscu jego poglądy były jednak reprezentatywne dla hitlerowskiej teorii państwa i prawa.



Międzywojenni autorzy pierwszych prac o przeobrażeniach ustrojowych w Europie po I wojnie światowej mieli trudności z rozpoznaniem natury systemów totalitarnych, ich charakteru i specyfiki. Prawnicy polscy używali pojęć i terminów, które przybliżały w ich mniemaniu do zrozumienia fenomenu dyktatur „nowego typu”. Tak stworzono i wprowadzono pojęcia: „cezaryzmu demokratycznego”, „państwa monopolicznego”, „absolutyzmu ustrojowego”, „ideokratycznej oligarchii”. Żadne z tych pojęć nie opisywało w pełni rzeczywistości państwa totalitarnego, było tylko pewnym „przybliżeniem” do uchwycenia „istoty” systemu totalitarnego trudnej wciąż do zdefiniowania. Zapewne nie mogło też być inaczej. Fenomen rządów totalitarnych był przecież doświadczeniem bez precedensu w historii europejskiej i dlatego przekraczał wyobraźnię ówczesnej generacji intelektualistów europejskich, wymykał się ich obserwacjom i analizom¹⁵⁶.

Hannah Arendt słusznie uważała, iż refleksja nad totalitaryzmem spowodowała konieczność przewartościowania

154. K. Grzybowski, *op.cit.*, s. 70.

155. A. Deryng, „Zagadnienie podziału funkcji władzy państwowej”, Warszawa 1936, s. 13.

156. Zwrócił na to uwagę Ryszard Skarżyński, „W obliczu kryzysu cywilizacji. U źródeł teorii totalitaryzmu”, *Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi w Polsce*, t. 23, 2000, s. 5-43.

całej dotychczasowej tradycji politycznej, dotychczasowego języka refleksji o polityce. Tak rzeczywiście było. Język taki próbowali stworzyć autorzy pierwszych prac dotyczących fenomenu państwa „nowego typu”: Ernst Fraenkel w „The Dual State” (1941)¹⁵⁷, Franz Borkenau w „The Totalitarian Enemy” (1940)¹⁵⁸, Franz Leopold Neumann w studium „Behemoth. The Structure and Practice of National-Socialism” (1944)¹⁵⁹, a zwłaszcza Sigmund Neumann – publikując w roku 1942 książkę „The Permanent Revolution”¹⁶⁰. Fraenkel – na przykładzie Niemiec hitlerowskich – pokazał, w jaki sposób przebiega proces unicestwienia państwa prawnego i powstawania „państwa prerogatywnego” (rządów decyzyjnych). Sigmund Neumann nowatorsko zwrócił uwagę na dynamikę ruchów totalitarnych. Borkenau jako pierwszy powiązał bolszewizm i hitleryzm jako dwa przejawy tego samego procesu „rewolucji totalitarnej”. Jemu też – nie Hannie Arendt – przysługuje „ojcostwo” teorii totalitaryzmu. Nowy język refleksji o totalitaryzmie w pełni udało się stworzyć dopiero Hannah Arendt. I ona wszakże w swoich „Korzeniach totalitaryzmu” (1951) czerpała wiele z prac powstałych jeszcze w latach trzydziestych i w dobie II wojny światowej.

Po 1945 roku międzywojenna polska myśl sowietologiczna i literatura poświęcona systemom totalitarnym przestała wywierać wpływ na powojenną myśl historyczną w Polsce. Historiografia polska – odzyskująca po roku 1956 swą autonomię – pozostawiła szereg wartościowych prac poświęconych nazizmowi i faszyzmowi, chociażby książki Franciszka Ryszki, prace Jerzego W. Borejszy, Janusza Żarnowskiego. Rzetelne studia nad totalitaryzmem sowieckim nie były jednak w kraju możliwe. Przystano więc nawiązywać do poglądów autorów z okresu międzywojennego. W ten sposób w historiografii polskiej zerwana została ciągłość myślenia o totalitaryzmie.

Marek KORNAT

157. E. Fraenkel, „The Dual State. A Contribution to the Theory of Dictatorship”, New York 1941.

158. F. Borkenau, „The Totalitarian Enemy”, London [1940].

159. F. L. Neumann, „The Behemoth”, *passim*. Autor ten wyraźnie odwoływał się do marksistowskiej teorii procesu historycznego.

160. S. Neumann, „The Permanent Revolution”, New York 1942.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

UCIECZKA Z SOWIECKIEGO GRIAZOWCA

Griazowiec, niewielkie, prowincjonalne miasteczko, leży w odległości ok. 350 km na północ od Moskwy i ok. 30 km na południe od Wołogdy, stolicy obwodu o tej samej nazwie, który tak ponuro zapisał się w historii Polski. Niemal od początku XIX wieku zsyłano tam Polaków oskarżanych o przestępstwa polityczne wobec Rosji, a na ich liście znaleźć można nazwiska tak znane, jak np. Apollo Korzeniowski, którego wraz z żoną i czteroletnim synkiem, Konradem, skazano w 1862 r. na osiedlenie w Wołogdzie. Tradycja ta utrzymała się za czasów sowieckich, gdy rejon ten cieszył się specjalną reputacją wśród Rosjan. Barbara Skarga w swoich wspomnieniach przytacza opinie długoletnich więźniów północnych obozów: „Z ust moich bandytów usłyszałam po raz pierwszy, że pod każdym pokładem kolejowym na linii Wołogda-Workuta leży jeden polski oficer (przysłowie wielokrotnie przeze mnie spotykane)”*. Pobliskie miejscowości Griazowiec i Czerepowiec zapisały się na nowo jako miejsca polskiej męki.

W czerwcu 1940 r. przywieziono do Griazowca grupę 423 polskich jeńców składającą się z generałów, oficerów i podchorążych ocalałych z obozów jenieckich w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Rozmieszczono ich w stosunkowo

* Wiktoria Kwaśniewska, „Po wyzwoleniu... 1945-1956”, Paryż 1985, s. 104.

obszernych pomieszczeniach obok zburzonej cerkwi i zapewniono warunki bytowe nieco lepsze niż w obozach poprzednich, a mimo to pobyt w Gрязowcu zapisał się jako okres trudny, gdyż jeńców nękał niepokój zarówno o tysiące kolegów pozostawionych bez wieści, jak i własną przyszłość. Przez cały czas pobytu, do września 1941 r., zanim na nowo wcieleni zostali do szeregów Wojska Polskiego, jeńcy w Gрязowcu żyli w niepewności i obawie. Dochodziły do tego konflikty wewnątrz obozowej społeczności, wywołane sowieckimi próbami indoktrynacji politycznej niewielkiej grupy oficerów, którzy stworzyli tzw. „Czerwony kącik”, a następnie poszli na pełną współpracę z NKWD. Dopiero w wojsku konflikty te zostały nieco rozładowane, nie bez tego jednak, by później nie stworzono z kilkunastu byłych jeńców Gрязowca kadry tzw. Armii Berlinga, zorganizowanej przez komunistyczny Związek Patriotów Polskich po ewakuacji wojska do Persji w 1942 r. Nie będzie przesadą twierdzenie, że to właśnie w Gрязowcu nastąpił w szeregach armii polskiej przełom mający w przyszłości spowodować nieobliczalne konsekwencje.

W dwa lata później, latem 1944 r., konsekwencje te dały się odczuć na ziemiach polskich. Wraz z dywizjami sowieckimi wkroczyła na nie dowodzona przez Berlinga I Armia, prowadząc za sobą cały aparat przemocy skierowanej przede wszystkim przeciwko Armii Krajowej. W kolejnych Okręgach AK zajmowanych w miarę postępów sowieckiej ofensywy następowały aresztowania, a potem deportacje żołnierzy AK, raz jeszcze zapełniając rosyjskie obozy jeńców, czy – jak ich oficjalnie nazywano – internowanych Polaków. W ten sposób już w sierpniu 1944 r. powstał w Riazaniu obóz centralny, gdzie kolejno osadzano żołnierzy z Okręgów Lublin, Wilno, Białystok i Lwów, gromadząc tam w sumie ok. 3 tysięcy ludzi, wśród których znajdowali się m.in. komendanci Okręgów Lublin, Lwów i Wilno, dowódcy kilku dywizji AK i kierownicy administracji cywilnej. Obóz ten, leżący w odległości 3 km od Riazania, nosił w ewidencji NKWD numer 178, a od kwietnia 1945 r. został zlikwidowany, gdy Polaków przeniesiono do obozu nr 454 w Diagielewie koło Riazania. Ten z kolei istniał do lipca 1947 r., kiedy to w wyniku masowej głódówki internowanych protestujących przeciw bez-

prawnemu przetrzymywaniu w ZSSR Rosjanie postanowili obóz ewakuować do trzech mniejszych miejscowości. Jeńców podzielono na trzy grupy, które wysłano do obozów w Griazowcu i Czerepowcu w rejonie Wołogdy oraz do Ust'-Szory (Moczyłiszcze) w Maryjskiej SSR. Po pięciu miesiącach ogromną ich większość przekazano do obozu repatriacyjnego w Brześciu, a stamtąd do Polski, w ten sposób zamykając przeszło trzyletni okres niewoli.

Interesujący nas tu wypadek zbiorowej ucieczki z Griazowca zdarzył się w sierpniu 1947 r. Z uwagi na postaci kilku biorących w ucieczce udział oficerów należy cofnąć się do dziejów obozu w Riazaniu, tam bowiem rozpoczęła się zarówno tradycja udanych ucieczek, jak i przygotowania do ucieczki mającej nastąpić.

Do najśłynniejszych zaliczyć wypadnie ucieczkę dowódcy I. Kompanii Lubelskiej, kapitana Jana Mickunasa „Sterlinga” lub „Olimpijczyka” (Okręg Lublin) i por. Gracjana Fróga „Szczerbca” (Okręg Wilno) dokonaną 22 marca 1946 r. Kapitan szeroko znany był w obozie ze swej patriotycznej postawy, co zademonstrował m.in. pisząc wiersz polemizujący z akcją kolaborujących z Rosjanami tzw. „demokratów”, zakończony następującą zwrotką:

*Odwiecznym prawem tak już się dzieje
– dla ryby woda, dla zwierząt knieje,
błękit przestworza dla wolnych ptaków,
a nasza Polska dla nas Polaków.*

Ogromną popularność zdobył on w czasie wystawionej 17 września 1944 r. jednej z pierwszych rewii obozowego teatru „Nasza Buda”. Był on mianowicie autorem satyry pt. „Kwarantanna”, w której m.in. występuje wychudzony mieszkaniec obozu, który wyłapuje z zupy na wędkę pojedynczy kartofel, śpiewając *Wołga, Wołga, mat' rodnaja...* Obecni na sali oficerowie rosyjscy demonstracyjnie wyszli, ale gęstość zup nieco się poprawiła. Starając się uspić czujność obozowych donosicieli Mickunas i Fróg, pozorując wzajemną niechęć przez dłuższy czas czynili staranne przygotowania, takie jak praca „Szczerbca” w warsztatach, co „Sterling” głośno potępiał jako niegodne słynnego partyzanta, dowódcy III brygady AK. Okazało się

później, że praca ta pozwoliła Frógowi przygotować nożyce do cięcia drutu, podczas gdy Mickunas gromadził zarówno chleb dla oszwajania strażniczych psów, jak i białe prześcieradła mające zamaskować ucieczkę w czasie marcowej śnieżycy. Obaj wyszli z obozu niepostrzeżenie i dotarli do Polski, gdzie Mickunas, znany sprzed wojny jeździec olimpijski, zdołał zachować anonimowość, a tym samym pozostać na wolności gdzie, jak napisał obozowy kolega, „żył wiele lat spokojnie”. Nie udało się to niestety jego partnerowi. „Szczerbiec” aresztowany został w Łodzi w lipcu 1948 r. pod zarzutem przynależności do konspiracyjnej organizacji Mobilizacyjny Ośrodek Wileńskiego Okręgu AK (proces Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”), z którą w istocie nie miał nic wspólnego. Postawiono go przed sądem wojskowym i stracono w więzieniu mokotowskim 11 maja 1951 r.

W sumie z obozu w Riazaniu dokonano 22 udanych ucieczek, co było dla uwięzionych zachętą do dalszych prób, zwłaszcza w ostatnim roku niewoli, gdy wydawało się, że nie ma szansy na uwolnienie. Próby lub co najmniej zamysły wyjścia poza druty podejmowano we wszystkich kompaniach oficerskich, tradycyjnie nazywanych lubelską, wileńską, charkowską i kijowską (Lwów), ostaszkowską i stalinogorską, zależnie od nazwy obozu, z którego dana grupa do Riazania przybyła. Oficerów w dużym stopniu jednoczyła obecność w obozie konspiracyjnych dowódców, cieszących się należnym szacunkiem i respektem. Zwłaszcza generałowie Ludwik Bittner „Halka” (dowódca 9. Dywizji Piechoty AK) i Kazimierz Tumidajski – noszący w obozie konspiracyjne nazwisko Grabowski „Marcin” (komendant Okręgu Lublin) cieszyli się niepodważalnym autorytetem, podczas gdy generałowie Władysław Filipkowski „Janka” (komendant Okręgu Lwów) i Adam Świtalski „Dąbrowa” (dowódca 3. Dywizji Piechoty AK) należeli do mniej popularnych – jowialny Filipkowski spędzał większość czasu grając w brydża z młodszymi oficerami, a skromny Świtalski starał się jak najmniej pokazywać. Atmosfera niewielkiej salki generalskiej daleka była od kordialności.

Przybycie do obozu gen. Aleksandra Krzyżanowskiego – obozowe nazwisko Jan Kulczycki – „Wilka”, komendanta Okręgu Wilno, stało się ważnym wydarzeniem dla jego pod-

komendnych. Pod koniec listopada 1946 r., wkrótce po przywiezieniu generała z moskiewskiego więzienia Butyrki, działające w obozie Kółko Poetyckie postanowiło przywitać go wieczorem recytacji własnych utworów. Prowadzący Kółko major Tadeusz Sztumberk-Rychter „Żegota” (dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK) przedstawiał kolejno uczestników spotkania. Byli to m.in. dr Bolesław Ałapin „Kwiatkowski” (Kompania Warszawska Obwodu Zamość), Jerzy Krzyżanowski „Szpic” (Oddział Partyzancki „Szarugi”, Okręg Lublin), Wacław Lisowski „Liwa” (Okręg Lublin), Jerzy Litwiniuk „Budzis” (Okręg Lublin), Zygmunt Łanowski „Damian” (adiutant komendanta Okręgu Lwów) i dr Alfred Paczkowski „Wania” (cichociemny z „Wachlarza”, potem w Powstaniu Warszawskim). Była to więc grupa poniekąd reprezentatywna dla wszystkich Okręgów AK na wschód od Wisły. Po wieczorze, zorganizowanym konspiracyjnie w niewielkiej sali starszych oficerów, generał rozmawiał z nami i chwalił recytowany przeze mnie wiersz „Broń z nieba”, mówiący o przyjmowaniu przez nasz oddział lotniczych zrzutów. Zainteresował się też moim nazwiskiem, pytając o pochodzenie i herb, a potem, czy słyszałem o Krzyżanowskich herbu Dziemido. Wszystko to dziwiło mnie o tyle, że sam pozostawał dla mnie Kulczyckim, a o jego prawdziwym nazwisku dowiedziałem się dopiero po latach.

Członkowie tej niewielkiej poetyckiej konfraterni nie tylko zaopatrywali obozowy teatr „Nasza Buda” w teksty skeczów i piosenek, gdyż po wojnie kilku z nich okazało się zdolnymi pisarzami. Książki takie, jak „Artylerzysta piechur” Sztumberk-Rychtera i „Lekarz nie przyjmuje” Paczkowskiego można zaliczyć do klasycznych pozycji literatury pamiętnikarskiej, Litwiniuk i Łanowski wyrosli na znanych tłumaczy, moje powieści ukazały się w Polsce i kilku innych krajach. „Szkółka poetycka Żegoty”, jak tę grupkę żartobliwie nazywaliśmy, stała się dobrą szkołą literackiego rzemiosła. Na razie jednak okazywaliśmy doraźną pomoc dyrektorowi „Naszej Budy”, rtm. Januszowi Kozakiewiczowi „Jeremiaszowi” z 3. Kompanii Wileńskiej, który starał się zapewnić obozowej społeczności godziwą rozrywkę kulturalną i dbał o wysoki poziom programów. Przez następne pół roku generał Krzyża-

nowski miał możliwość obejrzeć jeszcze kilka przedstawień rewiowych „Naszej Budy” i wysłuchać paru koncertów chóru i orkiestry, zanim Rosjanie nie zabronili dalszych występów, tym samym likwidując piękną, trwającą przez prawie trzy lata tradycję. Ponadto, mimo że nie był praktykującym katolikiem, generał uczęszczał na msze święte odprawiane przez więzionych w obozie kapelanów AK.

Było rzeczą zrozumiałą, że wokół generała „Wilka” gromadzili się oficerowie z 3. Kompanii Wileńskiej, zwłaszcza ci, którzy mieli możliwość zetknąć się ze swoim komendantem w czasie okupacji. Major Aleksander Wasilewski przedstawił ich wszystkim generałowi, a potem wилnianie często zapraszali swego komendanta na słynne „katusze”, tzn. pokrojone w cienkie plasterki kartofle, które piekło się w szczelnie zamkniętej z obu końców rurze. Był to specjał tym cenniejszy, że kartofle szmuglować trzeba było spoza obozu, w czym chętnie pomagali wychodzący do pracy żołnierze z Kompanii Wileńskiej II Batalionu. Przybycie do obozu w Riazaniu generała wилnianie starali się uczynić jak najprzyjemniejszym dla swego komendanta, spragnionego towarzystwa po przeszło dwuletnim pobycie w więziennej celi. Starszyzna tej grupy wyznaczyła ppor. Czesława Plejewskiego „Kaziuka” na stanowisko adiutanta generała, na co „Wilk” nie chciał wyrazić zgody twierdząc, że w obozie nikomu nie należą się specjalne przywileje. Gdy wyruszał na swoje codzienne spacerunki wokół obozowego klepiska, bez względu na pogodę wytrwale maszerując przez długie godziny, jakby wynagrodzić sobie pragnął brak tego rodzaju przyjemności w okresie więziennym, zwykle towarzyszył mu któryś z wybranych oficerów, inni zaś z pełnym szacunkiem oddawali mu honory wojskowe. Wileńscy żołnierze postarali się także o widoczne odznaki jego stanowiska i wkrótce na rękawach płaszcza pojawiły się połyskujące oksydowanym drucikiem generalskie wężyki, pieczołowicie wyhaftowane przez specjalizującego się w tego rodzaju ozdobach kpt. Leszka Tarczyńskiego z grupy stalinogorskiej.

Generał wykorzystywał te spacerunki i rozmowy dla dopełnienia swojej wiedzy o wypadkach, jakie zaszły po 17 lipca 1944 r., tzn. po jego aresztowaniu. Z ciekawością słuchał o

sprawach dla niego nowych, a przecież zasadniczych, o podobnych jak w Wilnie aresztowaniach we Lwowie, Lublinie, Białymstoku, o tragedii Powstania Warszawskiego, o rozwiązaniu Armii Krajowej i wydarzeniach politycznych w Polsce. Wszystko to były dla niego rzeczy rewelacyjne, znane jedynie z fragmentarycznych wiadomości, jakie pozwolono mu mieć w więzieniu, toteż teraz chciwie słuchał sprawozdań żywych uczestników tych wydarzeń.

Niewysoki, szczupły, zawsze po żołniersku wyprostowany generał nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt cztery lata. Należał do tego samego pokolenia, co pozostali czterej internowani generałowie, losy jego jednak potoczyły się nieco inaczej niż losy rówieśników z centralnej Polski. Urodzony 18 lutego 1895 r. w Briansku, w szlacheckiej, kresowej rodzinie, do szkoły uczęszczał w Homlu, wynosząc znakomitą znajomość języka rosyjskiego, a fakt ten miał w przyszłości umiejętnie wykorzystać. Potem, jako młody oficer artylerii, chlubnie odznaczył się w czasie I Wojny Światowej, a gdy 1917 r. na terenie Rosji stworzono I Korpus Polski pod dowództwem gen. Dowbora-Muśnickiego, zgłosił się do służby i otrzymał przydział do tzw. Legii Rycerskiej, formacji złożonej tylko z oficerów. Walczył następnie w wojnie polsko-bolszewickiej, co potwierdzała białoczerwona wstążeczka Krzyża Walecznych. Po wojnie postanowił poświęcić się karierze wojskowej. Służył kolejno w kilku pułkach artylerii lekkiej, a w 1939 r. w stopniu majora dowodził 1. dywizjonem armat 75 mm 26. pułku artylerii lekkiej w 26. Dywizji Piechoty, wraz z którą przebył kampanię wrześniową walcząc m.in. w słynnej bitwie nad Bzurą. Był jednym z tych, którzy nie złożyli broni do października 1939 r. Po zakończeniu działań wojennych przyjechał do Warszawy. „Pamiętam – wspomina dr Olga Krzyżanowska – wracałyśmy skądś z mamą, a tu na schodach przed naszym mieszkaniem siedzi obdarty mężczyzna w postrzępionej jesionce. Przejmujący widok... to był ojciec”. Wkrótce potem major Krzyżanowski zameldował się u gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego, stając do dyspozycji pierwszej organizacji konspiracyjnej, Służby Zwycięstwu Polski. Został też już w początkach listopada, wraz z ppłk. Nikodemem Sulikiem (późniejszym dowódcą dywizji pod Monte Cassino),

wysłany do Wilna z zadaniem zorganizowania na tamtejszym terenie SZP. Po aresztowaniu i deportacji do Rosji Sulika wiosną 1941 r. „pan Dziemido” (bo taki pseudonim przybrał ppłk Krzyżanowski) został komendantem Okręgu Wilno i funkcję tę, jako „generał Wilk”, pełnił aż do lipca 1944 r. Mimo że pułkownikiem mianowany został dopiero 28 września 1944 r., Komenda Główna AK już w czerwcu poleciła mu używać tytułu generalskiego w nadchodzących rozmowach z Sowietami, pragnąc w ten sposób podnieść autorytet komendanta jednego z największych ośrodków konspiracji niepodległościowej. Od tego czasu używał generalskiego munduru. Również w dniu 28 września rozkazem Komendanta Głównego AK płk Aleksander Krzyżanowski otrzymał Krzyż *Virtuti Militari* V klasy.

Generał utrzymywał z KG AK żywy kontakt i przez okres okupacji co najmniej czterokrotnie jeździł do Warszawy na odprawy, przy okazji pozwalając sobie na krótkie odwiedziny żony i córki mieszkających przy Alei Niepodległości 214. Warto nadmienić, że córka generała, Olga Krzyżanowska, po wojnie ukończyła studia medyczne, a następnie stała się aktywną działaczką polityczną opozycji, osiągając stanowisko marszałka Sejmu III Rzeczypospolitej.

Na ostatniej odprawie w dniu 12 czerwca 1944 r., kiedy KG zatwierdziła w ramach przygotowywanej Akcji „Burza” plan ataku na Wilno (Operacji „Ostra Brama”), generał otrzymał komendę połączonych Okręgów Wilno i Nowogródek, co oznaczało dowództwo nad 16 000 żołnierzy AK pod broń plus dwukrotnie wyższe rezerwy konspiracyjne. Natarcie na miasto wyznaczono na dzień 7 lipca 1944 r.

Operacja „Ostra Brama” nie przyniosła spodziewanego sukcesu. Złożyło się na to wiele czynników, takich jak niespodziewane wzmocnienie niemieckiego garnizonu, brak koordynacji między polskimi oddziałami i częściowy tylko ich udział w natarciu. Po zajęciu zaledwie części miasta generał odwołał atak, a w dziesięć dni później został przez wkraczających Rosjan aresztowany i przewieziony do Moskwy, najpierw do więzienia Łubianka, następnie na Butyrki, skąd po dwóch latach trafił do Riazania. Mimo upływu czasu ocena „Ostrej Bramy” była w dalszym ciągu kontrowersyjna, toteż

dyskusje między byłymi uczestnikami akcji nie ustawały, a po przybyciu generała nasiliły się jeszcze bardziej. Przekonany o słuszności swego postępowania zarówno w akcji bojowej, jak i wobec Rosjan, generał zachowywał postawę pełną godności, wzbudzającą szacunek nawet wśród swoich przeciwników, których w obozie nie zabrakło. Gdy wracał myślami do Operacji „Ostra Brama”, zarzucał sobie naiwność polityczną, zbyt dużą ufność w siłę międzynarodowych układów, które przyrzekały pomoc ze strony „sojuszników naszych aliantów”, przyjęcie za dobrą monetę rosyjskich zapewnień o gotowości stworzenia lada dzień pod dowództwem „Wilka” korpusu złożonego z dwóch dywizji piechoty i brygady kawalerii, wszystko to mające osiągnąć gotowość bojową w terminie 6 tygodni! Tymczasem przyszła pamiętna wizyta u dowódcy 3. Frontu Białoruskiego generała Czerniachowskiego, który na propozycję kontynuacji rozmów trzasnął pięścią w stół i krzyknął: *Nikakich pieregaworow nie budiet!*, a potem kazał polskich dowódców rozbroić i aresztować.

Dyskusje na ten, podobnie jak i na inne, nie mniej bolesne tematy, ograniczać się musiały do rozmów poufnych, toteż ulubione spacerowanie generała „Wilka” dawały idealną do tego okazję. Jednym z jego częstych rozmówców był major Aleksander Wasilewski-Kowalski („Olesiński”), podczas okupacji szefa sztabu p.o. dowódcy I zgrupowania AK. Aresztowany wraz z generałem trafił wraz z większością oficerów do wileńskiego więzienia, stamtąd zaś został razem z nimi przewieziony do Riazania już 11 września 1944 r. Generał okazywał mu wyraźną sympatię, a na imieniny wręczył naramiennik z wyhaftowanymi dystynkcjami majora oraz kieszonkowy zegarek z wygrawerowaną dedykacją. Spotkawszy się w obozie teraz dopiero mieli okazję omówić zarówno szczegóły Operacji „Ostra Brama”, jak i całokształt dawnych i skierowanych ku przyszłości zagadnień AK. Jednym z nich była stale obecna w świadomości uwięzionych problematyka ucieczki.

Major Aleksander Wasilewski-Kowalski (1906-1993) miał życiorys nieco podobny do generała „Wilka”. Urodzony na Łotwie, Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi-Komorowie ukończył w 1930 r. Następnie był oficerem służby stałej w 5. ppłeg. w Wilnie, gdzie kolejno awansował do stopnia

porucznika i kapitana. W kampanii wrześniowej dowodził 3. kompanią ckm w 204. pp. 65. DP. Po zakończeniu działań wojennych przedostał się do Wilna, gdzie już w listopadzie 1939 r. włączył się aktywnie w działalność konspiracji. Awansowany w okresie Operacji „Ostra Brama” do stopnia majora został wraz z innymi oficerami Okręgu aresztowany i deportowany do obozu w Riazaniu, gdzie cieszył się wśród kolegów dużym autorytetem. Zdawali sobie z tego sprawę Rosjanie, gdyż po zakończeniu pierwszej głódówki w „Riazaniu Górnym” (obóz nr 178) w kwietniu 1945 r., kiedy wywożono w niewiadomym kierunku generałów, dołączono do nich dwóch tylko wybranych oficerów: majora Janusza Mościckiego (Okręg Lublin) i majora Wasilewskiego (Okręg Wilno). Tym razem okazało się, że było to tylko przeniesienie na nowe miejsce, do obozu w „Riazaniu Dolnym” (Nr 454), gdzie wkrótce znaleźli się wszyscy Polacy z obozu Nr 178.

Druty *zony* nowego obozu biegiły blisko torów linii kolejowej Rianzań-Moskwa, toteż spacerujący mieli możliwość bliskiego przyjrzenia się ówczesnemu sposobowi podróżowania polegającemu na oblepieniu wagonów przez mrowie ludzi, od stopni aż po dachy. Dla obserwujących nie ulegało wątpliwości, że jakakolwiek kontrola dokumentów czy biletów była w takiej sytuacji niemożliwa, toteż w którejś rozmowie padła myśl ucieczki, a po niej przedostania się do Polski takim właśnie sposobem. Ku zdumieniu i radości Wasilewskiego generał odniósł się do pomysłu z entuzjazmem i oświadczył, że gotowy jest wziąć w ucieczce udział. Jego spacer, jak twierdził, są tylko pretekstem do nabrania zaprawy fizycznej, jeśli zaś idzie o siły przekonany był, że podoła. Mimo trapiącej go od lat choroby żołądka, szczególnie zaostrej w więzieniu, uważał się za człowieka w pełni sprawnego, a otrzymywany z racji choroby dodatkowy przydział masła i cukru gotowy był spieniężyć, ażeby zdobyć na podróż potrzebne fundusze. Ta część planu okazała się najłatwiejsza do wykonania, poza obóz bowiem wychodzili do pracy szeregowi i podoficerowie, którzy chętnie podjęli się transakcji, mieli bowiem wprawę w handlu z Rosjanami, a kilkakrotnie udało im się nawet nawiązać w ten sposób korespondencję z krajem. Dla jeńców, od trzech lat pozbawionych

tak podstawowych praw, jak wymiana listów z rodzinami, były to radosne okazje, w Polsce bowiem uważano ich za zaginionych bez wieści, a nawet straconych.

Major Wasilewski-Kowalski był od generała o trzynaście lat młodszy i liczył na ucieczkę w towarzystwie swoich rówieśników, ale poczuł się szczęśliwy i zaszczycony faktem, że poprowadzi poza druty swego ukochanego dowódcę. Ze sprzedaży swego kozuszka i innych drobiazgów oraz transakcji żywnością udało im się wspólnie zebrać niewielki kapitał ok. 1000 rubli, co stanowiło kwotę pozwalającą robić konkretne plany. Biorąc pod uwagę wolnorynkowe ceny (1 kg chleba kosztował do 70 rubli) była to kwota niewielka, ale pozwalająca dwu ludziom na przeżycie i poruszanie się w ciągu paru dni, jakie sobie na ucieczkę przeznaczili. Równocześnie obaj uszczuplali swoje codzienne porcje chleba susząc suchary i odkładając na drogę skromny zapas cukru. Do tajemnicy dopuścili pewnego kapitana-lotnika z grupy lwowskiej, ten zaś obiecał zdobyć nożyce do przecinania groźącego obóz kolczastego drutu. Zdecydowali uciekać na przełomie lipca i sierpnia, licząc na możliwość zdobywania na polach dojrzałych już warzyw. Ale plany te pokrzyżowała czerwcową głódówka uwięzionych, a w konsekwencji likwidacja rzyzańskiego obozu i przeniesienie internowanych do miejsc dalszych od Polski. Zdążył jeszcze generał „Wilk” postarać się o trudno dostępne deski na trumnę i potem pożegnać krótko, po żołniersku na cmentarzu w Skopinie generała „Marcina”, uduszonego podczas przymusowego karmienia, po czym wraz z liczącą ok. 120 ludzi grupą pozostałych generałów i starszych oficerów przez Czerepowiec pojechał do Griazowca, gdzie przybył do obozu nr 150 w dniu 17 lipca 1947 r.

W obozie położonym ok. 7 km na południowy wschód od miasteczka Polacy zmuszeni byli dzielić niewolę z ok. 3000 niemieckich jeńców z Wehrmachtu i SS, co wywołało wśród przybyłych natychmiastowe protesty. Ci jednak oficerowie, którzy zdecydowali traktować ten obóz jako przejściowy etap na drodze przez druty do kraju, nie zabierali w tej sprawie głosu, zajęci przygotowaniami do ucieczki. Generał „Wilk” i jego dwaj towarzysze nie byli w tych zamiarach odosobnieni. Podobnie szykował się zarówno dowódca 27

WDP mjr „Żegota”, jak i grupa oficerów pochodzących ze Lwowa, a choć nie było między planami koordynacji, wiadomości na ten temat dyskretnie wymieniano. W rezultacie nocą z 10 na 11 sierpnia 1947 r. z Griazowca uciekło w sumie 11 ludzi.

Odległość z Wołogdy do granicy Polski wynosiła w linii powietrznej ok. 1000 km, toteż w planach ucieczki rozważano przede wszystkim próby przebycia tego dystansu pociągiem, co wymagałoby pokonania trudności formalnych, takich jak zdobycie pozwoleń na przejazd i biletów, a także unikania kontroli policyjnych i kolejowych. Obserwacja tłumów oblepiających pociągi na linii Riazań-Moskwa nasuwała dwa wnioski: konieczność wtopienia się w ten tłum, przystosowania pod względem wyglądu i unikania jazdy sposobem legalnym. Rozwiązanie kwestii pierwszej nie przedstawiało większego problemu. W tym okresie prawie cała ludność Związku Sowieckiego chodziła ubrana w jakieś resztki wojskowych strojów, mundurów z demobilu, toteż zdobycie powszechnie noszonych drelichowych *gimnastiorek* czy cieplejszych, watowanych *fufajek* w zamian za dobrze zachowane polskie mundury nie było trudne. Jakaś wojskowego kroju czapka i połatany worek zamiast plecaka upodobniały do klasycznych przedstawicieli sowieckiego proletariatu. Należało tylko wydostać się poza obozowe druty.

O zmierzchu dnia 10 sierpnia 1947 r. trzech spiskowcy spotkali się tuż za niemieckim szaletem na skraju obozowej *zony*, kapitan przeciął nożycami druty i uciekinierzy bez przeszkód przeczołgali się w pobliskie krzaki. Tutaj drogi ich rozeszły się w przeciwnych kierunkach: podczas gdy kapitan postanowił dostać się do pociągu idącego do Moskwy, „Wilk” ze swym wileńskim towarzyszem zdecydowali iść piechotą na wschód, w kierunku miasta Kirow, aby w ten sposób uniknąć spodziewanej pogoni. Istnieją dwie wersje tego rozstania. Jedna mówi po prostu o różnych zamiarach uciekających, podczas gdy druga podaje szczegóły konfliktu, jaki miał między nimi nastąpić. Dodać też od razu należy, że ów „kapitan-lotnik” jest postacią trudną do zidentyfikowania. Wśród sześciu oficerów z grupy lwowskiej, którzy równocześnie dokonali ucieczki z Griazowca, nie było ani jednego lotnika,

natomiast z grupy stalinogorskiej uciekł tej samej nocy kpt. Stanisław Łokuciewski „Mały”. Być może jego nazwisko skojarzyło się Wasilewskiemu, piszącemu wspomnienia po 40 latach, z nazwiskiem stryjecznego brata kapitana, Witolda Łokuciewskiego, słynnego pilota Dywizjonu 303, i kazało mu niefortunnego towarzysza ucieczki nazwać „kapitanem-pilotem z grupy lwowskiej”. Tak czy inaczej, dwaj wilnianie ruszyli piechotą na wschód, ale nie mając ani mapy, ani kompasu, po trzech dniach błędzenia po bezdrożach doszli do oświetlonych drutów... obozu w Griazowcu. Jasne się stało, że należało zmienić metodę poruszania się po tym ogromnym kraju.

Od chwili opuszczenia obozu rozmawiali tylko po rosyjsku, obaj bowiem dobrze znali ten język. Chcąc też uczynić wzajemny stosunek mniej formalnym i mniej rzucającym się w oczy dla otoczenia, generał zaproponował przejście na „ty”, co zostało przez młodszego towarzysza przyjęte z wdzięcznością. Rozumiał, że generał coraz bardziej na nim polega, gdyż mimo że szedł wytrwale i nie okazywał zmęczenia, po każdym, najkrótszym nawet rozstaniu witał Wasilewskiego z prawdziwą radością. Zdał się też na jego inicjatywę dostania się do pociągu, ale trzeba było znaleźć na to odpowiednie miejsce. Po zlustrowaniu małych stacyjek stwierdzili, że są obserwowane przez NKWD, szli więc cierpliwie dalej, dopóki nie znaleźli względnie bezpiecznej okazji wskoczenia na platformkę pasażerskiego wagonu, oczywiście bez biletu, tak jak to widywali w Riazaniu. W ten sposób dojechali do Jarosławia, dużego miasta leżącego w połowie drogi między Wołogdą a Moskwą. Tam też poszli do łaźni, żeby oczyścić się nieco po trudach trwającej już tydzień wędrówki.

Bilet wykupili nie do samej Moskwy, wiedząc o tamtejszych restrykcjach policyjnych, tylko do stosunkowo bliskiej stacji Aleksandrow, skąd łatwo było dojechać do stolicy podmiejskim pociągiem. Znalazłszy się w Moskwie poszli przede wszystkim na targowisko, gdzie można było przepytac miejscowych o możliwości noclegu i kupić coś do jedzenia. Udało im się jednak znaleźć kwatere dopiero u posługiwacza w łaźni, który zaproponował im miejsce u siebie. Resztę szybko kończących się pieniędzy wydali na wódkę i kiełbasę

dla gościnnego gospodarza. Przerażeni wysokimi cenami żywności, postanowili jak najszybciej jechać dalej. Spędzili tu jednak dwie noce, na próżno szukając pewnej Polki, która podobno ułatwiała wyjazdy do kraju. Równie niepomysłnie skończył się zamiar generała, pragnącego porozumieć się z polską ambasadą i zameldować tam o niedoli tysięcy akowców więzionych w sowieckich obozach. Generał nie mógł uwierzyć, żeby legalny polski rząd, z wicepremierem Mikołajczykiem na czele, nie interweniował w tej sprawie, uważał bowiem, że deportacje były dziełem wyłącznie rosyjskim, prowadzonym bez wiedzy Warszawy. Ale widząc gmach ambasady obstawiony przez posterunki milicji i NKWD zrezygnował ze swego planu. Trzeba było jechać dalej.

Raz jeszcze zbiegowie ruszyli w drogę podmiejskim pociągiem do Możajska, gdzie generał sprzedał zegarek, i bez biletów zahaczyli się na dalekobieżnym pociągu do Smoleńska. Złapani przez gorliwego konduktora na nielegalnej jeździe między wagonami musieli wydać ostatnie 200 rubli na łapówkę, a przed Smoleńskiem wyskoczyli w biegu, nie chcąc ryzykować następnej kontroli. Tu z kolei Wasilewski sprzedał otrzymany od generała zegarek, a generał swoją porządną marynarkę. W ten sposób zdobyli dostateczną ilość pieniędzy wystarczającą na dojechanie do Wilna.

Podmiejskim pociągiem przez Orszę dotarli wreszcie do Mińska, stamtąd zaś do Mołodeczna, gdzie poczuli się prawie jak w domu. Wieczorem dojechali do granicznej stacji Słobódka, przenocowali w jakiejś szopie i rankiem ruszyli w drogę. Spostrzegłszy w okolicy kościół generał skierował się wprost do księdza, który dowiedziawszy się skąd jadą, zaprosił ich na śniadanie i obiecał dać kontakty w Wilnie. Generał odważnie przedstawił mu się swoim słynnym pseudonimem, na co ksiądz odparł po prostu, że jego obowiązkiem jest nakarmić głodnych, to wszystko. Około dziesiątej rano wyjechali do Wilna.

Nawiązanie kontaktów nie sprawiało trudności. Wasilewski odszukał matkę i siostrę, a generał znalazł schronienie u doktor Masłowskiej przy ulicy Polowej na Antokolu. Obaj też natychmiast zaczęli starania o możliwości wyjazdu do Warszawy, z tym, że Wasilewski próbował drogi nielegalnej

przedostania się przez „zieloną granicę”, ale generał zaskoczył go nawiązując kontakt z polskim Pełnomocnikiem Rządu do Spraw Repatriacji, który obiecał załatwienie sprawy przez ambasadę polską w Moskwie. Potrzebne na to były tylko fotografie, zamiast jednak obiecanego kontaktu obaj uciekinierzy zostali w dniu 12 września aresztowani przez NKWD. Po pięciu dniach generał raz jeszcze znalazł się na Łubiance, skąd w sześć dni później przewieziono go do Butyrek, a stamtąd, już po dwóch tygodniach, odesłano do obozu tranzytowego nr 284 w Brześciu. Działo się to w okresie repatriacji żołnierzy AK, po marcowej wymianie listów w tej sprawie między premierem Józefem Cyrankiewiczem a sowieckim ministrem Andrejem Wyszyńskim. W dniu 3 listopada 1947 roku generał „Wilk” wrócił do Polski. Major Aleksander Wasilewski-Kowalski, przesyłany do kolejnych więzień i obozów, musiał na powrót czekać dalsze dwa lata, do 31 stycznia 1949 r.

Poobozowe dzieje generała Krzyżanowskiego znane są stosunkowo dobrze z kilku osobnych opracowań. Po niecałym roku pracy w Zjednoczeniu Roszarń Lnu i Konopi został aresztowany w dniu 14 lipca 1948 r. przez Urząd Bezpieczeństwa w Poznaniu, przewieziony do Warszawy i osadzony w więzieniu mokotowskim przy ulicy Rakowieckiej. Mimo prób wytoczenia mu procesu politycznego o współpracę z Niemcami i działanie na szkodę Państwa, generał nigdy nie stanął przed sądem, choć przesłuchiwany był dwanaście razy, a każde przesłuchanie w więzieniu na Rakowieckiej oznaczało nie tylko brutalne zachowanie prowadzących śledztwo, ale także często tortury fizyczne stosowane wobec oskarżonego. Po trzech latach spędzonych w więzieniu był schorowany i wycieńczony do granic, tak że spotkania w więziennym szpitalu były żołnierz V Brygady „Łupaszki”, Wacław Beynar „Orszak” określił jego wygląd krótko: „Wyglądał okropnie, sama skóra i kości”. Zmarł w szpitalu więziennym w dniu 29 września 1951 r. Sekcja zwłok wykazała ślady gruźlicy, zwyrodnienie mięśnia sercowego, wybroczyny w żołądku i kamienie żółciowe, określając stan organizmu zmarłego: „Wyniszczenie ogólne bardzo znacznego stopnia”. Pochowany został w nieoznaczonej mogile na cmen-

tarzu komunalnym na Powązkach. Dzięki staraniom rodziny i podkomendnych zwłoki generała odnaleziono, zidentyfikowano i uroczyście pogrzebano na cmentarzu wojskowym na Powązkach po raz drugi w dniu 27 kwietnia 1957 r.

W porównaniu z tragicznym zakończeniem ucieczki generała inaczej i pomyślniej potoczyły się losy młodszych kolegów, którzy tej samej nocy uciekli z obozu w Griazowcu. Sześciu oficerów postanowiło uciekać razem. Była grupa złożona dość przypadkowo. W skład jej wchodził: ks. Władysław Kiernicki (ur. 1912), „Dziunio”, szef Wydziału V Komendy Okręgu Lwów; kpt. Edward Sidorowicz (ur. 1907), „Burak”, komendant Dzielnic Śródmieście Okręgu Lwów; kpt. Kazimierz Krupa (ur. 1904), „Jawał”, komendant Szkoły Podchorążych Piechoty, Obwodu Krasnystaw, Okręg Lublin; Zalewski Zygmunt (ur. 1913), Okręg Lublin; mjr Józef Przybyszewski (ur. 1906), „Grzymała”, Delegat Rządu RP na woj. białostockie; Jan Szram (ur. 1894) „Grodzicki”, Delegat Rządu RP na stanowisko burmistrza m. Jarosław. Wszyscy zostali po kilku dniach schwytani i osadzeni na powrót w Griazowcu, po czym, wraz z większością uwięzionych, repatriowani w listopadzie 1947 r. Nadmienić warto, że ks. Kiernicki wrócił do Lwowa, gdzie z czasem został duszpasterzem pozostałych tam Polaków. Mianowany biskupem pomocniczym rzymskokatolickiej archidiecezji lwowskiej często odwiedzał obozowych kolegów w Polsce. Zmarł w roku 1995.

Stosunkowo najmniej wiadomo o trzech innych, opuszczających tej samej nocy obóz, uciekinierach z Griazowca. Dowódca 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, mjr Tadeusz Sztumberk-Rycher (ur. 1907) „Żegota”, najprawdopodobniej wyruszył razem ze swym najbliższym podkomendnym i przyjacielem, kpt. Franciszkiem Pukackim (ur. 1916) „Gzymsem”, dowódcą batalionu w 27. WDP. „Gzyms”, znakomicie do tego rodzaju wyprawy przygotowany najpierw na kursach spadochronowych w Anglii, potem zaś, po zrzuceniu do kraju, przez własne doświadczenia pracy w „Wachlarzu” i wywiadzie AK na Ukrainie, nadawał się na towarzysza wyprawy jak mało kto. Nie wiadomo jednak, czy wspomniany wyżej kpt. Stanisław Łokuciewski (ur. 1914) „Mały” nie był ich trzecim towarzyszem. Obaj z Pukackim kończyli Szkołę

Podchorążych Piechoty w Ostrowi-Komorowie w tych samych latach 1938-1939, obaj mieli doświadczenie służby w oddziałach partyzanckich, a w obozie w Riazaniu serdecznie się przyjaźnili. Podobieństwo charakterów pozwalało im na bliskie współżycie, toteż można przypuścić, że mogli planować wspólną ucieczkę, o jakiej Łokuciewski przemyślał od pierwszych miesięcy osadzenia w obozie. Jeśli nie był on tym „lotnikiem ze Lwowa”, o którym wspominał Wasilewski, prawdopodobieństwo ucieczki z dwoma kolegami z wołyńskiej dywizji jest wysoce realne.

Łokuciewski, absolwent Korpusu Kadetów Nr 3 w Rawiczu, jako podporucznik służył od 1938 r. w 36. pp. im. Legii Akademickiej i w szeregach 28. DP walczył w kampanii wrześniowej. Po jej zakończeniu miał już za sobą dwukrotną ucieczkę z niemieckiej niewoli we wrześniu 1939 r., a potem służbę w konspiracji i partyzantce AK. Temu dwumetrowego wzrostu olbrzymowi (stąd dowcipny pseudonim „Mały”) na pewno nie było teraz łatwo wtopić się w rosyjski tłum; w dodatku nie znał języka rosyjskiego i nie zdradzał zdolności w tym kierunku, o czym mówiliśmy niejednokrotnie. Nie wiem, jak wyglądała ta sprawa w przypadku Pukackiego – być może, że pobyt na Ukrainie w latach 1942-1943, a potem służba w wołyńskiej dywizji AK pozwoliły mu na poznanie języka ukraińskiego lub nawet rosyjskiego. Natomiast i on miał doświadczenie w historycznych ucieczkach – po kampanii wrześniowej, odbytej jako dowódca plutonu w 60. pp, przetrzymywany był kilkakrotnie przez Niemców jako zakładnik w rodzinnym Krotoszynie (gdzie po 50 latach jednej z ulic nadano jego imię), przeszedł w dniu wigilijnym 1939 r. na Słowację, a stamtąd najpierw na Węgry, potem przez Jugosławię do Francji i Anglii.

Wszystkich trzech zatrzymano mniej więcej w tym samym czasie, jakkolwiek w różnych miejscach. Łokuciewski został schwytyany „po 30 listopada 1947”, przy czym ta informacja opatrzona jest w Indeksie Represjonowanych znakiem zapytania. Na pewno natomiast wiadomo, że repatriowano go przez obóz przejściowy nr 284 w Brześciu 18 sierpnia 1948 r. Mimo że w dalszym ciągu przyjaźniłem się z nim najbliżej przez następne lata, nigdy nie słyszałem, żeby o swojej ucieczce mówił.

Nieco więcej wiadomo o majorze „Żegocie”. Znał dobrze język rosyjski, czego dowodem było m.in. przetłumaczenie dla obozowego teatru dwóch humoresek Czechowa. Przeszkodą natomiast w swobodnym poruszaniu się po Rosji mógł być jego wygląd, delikatna, niemal arystokratyczna uroda. W swoich powojennych wspomnieniach napisał, że w 1939 r., po odbyciu kampanii wrześniowej w szeregach 6. Krakowskiej DP jako oficer sztabu dowódcy artylerii dywizyjnej, wydostał się z niemieckiej niewoli ucharakteryzowany na kobietę. W pięć lat później, mimo wojennych przeżyć, na pewno nie zmienił się wiele, toteż może i tym razem użył tego samego przebrania? Zatrzymany został „na początku grudnia 1947 przez MOB LSRR i odesłany do obozu nr 445 (obw. kaliningradzki)”. Musiał więc kierować się na Litwę, prawdopodobnie na Wilno, a stamtąd próbować przedostać się do Polski przez terytorium d. Prus Wschodnich. Przetrzymano go w tamtejszym obozie dla jeńców niemieckich w miejscowości Wystruć (dzisiejszy Czerniachowski), zaledwie 30 km na północ od granicy Polski. Po krótkim czasie, 30 stycznia 1948 odesłano go do obozu przejściowego nr 284 w Brześciu, skąd po trzyipółmiesięcznym pobycie, 12 kwietnia 1948 został repatriowany do Polski.

Najdłużej przebywał się na wolności „Gzys”. Dotarł do Wilna, być może razem z „Żegotą”, ale przy próbie przejścia granicy aresztowany został w nocy 25 grudnia 1947 i osadzony w twierdzy w Brześciu. Przekazany został do obozu nr 284 31 grudnia 1947, a repatriowany po pół roku, 18 czerwca 1948 r.

Warto nadmienić, że w rezultacie umowy polsko-sowieckiej z 1947 r. przez obóz nr 284 w Brześciu przewinęła się w okresie październik-listopad tegoż roku wielotysięczna fala żołnierzy AK przywożonych z wielu obozów i po krótkim pobycie repatriowanych do Polski. Był to obóz tranzytowy, specjalnie przeznaczony do tego rodzaju masowych transportów, toteż przybyli tam później pojedynczy kandydaci do repatriacji musieli czekać na przyjazd przedstawicieli Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, którzy przewozili ich przez granicę dzielącą oba kraje.

Biorąc pod uwagę bardzo trudne warunki ukrywania się i poruszania po terytorium Związku Sowieckiego w okresie

powojennym, gdy nad całą ludnością trwała wzmożona kontrola NKWD, podziwiać należy zdolność tych trzech uciekinierów pozostawania „na swobodzie” przez okres 3,5 do 4,5 miesięcy. Bez dobrej znajomości języka, bez poznania miejscowych zwyczajów, a w dodatku bez pieniędzy potrafili utrzymać się w obcym, a nawet wrogim terenie przez tak długi okres. Było to osiągnięcie zgoła wyjątkowe.

Trzej uciekinierzy odnaleźli się rychło w Warszawie, gdzie „Mały” znalazł pracę jako kierownik biura w Towarzystwie Naukowym Warszawskim, następnie zaś był kierownikiem Domu Architekta w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Zmarł w 1973 r. „Żegota” został dyrektorem jednego z przedsiębiorstw przemysłowych „Pax-u” i był czynny w związkach kombatanckich. Zmarł w 1972 r. „Gzyms”, po krótkim okresie pracy jako pracownik fizyczny, wrócił do rozpoczętych w 1934 r. studiów prawniczych i po ich ukończeniu pracował jako radca prawny. Zmarł w 1980 r. Żaden z nich nigdy nie opowiadał o swojej ucieczce z Griazowca. Tak jak generał Krzyżanowski wszyscy trzej byli przedwojennymi oficerami służby stałej (Pukacki od 1 września 1939 r.), i tak jak on wszyscy trzej zostali kawalerami Orderu Virtuti Militari (Łokuciewski dwukrotnie). I, jako oficerowie, wiedzieli, że ucieczka z niewoli jest obowiązkiem.

Pierwszym, który przełamał milczenie otaczające ten temat, był major Aleksander Wasilewski „Olesiński”. Po powrocie do Polski był więziony, ale przeżył i rozpoczął normalne życie, pracując kolejno w firmach „Polcargo” i Spółdzielni Pracy „Gedania”. W roku 1988 udzielił on obszernego wywiadu Helenie Limanowskiej-Noskowskiej dla tygodnika *Kierunki* (nr 47/1676, 20 listopada 1988), szeroko opowiadając o szczegółach ucieczki z Griazowca razem z generałem Krzyżanowskim. Jest to jedyny jak dotąd znany przekaz ustny. Wierzyć wolno, że pozostali uczestnicy tych wydarzeń zdołali pozostawić jakieś relacje ze swoich przygód i że dokumenty te kiedyś wypłyną jako część współczesnej historii Polski i historii Armii Krajowej będącej ważnym, choć ciągle jeszcze czekającym na pełne opracowanie, fragmentem naszych dziejów.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

WOŁYŃ 1943

Bogumiła BERDYCHOWSKA

UKRAIŃCY WOBEC WOŁYNIA*

Ukraińska debata na temat antypolskiej akcji Ukraińskiej Powstańczej Armii na Wołyniu w 1943 roku była zaskakująco intensywna, a emocje, jakie wywołała, można porównywać tylko z tymi, które towarzyszą dyskusji na temat, czym była w historii Ukrainy sama UPA: stroną walczącą w II wojnie światowej; tragiczną, bo skazaną na klęskę, partyzantką, czy też formacją kolaborującą z hitlerowskimi Niemcami. Wbrew opiniom, które często wyrażali uczestnicy dyskusji¹, debata „wołyńska” była znacznie bardziej gorąca na Ukrainie niż w Polsce. Nieczęsto, nie tylko na Ukrainie zresztą, zdarza się, by jakaś dyskusja historyczna zaowocowała w ciągu zaledwie kilku miesięcy nie tylko setkami artykułów w prasie, ale i wydaniem kilku książek i broszur², telewizyjnymi progra-

* Autorka pragnie gorąco podziękować prof. Jarosławowi Hrycakowi za cenne uwagi, które wzbogaciły przedstawiony tekst.

1. Patrz m.in.: A. Portnow, „Poczuty inszoho”, *Krytyka* (Kijów) nr 7-8/2003; B. Czerwak, „Bij za duszu ukrajincia”, *Ukrajinske Slovo* 5-11.06.2003; W. Wiatrowycz, „Wybaczennia za...?”, www.jimagazine.lviv.ua/diskusija/volyn/zayavaOUN.htm; B. Kozłowskiy, „Prymyrennia pid pylnym okom «Berkuta» i «Kobry», *Wysokyj Zamok* 14.07.2003; S. Prask, „Chołmszczyna: rik 1943”, *Wołyń* 25.07.2003; J. Pacuła, „Szczodali? Abo jakim baczymo rozwytok ukrajinsko-polskich stosunkiw u najblyżczy roky?” Cz. I *Wołyń* 1.08.2003.

2. I. Iliuszyn, „Wołyńska trahedija 1943-1944 rr”, Kyjiw 2003; J. Caruk, „Trahedija wołyńskich sił 1943-44 rr. Ukrajinski ta polski zertwy

mami publicystycznymi oraz kilkoma filmami dokumentalnymi³. O jej wyjątkowości świadczy fakt, iż obok historyków i publicystów zabierali w niej głos politycy z pierwszych stron gazet, w tym m.in. prezydent – Leonid Kuczma⁴, szef jego administracji – Wiktor Medwedczuk⁵, przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy – Wołodymyr Łytwyn⁶, były prezydent Leonid Krawczuk, były szef wywiadu wojskowego Ołeksandr

zbrojnego protostojannia Wołodymyr-Wołyńskoho rajonu”, Lwiv 2003; W. Serhijczuk, „Trahedija Wołyni”, Kyjiw 2003; Tegoż, „Poliaky na Wołyni w roky druhoji switowoji wijny”, Kyjiw 2003; M. Zułyński, „Pomynajmo w skorboti, ale ne w hniwi. Ukrajinsko-polskyj konflikt na Wołyni 1943-44 rr”, Łuck 2003; B. Czerwak, „Bytwa za Wołyn”, Kyjiw 2003; J. Kyryczuk, „Ukrajinskyj nacjonalnyj ruch 40-50 rokiw XX stolittia: ideoloģija ta praktyka”, Lwiv 2003; na uwagę zasługuje specjalny „wołyński” numer lwowskiego czasopisma *JI* pt. „Wołyn 1943-borot’ba za zemlu”, nr 28/2003.

3. „Wołyn – znak bidy”, reżyseria O. Bałaban i O. Radynski. Film wyemitował kanał UT1; „Pjata zapowid’”, reżyseria E. Łozowij i W. Romanowski. Film wyemitował kanał 1+1; „Wołyn 1943”, reżyseria I. Czyżow. Film wyemitował kanał „Inter”. Trzeba podkreślić, że wszyscy autorzy filmów starali się zachować obiektywizm i wyważać racje stron, a w każdym razie unikali antypolskiej demagogii, niemniej tylko autorzy pierwszego obrazu mieli odwagę mówić o Wołyniu jako o czystce etnicznej, za którą odpowiedzialna była ukraińska strona. Z audycji publicystycznych na szczególną uwagę, ze względu na swoją kuriozalność, zasługuje „wołyńskie” wydanie programu „Pohlad” [Punkt widzenia] na kanale „Era” (3.04.2003). O „obiektywizmie” tego programu stanowił nie tylko fakt, że do studia zaproszono tylko zwolenników poglądu, iż za „konflikt ukraińsko-polski na Wołyniu” odpowiadają Polacy (W. Serhijczuk, S. Szewczuk), ale nade wszystko fakt uruchomienia audiotele, w którym na postawione widzom pytanie: kim dla ciebie są Polacy? zaproponowano trzy odpowiedzi: 1/szczerzy przyjaciele, 2/ skryci wrogowie, 3/ zdradzieccy sojusznicy. Uruchomienie tego audiotele ewidentnie żerującego, a jednocześnie pobudzającego antypolskie resentymenty, nie spotkało się z żadną krytyką.

4. Wystup prezydenta Ukrainy Leonida Danyłowycza Kuczmy z nahody 60-ji ricznicy Wołyńskoji trahediji 11 łypnja 2003 roku; oraz „U nas, szczob tebe zrozumili, potribno spoczatku pomerty”. Wywiad B. Pasternaka z L. Kuczma, *Izwiestia* 11.09.2003, przedruk *Ukraińska Prawda* 11.09.2003.

5. W. Medwedczuk, „Wołyn – nasz spilnyj bil”, *Deń* 2.04.2003.

6. W. Łytwyn, „Tysiacza rokiw susidstwa i wzajemodiji”, *Hotos Ukrainy* 12.11.2002. Była to trzecia część bardzo obszernego studium Łytwyna poświęconego całokształtowi historycznych stosunków ukraińsko-polskich. Dwie wcześniejsze ukazały się 8 i 9 listopada 2002. Całość zaś złożyła się na osobną książeczkę wydaną pod auspicjami Narodowej Akademii Nauk Ukrainy: „Tysiacza rokiw susidstwa i wzajemodiji”, Kyjiw 2002; oraz D. O. Swidnyk, „Kyjiw ne bude wybaczatysja za Wołyn?”, *Postup* 4.03.2003.

Skipalski, były ambasador Ukrainy w Warszawie – Dmytro Pawłyyczko, były wicepremier i aktualny deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy – Mykoła Żułyński⁷, były premier i lider największego ugrupowania opozycyjnego – Wiktor Juszczenko⁸. Pierwsze miesiące roku 2003 przyniosły pokaźną ilość listów otwartych, które w różny sposób odnosiły się bądź bezpośrednio do antypolskiej akcji na Wołyniu, bądź też poruszały kwestię obchodów 60 rocznicy zbrodni. Początek dał list *Nie zagojona rana Wołynia*⁹ (tzw. list lwowski), po którym

7. „Wołyń – 1943/1944: newidoma trahedija”, *Deń* cz. I – 7.05.2003, cz. II – 16.05.2003.

8. W. Juszczenko, „Kamienie pamięci”, *Gazeta Wyborcza* 31.05-1.06.2003. Tekst Juszczenki trudno jednak uznać za pełnoprawny element ukraińskiej dyskusji o Wołyniu, bowiem ukraiński czytelnik nie miał szans na zapoznanie się z nim w całości, ponieważ jego ukraińska wersja nie została przez autora opublikowana. Obszerne fragmenty tekstu Juszczenki zostały wydrukowane jedynie przez lwowski *Postup* (10.06.2003).

9. „Nehajohena rana Wołyni. Widkrytyj lyst z prywodu 60-ricznicy zbrojnoho ukrajinsko-polskocho konfliktu na Wołyni”, www.jimagazine.lviv.ua oraz *Jl* nr 28/2003. Pod listem tym podpisało się 59 ukraińskich intelektualistów, wśród których byli m.in. Jurij Andruchowycz, Myrosław Marynowycz, Taras Wozniak, Jarosław Hrycak, Marta Bochaczewska-Chomiak, Iwan Wakarczuk, Orest Drul, Marija Zubrycka, Ihor Łosiew, Andrij Pawłyżyn, Myrosław Popowycz, Mykoła Riabczuk, Maksym Stricha, Taras Czornowił, Mykoła Jakowyna, Anatolij Matwijenko. Cały list, w którym znalazł się m.in. następujący fragment: *Jednocześnie prosimy o wybaczenie tych Polaków, których los został złamany przez ukraiński oręż, a za ich pośrednictwem prosimy o wybaczenie całe polskie społeczeństwo. Wyrażamy żal, że broń tę skierowano także przeciwko niewinnym i spokojnym polskim rodzinom i przyznajemy, że usunięcie siłą polskiej ludności z Wołynia było tragicznym błędem. Ślepa zemsta zawsze unieważnia zasady honorowej walki, zmieniając wojskowe potyczki w rzeź. Jesteśmy przekonani, że zasada odpowiedzialności zbiorowej całej społeczności za uczynki poszczególnych jej członków nie ma ani ewangelicznej, ani ogólnoludzkiej legitymacji, naznaczony był pewną ambiwalencją, o której publicysta „Więzi”, Jacek Borkowicz napisał: *slabością tego dokumentu jest uleganie pokucie, dobrze znanej uczestnikom niedawnej polskiej dyskusji wokół Jedwabnego. Ludzie, którzy uznają winę, popełnioną przez swoich rodaków, potępiając zbrodnię, dokonaną na sąsiadach – obcoplemieńcach, jednocześnie oskarżają ofiary i sugerują związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy masakrą a wydarzeniami ją poprzedzającymi. Doprowadziły one jakoby do zemsty ze strony tych, których prześladowali rodacy ofiar w innych uwarunkowaniach politycznych. To wszystko sprowadza się do relatywizowania winy i siłą rzeczy do jej częściowego usprawiedliwienia. Tymczasem moralny problem wołyńskiej tragedii (...) jest obszarem, na którym stosowanie podobnych ocen zaciemnia prawdę i nie prowadzi do oczyszczenia**

opublikowano jeszcze kilkanaście listów otwartych sygnowanych przez najróżnorodniejsze środowiska, poczynając od deputowanych, przez partie polityczne, organizacje społeczne, samorządy, na autorytetach religijnych kończąc¹⁰. O wyjątko-

*nia. (...) Obiektem eksterminacji była w olbrzymiej większości bezbronna ludność chłopska, cywilni mieszkańcy odległych miast, odizolowanych wsi, którzy nie mogli liczyć na niczyją pomoc. Był więc taki czas, że samo bycie Polakiem na rozległych obszarach Wołynia (...) oznaczało automatyczny wyrok śmierci. (Więź nr 4/2003). Z tej ambiwalencji zdawała sobie sprawę przynajmniej część jego sygnatariuszy, świadczy o tym komentarz do listu autorstwa J. Hrycaka wygłoszony w audycji radiowej „Sygnały Dnia” 26.02.2003: *Ten list jest pewną formą kompromisu. Znalazły się tam głosy wielu ukraińskich intelektualistów. Dla części było to maksimum tego, pod czym oni mogli się podpisać. Dla części był to znaczący kompromis (...).**

10. Zajawa LOO UNA-UNSO szczodo namiriw Prezydenta Ukrainy Kuczmy wziaty uczast' u widznaczeni ricznicy tak zwanych „podij na Wołyni 1943 roku” z 14.02.2003; ...Wyznaty istorycznu prawdu, jakoju b prykroju wona ne buła. Widkrytyj lyst Towarystwa Nadsannja do keriwnykiw Ukrainy, *Lwiwska Hazeta* 11.03.2003; Zajawa Prowodu OUN, Z prywodu polsko-ukrajinskih podij na Wołyni 43-44 rokiw, berezeń 2003; Zajawa social-demokratycznoji partii Ukrainy (objednanoji) z nahody 60-toji ricznicy wołyńskoj trahediji; Z prywodu widznaczenia w Polsce 60-riczczia trahicznych podij 1943 roku na Wołyni. Widkrytyj lyst, *Wołyń* 11.04.2003 i *Holos Ukrainy* 16.05.2003, tzw. „List 39 deputowanych”; Wołyń pamiataje! Pidczas okupacji Wołyni poliakiem buło zamordowano ponad 100.000 ukrajinciw, List sygnowany jest przez Pododdział Ukraińskiego Kozactwa „Wołyńska Sicz”, Rówieńskie Obwodowe Bractwo Żołnierzy OUN-UPA, Rówieńskie Obwodowe Towarzystwo Więźniów Politycznych i Represjonowanych, Rówieński Obwodowy Oddział Towarzystwa „Proswita” im. T. H. Szewczenki, Rówieńska Obwodowa Organizacja „Mołodyj RUCH Rówieńszczyzny”, Rówieńska Obwodowa Organizacja „Mołodzińnyj Nacjonalistycznyj Konhres”, Rówieńska Obwodowa Filia Ukrajinskiej Studentśkoji Spiłki, Rówieńska Organizacja Socjal Nacjonalistycznej Partii Ukrainy, *Wołyń* 18.04.2003; Zwernennia Lwiwskoji Obłasnoji Ohranizacji Spiłky Oficeriw Ukrainy do korpusu oficeriw kadru i zapasu Wijska Polśkoho z prywodu trahicznych podij na Wołyni 1943 roku, *Lwiwska Hazeta* 21.05.2003; Widkrytyj lyst narodnych deputatiw Ukrainy z nahody 60-riczczia trahicznych podij na Wołyni, *Holos Ukrainy* 29.05.2003; Ukrajinsko-polśki wzajemyny na tli wołyńskoj trahediji – Zajawa Switowoho Konhresu Ukrajinciw wid 12 trawnja 2003, *Nasze Slovo* 8.06.2003; Zwernennja riweńskoj obłasnoji rady do prezydenta Ukrainy, Werchownoji Rady Ukrainy, Kabinetu Ministriw Ukrainy schwałeno riszeniam obłasnoji rady wid 24 czerwnja 2003 roku, *Wołyń* 27.06.2003; Lyst Papi Rymśkomu Joho Swiatosti Ioanu Pawłu II, *Nasze Slovo* 6.07.2003; Deputatskij zapyt Hołowi Werchownoji Rady Ukrainy p. W. Łytwynu, Premier – ministru Ukrainy p. W. Jakunowyczu, *Wołyń* 4.07.2003; Posłannia Ijerarchiji Kyjewo-Hałyčkoji Mytropoliji Ukrajinskoji

wości debaty świadczy również fakt, że z inicjatywy przewodniczącego parlamentu, wspartego przez członków Ogólnoukraińskiej Rady Kościołów i Organizacji Religijnych, na specjalne posłanie do narodu polskiego i ukraińskiego zdecydował się papież Jan Paweł II¹¹. Bez precedensu było uchwalenie przez parlamenty Polski i Ukrainy wspólnego oświadczenia z okazji 60 rocznicy tragedii wołyńskiej¹².

Gdyby sądzić po ilości publikacji, tudzież po tym, kto w dyskusji „wołyńskiej” brał udział, można by odnieść wrażenie, iż sprawa antypolskiej akcji UPA jest jedną z najwyższych kwestii historycznych dla współczesnej Ukrainy. O tym, że tak nie jest, najlepiej świadczą badania opinii publicznej, przeprowadzone w pierwszych miesiącach 2003 roku. Według takich badań przeprowadzonych przez Centrum Badań Ekonomicznych i Politycznych im. Ołeksandra Razumkowa¹³ zaledwie 7,9% respondentów oceniło swoją wiedzę na temat wydarzeń wołyńskich jako bardzo dużą; kolejne 14,8% stwierdziło, iż „w ogólnych zarysach” wie, o co chodzi; coś słyszało, ale nie wie, o co chodzi 28,4%; zaś żadnej wiedzy na ten temat nie posiadało 48,9% respondentów. Spośród 22,7% respondentów, którzy zadeklarowali dużą lub ogólną wiedzę na temat wydarzeń na Wołyniu, winą za ich zaistnienie 4,8% obarczyło stronę ukraińską; 15,1% uznało, iż winni są Polacy; obu stronom winę przypisało 37,6%; aż 25% respondentów stwierdziło, że ani Ukraińcy, ani Polacy nie są winni, lecz zawiniły warunki, w których znalazły się oba narody. Na pytanie, czy trzeba oficjalnie obchodzić rocznicę wydarzeń, aż 40% respondentów zdecy-

Hreko–Katołyckoji Cerkwy do ukraińskoho i polśkoho susidnych narodiv – bratiw u Chrysti.

11. Odrzucicie serca. List Jana Pawła II do kardynałów prymasa Józefa Glempa, Mariana Jaworskiego, metropolity lwowskiego obrządku łacińskiego i Lubomyra Huzara, arcybiskupa obrządku grekokatolickiego, *Gazeta Wyborcza* 9.07.2003.

12. Kuczma umowyw biliszt' pidtrymaty zajawu po Wołyńskoji trahediji, *Ukraińska Prawda* 10.07.2003.

13. Rezultaty badania zostały opublikowane w opiniotwórczym kijowskim tygodniku *Dzerkało Tyżnia* z 24.05.2003. Badanie to zostało zrealizowane w dniach 21–29 kwietnia 2003, wzięło w nim udział 2036 respondentów ze 123 miejscowości ze wszystkich regionów Ukrainy.

dowanie odpowiedziało – nie, zaś 17,9% uznało, że należy zorganizować oficjalne obchody na najwyższym szczeblu, a konflikt wołyński powinien być szeroko omawiany przez środki masowego przekazu. Zaledwie 8,7% respondentów uznało, iż Ukraińcy powinni przeprosić Polaków za to, co wydarzyło się na Wołyniu w 1943 r.; przeciwnego zdania było aż 41,7% respondentów; kolejne 34,3% respondentów uważało, iż Ukraińcy mogą przeproszać Polaków tylko pod warunkiem, że i Polacy przeproszą Ukraińców. Trzeba dodać, iż świadomość dramatu, który rozegrał się 60 lat temu, ma wyraźny wymiar regionalny. Jedyłą częścią kraju, gdzie większość mieszkańców wie dużo, albo przynajmniej cokolwiek słyszało o wydarzeniach na Wołyniu, jest zachód Ukrainy (tutaj nic na temat wydarzeń na Wołyniu nie wiedziało 35,5%, podczas gdy w centrum, na południu i wschodzie kraju niewiedzę na ten temat deklarowało ponad 50% respondentów). Ciekawym, w tym kontekście, uzupełnieniem do badań Centrum im. O. Razumkowa były badania przeprowadzone w obwodzie wołyńskim (Łuck) na zlecenie administracji obwodowej¹⁴. W tych badaniach aż 89,7% respondentów stwierdziło, że dysponuje pewną wiedzą na temat „ukraińsko-polskiego konfliktu w latach 1943-44 na Wołyniu”. Przy czym podstawowym źródłem informacji były środki masowego przekazu (31,1% – telewizja; 20,6% – radio; 51,1 – gazety). Dla bardzo dużej części respondentów (41,3%) nie ulegało wątpliwości, że to Ukraińcy ponieśli większe straty w wyniku wołyńskiego konfliktu, przeciwnego zdania było 14,4% respondentów; według 25,7% obie strony równo ucierpiały. Aż 38,7% uważało, iż to Polacy rozpoczęli konflikt; Ukraińców winą za początek konfliktu obarczyło 16,1%; znaczący odsetek respondentów uznał, że konflikt zapoczątkowali Niemcy (12,1%) lub czerwoni partyzanci (11,1%). W obu badaniach w odpowiedzi na zasadnicze py-

14. Wołyńska Obłasna Derżawna Administracija. Uprawlinnia z pytań wnutrisznioji polityky. Widdił politycznoho analizu i prohnozuwannja. Żwit za rezultatamy wywczennia hromadškoji dumky na temu: „Ukrajinsko-polskýj konflikt na Wołyni 1943-1944 rokiw”, Łuck, berezeń 2003. Słabością tych badań jest brak informacji o metodologii ich przeprowadzenia oraz ilości respondentów, która wzięła w nich udział.

tanie o odpowiedzialność za konflikt na Wołyniu widoczne są różnice. Według Centrum im. O. Razumkowa najwięcej osób, bo prawie 38%, winą obarczyło obie strony (nie mniej ciekawy był fakt, że jedna czwarta respondentów zdejmowała z Ukraińców i Polaków jakąkolwiek odpowiedzialność za to, co się wydarzyło w czasie wojny na Wołyniu), podczas gdy w badaniach w obwodzie wołyńskim podobny odsetek respondentów uważał Polaków za winnych konfliktu.



Ukraińska debata „wołyńska” toczyła się jednocześnie na dwóch poziomach. Na pierwszym jej uczestnicy pytali o przyczyny, przebieg, a co za tym idzie o to, czym w istocie była antypolska akcja UPA: sprawiedliwą walką o niepodległość Ukrainy, zbrojnym konfliktem ukraińsko-polskim, czystką etniczną, eksterminacją czy ludobójstwem? Padało również pytanie o zakres ukraińskiej odpowiedzialności za wołyńską tragedię. Na drugim dyskutowano z kolei o przyczynach i pożądanym przebiegu obchodów 60 rocznicy akcji antypolskiej. Ten „dwupoziomowy” charakter różni ukraińską dyskusję od jej polskiej odpowiedniczki, bowiem po polskiej stronie granicy kwestia formy obchodów praktycznie nie stała się przedmiotem debaty publicznej.

I.

Jakie więc ukraińscy uczestnicy debaty dawali odpowiedzi na pytania dotyczące przyczyn, przebiegu i charakteru akcji UPA? Odpowiedzi na nie było znacznie więcej niż w polskiej debacie¹⁵, przy czym często konkretni autorzy podawali

15. Większość polskich uczestników polskiej debaty była zgodna co do tego, że decydującą przyczyną była ideologia i polityka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (Ewa Siemaszko), choć znacząca część biorących udział w dyskusji wskazywała również na dyskryminacyjną politykę wobec mniejszości ukraińskiej II Rzeczypospolitej oraz niejako immanentnie wpisany w przestrzeń wspólnego zamieszkania przez Polaków i Ukraińców konflikt o terytorium oraz ekstremizm niektórych przywódców UPA, w szczególności Dmytra Kłaczkiwskiego (G. Motyka). Na pytanie o charakter antypolskiej akcji UPA generalnie padały trzy odpowiedzi: akcja ta była ludobójstwem dokonany na ludności polskiej przez nacjonalistów

jednocześnie co najmniej kilka przyczyn tragedii.

W przeciwieństwie do polskiej dyskusji, w której bardzo szeroko pisano o ideologii i polityce Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), jako decydującej przyczynie wołyńskiego dramatu, w ukraińskiej dyskusji wątek ten zajmuje bardzo skromne miejsce. Jednym z nielicznych uczestników dyskusji, który jednoznacznie i konsekwentnie w ideologii OUN widział przyczynę wołyńskiej rzezi był prof. Myrosław Popowycz. Pierwszy tekst tego autora dotyczący wydarzeń wołyńskich ukazał się jesienią 2002 roku i już wtedy Popowycz pisał: *OUN nigdy nie kryła swojego faszystowskiego charakteru. (...) Są dwa dokumenty, które trzeba opublikować (...) Drugi dokument – decyzja przewodu [kierownictwa] OUN z 4.09.1943 dotycząca wyniszczenia Polaków na Wołyniu*¹⁶. W kilka miesięcy później Popowycz wrócił szerzej do sprawy: *Wszyscy doskonale rozumieją, że nie był to żywiołowy protest. Była to decyzja polityczna wąskiego koła przywódców uchwalona z wielkimi trudnościami, czy precyzyjniej mówiąc, narzucona przez radykałów, pomimo znaczącego oporu w łonie przewodu OUN. I niczego dziwnego w tym nie ma, jeżeli weźmie się pod uwagę terrorystyczny charakter przyjętej przez OUN-B ideologii nacjonalizmu integralnego i wieloletniej praktyki zabójstw politycznych w tym również zabójstw liderów konkurencyjnej OUN-M*¹⁷. Popowycz nie pomija bynajmniej kontekstu historycznego wydarzeń na Wołyniu, niemniej nie wierzy: *by zbrodnie – bez względu na to, ile zebrały ofiar i bez względu na to kto dawał rozkaz do ich popełnienia – były w jakimś stosunku do oczywistych niesprawiedliwości ohydnej polityki rządu sanacyjnego wobec ukraińskiej mniejszości narodowej. Można historycznie uzasadnić nienawiść i chęć*

ukraińskich (E. Siemaszko, Aleksander Korman, Ryszard Szawłowski); eksterminacją ludności polskiej (W. Filar); konfliktem, w trakcie którego doszło do zbrodni ludobójstwa (G. Motyka).

16. M. Popowycz, „Reabilitacja UPA ne oznacza reabilitacji OUN”, *Deń* 11.10.2002.

17. M. Popowycz, „Wołyń: nasze i ne nasze hore”, *Krytyka* (Kijów), nr 6/2003.

zemsty, ale nie można ani usprawiedliwić, ani nawet wyjaśnić okropieństw masowych mordów¹⁸.

Popowycz jest tym uczestnikiem debaty, który posiadając autentyczny autorytet społeczny, jednoznacznie obarczył OUN-B odpowiedzialnością za mordy na Wołyniu. Nic więc dziwnego, że został przez adwersarzy związanych z obozem banderowskim brutalnie zaatakowany¹⁹. Podobne do Popowycza stanowisko, choć w sposób bardziej dyplomatyczny wyrażone, zajął w kwestii wołyńskiej, ku zaskoczeniu sporej części opinii publicznej, szef prezydenckiej administracji i jednocześnie lider Socjaldemokratycznej Partii Ukrainy (zjednoczonej) Wiktor Medwedczuk. W swoim głośnym tekście „Wołyń – nasz wspólny ból”²⁰ Medwedczuk pisał: *Niektórzy przywódcy ruchu nacjonalistycznego próbują zwalić winę za tragedię wołyńską na ukraińską ludność cywilną (...). Wersji o ludowym, a nie politycznie czy ideologicznie inspirowanym, przebiegu wydarzeń wołyńskich przeczą zeznania szeregu ich uczestników, w tym współpracowników Służby Bezpieczeństwa OUN (...). Za zbrodniczną akcję przeciwko Polakom ponoszą odpowiedzialność przede wszystkim jej bezpośredni inicjatorzy i wykonawcy z OUN-UPA należący do konkretnych oddziałów. Nie można utożsamiać ich ze wszystkimi żołnierzami UPA, którzy walczyli o niepodległą Ukrainę*²¹. Słowa Medwedczuka

18. J.w.

19. J. Mykałskij, „Dekałoh kardynalnych pomyłek członków-korespondentów AN Ukrainy profesora Myrosława Popowycza u wyswittlenni istroiji OUN-UPA”, *Szlach Peremohy* 21–27.11.2002; I. Zinczenko, „Ostannij bastion stalinizmu”, *Szlach Peremohy* 21–27.11.2002.

20. Obszerne fragmenty tekstu Medwedczuka zostały opublikowane przez *Gazetę Wyborczą* (24.04.2003) i tygodnik *Forum* (7–13.04.2003). Tekst na łamach *Rzeczpospolitej* (3.04.2003) omówił w tekście „Krok do pojednania” P. Kościński.

21. W. Medwedczuk, „Wołyń...”, j.w. Interesujące jest, że Medwedczuk wystąpił w tym artykule nie jako szef administracji prezydenta Kuczmy, czy jako ukraiński polityk, lecz jako polityk socjaldemokratyczny odwołujący się do tradycji ukraińskiego socjalizmu (Iwan Franko, Mychajło Drahomanow), który nie ma nic wspólnego ze stanowiskiem i polityką OUN-UPA. Paradoksalnie strategia, którą wybrał w swoim tekście Medwedczuk (występowanie w imieniu partii, a nie państwa, społeczeństwa czy narodu), sprawiła, że jego wystąpienie, pod względem formalnym, nie różniło się od wystąpień komunistów i OUN-owców.

zostały w Polsce bardzo dobrze przyjęte, niemniej na Ukrainie odegrały bardzo ograniczoną rolę, bowiem partia, którą on reprezentuje, jest jedną z najmniej popularnych i powszechnie oskarżanych o konserwowanie – klanowo – oligarchicznego systemu sprawowania władzy. Ponadto sam Medwedczuk oskarżany jest o to, że będąc obrońcą Wasyla Stusa – dysydenta i jednego z najwybitniejszych ukraińskich poetów XX wieku, bez protestu brał udział w sądowej farsie, w wyniku której Stus po raz kolejny trafił do łagru, z którego nie było mu już dane wyjść żywym. Dość powszechnie uważano też, że „wołyński” artykuł miał przydać Medwedczukowi wiarygodności na arenie międzynarodowej²².

Nie tyle w ideologii, co w polityce OUN-UPA widział źródła antypolskiej akcji UPA na Wołyniu lwowski historyk Jarosław Hrycak. Dostrzegał on całe pokomplikowanie sytuacji na Wołyniu w 1943 r. („makrowojna” – wojna niemiecko-sowiecka, „mikrowojna” pomiędzy polskim, ukraińskim i sowieckim podziemiem, wojna domowa pomiędzy różnymi odłamami ruchu ukraińskiego, chłopska wojna o ziemię, wojenny bandytyzm oraz destrukcyjny wpływ na morale mieszkańców Wołynia eksterminacji Żydów) niemniej uważał, że: *Nie ma wątpliwości, że główna odpowiedzialność spoczywa na tej części przywódców UPA, którzy uchwalili zbrodniczą decyzję z 1943 roku: dobrze wiedzieli, co robią – choć, jak się wydaje, bardzo przeliczyli się w swoich planach*²³. Podobnie, do Hrycaka, stanowisko zajmował Kost' Bondarenko: *[nacjonaliści] w 1942 roku sięgnęli po szereg populistycznych działań zmierzających do podniesienia ich autorytetu. Właśnie tym – populizmem – można wyjaśnić antypolską akcję OUN i UPA w pierwszej połowie 1943 roku*²⁴. Mniej

22. Patrz m.in. O. Zwarycz, „Tini zabutych predkiw. Ukrajinska polityka i jiji pidchody do strasznoho. Do 60-riczczja wołyńskoj trahediji”, *Ukrajina Moloda* 16.04.2003.

23. J. Hrycak, „Nasze i duże nasze hore”, *Krytyka* nr 7–8/2003.

24. K. Bondarenko, „Nacionalizm i ksenofobia”, *Postup* 14.06.2003. Gwoli ścisłości trzeba zauważyć, że we wcześniejszym tekście „Trahedija Wołyni: pohľad czerez desiatylittja” (*Dzerkalo Tyżnia* 15–21.02.2003) K. Bondarenko stał na stanowisku, iż antypolski terror był zjawiskiem żywiołowym, choć jego tłem była polityka wobec mniejszości ukraińskiej w II Rzeczypospolitej.

konkretnie o przyczynach konfliktu pisał kijowski historyk Jurij Szapował: *krwawy konflikt był zdeterminowany polskim i ukraińskim obopólnym ekstremizmem, który czynił z ludzi ofiary, usprawiedliwiając to interesami geopolitycznymi lub patriotyzmem*²⁵.

W dyskusji wołyńskiej ujawnił się również postsowiecki segment opinii publicznej. Dla tej części opinii społecznej UPA, utożsamiana z banderowcami, to po prostu niemieccy kolaboranci²⁶, którzy działali na szkodę narodu ukraińskiego.

Jedną z najczęściej wymienianych przyczyn dramatu wołyńskiego była dyskryminacyjna polityka II Rzeczypospolitej na jej kresach wschodnich. Aspekt ten podkreślali Jarosław Isajewycz²⁷, Taras Hunczak²⁸. O polskiej kolonizacji kresów pisał Anton Borkowski²⁹. W międzywojniu jedną z przyczyn konfliktu widział również Jurij Szapował³⁰. Karykaturalny obraz polskiej polityki międzywojennej wobec Ukraińców wyłania się z oświadczenia skrajnie nacjonalistycznej UNA-UNSO: *Konflikt polsko-ukraiński w 1943 r. na Wołyniu nie pojawił się znienacka, ale był logicznym następstwem wcześniejszego okresu historycznego. A konkretnie ogromnych cierpień, które przyniosły rządy na zachodnioukraińskich ziemiach pol-*

25. J. Szapował, „Czy podążajemy «wołyński syndrom»?”, *Deń* 15.03.2003.

26. W. Obdułenko, „Ja – też za Prawdę i Sprawiedliwość”, *Silski Wisti* 22.07.2003.

27. J. Isajewycz, „Ukraińsko-polski wzajemny periodu druhoji switowoji wojny: interpretaciji istoriji”, *Postup* 28.02.2003. W późniejszej przedmowie do książki J. Caruka ten sam autor określił polską władzę w Galicji i na Wołyniu jako „okupacyjną”: „Dalszemu wybuchowi konfliktu narodowościowego sprzyjała porażka Ukraińskiej Armii Galicyjskiej w wojnie polsko-ukraińskiej w latach 1918-1919 i zainstalowanie przemocą, wskutek tej porażki, na terytorium Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, polskiej władzy, którą ukraińska ludność Galicji słusznie uważała za okupacyjną” (J. Isajewycz, „Z chroniky trahicznoho protystojannja. Zamist przedmowy”, s. 5 [w:] J. Caruk, „Trahedija wołyńskich sił 1943-1944 rr”, Lwów 2003).

28. T. Hunczak, „Wtraczena możliwist. Poliaky ta ukrajinci pid czas druhoji switowoji wojny”, *Deń* 20.03.2003.

29. A. Borkowski, „Chto pidstawlaje «Naszukrajinu»?”, *Postup* 16.04.2003.

30. J. Szapował, j.w.

skiej totalitarnej władzy w latach 1920-39. Masowe czystki etniczne (tzw. pacyfikacje) na terenach Galicji i Wołynia, burzenie cerkwi prawosławnych na Chełmszczyźnie, tysiące więźniów polskiego obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej (1934-39), który był zbudowany na długo przed osławionymi obozami nazistowskimi³¹. Znacząca część dyskutantów opisywała politykę II Rzeczypospolitej wobec jej kresów wschodnich jako okupację. O polskiej okupacji z naciskiem i wielokrotnie w czasie dyskusji w redakcji gazety *Deń* mówił, pochodzący z Wołynia, były prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk: *choć byłem mały, odczułem na sobie politykę, którą prowadził Józef Piłsudski (...). Na całe życie zapamiętałem i to, że nigdy inaczej nas nie nazywano niż chamy czy bydło (...) Gdy przemyśleć wszystko to, co się zapamiętało, to była to po prostu okupacja (...) to była okupacja, po prostu niewola i absolutnie jawna pogarda dla Ukraińców(...). Moje życie było związane z Polską i dlatego mogę stwierdzić dzisiaj, że to była okupacja. Możemy rozpatrywać te wydarzenia [antypolską akcją] jako walkę przeciwko okupacji*³². Podobnie przyczyny wydarzeń wołyńskich widział historyk, redaktor *Litopysu UPA* Wołodymyr Wiatrowycz. Dla niego przyczyną konfliktu była nie abstrakcyjna polonofobia, lecz *konkretny fakt starań Polaków, by występować na ziemi ukraińskiej w charakterze okupanta*³³. Nie mniej

31. Zajawa UNA – UNSO..., j.w.

32. „Wołyń – 1943/44: niewidoma tragedia”, cz. I, 7.05.2003. Zacytowany fragment wymaga krótkiego komentarza. Otóż Krawczuk w żaden sposób nie mógł pamiętać polityki, „którą prowadził Piłsudski”, bowiem urodził się w 1934, tzn. na rok przed śmiercią marszałka. Dziwi też kategoryczność jego oceny polityki II RP na jej kresach zważywszy, że w dniu wybuchu wojny miał zaledwie 5 lat. Być może kategoryczność sądów Krawczuka ma swoje źródła nie tyle w jego pamięci, co w sowieckich kalkach propagandowych, szczególnie intensywnie wykorzystywanych na Ukrainie Sowieckiej, niezmiennie określających polskie rządy na kresach jako okupację. Dodajmy, że Krawczuk był nie tylko konsumentem tej propagandy, ale i jednym z jej twórców, bowiem przez wiele lat pracował w wydziale ideologicznym Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy, dochodząc nawet do stanowiska sekretarza KC ds. ideologii. (Za cenne uwagi dziękuję Oli Hnatiuk).

33. W. Wiatrowycz, „Wybaczennja za....?”, j.w.

stanowczy był publicysta tygodnika *Wołyń* Porowczuk: *u nas na Wołyniu [Polacy] byli nie gośćmi, lecz okupantami, którzy przyszedli nas grabić i zabijać*³⁴. Wtórował mu lwowski deputowany Mychajło Kosiw: *A skąd się wzięli Polacy na Wołyniu? Przyjechali tu jako kolonizatorzy i okupanci, którzy narzucali tu swoją administrację, język, religię itp.*³⁵ Ukraińską winę za wydarzenia na Wołyniu odrzucał też publicysta tygodnika *Wołyń: Wołyńskiej tragedii sprzed 60 lat winna jest nie UPA, a różnokolorowi okupanci Ukrainy (...). Kto rozpoczął rzeź jeszcze w 1939 roku na Chełmszczyźnie?*³⁶. Kropkę nad „i” postawił Jarosław Daszkewycz, dla którego: *Na zachodnioukraińskich ziemiach był nie po prostu konflikt, (...) lecz powstanie przeciwko trzem okupantom [Polakom, Niemcom, Sowiecom] połączonym antyukraińską ideologią*³⁷.

Nie mniej często jak politykę wobec mniejszości ukraińskiej, ukraińscy dyskutanci wskazywali jako przyczynę anty-

34. W. Porowczuk, „Czy szukały poliaiky istyny w Ostrozi?”, *Wołyń* 18.04.2003. Artykuł ten podsumowuje polsko-ukraińskie spotkanie dziennikarzy, które odbyło się na początku kwietnia w Akademii Ostrogskiej. Warto zwrócić nań uwagę nie tylko dlatego, że jest charakterystyczny dla napastliwej antypolskiej publicystyki *Wołynia*, ale również dlatego, że jest przykładem, iż środowisko skupione wokół tego pisma i jego głównego promotora wołyńskiego deputowanego Wasyla Czerwonija (blok „Nasza Ukraina”), nie waha się w walce ze swoimi adwersarzami sięgnąć po argumenty kojarzące się jak najgorzej. I tak artykuł ten jest opatrzonej odredakcyjnym komentarzem dotyczącym zachowania rektora Akademii prof. Ihora Pasicznyka (ojca znanej w Polsce śpiewaczki operowej Olgi Pasicznyk), który zwlekał z udzieleniem głosu deputowanemu Czerwonijowi): *Motywacja haniebnie ugodowego zachowania rektora Akademii Ostrogskiej zrozumiała. Żona – Polka..... Bezgraniczna wdzięczność za nauczanie dzieci w Polsce, niekończące się wyjazdy za granicę. Właśnie tak znika narodowa godność i cześć, a niegdyś prawosławna Akademia Ostrogska katolicyzuje się.*

35. M. Kosiw, „Prawo na historyczny pamięć – ce ne prywid do nynisznych porachunkiw”, *Postup* 29.05.2003.

36. S. Prask, Chołmszczyzna: rik 1943, *Wołyń* 25.07.2003.

37. J. Daszkewycz, „Wołyński wuzół”, *Uniwersum* nr 5–6/2003. Wyżej przytoczone zdanie nie przeszkadzało kilka zdań niżej pisać o tym, że: *Wojna w wołyńskich warunkach miała także niekontrolowane przez OUN i UPA oblicze, była żywiołową chłopską wojną, bardzo okrutną, taką jaką znamy współcześnie z Jugosławii. Trzeba jednak pamiętać i to, że metody walki dyktuje wróg.*

polskiej akcji UPA politykę rządu londyńskiego. Przy czym jedni autorzy atakowali rząd londyński za „całokształt” jego polityki, którą uznawali za imperialistyczną³⁸, inni, bez wchodzenia w szczegółową argumentację, przypisywali rządowi londyńskiemu wyłączną winę za rozpalenie konfliktu oraz twierdzili, że ludność polska na Wołyniu była zakładnikiem antyukraińskiej polityki rządu londyńskiego³⁹, jeszcze inni oskarżali rząd o niechęć do współpracy z Ukraińcami, w tym do wspólnej walki z niemieckim okupantem⁴⁰. Na szersze omówienie zasługuje wywód, którego dokonali autorzy „Listu 39 deputowanych”. W dokumencie tym również całkowitą winą za doprowadzenie do antypolskiej akcji UPA obarcza się rząd Sikorskiego. Przy czym najwyraźniej inicjatorzy listu uznali, iż zarzut ten jest niewystarczający, i uzupełnili go długą listą dodatkowych oskarżeń: *Wykorzystując naturalny antagonizm między jakimkolwiek okupantem a rdzenną ludnością, Polacy porozumieli się na Wołyniu z Niemcami, chcąc z ich pomocą, a przy zmianie okupanta – z pomocą sowietów, przeprowadzić kolejną pacyfikację – bezkarną rzeź Ukraińców (...) Zamiary Polaków nie ulegają wątpliwości: świadczą o tym zarówno ogólna nienawistna Ukraińcom polityka międzywojennej Polski i bezlitosna przedwojenna rzeź Ukraińców na Chełmszczyźnie i Podlasiu oraz ich wrogie zachowanie w stosunku do Ukraińców w czasie wojny*⁴¹. Wedle autorów listu, Polacy na Wołyniu kolaborowali z Niemcami, polska partyzantka, w szczególności oddziały Armii Krajowej, zajmowały się rabunkiem wsi ukraińskich; Polacy też jako pierwsi rozpoczęli rzezie mordując na katolickie Boże Narodzenie mieszkańców wsi Peresopowyczi: *Wszystko to razem przepełniło miarę cierpliwości i gniewu najbardziej w Europie miłującej pokój ludności ukraińskiej i*

38. Tak czyni m.in. J. Stachiw, według którego Polacy prowadzili grabieżczą, imperialistyczną wojnę, za co odpowiada rząd londyński („Swidok stolittja. Rozmowa Ł. Iwszyny i S. Machuna z J. Stachiwem”, *Deń* 6.06.2003.)

39. W. Wiatrowycz, j.w.; Zajawa Prowodu OUN z prywodu polsko-ukrajńskich podij..., j.w.; J. Daszkewycz, j.w.

40. T. Hunczak, „Wtraczena...”, j.w.

41. „Z prywodu widznaczennja w Polscei...”, j.w.

dopiero wtedy UPA zdecydowała się wystosować do Polaków ultimatum nakazując im opuszczenie Wołynia, a kiedy Polacy nie skorzystali z szansy opuszczenia ziem ukraińskich doszło do, jak podkreślają sygnatariusze, wzajemnej rzezi, której nikt nie mógł powstrzymać. Zupełnie zaskakująca jest pointa listu, w której deputowani napisali, że *obecny polski rząd, jako spadkobierca rządu Sikorskiego powinien publicznie prosić i Polaków, i Ukraińców o przebaczenie za zbrodniczą antyukraińską państwową politykę swoich poprzedników, której ofiarą padli nie tylko mieszkańcy Wołynia – Ukraińcy i Polacy, ale również Ukraińcy Chełmszczyzny i Podlasia – ofiary zbrodniczych, państwowych pacyfikacji 1938 r. i ofiary takiej zbrodniczej państwowej operacji, jak „Wisła” 1947 roku. Według „Listu 39” na ołtarzu ambicji zatrzymania w obrębie Rzeczypospolitej kresów wschodnich: złożono bezcelowo w ofierze (...) niezliczone setki tysięcy polskich patriotów – heroicznym obrońców Warszawy, wymordowanych przez Berlin, przy milczącej zgodzie Moskwy! Może i za to mamy Polaków przepraszać? Przecież te ofiary były poniesione w imię tego samego celu – zachowania w składzie Polski etnicznych ziem ukraińskich!* Interesujące, że wszystkie najcięższe oskarżenia, którymi operowali autorzy „Listu 39”, nie przeszkodziły im w ostatnich zdaniach listu stwierdzić, iż Wołyń nie powinien przeszkadzać we współpracy ukraińsko-polskiej⁴².

42. Nie mniej interesujący, niż sama treść „Listu 39 deputowanych”, był komentarz doń pióra P. Smoleńskiego (*Gazeta Wyborcza*, 16.05.2003): *Tragedia wołyńska to temat traumatyczny i trudny zarówno dla Polaków, jak i Ukraińców. Stąd zapewne ton listu ukraińskich deputowanych próbujących pogodzić sprzeczne żywioły, zmieszać ogień z wodą. Polskie żądanie (co znaczy polskie?, przecież nie jest to żądanie powszechne, choć padło, niestety, z ust wysokiego urzędnika państwowego) jednostronnych przeprosin za wołyńską czystkę etniczną nie służy pojednaniu, bo nie wolno wymagać kajania się nawet na najgorsze krzywdy. Żeby zrozumieć wołyńską tragedię, a więc przeprosić i wybaczyć, trzeba pamiętać o kontekście zdarzeń, choćby o antyukraińskiej polityce II RP. Jednak kontekst ten nie ma znaczenia dla pomordowanych i ich rodzin, dla ludzi, którzy na własne oczy oglądali wołyńskie okrucieństwo, a im właśnie najbardziej należy się prośba – «wybaczcie». Deputowani piszą: „Dla wzajemnego zrozumienia konieczna jest rewizja ze strony Polski antyukraińskich uprzedzeń”. Prawda, ale i nieprawda, bo kto ma te uprzedzenia rewidować? Prezydent*

W ukraińskiej dyskusji o wołyńskiej tragedii raz po raz pojawia się wątek kolaboracji Polaków bądź z Niemcami, bądź z Sowietami, lub Niemcami i Sowietami jednocześnie – przy czym spektrum zarzutów jest tu bardzo szerokie. Poczynając od: *W latach 1943-44 wołyńscy Polacy razem z Niemcami brali najaktywniejszy udział w zwalczaniu oddziałów UPA, które najczęściej sprowadzało się do terroru, rabunku i mordowania ludności ukraińskiej*⁴³ przez konstatację, że wołyńska tragedia była efektem niemieckiej i rosyjskiej prowokacji⁴⁴, do stwierdzeń o polsko-rosyjskim antyupowskim sojuszu w czasie II wojny światowej⁴⁵, aż do insynuacji, iż polski ruch oporu tworzony był na zlecenie Niemców⁴⁶. Obok mniej czy bardziej ogólnikowych sądów dotyczących roli Niemców czy Sowietów w dramacie wołyńskim, obecne były

Kwaśniewski, który przeprosił za akcję „Wisła”, a na arenie międzynarodowej – podobnie jak wszystkie rządy III RP, niezależnie od politycznych barw – był i jest adwokatem Ukrainy? Publicyści przypominający pacyfikacje ukraińskich wsi w latach 40? Autorzy książek historycznych wspominający krzywdy Ukraińców wyrządzone rękoma Polaków? Mieszkańcy polsko-ukraińskiego pogranicza żyjący z polsko-ukraińskich targowisk? Są w Polsce politycy, którzy powiedzą coś, zanim pomyślą. Są tacy i na Ukrainie. Są w Polsce ludzie ziejący nienawiścią do Ukraińców. Mają swoich braci bliźniaków we Lwowie, Kijowie. To ludzie „nierewidowalni”, w obu krajach stanowią zdecydowaną mniejszość. Trudna sztuka pojednania polega również na tym, by podać sobie ręce ponad ich „nierewidowalnym” jazgotem. I ponad pochopnymi politycznymi deklaracjami.

43. J. Mykałskij, „Dekałoh kardynalnych pomyłok...”, j.w.; I. Hołowaćkij, „Recydywy antyukrajńskoj solidarnosti”, *Za Wilnu Ukrainu* 24–25.01.2003; „Wołyń pamiataje!”, j.w.

44. Patrz m.in. wypowiedzi S. Szewczuka i D. Pawłyćki [w:] „Wołyń – 1943/1944: newidoma trahedija”, cz. II, *Deń* 16.05.2003; J. Sływka, „Ne woruszty stari rany”, *Wysokij Zamok* 19.05.2003; J. Isajewycz, „Ukrajinsko-polski wzajemny...”, j.w.

45. I. Hołowaćkij, „Recydywy antyukrajńskoj...”, j.w.

46. W. Danyliuk, „Krywawe polsko-ukrajinske protystojannia 60-ricznoj dawnyj maie staty urokom dwoch narodiw”, *Kyjiwski Widomosti* 14–20.03.2003; Najdalej w tego typu dywagacjach posunął się znany historyk, a jednocześnie wpływową osobistość lwowskiego życia publicznego J. Daszkewycz, który w swoim artykule „Wołyński wuzol” (j.w.) m.in. napisał: *Jak dowiodła w 1944 r. berlińska komisja E. Koch [szef Komisariatu Rzeszy Ukraina] wykonywał polskie polecenia, mordując ukraińską inteligencję na Wołyń. Był on inicjatorem sprowadzenia policji granatowej na Wołyń. Jednocześnie E. Koch miał kontakty z rosyjskim wywiadem.*

również bardziej szczegółowe odpowiedzi, jak ta autorstwa prof. Jarosława Daszkewycza, który stwierdził, że po: zerwaniu [polsko-ukraińskich] rozmów polska policja, która była na służbie u hitlerowców, przy wsparciu Armii Krajowej rozpoczęła masowy terror przeciwko ludności Wołynia. Znane są fakty, iż polska przemoc dotknęła nie tylko ukraińskie wsie. W szczególności Polacy do nogi wymordowali czeską wieś Malin⁴⁷. Dość powszechne było w debacie upatrywanie korzeni wydarzeń na Wołyniu, w przypadkach likwidacji ukraińskich aktywistów na Chełmszczyźnie: *Początkiem konfliktu narodowościowego był nie Wołyń, a Chełmszczyzna, gdzie w 1941 roku [sic!] zabijano Ukraińców. Polacy mordowali ukraińską elitę intelektualną, burzyli prawosławne cerkwie*⁴⁸.

Logicznym zwieńczeniem tezy o polskiej kolaboracji jako jednej z podstawowych przyczyn antypolskiej akcji UPA była konstatacja, która stanowi odzwierciedlenie stanowiska redakcji tygodnika *Wołyń*, zgodnie z którą: *My, Ukraińcy, musimy pamiętać, że Polacy, w odróżnieniu od UPA, nie zabili ani jednego niemieckiego lub moskiewskiego okupanta, a swoje zbrodnicze ludobójstwo realizowali wyłącznie w stosunku do Ukraińców*⁴⁹.

Na szczególną uwagę zasługuje stanowisko Ihora Iliuszyna, bowiem jest to jeden z niewielu ukraińskich historyków, którzy od lat zajmują się badaniem ukraińsko-polskiego konfliktu z lat II wojny światowej. Iliuszyn uważał, że źródło wołyńskiego konfliktu należy widzieć przede wszystkim w próbach przeniknięcia do niemieckiego aparatu okupacyjnego miejscowego elementu polskiego: *Miejscowy, polsko-ukraiński konflikt narodowościowy był wywołany nie obecnością oddziałów partyzanckich AK, które rzeczywiście były stworzone w odpowiedzi na wspomnianą [antypolską] akcję, i nie obecnością na ukraińskich ziemiach przedstawicielstwa polskiego rządu emigra-*

47. H. Tereszczuk, „Terror na Wołyni poczała polska policja”, *Lwiwska Hazeta* 25.02.2003.

48. H. Tereszczuk, „Terror na Wołyni...”, j.w.; J. Szapował, „Czy podółajemo...”, j.w.

49. W. Porowczuk, „Czy szukały poliaki...”, j.w.

cyjnego, które za wszelką cenę miało wcielić w życie rządowe plany zachowania przez Polskę przedwojennych kresów wschodnich, choć oba te czynniki odegrały swoją rolę w tych wydarzeniach. Bezpośrednim motywem zapoczątkowania, a nade wszystko, kontynuowania masowej antypolskiej akcji na Wołyniu w latach 1943-44 w znacznej mierze był fakt, że miejscowi Polacy wszelkimi sposobami starali się przeniknąć do aparatu administracyjnego i gospodarczego niemieckiej władzy okupacyjnej, tworząc tym samym dla siebie fundament, dzięki któremu mogliby utrzymać swój wpływ na tych ziemiach po klęsce Niemiec⁵⁰. Zauważmy, że formułując swoją diagnozę sytuacji, która doprowadziła do antypolskiej akcji UPA, Iliuszyn podważa, bardzo często spotykane w ukraińskiej dyskusji, przekonanie, iż to polityka rządu w Londynie i działalność oddziałów AK były głównymi przyczynami wołyńskiej rzezi.

Jak widać z tego przeglądu stanowisk, ukraińskie wypowiedzi na temat przyczyn wołyńskich wydarzeń dalekie były od jednoznaczności. W niektórych przypadkach trudno pozbyć się wrażenia, że ich celem było nie tyle dotarcie do prawdy, co próba znalezienia takiego wytłumaczenia, które zdejmowałoby przynajmniej część odpowiedzialności za tragedię ze strony ukraińskiej.

Podobnie niejednoznaczne były odpowiedzi na drugie zasadnicze pytanie dotyczące antypolskiej akcji UPA, to znaczy na pytanie: czym była i jaki charakter miała ta akcja. Zacznijmy od tego, czym, według części dyskutantów, ta akcja nie była. Przywoływani już sygnatariusze „Listu 39” twierdzili, iż niedopuszczalne jest mówienie o „rzezi wołyńskiej” (bo był to konflikt ukraińsko-polski zapoczątkowany przez Polaków). Redaktor *Litopysu UPA* uważał, iż przywódcom UPA nie chodziło o depolonizację Wołynia⁵¹. Z kolei

50. I. Iliuszyn, „Wołyńska tragedia: poszuk prawdy”, *Deń* 3.04.2003. Podobny pogląd wyraził Iliuszyn również w swojej pracy „Wołyńska tragedia 1943-1944 rr”, Kyjiw 2003, s. 250., choć tutaj przedstawił również szereg innych przyczyn (m.in. nieunikniony na obszarach wspólnego zamieszkiwania konflikt o terytorium), które doprowadziły do antypolskiej akcji UPA.

51. W. Wiatrowycz, „Wybaczennia za...”, j.w.

ostatni dowódca UPA – Wasyl Kuk – stał na stanowisku, że: *Zdecydowanie musimy odrzucić oskarżenia o ludobójstwo, bo broniliśmy swojej ziemi i ze swego terytorium wypędziliśmy okupanta – kolonizatora*⁵².

Jedną z najczęstszych odpowiedzi na pytanie o charakter wydarzeń na Wołyniu jest odpowiedź, iż był to zbrojny konflikt między UPA a AK. Na takim stanowisku stali nie tylko autorzy związani ze środowiskiem OUN-owskim⁵³, ale również publicyści gazet nie mających nic wspólnego z obozem nacjonalistycznym⁵⁴. Właśnie zaistnienie tego konfliktu zbrojnego miało tłumaczyć, wedle prof. Jarosława Daszkewycza, konieczność usunięcia „polskiego elementu” z Wołynia: *Usunięcie ludności cywilnej, aby pozbawić terrorystów wsparcia, jest rodzajem wojskowej taktyki i jak wiemy, stosowano ją często w analogicznych sytuacjach w wielu krajach świata*⁵⁵. Wedle innych autorów antypolska akcja UPA na Wołyniu nie była niczym innym, jak nową odmianą starej walki o ziemię, chłopską żakerią, jakimś nowym wariantem koliszczyzny. Pierwszeństwo tego rodzaju interpretacji wydarzeń na Wołyniu dała redakcja liberalnego lwowskiego czasopisma *Jl. Świadczy o tym podtytuł specjalnego „wołyńskiego” numeru czasopisma: „Walka o ziemię”. Pomimo dyplomatycznych zabiegów („Redakcja czasopisma nie ma jednoznacznych odpowiedzi na postawione pytania”) pogląd redakcji na naturę*

52. W. Kuk, „UPA rozkazu ne dawała”, *Polityka i Kultura* 25.07–7.08.2003.

53. B. Czerwak w artykule „UPA, Łytwin i Wołyń” (*Ukrajńskie Słowo* 21–27.11.2002) pisał: *Jak wiadomo wtedy podczas starć między siłami zbrojnymi ukraińskich nacjonalistów i tak zwanej Armii Krajowej, która działała na ukraińskich ziemiach z błogosławieństwem polskiego rządu, zginęło do 300 tys. Polaków. (...) ukraińscy nacjonaści (...) nie mogli pozwolić, by polscy żołnierze, którzy faktycznie bez oporu oddali Polskę Niemcom, teraz pretendowali do ukraińskiej ziemi.*

54. Patrz np. B. Kozłowski, „Pomynamy w skorboti czy zwodymo porachunki?”, *Wysokij Zamok* 10.07.2003. Autor zadaje retoryczne pytanie: *Kto jest winien, że w zbrojnym konflikcie między UPA a AK zginęły dziesiątki tysięcy Ukraińców i Polaków, kobiet, dzieci i starców?*

55. J. Daszkewycz, „Wołyński wuzoł”, j.w. Charakterystyczne, czego pewnie Daszkewycz nie zauważa, że dokładnie takiej samej argumentacji używają polscy obrońcy akcji „Wisła”.

wydarzeń na Wołyniu jest dość jednoznaczny: *Wołyńskiego konfliktu nie da się sprowadzić do narodowych porachunków – było w nim również podglebie społeczne. Na narodowo-religijny podział społeczeństwa nakładał się podział społeczny. Krew przelewał chłop, który grabił majątek kolonisty. Chłop nie wyobraża sobie świata bez ziemi, która jest dla niego ważniejsza od wszelkich idei, w tym również od nacjonalizmu integralnego Dmytra Doncowa, którego prac nigdy nie czytał, a nawet od budowy niepodległego państwa. Absurdalne jest przypuszczenie, że ludzie, którzy nierzadko chcieli wejść w posiadanie majątku i ziemi sąsiada, kierowali się jakimikolwiek zasadami. Dla zdobycia ziemi chłop często gotowy jest prowadzić wojnę z bliźnim, i niekiedy, niestety, dojść do skrajności. Tak stało się na Wołyniu w 1943 roku*⁵⁶. Jakby to nie było zaskakujące, podobną interpretację wydarzeń na Wołyniu przedstawił publicysta banderowskiego *Szlachu Peremohy: Specyfika wołyńskiej rzezi polegała na tym, że nie była to wojna państw czy armii lecz narodów. Wieś szła na wieś*⁵⁷. Na początku „wołyńskiej” dyskusji podobne nuty można było odnaleźć u Kosty Bondarenki: *Teraz spróbujcie zrozumieć psychologię wołyńskiego chłopca czy inteligenta. Oto – wasz rodzinny Wołyń. Wasi krewni stali się ofiarami radzieckiego lub nazistowskiego reżymu. W nocy przychodzą AK-owcy i zabierają żywność albo bydło do lasu. A wam pozostaje tylko jedna droga – też iść do lasu i bronić swojej ziemi, swojego majątku, swojej rodziny, jej życia i czci. (...) Terror rozwijał się żywiołowo i przybrał masowy charakter. Był reakcją na dwudziestoletnie panowanie polskiego reżymu na Wołyniu i przebywania w warunkach stałego napięcia i strachu przed represjami reżymów, które przychodziły i odchodziły, był żywiołową próbą, by jednym cięciem rozwiązać nagromadzone przeciwieństwa. Faktycznie powtórzyła się koliszczyzna 1768 r., ale bardziej zmodernizowana, bez domieszki religijnej*⁵⁸. Swoistą wizję chłopskiej

56. „Perednie słowo”, *Jl* nr 28/2003 s. 10.

57. I. Zinchenko, „Ostannij bastion stalinizmu”, j.w.

58. K. Bondarenko, „Trahedija Wołyni...”, *Dzerkalo Tyżnia* 15–21.02.2003.

wendety, której UPA nie mogła opanować, choć się starała, przedstawił Wasyl Kuk: *Kiedy przepędziliśmy te polskie oddziały z ich wsi, to tak zwana polska ludność cywilna znalazła się goła wobec nienawiści ludu i chęci zemsty ze strony wołyńskich chłopów. Ale – podkreślam – oddziały UPA nie brały w tym udziału. Nawet, kiedy napadano na nas z polskich wsi, to nie organizowaliśmy masowego terroru (...), nigdy nie strzelaliśmy do ludności cywilnej (...)* [To, co się działo na Wołyniu to była] ludowa zemsta. To samo, co hajdamaczczyzna. Swoją polityką Polacy tak bardzo rozgniewali ludzi, że trudno ich było powstrzymać⁵⁹.

Niewielka grupa autorów była skłonna przyznać, iż ludność polska na Wołyniu w 1943 r. padła ofiarą czystki etnicznej. Młody publicysta z kręgu konserwatystów kijowskich Bohdan Ołeksiuk pisał o tym dobitnie i bez niedomówień: *Niezaprzeczalnym faktem jest zagłada z rąk ukraińskich polskiej ludności cywilnej na ziemi, na której żyła od wieków*⁶⁰. Ołeksander Zajcew odświeżył tezy Iwana Łysiaka-Rudnyckiego z jego tekstu „Nacjonalizm i totalitaryzm” (1981) pisząc: *Jednoczesność i wielkość akcji, rozpoczętej 11 lipca 1943 wyklucza jakiegokolwiek twierdzenie o jej spontanicznym charakterze. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu – to była czystka etniczna*⁶¹. Dla Myrosława Popowycza, najbardziej bodaj konsekwentnego krytyka polityki i ideologii OUN, również nie ulegało wątpliwości, że antypolska akcja UPA była rodzajem czystki etnicznej⁶². Najwyższą rangą osobistością ukraińskiego życia publicznego, która przywołała termin „czystka etniczna” na określenie akcji UPA, był przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy, historyk z zawodu – Wołodymyr Łytwyn. W swojej rozprawie pisał: *Wołyńskie wydarzenia, które rozpoczęły się w kwietniu i osiągnęły apogeum w lipcu 1943 r., miały cechy czystki etnicznej*⁶³.

59. W. Kuk, „UPA rozkazu...”, *Polityka i Kultura* 25.07–7.08.2003.

60. B. Ołeksiuk, „Wołyń: ispyt sumlinnia dla ukrajinciw i poliakiw”, *Lwowska Hazeta* 19.03.2003. oraz *Ukrajnińskie Słowo* 27.03 – 2.04.2003.

61. O. Zajcew, „Wołyńskij urok: pislamowa do uroczystostej”, *Lwowska Hazeta* 18.07.2003.

62. M. Popowycz, „Wołyń: nasze i ne nasze hore”, j.w.

63. W. Łytwyn, „Tysiacza rokiw...”, j.w.

Inną kluczową sprawą, która pojawiła się w trakcie dyskusji, była kwestia odpowiedzialności za tragedię sprzed 60 lat i szerzej kwestia odpowiedzialności Ukraińców za całokształt swojej historii, tzn. nie tylko za jej chwalebne, ale i ciemne strony. Przywoływany już wielokrotnie Myrośław Popowycz korzenie ambiwalentnego stosunku współczesnych Ukraińców do tragedii wołyńskiej widzi w dziedzictwie po okresie totalitaryzmu. Według niego totalitaryzm odczuwał odpowiedzialności, a ... *brak kultury odpowiedzialności za własny czyn doprowadza do tego, że szukamy ratunku w historii. Jest nam bardzo wygodnie czuć się, jakbyśmy byli wewnątrz jakiegoś nieubłaganego strumienia, który niesie nas skądś dokądś. Wszystko w takim strumieniu powiązane jest żelaznymi związkami przyczynowo-skutkowymi i wszystko można wyjaśnić, a to oznacza, zdjęć z porządku dziennego problem odpowiedzialności (...). Historycy sprzecząją się o to, jakie czynniki oddziaływały na świadomość uczestników wydarzeń i ile było tych czynników. Szczytem tych wyjaśnień jest domaganie się przez ludzi, którzy rzekomo są rzecznikami ukraińskiej strony, by włączyć rzeź wołyńską w wielowiekowy proces historyczny, by rozpatrywać historię mordów w kontekście wielowiekowej walki narodowo-wyzwoleńczej narodu ukraińskiego przeciwko polskim zaborcom (...). Ale historia pozostawiała wybór. Historię tworzą ludzie. Przyszłość jest zawsze otwarta, podobnie jak z kolei zawsze zamknięta i zakuta w łańcuch przyczyn i skutków jest przeszłość*⁶⁴. Kultura „nieodpowiedzialności” dla Popowycza to następstwo siedemdziesięciu lat komunizmu na Ukrainie. Postawę elit ukraińskich przed i po komunizmie najlepiej charakteryzuje porównanie stosunku współczesnych elit do tragedii wołyńskiej ze stosunkiem Petlury i obozu petlurowskiego do pogromów żydowskich. Petlura pogromy karał śmiercią, zaś: *nikt nigdy ze środowiska petlurowskiego nie mówił o pogromach, że tak trzeba było, bo była to wojna narodowo-wyzwoleńcza! Czemu więc dziś słyhać protesty przeciwko upublicznianiu szczegółów krwawych wydarzeń, że niby obraża to od-*

64. M. Popowycz, „Wołyń: nasze i ne nasze hore”, j.w.

czucia estetyczne społeczeństwa?⁶⁵ Jarosław Hrycak, choć uważał, że polityczną odpowiedzialność za rzeź na Wołyniu ponoszą konkretni przywódcy UPA, to daleki był od rozgrzeszenia miejscowej ludności: w *kontekście wołyńskiej dyskusji najbardziej interesuje nas ocena działań mieszkańców Wołynia, którzy zostali wciągnięci w ten konflikt nie „rozkazem z góry”, a logiką rozwoju wydarzeń „od dołu”.* Niewątpliwie – wielu z nich ma krew sąsiadów na rękach. Być może, że ilościowo, to właśnie oni przyczynili się do takich straszliwych rozmiarów [tragedii]: trudno wyobrazić sobie, by samych sił OUN-UPA wystarczyło do wymordowania nie czterdziestu, a nawet dwudziestu tysięcy ludzi⁶⁶. Ołeksandr Zajec wzywał do zaniechania politycznych rachub i do uczynienia historycznego rachunku sumienia: *Sporo jest pragmatyków, którzy mówią: tak, musieliśmy zrezygnować z części naszych zasad, ale dla porozumienia ukraińsko-polskiego jest to konieczne. Jednak czy tylko dla strategicznego partnerstwa konieczne jest nazwanie zbrodni – zbrodnią? Myślę, że prawda o wołyńskiej tragedii i innych, jak powiedział jeden z deputowanych ludowych nie bardzo przyjemnych rzeczach potrzebna jest przede wszystkim nam samym⁶⁷.* Bardzo podobnie sformułował zadanie, które stoi przed Ukraińcami komentator *Lwivskiej Hazety*, Andrij Pawłyszyn: *my jako naród powinniśmy znaleźć odwagę, by spojrzeć w oczy historii, nauczyć się z tą prawdą żyć, powinniśmy pokonać demony ksenofobii w swoim sercu, uświadomić sobie grzeszność natury ludzkiej, w tym również i własnej. Wszystko to będzie kluczem do wyższego poziomu autorefleksji. Refleksja i dyskusja społeczna na temat Wołynia przyniosą korzyść przede wszystkim nam, narodzonym po wojnie, wychowanym w obłudzie totalitaryzmu i powołanych, by dokonać przełomu na rzecz demokracji – bo jeżeli nie my, to kto? Kiedyś polska reżyserka Ewa Szpringer powiedziała mi: Nasze pokolenie musi zakończyć tę wojnę! Myślę, że już czas⁶⁸.*

65. M. Popowycz, „Wołyn: nasze i ne nasze hore”, j.w.

66. J. Hrycak, „Nasze i duże nasze hore”, j.w.

67. O. Zajec, „Wołyńskij urok...”, j.w.

68. A. Pawłyszyn, „Wołyn 43”, *Lwivska Hazeta* 31.01.2003.

Wtórował mu redaktor naczelny czasopisma *Ji Taras Wozniak*: *[Na czym polega] Nasze zadanie? Na przyznawaniu się do ukraińskości czarnej i białej, wielkiej i bolesnej i na niezbaczeniu z drogi, która prowadzi do prawdziwej zmiany przede wszystkim samych siebie*⁶⁹. Z kolei Bohdan Ołeksjuk przestrzegwał przed szukaniem innych, poza Ukraińcami i Polakami, winnych tragedii sprzed 60 lat: *Przywódcy polskiego i ukraińskiego podziemia nie mogli nie rozumieć, że na polsko-ukraińskim konflikcie skorzystają Niemcy i Sowieci i dlatego będą się go starać rozdmuchiwać. Dlatego dziś pragnienie, by szukać winnych tego, co się wydarzyło wśród Niemców lub enkawudzistów, jest świadectwem braku odwagi, by wyznać swoje błędy i swoją własną winę*⁷⁰. W skomplikowanym kontekście ukraińskich dyskusji o własnej przeszłości⁷¹ wezwania do dokonania historycznego obrachunku godne są najwyższego szacunku. Jednak znacznie powszechniejsza była postawa zrzucania odpowiedzialności za koleje własnej historii na innych. Postawę tę trafnie scharakteryzował Mykoła Żułyński: *Dla Ukrainy problem historycznej pamięci i historycznej winy jest nadzwyczaj skomplikowany, niejednoznaczny i bolesny. Jeszcze nie jesteśmy na tym poziomie autorefleksji, na jakim można oceniać i osądzać samych siebie, a nie szukać winnych wśród tych, którzy nas poniżali i prowokowali do konfliktów*⁷². Przy takim stanie świadomości nie powinno dziwić, że częściej niż o historycznym rachunku sumienia, ukraińscy publicyści pisali o tym, że wina za wydarzenia na Wołyniu obciąża obie strony sporu⁷³, lub że ukraińscy nacjo-

69. T. Wozniak, „Mamaj czy majbutnje”, *Postup* 18.07.2003.

70. B. Ołeksjuk, „Czy musyt’ ukraińskij nacjonalist nenawidyty poljakiw?”, www.krytyka.kiev.ua/comments/Oleksjuk14.html.

71. Najbardziej symbolicznym przejawem ukraińskich problemów z własną przeszłością jest ambiwalentny stosunek do jednego z największych dramatów Ukraińców w XX w., tzn. wielkiego głodu z lat 1932/33. Dopiero w 12 roku niepodległości ukraiński parlament zdobył się na jednoznaczną ocenę zbrodniczości sztucznego głodu wywołanego przez reżym Stalina, a i w tym wypadku ukraińscy komuniści nie wzięli udziału w głosowaniu.

72. M. Żułyński, „Pomynajmo w skorboti...”, j.w., s. 34.

73. I. Melnyk, „Pomiż dwoma imperializmamy”, *Postup* 18-19.02.2003.

naliści postępowali słusznie⁷⁴, a nawet, że: *Wydarzenia na Wołyniu 11 lipca 1943 były logicznym następstwem walki narodowo-wyzwoleńczej narodu ukraińskiego pod przywództwem OUN-UPA*⁷⁵, lub też, iż fakt, że do antypolskiej akcji UPA doszło na ziemiach ukraińskich, automatycznie unieważnia kwestię jej zbrodniczości oraz ukraińskiej odpowiedzialności za nią⁷⁶.

II

Drugim segmentem „wołyńskiej” debaty na Ukrainie była dyskusja dotycząca przyczyn i formy obchodów 60 rocznicy rzezi na Wołyniu. Charakterystyczne, bo świadczące o głębokości kryzysu tożsamości historycznej Ukraińców, jest to, że (za wyjątkiem dosłownie kilku uczestników debaty, przede wszystkim M. Popowycza, J. Hrycaka) dla wypowiadających się w tej sprawie osób, starania polskiej strony, by w 60 rocznicę rzezi na Wołyniu zorganizować żałobne uroczystości, nie był czymś zrozumiałym samo przez się. W ukraińskich interpretacjach polski zamiar obrastał w dodatkowe, najczęściej wrogie Ukrainie sensy.

Jednym z najczęściej powtarzanych wyjaśnień było to mówiące, iż przygotowywane obchody są polską demonstracją siły. Dziennikarz gazety *Deń* Wiktor Zamiatin komentując, istotnie mało dyplomatyczny, ton listu szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Marka Siwca⁷⁷ do

74. m.in. B. Czerwak, „UPA, Łytwyn i Wołyń”, j.w.; W. Porowczuk, „Czy zakopaty sokyru wijny?”, *Wołyń* 18.07.2003.

75. W. Ałmoszyn, „Nichto kajatysja ne bude”, *Wołyń* 1.05.2003.

76. Termin „ukraińskie ziemie etniczne” jest jednym z kluczowych w ukraińskiej publicystyce o wołyńskim dramacie. Patrz m.in. B. Czerwak, „Bytwa za Wołyń”, Kyjiw 2003, s. 45; tenże, „UPA, Łytwyn i Wołyń”, j.w.; tenże, „Bij za duszu ukrajincia”, *Ukrajńskie Słowo* 5–11.06.2003; I. Hołowaćkyj, „Recydywy antyukrajinskoji...”, j.w.; W. Danyliuk, „Krywawe polsko-ukrajinske...”, j.w.; W. Wiatrowycz, „Wybaczennia za...”, j.w.; S. Prask, „Chołmszczyna...”, j.w.; J. Daszkewycz, „Wołyńskij wuzoł”, j.w.

77. Strona ukraińska poczuła się urażona, iż polska strona przesłała jej niejako gotowy program obchodów „do wykonania”. Ponadto ukraińska dyplomacja za niedopuszczalną uznała sugestię, iż prezydent Kuczma powinien wykonać na Wołyniu gest analogiczny do tego, jaki uczynił kanclerz Willi Brandt w 1970, kłękając pod pomnikiem Bohaterów Powstania

szefta administracji prezydenta Ukrainy Wikotra Medwedczuka, pisał: *Rozmowa prowadzona jest właśnie z pozycji nowej siły i właśnie to nadaje problemowi, który istnieje realnie, ale którym powinni zajmować się historycy, zabarwienia politycznego*⁷⁸. Jeszcze bardziej radykalne stanowisko zaprezentowała publicystka gazety *Ukrajina Moloda*: *Dzisiaj Polska jest niemal zintegrowana z zachodnim światem, nauczyła się przyjaźnić z USA i korzystać z tego. Polska jest znacznie potężniejsza i bardziej pewna siebie, aktywniej broni swych interesów na arenie międzynarodowej niż np. 5 lat temu. Dlatego właśnie Warszawa nie czyniła Kijowowi historycznych zarzutów i nie pragnęła szerokich i głośnych obchodów na poziomie państwowym w czasie poprzednich rocznic wołyńskiej tragedii, np. 55-tej, choć popiół wołyńskich ofiar i wtedy nie mniej głośno stukał w jej piersi*⁷⁹. Ta „polska demonstracja siły” była dla części dyskutantów tym bardziej bolesna, że, w ich mniemaniu, Polska forsowała swoją wizję obchodów 60-lecia tragedii, wykorzystując osłabienie Ukrainy na forum międzynarodowym i jej wewnętrzne kłopoty. Z takim oskarżeniem wystąpił m.in. były prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk: *Dlaczego (...) Polacy tak energicznie przygotowują się do obchodów 60-lecia tragedii? (...) Myślę, że polskie ugrupowania prawicowe wyczuły, że Ukraina dzisiaj jest osłabiona – politycznie i ekonomicznie. Że ma wiele problemów. Że podświadomie pragnie, by ktoś był jej przewodnikiem*⁸⁰. Również w kłopotach wewnętrznych, tym razem Polski, powodów organizowania obchodów dopatrywał się deputo-

w Getcie Warszawskim. Najbardziej ewidentnym dowodem na negatywny stosunek Kijowa do formuły listu szefa BBN i jego propozycji było stanowisko ukraińskiego MSZ z 25. lutego 2003 r., w którym *de facto* odrzucono wszystkie polskie propozycje dotyczące obchodów wołyńskich.

78. W. Zamiatin, „Polityczny wymiar historii”, *Deń* 6.02.2003.

79. O. Zwarycz, „Tini zabutych predkiw. Ukrajinska polityka i jiji pidhody do strasznoho. Do 60–riczczia Wołyńskoj trahediji”, *Ukrajina Moloda* 16.04.2003; Podobne stanowisko prezentował J. Daszkewycz w artykule „Wołyński wuzoł”. Według niego: *W 1993 r. Polska nie czuła się na tyle silną, aby stawiać antyukraińskie żądania typu „obchodów wołyńskiej rzezi”*.

80. Wypowiedź L. Krawczuka [w:] „Wołyń-1943/1944: niewidoma trahedija”, *Deń* cz. I, 7.05.2003.

wany z Wołynia, Serhij Szewczuk: *Sytuacja polityczna w Polsce jest bardzo napięta, są skandale w rządzie związane z korupcją, wzrasta bezrobocie, oszustwa ze strony Unii Europejskiej, która wiele obiecała, a dała mniej. Niektórzy wyjście z tej sytuacji widzą w rozdmuchiowaniu szowinizmu. Prócz tego Polskę czeka referendum unijne. A jego rezultaty mogą być zaskakujące. Dlatego wszystko, co wiąże się ze wschodem, pokazuje się w negatywnym sensie, a związane z Unią, Zachodem – w pozytywnym*⁸¹. Według innych uczestników dyskusji nagłościenie dramatu wołyńskiego miało służyć niedopuszczeniu do przyjęcia przez Radę Najwyższą Ukrainy ustawy uznającej UPA za stronę walczącą w II wojnie światowej. Wedle różnych autorów Polska była inicjatorem lub instrumentem tej „antyukraińskiej” prowokacji. Tak m.in. interpretował kwestię obchodów były wicepremier Mykoła Żułyński: *Dopiero co dało się odczuć w Radzie Najwyższej zmianę klimatu: można było już postawić kwestię uznania UPA za stronę walczącą, przygotowano odpowiednią ustawę... I raptem pojawia się problem wołyńskich wydarzeń. I – co ważne – główny akcent stawia się na „zbrodniach OUN – UPA”. (...) [chodzi o to, by] uniemożliwić Ukrainie wymierzenie historycznej sprawiedliwości, tzn. uznania UPA za stronę walczącą*⁸². Podobne stanowisko prezentowała redakcja skrajnie prawicowej lwowskiej gazety *Za Wilnu Ukrainu* i jej goście zaproszeni do dyskusji na temat rehabilitacji UPA⁸³. O ile redakcja zdawała się podkreślać samodzielność Polski w tych działaniach⁸⁴,

81. „Wołyń: kajattja czy wzajemne wybaczennja?”, *Deń* 12.04.2003.

82. Wypowiedź M. Żułyńskiego [w:] „Wołyń – 1943/1944: newidoma trahedija”, cz. II, j.w.

83. „Newyznani” (dyskusja z udziałem W. Staryńskiego, O. Tiahny-sboka, W. Wiatrowycza i W. Seredy), *Za Wilnu Ukrainu* 31.07.2003.

84. W lipcu problem oficjalnego uznania OUN, UPA już po raz któryś w ostatnich latach znalazł się w centrum uwagi społeczeństwa ukraińskiego i nie tylko jego, ale i państw sąsiednich. Na początku lipca w Radzie Najwyższej podjęto próbę wprowadzenia zmian do ustawy „O statusie weteranów wojny i gwarancjach ich ochrony socjalnej”, tak aby rozszerzyć jego działanie na byłych żołnierzy UPA. Próba zakończyła się fiaskiem. Następnie w sąsiedniej Polsce rozdmuchano antyukraińską histerię dookoła walki OUN, UPA w związku z obchodami 60-lecia tak zwanych „wydarzeń wołyńskich”, [w:] „Newyznani”, j.w.

to jeden z uczestników dyskusji, przewodniczący Towarzystwa Nadsannia, Wołodymyr Sereda uważał, że polskie działania są wynikiem rosyjskiej prowokacji: *Wydaje mi się, że właśnie Moskwa miała wielki wpływ na polskie społeczeństwo działając tam na rzecz rozniecania antyukraińskich nastrojów pod pretekstem 60-tej rocznicy tak zwanej rzezi wołyńskiej (...). W ten sposób wykorzystano Polskę dla przeprowadzenia prowokacji politycznej, dywersji (...), która miała miejsce pod pretekstem obchodów wołyńskich wydarzeń*⁸⁵. Z kolei inny uczestnik tej dyskusji, Wołodymyr Wiatrowycz, uważał, że uznanie UPA za pełnoprawnych kombatanatów zaowocowałoby zasadniczą zmianą oceny, tego, co wydarzyło się na Wołyniu w 1943 r.: *uznanie narodowo-wyzwoleńczej walki UPA postawiłoby kropkę nad „i” i odnośnie problemu stosunków między Ukraińcami a innymi narodami (...) byłoby jasno powiedziane, że walka przeciw Polakom prowadzona była nie na podłożu etnicznym, lecz przeciw nim jako okupantom, to znaczy [była to walka] o terytorium*⁸⁶.

W najbardziej skrajnych komentarzach dopatrywano się w polskich obchodach tragedii wołyńskiej przejawu polskiego imperializmu i rewizjonizmu: *Mamy podstawy, by przypuszczać, że tegoroczna wołyniada to tylko preludium do podstawowego problemu, który, wedle zamysłu szowinistycznych sił Polski, ma być z czasem rozwiązany. Chodzi o powrót do przedwojennej wschodniej granicy*⁸⁷. Interesujące, iż koncepcja obchodów 60 rocznicy antypolskiej akcji UPA, jako przejawu polskiego rewizjonizmu, nieodmiennie przez ukraińskich autorów łączona była z „intrygą niemiecką”. Przy czym według jednych – Niemcy w sposób pokojowy wyprą Polaków z „byłych ziem odzyskanych”, zmuszając ich z kolei do upomnienia się o byłe „kresy wschodnie”⁸⁸, według innych – Niemcy wyrazili zgodę

85. „Newyznani”, j.w.

86. „Newyznani”, j.w.

87. J. Pacuła, „Szczodali? ...”, j.w.

88. *Nie trzeba będzie wojny czy uchylenia Aktu Końcowego KBWE z Helsinek, aby na ziemiach zachodnich Polski już wkrótce zapachniało nie tylko dymem z niemieckich kuchni, ale by pojawiły się niemieckie kirchy*

na rozpętanie antyukraińskiej histerii w nadziei, że w ten sposób przybliży się moment przyłączenia polskich ziem poniemieckich do państwa niemieckiego: *Polska, zgodnie z gorzką konstatacją współczesnych Polaków – tych, którzy uświadamiają sobie, co się dzieje, przeżywa trzecią niemiecką kolonizację, w czasie której na problematykę polskiej narodowo-wyzwoleńczej walki w czasie II wojny światowej nałożono tabu, a na falę antyukraińskiej ksenofobii otrzymano ciche niemieckie pozwolenie i wsparcie. Zachodnie ziemie współczesnej Polski znalazły się pod niemieckim dyktatem gospodarczym, bo jeszcze żarzy się myśl o polskim Drang nach Osten z odrodzeniem Polski w granicach z 1939 r., co swoją drogą stworzy możliwość przywrócenia niemieckich granic na wschodzie z tego samego okresu*⁸⁹. Choć w przywołanym tekście Daszkewycz najwięcej miejsca przeznaczają na opisanie złowrogiej wobec Ukrainy roli Niemiec i Polski, to nie ulega dla niego wątpliwości, iż *de facto* doszło do odnowienia „antyukraińskiego sojuszu trzech okupantów” rodem z lat 40. Innym wariantem antyukraińskiej zмовy jest koncepcja, którą przedstawił były szef wywiadu wojskowego, Ołeksandr Skipalski. Sprowadza się ona do przekonania, że celem Polski i Rosji jest dokonanie rozbioru Ukrainy: *jeden z rosyjskich instytutów geopolitycznych twierdzi, że Ukraina podzieli się po linii Dniepru na dwie części. Polacy, jako rozumni analitycy na wszelki wypadek starają się zaklepać [dla siebie] terytorium Wołynia twierdząc, że, o proszę tutaj cierpieliśmy, więc mamy historyczne prawo do tej ziemi (...) Tam są nasze groby. Oto jakie następstwa będą miały tak zwane obchody [wołyńskie] czy jednostronne prze-*

i wesoły szczebiot niemieckojęzycznych kinderów. A wtedy... Niektórzy pulchni bauerzy na pytanie ich polskich sąsiadów, co ich czeka w przyszłości, odpowiadają żartem: „A was dobrodzieje czeka «Drang nach Osten»”, co w przekładzie na prosty język oznacza: wracajcie tam, skąd przyjechaliście. Czytelniku, rozumiałeś o co chodzi? Czy trzeba coś dodatkowo wyjaśnić? Czy myśleliście o tym, dla kogo, jak grzyby po deszczu, budują się kościoły i kapliczki nie tylko na Wołyniu i w Galicji, ale i na Żytomierszczyźnie, Chmielniczczyźnie i Winniczczyczyźnie? [w:] J. Pacuła, „Szczo dali”, j.w.

89. J. Daszkewycz, „Wołyńskij wuzof”, j.w.

*prosiny Ukrainy. Polskie stanowisko jest następujące: jeżeli Ukraina tak łatwo przeprasza, to tak samo łatwo odda Wołyń, Donbas odda Rosji, Bukowinę – Rumunii*⁹⁰.

W ukraińskiej dyskusji pojawili się również autorzy, którzy snuli analogie między tragedią wołyńską a sprawą Jedwabnego. Szczególnie związek między tymi wydarzeniami wyakcentowali Wołodymyr Pawliw i Myrośław Marynowycz. Tekst Pawliwa wyraźnie został napisany pod wpływem artykułu Sławomira Sierakowskiego⁹¹ i podobnie, jak w pierwowzorze, pobrzmiewają w nim nihilistyczne nuty (wymowny jest sam tytuł artykułu: „Pora gotować się do setnej rocznicy «wołyńskiej tragedii»”). Nie tylko nie ma w nim próby ogarnięcia tragedii sprzed sześćdziesięciu lat, ale trudno dopatrzeć się w nim nawet elementarnego szacunku dla ofiar: *W przededniu 60-ej rocznicy tragedii wołyńskiej Polacy dwukrotnie znaleźli się w roli katów [Akcja Wisła i Jedwabne], więc przyszedł również czas na ofiary*⁹². Zupełnie inaczej jest z tekstem Myrośława Marynowycza. Czyni on wysiłek, by jego refleksja nad wołyńskim dramatem była uczciwa i pogłębiona. Stanowisko Marynowycza (byłego dysydenta, obecnie prorektora Ukraińskiego Katolickiego Uniwersytetu, człowieka obdarzonego olbrzymim autorytetem moralnym) na temat obchodów wołyńskich jest dla polskiego czytelnika wyjątkowo interesujące, bowiem z jednej strony mamy do czynienia z autorem, który niejednokrotnie udowodnił, iż jest otwarty na racje „innych” oraz że stać go na krytyczny stosunek do własnego społeczeństwa i spuścizny

90. „Wołyń – 1943/1944: newidoma trahedija”, cz. II, *Deń* 16.05.2003. Najbardziej niepokojąca w kontekście wypowiedzi Skipalskiego nie jest jej kuriozalność, lecz fakt, iż żaden z jego rozmówców (począwszy od prowadzącej rozmowę redaktor naczelnej *Dnia* Ł. Iwyszynej przez byłego prezydenta L. Krawczuka, byłego wicepremiera, a obecnie szefa ukraińsko-polskiej grupy parlamentarnej M. Żułyńskiego, deputowanego S. Szewczuka i byłego ambasadora Ukrainy w Warszawie D. Pawłyckę) w żaden sposób nie próbował nawet z nim polemizować, tak jakby przedstawiona przez niego teza była oczywista.

91. S. Sierakowski, „Chcemy innej historii”, *Gazeta Wyborcza* 11.06.2003.

92. W. Pawliw, „Pora hotuwatysja do 100-oj ricznicy «wołyńskoj trahediji»”, *Ukrajinska Prawda* 16.07.2003.

historycznej⁹³, z drugiej zaś strony otwarcie przyznaje się on do tradycji walk narodowo-wyzwoleńczych UPA. Jego ocena fragmentu historii Ukrainy, jaką jest tragedia wołyńska, jest ambiwalentna: *We współczesnej polskiej recepcji historii wydarzeń na Wołyniu i Jedwabnem w pewien sposób się nakładają (...). Bardzo dobrze rozumiem to podświadome pragnienie Polaków, by znaleźć u innych narodów, szczególnie Ukraińców, fakty, które postawiłyby ich w sytuacji jednoznacznej winy. To znaczy w świadomości Polaków Wołyń ma być dla Ukraińców zjawiskiem równorzędnym do Jedwabnego dla Polaków. W polskiej świadomości jest logiczne, że Wołyń – to symbol zbrodni na Polakach. W tym nie ma niczego innego jak biegunowe widzenie historii. Dla Polaków Wołyń – to kopia Jedwabnego, gdzie absolutną winę ponoszą Ukraińcy. Dla Ukraińców Wołyń – to symbol winy Ukraińców i Polaków*⁹⁴.

W obu tekstach mniej lub bardziej wyraźnie obecne jest przekonanie, że obchody wołyńskie są dla Polaków rodzajem „rekompensaty” za sprawę Jedwabnego.

W kwestii budzącej na Ukrainie najwięcej emocji – formy obchodów (co w kontekście ukraińskim sprowadzało się do dylematu: przeproszać czy nie przeproszać Polaków za rzeź na Wołyniu) Marynowycz odpowiadał zdecydowanie: jednostronne przeprosiny ze strony Ukrainy byłyby błędem, bowiem w ten sposób tryumf odniosłaby półprawda, która zniekształca historię⁹⁵. Zwolennikiem obustronnych przeprosin był również Jurij Szapował. Przemawia za tym następująca konstatacja: *nie może być usprawiedliwienia dla żadnej ze stron i [ówczesną przemoc] – jak każdą przemoc – należy potępić*⁹⁶. Podobną strategię prezentował publicysta *Postupu*, Ihor Melnyk: *Oczywiście jakkolwiek zbrodnie przeciwko ludności cywilnej, nawet*

93. Marynowycz był jednym z inicjatorów tzw. listu lwowskiego w sprawie wołyńskiej tragedii, zaś w 2002 r. jednym z organizatorów wspólnych ukraińsko-polskich modlitw na Cmentarzu Łyczakowskim.

94. M. Marynowycz, „Ne majemo prawa jty szlachom prykrych juwilejw”, *Postup* 10–16.07.2003.

95. M. Marynowycz, j.w.

96. J. Szapował, „Czy podołajemo «wołyński syndrom?»”, j.w.

jeżeli dokonywano ich w imię najszlachetniejszych celów, powinny zostać potępione. Jednak nie powinna to być gra do jednej bramki, która z jednych czyni bohaterów, a z innych zbrodniarzy⁹⁷.

Zaskakującą propozycję w sprawie tego, kto ma przeproszać za rzeź na Wołyniu, przedstawił Serhij Szewczuk: *ten konflikt rozpętali okupanci hitlerowscy i, z drugiej strony – totalitarny reżym sowiecki. Dlatego na pytanie kto ma przeproszać logiczna odpowiedź [brzmi]: przeproszać ma pan Putin, ponieważ Rosja jest prawną sukcesorką ZSRR i, wybaczcie, wielki pacyfista Schroeder. Obydwaj*⁹⁸.

Niemąła część uczestników dyskusji uważała, że Ukraińcy nie mają żadnego powodu, aby Polaków za cokolwiek przeproszać: *Czy powinniśmy przeproszać za to, że nie daliśmy się wymordować na swojej własnej ziemi?*⁹⁹ Żaden z okupantów nie ma prawa cegokolwiek od nas wymagać¹⁰⁰, a ponadto Polacy powinni przeprosić: *za wszystkie swoje bezprawia dokonane na okupowanych ziemiach ukraińskich od XIV wieku*¹⁰¹. Wołodmyr Serhijczuk, krytykując list lwowskich intelektualistów, pouczał jego sygnatariuszy, iż powinni byli w nim napisać: *Wybaczamy tym Polakom, którzy byli ślepy m narzędziem w rękach własnych polityków, usiłując nie dopuścić do odrodzenia na odwiecznych ziemiach ukraińskich państwa ukraińskiego, chcieli natomiast w dalszym ciągu budować tu okupacyjną Rzeczpospolitą. Tym Polakom, którzy byli ślepy m narzędziem na antyukraińskiej służbie u hitlerowców i bolszewików. Tym*

97. I. Melnyk, „Pomiędzy dwoma...”, j.w.

98. Wypowiedź S. Szewczuka [w:] „Wołyń – 1943/1944: niewidoma tragedia”, cz. II, j.w.

99. Patrz: m.in. W. Wiatrowycz, „Wybaczennia za...”, j.w.; List 39 deputowanych, j.w.

100. B. Czerwak, „Bij za duszu...”, j.w.; w podobnym tonie utrzymane było „Zapytanie poselskie” (Deputatskyj zapyt) wydrukowane w tygodniku *Wołyń* 4.07.2003. Charakterystyczny jest sam tytuł „Zapytania”: *O celowości przeproszenia przez oficjalne czynniki Niemiec, Rumunii, Węgier, Turcji, Rosji i Polski za zbrojny sprzeciw narodu ukraińskiego wobec okupacyjnych armii tych państw i za wojnę narodowo-wyzwoleńczą narodu ukraińskiego na odwiecznych ziemiach ukraińskich.*

101. Zajawa Switowoho Konhresu Ukrajinciw, j.w.

*Polakom, którzy wypędzili w latach 1944-1946 Ukraińców z Chełmszczyzny, Podlasia, Nadsannia, Łemkowszczyzny. Tym Polakom, którzy przeprowadzili akcję „Wisła”¹⁰². Według ostatniego dowódcy UPA – Wasyla Kuka, ukraińskie przeprosiny byłyby wyrazem niedopuszczalnej słabości: *Historia stosunków polsko-ukraińskich uczy, że pokojowe współistnienie z Polakami możliwe jest tylko wówczas, kiedy nie będziemy słabsi od nich. Kiedy nasze siły będą przynajmniej równe. Dlatego nikt z Ukraińców nie powinien przeproszać ani okazywać skruchy*¹⁰³. Ideowi następcy Kuka nie mieli żadnych wątpliwości, że: *Nie mamy powodów, by wstydzić się własnej historii*¹⁰⁴. Z kolei sygnatariusze listu „Wołyń pamięta” uważali, że przeprosiny ze strony Kuczmy położyłyby kres równoprawnym stosunkom między Ukrainą a Polską.*

Pomimo że głosy „nieprzejednanych” były, być może, najlepiej słyszalne, to jednak w trakcie debaty o wydarzeniach na Wołyniu pojawiły się też głosy zaskakujące w swojej wrażliwości na polską tragedię oraz odważnie próbujące się zmierzyć z własnym dziedzictwem historycznym. Na szczególną uwagę zasługują: Jarosław Hrycak, Myrosław Popowycz, Bohdan Ołeksniuk. Jarosław Hrycak uważał, że Ukraińcy powinni przeprosić za zbrodnie, których dopuścili się ich przodkowie, ponieważ: *Między nami a nimi istnieje genetyczna więź [która sprawa, że] jesteśmy powiązani nitką moralnej odpowiedzialności. (...) Jeżeli emocjonalnie odczuwam dumę z najlepszych i najgodniejszych uczynków [członków mojej] grupy, dlaczego miałbym unikać moralnej odpowiedzialności za ich grzechy i zbrodnie? Bez uznania tej prostej prawdy będziemy skazani na przemilczenia i retuszowanie swojej historii. I dopiero wtedy, kiedy przyjmiemy ją do wiadomości, formuła wybaczymy i prosimy o wybaczenie nabierze głębokiej realnej treści*¹⁰⁵. Myrosław Popowycz szczególnie naciskał na kwestię ukraińskiego rozrachunku z własną przeszłością. Dla niego w miejscach masowych rzezi:

102. W. Serhijczuk, „Trahedija Wołyni”, j.w., s. 6.

103. W. Kuk, „UPA rozkazu ne dawała”, j.w.

104. Zajawa LOO UNA–UNSO, j.w.

105. J. Hrycak, „Nasze i duże nasze hore”, j.w.

powinny zjawić się pomniki smutku, powinniśmy znosić tam kwiaty (...) Powinna to być, we własnym sumieniu, pokuta za grzechy¹⁰⁶. Do przeproszenia Polaków wzywał Bohdan Ołeksiuk: *Niezaprzeczalnym faktem jest zagłada z rąk Ukraińców polskiej ludności cywilnej na ziemi, na której żyła od wieków. Brutalność, która miała tam miejsce, jest niewątpliwa. Dlatego mamy za co przeproszać i teraz powinniśmy to uczynić*¹⁰⁷. Ten sam autor w kolejnym tekście bardzo mocno podkreślał: *Dziś chodzi nie o Polaków, lecz o nas, o naszą świadomość. Usprawiedliwiają zbrodnie przeszłości, bierzemy na siebie odpowiedzialność za ich możliwe powtórzenie się w przyszłości. Potępiając błędy własnej historii, przyrzekamy nie czynić już czegoś podobnego [w przyszłości]. Czy możemy mówić o integracji z Europą, usprawiedliwiając czystki etniczne? Oczywiście, że nie!*¹⁰⁸.

Ważnym głosem w dyskusji o ukraińskich obrachunkach z historią, który jednocześnie można potraktować jako swego rodzaju podsumowanie dyskusji o Wołyniu jest tekst lwowskiego publicysty Oresta Drula „Wszystko jest bardziej skomplikowane”: *Można dowodzić nie my pierwsi zaczęliśmy lub nam więcej uczyniono krzywd, tylko to [jest] niewdzięczny fundament dla wzajemnego wybaczenia: stereotypy zmieniają się nie poprzez buchalterię minionych krzywd, a poprzez zagwarantowanie, że w przyszłości nie powtórzą się etniczne czystki. Naprawdę lepiej obchodzić nie 70-lecie czystek etnicznych, lecz przygotować się do świętowania 70-lecia bez etnicznych mordów. A gwarancją tego, iż ten stan będzie trwał sto, dwieście, tysiąc lat będzie nie pomnik, który nie pozwoli zapomnieć Polakom w Warszawie o wołyńskich wydarzeniach 43-go, lecz prosty krzyż postawiony na polskim cmentarzu w wołyńskiej wsi z własnej woli tamtejszego chłopca – aby nie zapomnieć o placzu niewinnych dzieci, które dzisiaj mogłyby przebaczać*¹⁰⁹.

106. M. Popowycz, „Ce maje buty spokutoju hrichiw...”, j.w.

107. B. Ołeksiuk, „Wołyń: ispyt naszoho sumlinnja”, j.w.

108. B. Ołeksiuk, „Czy musyt' ukrajinijskyj nacionalist...”, j.w.

109. O. Drul, „Ne tak use prosto”, *Lwiwska Hazeta* 17.07.2003.

W swoim tekście starałam się przedstawić wszystkie stanowiska, które pojawiły się w ukraińskiej dyskusji, wobec antypolskiej akcji UPA na Wołyniu oraz kwestii obchodów 60 rocznicy tych wydarzeń. Przywołam jednak niewielką część tekstów, które w ciągu prawie roku pojawiły się na ten temat. Przedstawianie wszystkich nie miałoby większego sensu, bowiem lwia ich część, mimo, że pisana przez różnych autorów, była niezwykle do siebie podobna. Na przykład z bardzo bogatej „wołyńskiej” bibliografii tygodnika *Wołyń*¹¹⁰ przedstawiłam zaledwie kilka artykułów. Takich, które moim zdaniem najlepiej ilustrują poziom publicystyki tego czasopisma: niezmiennie niechętną, żeby nie powiedzieć nienawistną wobec Polski i Polaków. Specjalną „zasługą” tego tygodnika było wprowadzenie do obiegu publicznego zbitki frazeologicznej „okupacja polsko-niemiecka” na określenie lat II wojny światowej.

Bardzo często w omawianych tekstach pojawiał się zwrot „ukraińskie ziemie etniczne”. Posługiwanie się nim miało uniemożliwiać wszelkie dyskusje na temat ukraińskiej odpowiedzialności za mordowanie polskiej ludności cywilnej. Tym bardziej to niepokojące, że w szeregu tekstach ich autorzy przeprowadzali bardzo niebezpieczne utożsamianie walki o własne państwo z mordowaniem bezbronnych ludzi.

Również bardzo często w ukraińskich tekstach pojawiał się zwrot „kontekst historyczny”, który, podobnie jak wyrażenie „ukraińskie ziemie etniczne”, miał za zadanie nie tyle wyjaśnienie przyczyn tragedii wołyńskiej, lecz unieważnienie, a przynajmniej zmniejszenie odpowiedzialności strony ukraińskiej za antypolską akcję UPA. Przy czym ten „kontekst historyczny” w najbardziej skrajnych przypadkach rozrastał się do całokształtu tysiącletniego sąsiedztwa Polski i Ukrainy¹¹¹.

110. Począwszy od pierwszych miesięcy 2003 r. praktycznie każdy numer *Wołynia* przynosił materiały dotyczące „polskich zbrodni na Wołyniu”. W miarę zbliżania się uroczystości w Pawliwce/Porycku w każdym kolejnym numerze tygodnika publikowano 3-4 takie materiały.

111. W. Serhijczuk, „Trahedija Wołyni”, Kyjiw 2003, s. 72-77. Według tego profesora kijowskiego uniwersytetu im. T. Szewczenki: *Jak wiadomo, z wyjątkiem krótkich okresów dobrosąsiedztwa, stosunki te [polsko-ukraińskie] były nieprzyjemne, a nawet wrogie. Przyczyną takiego stanu rzeczy była zaborcza polityka ówczesnych warstw przywódczych polskiego*

W ciągu miesięcy poprzedzających uroczystości w Pawliwce/Porycku dochodziło na Ukrainie do wydarzeń, które trudno inaczej określić, jak szokujące. Takim wydarzeniem było np. odsłonięcie we wsi Bazaltowe (dawniej Janowa Dolina) tablicy pamiątkowej ku czci oddziałów UPA, które właśnie w tej miejscowości w kwietniu 1943 r. dopuściły się jednej z pierwszych masakr polskiej ludności cywilnej¹¹².

Przez cały okres istnienia niepodległego państwa ukraińskiego problematyka polska nie była tak szeroko obecna w tamtejszych środkach masowego przekazu. Niestety, nigdy jeszcze tak dużo złego o Polsce i Polakach tam nie powiedziano i nie napisano, tak w kontekście historii, jak i współczesności. Przeciwnicy polskiego stanowiska w sprawie obchodów 60 rocznicy wołyńskiej tragedii, krytykując polską politykę w tym względzie, nie zawahali się zakwestionować całego dotychczasowego dorobku w stosunkach polsko-ukraińskich i przypisać całej „ukraińskiej” polityce Warszawy wrogie Ukrainie intencje¹¹³.

państwa w stosunku do Ukrainy. Polscy władcy korzystając ze zmniejszenia się niemieckiego nacisku i wycieńczenia, ciągle walczącej z koczownikami, Ukrainy, zaczęli sięgać po ukraińskie ziemie, wbijając tym samym nóż w plecy państwu ukraińskiemu, które odparło dopiero co pierwszy najazd Tatarów na Europę (s. 73).

112. Wołyn 25.04.2003. Warto w tym miejscu przytoczyć inskrypcję zamieszczoną na tej tablicy: *Wmurowano ku czci 60-lecia Ukraińskiej Powstańczej Armii. Tu 21-22 kwietnia 1943 roku sotnie „Hostroho” i „Natywajki” Okręgu Wojskowego „Zahrawa” pod dowództwem pułkownika „Dubowego” zlikwidowały jedną z najlepiej umocnionych baz wojskowych polsko-niemieckich okupantów na Wołyniu – Janową Dolinę (teraz wieś Bazaltowe). W walce zlikwidowano niemiecką i polską załogę, wyzwolono z obozu jeńców wojennych i powstrzymano terrorystyczne akcje przeciwko okolicznym wsiom, które przeprowadzali polsko-niemieccy zaborcy. (...)*

113. Dla tego nurtu charakterystyczne wydają się wypowiedzi w stylu: *Myśleć tak o Polsce [że prowadzi proukraińską politykę] oznacza... naśmiewanie się z Polaków i ich prezydenta. Wszystko, co robi oficjalna Warszawa i Kwaśniewski, wynika z obrony narodowych interesów Polski, a nie ze «szczególnego» stosunku do Ukrainy. Teraz właśnie o stosunku do Ukrainy. W 1991 roku polski sejm odrębną ustawą nadał prawa kombatanckie Polakom, którzy walczyli z «bandami» UPA. To oznacza, że Polska nie jest gotowa poważnie i na poziomie międzynarodowym przemyśleć historyczną przeszłość obydwu narodów. Pozostaje nam tylko przypomnieć Polakom o Wołyniu, o 1943 roku... (B. Czerwak, „UPA, Łyt-*

Dyskusja wołyńska pokazała też w nowym świetle nie małą część elit politycznych nad Dnieprem. Symbolicznym tutaj był fakt, iż wspólna uchwała parlamentów Polski i Ukrainy w sprawie wydarzeń na Wołyniu w Radzie Najwyższej przeszła większością zaledwie jednego głosu. Jeszcze bardziej rozczarowującym był fakt, iż za uchwałą, z liczącego stu deputowanych (prawie jedna czwarta parlamentu), największego ugrupowania opozycyjnego „Nasza Ukraina”, głosowało jedynie 16 deputowanych.

Naszpikowany negatywnymi emocjami i najczęściej nieprzyjazny Polsce ton „wołyńskich” publikacji i wypowiedzi sprawia, że trudno odmówić racji historykowi Grzegorzowi Motyce, który, podsumowując polsko-ukraińską debatę o Wołyniu¹¹⁴, stwierdził, iż obchody 60 rocznicy wydarzeń na Wołyniu oddaliły emocjonalnie od siebie Polaków i Ukraińców, choć jednocześnie ten sam historyk słusznie podkreślił, że dzięki „wołyńskiej” dyskusji ostatnie tabu w stosunkach polsko-ukraińskich zostało przełamane.

Obraz ukraińskiej dyskusji nie byłby pełen, gdyby nie wymienić również jej pozytywnych następstw. Takim w pierwszym rzędzie jest fakt, iż, przy wszystkich dzielących ich różnicach, właściwie żaden z ukraińskich uczestników dyskusji nie kwestionował masowych ofiar po stronie polskiej ludności cywilnej w trakcie antypolskiej akcji UPA na Woły-

wyn i Wołyń”, *Ukrajniskie Slovo* 21–27.11.2002); *Sami nie zauważyliśmy, kiedy nasz doradca i przyjaciel Polska niemal oficjalnie przyjęła na siebie funkcję «adwokata» poniżając Ukrainę sugestią, że ta ostatnia potrzebuje pomocy. Efekty tego «adwokatowania» są znane.* (wypowiedź S. Szewczuka [w:] „Wołyń – 1943/1944: niewidoma trahedija”, cz. II, *Deń* 16.05.2003); *A «adwokatowanie» potrzebne jest tylko bardzo skrzywdzonym i poniżonym (...) Dla mnie, na przykład, nie ma różnicy: co Rosja, co Polska* (wypowiedź L. Krawczuka [w:] „Wołyń – 1943-1944: niewidoma trahedija”, cz. II, *Deń* 16.05.2003); *Z partnera strategicznego Polska przekształca się w strategicznego wroga, a z adwokata Ukrainy w advocatus diaboli, którego działania skierowane są przeciwko Ukrainie, dla dyskryminacji której stosowane są wszystkie możliwe sposoby politycznej dezinformacji, w szczególności, na bazie sfałszowanej historii. Polskę doprowadzono do poziomu ogólnonarodowej szowinistycznej paranoi* (J. Daszkewycz, „Wołyński wuzol”, j.w.).

114. Debata ta, zorganizowana przez Fundację Batorego i *Tygodnik Powszechny*, odbyła się 29 września 2003.

niu¹¹⁵. Na uznanie zasługują ukraińskie media elektroniczne, które w swojej większości (czarnym wyjątkiem był, wspomniany już, program „Pohlad” [„Punkt widzenia”] na kanale „Era”) zrobiły wiele, by wystrzegać się w swoich programach demagogii, populizmu i antypolskiej retoryki.

Dyskusja wołyńska udowodniła też, że jest na Ukrainie niezbyt liczna, lecz zauważalna i wpływowa, grupa liberalnych intelektualistów, którzy, nie wyrzekając się narodowej tradycji, są w stanie odważnie i bez niedomówień mówić o ciemnych kartach własnej historii. Mają też odwagę wziąć na siebie odpowiedzialność za całokształt ukraińskiej przeszłości. Wyjątkową rolę w tym przypadku odegrało szeroko pojęte środowisko kijowskiego miesięcznika *Krytyka*.

Na koniec wreszcie trzeba powiedzieć, że pozytywnym był sam fakt, że uroczystości żałobne w Pawliwce/Porycku doszły do skutku¹¹⁶. Aby lepiej dostrzec i docenić niezwykłość tego, co wydarzyło się 11 lipca 2003 w Pawliwce/Porycku, wystarczy sobie uświadomić, że na terytorium suwerennej Ukrainy, za zgodą i w obecności jej najwyższych władz, Polacy mogli oddać hołd i dokonać symbolicznego pochówku dziesiątków tysięcy swoich rodaków, którzy 60 lat wcześniej zginęli z rąk ukraińskich. Przy polskich mogiłach obok żołnierzy niepodległej Polski na warcie honorowej stali żołnierze niepodległej Ukrainy, a wieńce z biało-czerwonymi szarfami sąsiadowały z tymi, które przepasane były szarfami niebiesko-żółtymi. Aby taka uroczystość była możliwa, obok starań dyplomatycznych i politycznych rachub, potrzebna była ogromna wrażliwość i otwarcie po stronie ukraińskiej. Komentując ukraińską debatę o Wołyniu nie możemy o tym zapominać.

115. Aby uświadomić sobie, jak wielki postęp dokonał się, tutaj wystarczy wspomnieć, iż przez całe dziesięciolecia ukraińska historiografia i publicystyka (ze względów obiektywnych – głównie emigracyjna) kwestionowała sam fakt rzezi na Wołyniu. Jako pierwsi tabu w tym względzie przełamali profesorowie R. Szporluk i F. Sysyn w rozmowie przeprowadzonej z nimi przez J. Jastrzębowskię (*Zeszyty Historyczne* nr 88/1989.). Przy czym nawet po tych wypowiedziach po stronie ukraińskiej w kwestii Wołynia zapadła cisza.

116. Zdziwienie mogą budzić pełne oburzenia komentarze dotyczące samych obchodów: M. Rutkowska, „Falsz pojednania”, *Nasz Dziennik* 12/13.07.2003.; A. Raszkievicz, „Unikają prawdy jak ognia”, *Nasz Dziennik* 15.07.2003.; Z. Gluza, „Przeigrana rocznica”, *Karta* 38/2003.

Trudno formułować ostateczne oceny „wołyńskiej” debaty. Chociażby dlatego, że jest ona ważnym, ale tylko pewnym etapem w ukraińskiej refleksji nad własną historią. Na pewno w jej wyniku odsetek Ukraińców, dla których sformułowanie „wołyńska tragedia” nie będzie już nic nie mówiącym sloganem, znacznie wzrósł. Osobną kwestią jest, z jakimi treściami, wskutek tej debaty, Ukraińcy wiążą i będą wiązać to określenie. Wydaje się, że przynajmniej obecnie, „wołyńska tragedia” jest dla nich synonimem krwawego, ale jednego z licznych, konfliktów, w jakie obfitowała II wojna światowa, szczególnie na przestrzeniach Europy wschodniej. Konfliktu, za zaistnienie którego odpowiedzialni byli i Polacy, i Ukraińcy. *De facto* więc zostało utrwalone wyobrażenie, które przed rozpoczęciem tej dyskusji miała przeważająca część Ukraińców (prawie 38%), spośród tych, którzy w ogóle cokolwiek wiedzieli o dramacie sprzed 60 lat. Otwarte pozostaje pytanie, czy mogło być inaczej, zważywszy na ukraińskie kłopoty z pamięcią i tożsamością historyczną¹¹⁷, wzięwszy pod uwagę kontekst międzynarodowy, który wywołał u części środowisk patriotycznych konieczność obrony „ukraińskich racji wobec polskiego dyktatu” oraz fakt, iż kwestia Wołynia stała się przedmiotem walki politycznej¹¹⁸.

117. O tych problemach bardzo interesująco mówi J. Hrycak w rozmowie z I. Chruślińską i P. Tymą, w *Przeglądzie Politycznym* nr 59/2003.

118. Duża część „wołyńskiej debaty” sprowadziła się do licytacji, kto jest prawdziwym obrońcą godności i interesów narodowych Ukrainy, co nie było bez znaczenia zważywszy, że Ukraina jest w przededniu wyborów prezydenckich. W licytacji tej część reprezentantów obozu władzy, z Kuczma na czele, i ci uczestnicy debaty, którzy nie odrzucali ukraińskiej odpowiedzialności za wydarzenia na Wołyniu, przez pozostałych uczestników dyskusji byli uznawani niemal za zdrajców interesów ukraińskich. Trudno powiedzieć, który z dyskutantów traktował postać ukraińskiego prezydenta jako prawdziwy powód ambiwalentnego stosunku do jego ewentualnych przeprosin pod adresem Polski, a dla kogo był on tylko pretekstem, by kwestię „przeprosin”, czy raczej ukraińskiej odpowiedzialności za wydarzenia na Wołyniu, zdjąć z porządku dnia. Jakkolwiek było, wypada odnotować, że dość liczne były głosy, iż np. przeprosiny pod adresem Polaków byłyby nie na miejscu, lub nie miałyby większego znaczenia ze względu na fakt, iż gest taki miałby wykonać pozbawiony moralnego autorytetu prezydent L. Kuczma. Patrz m.in. K. Bondarenko, „Trahedija Wołyni...”, j. w.; M. Stricha, „Asymetrycznist’ Wołynia”, *Krytyka-Komen-tari*, maj 2003, www.krytyka.kiev.ua/comments/strixa24.html.

„Wołyńska” debata była też kolejną odsłoną w ukraińskim sporze o model tożsamości narodowej Ukraińców (tzn. o to, czy naród ukraiński ma być wspólnotą polityczną, czy wspólnotą krwi). Dyskusja ta nie przyniosła, bo nie mogła, ostatecznych rozstrzygnięć, niemniej na pewno pozytywny jest fakt, iż zwolenników koncepcji narodu jako wspólnoty politycznej nie można było w czasie tej dyskusji nie zauważyć. Dzięki głosom liberalnej inteligencji tragedia wołyńska nie stała się wyłączną domeną władzy i środowisk nacjonalistycznych, dzięki czemu dialog na rzecz ukraińsko-polskiego pojednania będzie mógł być kontynuowany nawet wtedy, kiedy sytuacja polityczna na Ukrainie ulegnie zmianie. Sprawa Wołynia, jak zauważył to Jarosław Hrycak we wspomnianej już debacie zorganizowanej przez Fundację Batorego i *Tygodnik Powszechny*, doprowadziła do zdecydowanego rozejścia się środowisk liberalnych i nacjonalistycznych, tak że ich dalsza kooperacja, w przeciwieństwie do okresu sprzed debaty „wołyńskiej”, wydaje się wręcz niemożliwa.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

CI, CO ODESZLI

Krzysztof GŁUCHOWSKI

CZARODZIEJ POLSKIEGO SŁOWA. MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA (1907-2003)

Maria Danilewicz Zielińska urodziła się 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim, jako córka Antoniny z Korotyńskich i Wilhelma Markowskiego. Ojciec, pochodzący z Podlasia, gimnazjum ukończył w Lublinie, a po uzyskaniu w Moskwie stopnia prowizora farmacji z czasem kupił aptekę w Aleksandrowie. Matka była warszawianką. Razem stworzyli w swym nowym mieście pełen ciepła dom rodzinny. Oboje rodzice szybko zaangażowali się w pracy społecznej. Wychowywała się w atmosferze książek, którymi dom był wypełniony. Zainteresowania kulturalne dziedziczyła zarówno po mieczu, jak i po kądzieli. Była z tego bardzo dumna. Kiedyś pisała mi:

Ja mam życiorysy Dziadka Wincentego Korotyńskiego i trzech jego synów Ludwika, Władysława i Brunona w Polskim Słowniku Biograficznym – to ze strony Matki – a ze strony Ojca Zygmunta Glogera, znawcy staropolszczyzny. Taki bagaż genealogii poza krajem ceni się jeszcze bardziej.

W 1914 roku wybuchy na torach kolejowych wysadzanych przez uciekających Rosjan oznajmiły wojnę i ciężkie czasy. Listopad 1918 roku przyniósł euforię niepodległości. W czasie ostatnich trzech klas pani Maria uczęszczała do

Gimnazjum im. Marii Konopnickiej we Włocławku. Wakacje spędzała na obozach harcerskich. Maturę zdała w roku 1924. W tymże roku rozpoczęła studia na Uniwersytecie Warszawskim, które ukończyła w roku 1929. Jej praca magisterska pt. „Tymon Zaborowski (1799-1828)” otrzymała nagrodę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, by następnie, w rozszerzonej formie, w roku 1933 zostać opublikowana w *Studiach z zakresu historii literatury UW*.

Pani Maria mawiała, że miała szczęście studiować w czasie złotego okresu Uniwersytetu Warszawskiego. Słuchała wykładów profesorów Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Tatarkiewicza, Władysława Witwickiego, Tadeusza Zielińskiego. Należała do grona uczniów prof. Józefa Ujejskiego, który skierował jej zainteresowania na przełom XVIII i XIX w.

W czasie studiów w 1927 roku wyszła za mąż za inżyniera Ludomira Danilewicza, wybitnie zdolnego radiotechnika, jednego z pionierów radioamatorstwa i krótkofalarstwa polskiego. Urodził się 15 maja 1904 roku w Noworosyjsku i po powrocie do Polski ukończył Politechnikę Warszawską.

Jeszcze przed zakończeniem studiów, w czerwcu 1928 roku, pani Maria, z rekomendacji profesora Gabriela Korbuta, została zaangażowana przez założyciela i przełożonego Biblioteki Narodowej Stefana Dembego jako jedna z pierwszych pracowniczek nowo powstałej instytucji.

W ciągu dziesięciu lat pracy w Bibliotece Narodowej przeszła przez wszystkie jej działy i lokale. Wnet stała się jednym z najbardziej cenionych i odpowiedzialnych pracowników.

W 1938 roku dyrektor Stefan Wrteł-Wierczyński powierzył jej organizację i kierownictwo Działu Uzupełnień Zbiorów.

O swoich przekonaniach politycznych pisała mi kiedyś:

Wspomnienie o Marszałku wzruszyło mnie i przypomniało, że Ojciec nazywał go czule „Piłsudź”, umieściłam to w moim opowiadaniu. Gdy mnie w telewizji zapytano o wyznanie polityczne, odpowiedziałam „Piłsudczyca” – prof. Kot nazwał mnie kiedyś „wściekłą piłsudczycą” i tak już zostaną.

W pracy i poza pracą stykała się pani Maria z najciekawszymi ludźmi świata literackiego, naukowego i artystycznego tętniącej życiem przedwojennej Warszawy.

Oczarowana urokiem „Aten Wołyńskich” i związana przygotowaniem doktoratu na temat dawnego Liceum, przez następne dziesięć lat odwiedzała Krzemieniec co najmniej dwa razy do roku.

Równocześnie i jej mąż miał niemałe osiągnięcia. Założył i prowadził wytwórnię sprzętu radiokomunikacyjnego AVA. Gdy wywiad polski zdobył dostęp do niemieckiej maszyny szyfrowej ENIGMA, Ludomir Danilewicz był jednym z tych, którzy rozebrali ją na części i sporządzili pełną dokumentację pomiarową i fotograficzną, która pozwoliła na wykonanie kopii w wytwórni AVA. Umożliwiło to złamanie przez zespół matematyków z Poznania niemieckiego szyfru ENIGMY. W przeddzień wojny, historyczną decyzją, Polska podzieliła się tym sekretem ze swymi sprzymierzeńcami: Anglią i Francją.

We wrześniu 1939 roku ze względu na powiązania z tą największą tajemnicą pan Ludomir dostał polecenie ewakuacji. Wyjechali samochodem do Łucka, co dało możliwość pani Marii pojechania jeszcze do Krzemieńca, zlikwidowania wystawy Słowackiego i zabezpieczenia cennych eksponatów.

Z Łucka zostali ewakuowani poprzez Rumunię, Jugosławię do Francji, gdzie dotarli w listopadzie 1939 roku. Od tego momentu rozpoczęła się dla pani Marii emigracja. W Paryżu pracowała w Polskim Biurze Poszukiwania Rodzin, a następnie w Bibliotece Polskiej. Sama Francja, wraz z Francuzami, stała jakby na uboczu. Paryż był zresztą przytłumiony wojną.

Wnet przyszły ciężkie dni. Pan Ludomir pracujący w przemyśle zbrojeniowym otrzymał rozkaz ewakuacji do Tulle, gdzie zastała ich kapitulacja Francji.

Odcięci od Zatoki Biskajskiej, skąd odpływały transporty do Anglii, pozostali w „wolnej strefie”. Nie udało im się wyjechać do Szwajcarii lub Hiszpanii, a nawet Włoch. Po tułaczce przez Tuluzę, Marsylię i Niceę dotarli do schroniska Towarzystwa Opieki nad Polakami we Francji w Aix-le-Bains w Sabaudii. Miała tam pani Maria trochę szersze

kontakty z Francuzami, energicznie uczyła się też angielskiego, ale równocześnie – dla podniesienia ducha rodaków, w tym jakże ponurym okresie, organizowała odczyty, koncerty, wieczory poetyckie, wydawała prace na powielaczu. Przez cały czas obmyślała wraz z mężem, jak wydostać się dalej.

Wreszcie na wiosnę 1942 roku skrytymi drogami przez Hiszpanię dotarli do Portugalii. Dla pani Marii, po wygłodzonej Francji, największym przeżyciem była tu obfitość pysznych ziemniaków!

Pracowała w dwóch polskich biurach – *attaché* prasowego poselstwa RP oraz wysyłki paczek Czerwonego Krzyża. Pan Ludomir wyłapywał na stacji kolejowej naszych turystów–wojaków i lokował ich w małych hotelikach w oczekiwaniu na transport.

Wreszcie wybawił ich sierpień, 3 czy 4 godziny na spa-kowanie i transport lotniczy latającą łodzią do Anglii. Tu zdumienie, że życie, wbrew niemieckiej propagandzie, płynie normalnie. Pierwsze, niezapomniane wrażenia Londynu należącego do jakże innej, tradycyjnej epoki. Wpłacenie pierwszego czeku zaliczki na nowo utworzone konto w banku na Piccadilly. Angielski kostium tweedowy na miarę. *Lodgings* na Cornwall Gardens z samotnym palnikiem gazowym do gotowania. Porada pani Zosi Makowskiej, kuzynki męża, aby kupić w dziale *second hand* magazynu Marshall & Snellgrove srebrne łyżeczki, bo kosztują tyle, co nowe metalowe.

Pan Ludomir, po miesiącu wojska, wystarał się o przeniesienie do lotnictwa do dywizjonu bombowego. Dopiero pod koniec wojny przeszedł do Polskich Wojskowych Warsztatów Radiowych w Stanmore pod Londynem, gdzie produkowano radiostacje dla Armii Krajowej i aliantów.

Pani Maria rozpoczęła pracę w bibliotece Funduszu Kultury Narodowej, a następnie w 1943 roku objęła zarząd biblioteki powstałej z fuzji bibliotek FKN i Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych. Równocześnie intensywnie uczyła się angielskiego. Wokół wojenna Anglia: regulowane ceny, jedno jajko na tydzień, polowanie na królika bez kartek, przy tym ten wspaniały angielski wynalazek racjonowania mięsa według ceny, a nie wagi, uczciwość, nienaganna dyscyplina społeczna. Zjawisko paniki zupełnie nieznanne.

Biblioteka mieściła się niedaleko Buckingham Palace i Victoria Station – głównych celów nalotów niemieckich. Jako delegatka polska do Books and Periodicals Commission wyłonionej przez Standing Conference of the Allied Ministers of Education, pani Maria miała kontakty oficjalne z Brytyjczykami. Były one żywe i przyjazne, lecz ograniczały się do spraw związanych z pracą, czy to w czasie konferencji w Oksford i Cambridge, czy w zarządzie Inter Allied Book Centre, lub przy organizowaniu w 1944 roku polskiej wystawy w Bodleian Library w Oksfordzie. W rzeczywistości żyła jednak w polskim Londynie. Równocześnie miała nocne dyżury obrony przeciwlotniczej w Stanmore. Wojna przyniosła bomby „V”, przyszły wieści o Powstaniu Warszawskim...

Nadszedł rok 1945, cofnięcie uznania Rządowi RP. Nie był to jednak jeszcze moment zagrożenia dla Biblioteki, wręcz przeciwnie, nastąpił jej rozrost. Aliancka Standing Conference działała dalej. Rozpoczęło się wysyłanie książek do zdewastowanych wojną krajów. Dopiero później przyszedł koniec Polskiego Korpusu Przynależności i Rozmieszczenia oraz kolejne kryzysy zagrażające Bibliotece.

Polski emigracyjny Londyn przybrał swoje formy. Część znajomych angielskich odwróciła się od dawnych sprzymierzeńców. Przyszły czas rozbieżności interesów, pozostawała neutralna życzliwość. Jak to pani Maria kiedyś określiła:

W Wielkiej Brytanii przybysz miał dużą swobodę działania – dawali żyć.

W 1947 roku złożyła angielski egzamin bibliotekarski uzyskując stopień Chartered Librarian ALA.

Biblioteka Polska w Londynie, na czele której stała, stopniowo zdobywała pozycję wśród poważnych bibliotek w Anglii. Powstała Standing Conference on Slavonic and East European Libraries. Wzrastały kontakty z uniwersytetami, jak na przykład poprzez J. S. G. Simmonsa z All Souls College w Oksfordzie, Johna Walla z Bodleian Library w Oksfordzie...

Doktorat uzyskała pani Maria w 1961 roku na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) na podstawie opraco-

wanej przed 1939 rokiem rozprawy pt. „Życie naukowe dawnego Liceum Krzemienieckiego”. Była jednym z założycieli i współpracownikiem nadal istniejącego czasopisma *Solanus (Wiatr od Wschodu)*, organu działów słowiańskich wielkich bibliotek i Biblioteki Polskiej w Londynie. Sekretarowała też w opracowywanym w Londynie *Antemurale*, roczniku Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, a po śmierci ks. Waleriana Meysztowicza i prof. Henryka Paszkiewicza redagowała ostatnie numery.

Uczuciowo związana z Krzemieńcem, utrzymywała żywy kontakt ze środowiskiem krzemienieckim w Londynie.

Pracy nie brakło. Działalność publicystyczna, bibliografie, książki i wreszcie radio. Co tydzień pogadanka w Radiu Wolna Europa. A chętnie słuchano pani Marii w Polsce. Po latach prof. Janusz Ziółkowski spotkawszy ją w Lizbonie pytał:

Czy to pani jest krewną tej, która mówiła nam w RWE o literaturze i tylu innych ciekawych rzeczach wówczas nam niedostępnych?

Bardzo interesowała się młodymi poetami i pisarzami, którzy pojawili się w Londynie w latach 50-tych – Danutą Czech-Bieńkowską, Janem Darowskim, Wojciechem Gniatczyńskim, Zygmuntem Ławrynowiczem, Jerzym Sito, Bolesławem Taborskim czy Florianem Śmieją. Ten ostatni, parę lat temu, wspominając te czasy napisał:

Pewnie do wszystkich klientów i petentów biblioteki podchodziła życzliwie, ale młodych a szczególnie adeptów pióra, hołubiła najcieplej. Podsuwała im lekturę, chętnie radziła, czytała ich pierwsze utwory, służyła opinią, promowała ich na łamach prasy, wymieniała w swych wystąpieniach publicznych.

Po kolejnym kryzysie związanym z decyzją władz angielskich zamknięcia Polish University College, uratowana Biblioteka Polska została przeniesiona do budynku Stowarzyszenia Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego (PUCAL) przy Princes Gardens. Mieściła się stłoczona na parterze i na drugim piętrze. Magazyny znajdowały się w podziemiu. Pani Maria i troskliwie dobrany przez nią zespół biblioteczny – Kazimierz Zdziechowski, Jadwiga Nowakowa, Wanda

Ruszczyc-Fox, Wanda Sokołowska, Zofia Wilczyńska i Halina Choynacka urzędowali przy skromnych stolikach w kąciakach sal gęsto zastawionych półkami. Prace porządkowe wykonywał pan Marian Piliszański rodem z Zaleszczyk (bardzo go lubił Kazimierz Wierzyński, któremu przyrządzał w suterynie mocną kawę).

Jednym z największych osiągnięć pani Marii było przeprowadzenie metamorfozy, która z biblioteki dla studentów przekształciła Bibliotekę Polską w znakomity księgozbiór wydawnictw emigracyjnych oraz poloników w językach obcych.

Ale aby ten skarb naszej kultury mógł istnieć, musiała stoczyć wiele walk, zarówno z naszymi angielskimi gospodarzami, jak i z niektórymi rodakami, którzy nie mogli zrozumieć, że naród, aby móc istnieć, musi mieć zachowane kroniki swej historii.

Kierując Biblioteką Polską pani Maria prowadziła tam również działalność wydawniczą, organizowała odczyty i wystawy, na przykład wspaniałą wystawę w czasie Kongresu Nauki Polskiej, z pięknym katalogiem drukowanym przez Bednarczyków w Oficynie Poetów i Malarzy, wystawę z depozytu dr Karoliny Lanckorońskiej, dotyczącą Jacka Malczewskiego, ze świetnym katalogiem opracowanym przez Mieczysława Paszkiewicza czy też wystawę o szkolnictwie polskim w czasie wojny, powiększenia do której robił pan Ludomir, znakomity fotograf, którego portret pani Marii ozdabia Bibliotekę Polską.

Pan Ludomir po demobilizacji początkowo nauczał na kursach zawodowych dla Polaków. Później po złożeniu angielskich egzaminów i otrzymaniu tytułu Chartered Engineer pracował w firmach angielskich patentując szereg wynalazków. Z poprawą sytuacji materialnej państwo Danilewicz kupili dom w dzielnicy Wembley.

Na życie towarzyskie niewiele pozostawało czasu. Zresztą Londyn jest zbyt wielki, aby temu sprzyjał. I tak płynęło życie w osobnych przedziałach – polskim i angielskim. Trzymała je pani Maria osobno, nie lubiła mieszać. Niemniej coraz silniej była pod urokiem Anglii, jej literatury, zwięzłości, dosadności, humoru i metod pracy. Urok ten trwał do końca życia. Anglia stała się dla niej bliska.

Nadszedł kolejny kryzys zagrażający Bibliotece. Nasi brytyjscy gospodarze doszli do wniosku, że – jak pisał 4 października 1965 premier Wilson do Lorda Barnby:

*.... the Polish community should, as the war recedes in time, cease to be treated as a separate entity and should be increasingly integrated into wider British community...**

Zgodnie z polityką asymilacyjną rząd Jej Królewskiej Mości postanowił wstrzymać subsydia dla Biblioteki. Na domiar złego przyznał się do jej własności. Zdecydował także, że zbiory Biblioteki Polskiej należy rozparcelować i najlepszym rozwiązaniem będzie włączenie najcenniejszej części do księgozbioru Centrum Studiów Rosyjskich Uniwersytetu w Birmingham.

Z miejsca poszły wici, zwarty się polskie szeregi i ruszyliśmy do boju w obronie Biblioteki. Odzew był powszechny. Zjednoczenie Polskie powołało Radę Biblioteczną, w skład której weszli przedstawiciele większości naszych organizacji i społeczeństwa emigracyjnego. Przewodniczącym Rady został płk Stefan Zamoyski, a honorowym sekretarzem pani Maria.

Wobec wielkiego poruszenia, które odbiło się w angielskiej prasie i parlamencie, aby uniknąć kłopotliwej sytuacji, rząd poszedł na kompromis i zrzekł się roszczeń do własności na rzecz POSK. Biblioteka została uratowana.

W walce o Bibliotekę pani Maria odegrała bardzo ważną rolę zarówno w negocjacjach, jak też z energią mobilizując do akcji swych wpływowych angielskich przyjaciół. W uznaniu zasług została odznaczona, przez przebywającego na obczyźnie prezydenta RP, Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta.

Na samym początku lat 60-tych powstała myśl stworzenia w Londynie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK). Pani Maria tak o tym wspominała w jednym z listów:

* ... społeczeństwo polskie powinno, gdy wojna oddala się w czasie, przestać być traktowane jako osobna jednostka i powinno coraz bardziej być włączone do szerszego społeczeństwa brytyjskiego...

Pamiętam, że w roku powstania POSK wracałam z Mężem Ludomirem D. z wczasów w Szwajcarii. Na statku spotkaliśmy inż. Wajdę, który wracał z jakiegoś międzynarodowego kongresu we Francji. Przegadaliśmy na statku kilka godzin. Wajda twierdził, że nie czuje się na siłach a nazwisko jego jest mało znane i nie pociągnie za sobą dostatecznej ilości popleczników. Ludomir twierdził, że – mając za sobą „Dz[iennik] P[olski]” i Techników – może odważnie ruszyć z miejsca i tyle zgromadzić, by wystarczyło na kupno (tak!) dużego domu. Pod uwagę brana była współpraca czy nawet spółka z SPK i Lotnikami. – Myślę, że rozmowa, którą dobrze pamiętam, miała wiele odpowiedników, że rozgorzały dyskusje za i przeciw – tak się zaczęło.

Dla mnie śladem stosunku Ludomira do POSK i Wajdy jest często reprodukowana fotografia (z palcem na ustach). Zrobił ją, gdy wpłacał składkę w pierwszej, jak mi się zdaje, dwudziestce. Rozczarował się później, gdy stałam się, jako obrońca interesów Biblioteki, solą w oku kilku osób z otoczenia Wajdy, zawsze Bibliotece życzliwego. Był pierwszą osobą, którą zawiadomiłam o nagłym zgonie Ludomira w lutym 1971. Myślę, że wiele rzeczy zrobić można było lepiej ale sama wielka koncepcja POSKu jest w moim umyśle nadal słuszna a gmach jest pomnikiem, który słusznie należy ozdobić popiersiem Wajdy.

Nietrudno zgadnąć, że Pani Maria, całkowicie oddana Bibliotece Polskiej, uważała ją za najważniejszy cel. Przy tym, z niewielkimi wyjątkami, uważała techników (i wielu nie-techników) za filistrów, co oczywiście nie spotykało się z ich wielkim entuzjazmem. Będąc osobą energiczną i bez reszty poświęconą idei, była trochę dyktatorem. W atmosferze, jaka się wytworzyła, spotkało panią Marię szereg niemiłych afrontów, które bardzo ją dotknęły i pozostawiły głęboki żal do Londynu.

25 lutego 1971 roku zmarł mąż pani Marii, Ludomir Danilewicz. W dwa lata później owdowiała pani Maria wyszła za swego byłego szefa z portugalskich czasów wojennych, również owdowiałego dr. Adama Kazimierza Zielińskiego. Połączone to było z zasadniczą decyzją wyjazdu z polskiego Londynu do słonecznej, ale odległej Portugalii.

Adam Zieliński urodził się w 1902 roku w Monastyrzyskach w powiecie Buczacz. Uzyskał doktorat prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Przed wojną pracował jako radca w Ministerstwie Komunikacji opracowując

wydawnictwa i przewodniki turystyczne. Od roku 1941 był *attaché* prasowym Poselstwa RP w Lizbonie oraz kierownikiem placówki Ministerstwa Informacji i Dokumentacji. Pasją życiową pana Adama było kolekcjonowanie poloników, a również opracowywanie i publikowanie prac o stosunkach i kontaktach polsko-portugalskich. W pobudowanym przez siebie dworku w Feijó pod Lizboną zgromadził wspaniałą kolekcję map, rękopisów i druków. Stąd Portugalia, inna od Anglii i Francji, nie miała dla pani Marii w gruncie rzeczy charakteru emigracyjnego. Ot, najdalej na zachód wysunięty dworek polski w Europie.

I znów praca pisarska i publicystyczna. Trzy tomy bibliografii zawartości *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*, „Mickiewicziana” (3 lata życia). Co tydzień pogadanki radiowe nagrywane na taśmy i wysyłane do Monachium. I oddźwięk z kraju – przedruki szkiców w tajnych wydawnictwach, które bardzo sobie pani Maria ceniła, i listy od słuchaczy („skąd oni mieli adres?”). Wszystko to dawało jej dużą satysfakcję. Później „Solidarność”, której zmagania bardzo przeżywała. Wreszcie przełomowy rok 1989, zmiany w Polsce, koniec Emigracji Politycznej. Otwarte, bezpośrednie kontakty z Krajem, przyjazne stosunki z Ambasadą RP w Lizbonie.

Niestety przysłała choroba męża. Wizyta ambasadora przy łożu śmierci i order od wdzięcznej Rzeczypospolitej miały ogromną wagę dla konającego emigranta. Zmarł 28 grudnia 1991 roku.

Ponownie owdowiała pani Maria nie poddała się rozpacz. Jak mi mówiła, może miałaby ochotę dalszej emigracji do Szwajcarii, ale i wiek, i ograniczone możliwości finansowe na to nie pozwalały. Tak więc pozostało życie w wypełnionym polonikami i przedmiotami artystycznymi dworku w Feijó. Ale jak pani Maria to stwierdziła, była tam wolnym człowiekiem i panem swego czasu.

Wiek, stan zdrowia i irracjonalne opory psychiczne uniemożliwiają mi podróże do Londynu, Paryża, Genewy i Kraju, choć mam kilka ciekawych i ważnych zaproszeń. Ale i w Portugalii mam pole do działania a nadto wierzę, jak napisałam w początku listu, w potęgę poczty i słowa pisanego. (3.10.1992)

Gdy w 1970 roku wyjechałem z Londynu, zupełnie straciłem kontakt z panią Marią. Dopiero po przejściu na emeryturę, kiedy znalazłem się w Rio de Janeiro, w 1992 roku nawiązaliśmy korespondencję. Byliśmy dwojgiem emigrantów z polskiego Londynu do ciepłych krajów i choć dzielił nas ocean, łączyły więzy wspomnień i zainteresowań.

Tylko raz udało mi się odwiedzić panią Marię w Feijó. W sierpniu 1993 roku lecąc do Londynu po drodze zatrzymałem się w Lizbonie. Ze wspianiałej Praza do Comercio z nadbrzeża celnego wsiadłem na prom, aby przepłynąć rozlewne ujście Tagu. Po przeciwnej stronie rzeki z ruchliwej przystani dalej autobusem, który, po kilku kilometrach, wjechał na pagórek Gato Bravo, czyli Dziki Kot, i zatrzymał się przed bramą w białym murze otaczającym parkowy ogród z sosnowym laskiem, w którym stał dom. Całość nosiła miano Quinta das Romazeiras, ale również znana była jako Casa do dr Polaco. Już wtedy widać było rozbudowujące się wokół przedmieścia i Quinta das Romazeiras stanowiła prawdziwą oazę drzew, krzewów i kwiatów.

Przez cudne kilka dni na Quinta das Romazeiras gwarzyliśmy o dawnych londyńskich czasach i emigracyjnych wędrownkach.

O ile na to pozwalały rozliczne telefony przyjaciół z całego świata, siadaliśmy wśród kwiatów pod błękitnym niebem, zastanawiając się, do jakiego stopnia wpływają na emigranta odległość i otoczenie, zrazu obce, z czasem coraz bardziej swojskie.

Pani Maria opowiadała mi, jak poprzez kontakty z prof. Luisem Ferrandem d'Almeida z Uniwersytetu w Coimbra czy dr Libą Lucią Mucznik z Biblioteki Narodowej Portugalii informowała Portugalczyków o Polsce i polonikach. W październiku 1992 roku doprowadziła do otwarcia wystawy „Imagem da Polônia” w Bibliotece Narodowej w Lizbonie.

Ale Portugalia pozostawała w gruncie rzeczy za płotem, żyjąca swym życiem, które nie mąciło sielanki polskiego dworku na Gato Bravo.

Pani Maria bardzo lubiła zwierzęta i opiekowała się całym stadem, jak przystało na Gato Bravo, półdzikich kotów. Przychodziły łasić się i w nagrodę dostawały porcję sardynek.

Początkowo listy Pani Marii pisane były na maszynie. Później, gdy maszyna wymówiła posłuszeństwo, a jak donosiła – „portugalscy mechanicy boją się polskich czcionek jak ognia” – dostawałem ręcznie pisane listy i karteczki.

Stale aktywna, korespondowała z całym światem. Z Ambasadą RP stosunki były częste i miłe, ciągle przywozili do Gato Bravo swych dostojnych gości. Z Polski poczta przynosiła przesyłane przez autorów książki i nieustające pytania młodych literatów: „Co pani myśli o tej czy innej pracy?”

Pełna entuzjazmu zachęcała do twórczości i pomagała wszystkim jak mogła. Miała wielki dar łączenia ludzi.

Ponieważ zacząłem pisać, pani Maria roztoczyła opiekę i nad moimi początkowymi krokami. Gdy posłałem jej pierwszy egzemplarz moich wspomnień „W polskim Londynie 1947-1970” z prośbą o przedmowę, pani Maria nie tylko ją napisała, ale z miejsca posłała egzemplarz do redaktora Giedroycia i w rezultacie jedna trzecia londyńskich wspomnień ukazała się w *Zeszytach Historycznych*. Z wydania moich wojennych wspomnień „Śladami pradziadów” bardzo się cieszyła.

Dzieliła się ze mną wiadomościami o swoich nowych wydawnictwach w Kraju, zawsze pisanym przez duże K. Pisała też o tym, co miała na warsztacie.

Dopada mnie starość. Bronię się resztkami sił i każdą wygodniejszą chwilę spędzam przy starożytnym portableu, przepisując brulionową wersję wspomnień z 20-lecia pod prowizorycznym tytułem „Sen pamięci” – Uniwersytet, sporty wodne, Bibl[ioteka] Narodowa, debiut książkowy. Coś w rodzaju Pana wspomnień o Emperor's Gate. (Podobały się, pisz Pan dalej). (25.05.1994)

Bardzo mnie takie zachęty podtrzymywały na duchu. Z humorem narzekała na starość.

I tu kończę, zmęczona długim pisaniem. Kostucha czyści komin, widocznie wybiera się w podróż do mnie, ale ja – jak należy – „skrzywiona i słaba” nie daję się. Łatwiej się zestarzeć, niż przestać czuć się na chodzie i rezygnować. (21.01.1997)

Zgodnie z testamentem pana Adama przekazała cały

zbiór map na Zamek Królewski w Warszawie. Przyjechał po nie dr Andrzej Derelkowski wówczas jeszcze kustosz, a obecnie wicedyrektor Zamku.

Odwiedzały też panią Marię ekipy telewizyjne z Warszawy, Krakowa i Wrocławia. O rezultatach pisała jak zawsze z humorem.

Wczoraj w TV „Polonia” szedł program pt. „Antologia literatury emigracyjnej”, w którym pokazywano po kolei sylwetki Miłosa, moją i Kossowskiej. Ogród i koty wypadły lepiej ode mnie. (5.12.1998)

Telewizja stanowiła dla pani Marii nie tylko łączność z Polską, ale również pozwalała patrzeć na rozgrywki piłki nożnej, co było jej, jak mi kiedyś pisała, „ukrywaną przed światem namiętnością”.

Pielgrzymów muzealno-biblioteczno-literackich do Quinta das Romazeiras nigdy nie brakowało. Odwiedzali panią Marię prof. Andrzej Kłossowski wicedyrektor Biblioteki Narodowej, a następnie z UMK w Toruniu z żoną Małgorzatą, dyrektorem Biblioteki Pracy, dr Hanna Świdorska z Londynu, Stefania Kossowska, dr Mirosław Supruniuk z Archiwum Emigracji Biblioteki UMK w Toruniu, dr Janusz Odrowąż-Pieniążek, delegat Polskiego PEN-Clubu i dyrektor Muzeum Literatury, prof. Wojciech Skalmowski z Louvain, prof. Henryk Siewierski z Brazylii, prof. Florian Śmieja z Kanady, prof. Włodzimierz Paźniewski...

Z kraju nadchodziły stale dowody uznania. Na 50-lecie Biblioteki Polskiej w Londynie prezydent udekorował panią Marię Komandorią Orderu Odrodzenia Polski, a Biblioteka Narodowa oddała jej hołd osobną częścią wystawy poświęconej jubileuszowi. Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich i Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza w Warszawie mianowały Honorowym Członkiem. Aleksandrów Kujawski i Włocławek nadały jej honorowe obywatelstwo. Szkoła podstawowa w Stawkach otrzymała jej imię...

Szczególnie radowała się pani Maria szacunkiem ze stron rodzinnych:

Moi kujawscy wielbiciele szaleją: 18 listopada Aleksandrów

Kujawski celebrytuje w Urzędzie Miejskim moje honorowe obywatelstwo, u którego podłoża są starożytnie (bo z lat 1950-ych) opowiadania o akcji ulokowanej w moim rodzinnym grajdołku. W związku z tym odwiedziła mnie b. sympatyczna i mądra dyrektorka lokalnej szkoły [Małgorzata Wdowczyk] i, oprócz miodu i toruńskich pierników, przywiozła mi potężną dawkę wspomnień/przypomnień, które teraz a raczej dotąd nie dają mi spać. Może to sygnał bliskiego finału, przed którym – powiadają – przypomina się młodość. Jak by nie było, okazją jest nadanie Szkole Podstawowej i Gimnazjum w Stawkach mojego patronatu. (29.07.2000)

W tym samym liście pisała też o wysiłkach upamiętnienia prawdy historycznej:

...przed kilku godzinami pożegnał mnie po tygodniowym pobycie Dr Jan Danilewicz, bratanek Ludomira. Roztrząsałam z nim, na użytek autora książki anglijskiej o „Enigmie” Mr. Hugh Sebald-Montefiore’a to co pamiętamy i wiemy na temat początku złamania niemieckiego code’u – na użytek paperbacku nowowydanej książki pt. „Enigma. The battle for the code” (Weidenfeld & Nicolson), w której nie doceniono roli „AVY” (choć są wzmianki) i Pallutha, którego dobrze znałam. Znosi się na zmiany w paperbacku. A więc Kujawy i „Enigma”.

Wśród lokalnych przyjaciół najserdeczniej opiekowali się panią Marią państwo Gabriela i Jerzy Słomkowie. Mieszkali w Estoril po drugiej stronie Tagu, ale odwiedzali Quinta das Romazeiras regularnie, zabierali panią Marię na wycieczki samochodem, a i Święta spędzała razem z nimi.

Od nich też dostałem wiadomość o chorobie pani Marii, prawdopodobnie z wylewem w mózgu i o pożarze, który całkowicie zniszczył jej pracownię wraz z biblioteką i archiwum. Pożar spowodowała nieuważna pielęgniarka, która zostawiła ogień na kominku i poszła spać do pokoju pani Marii.

Trudno jest wprost uwierzyć, że w dwa tygodnie po katastrofie pani Maria powróciła do korespondencji:

Odzywam się w pierwszym dniu po opuszczeniu łoża boleści, bo przekazano mi pozdrowienia od Pana, pierwszy raz ze „świata”, bo dotąd moje kłopoty znane są tylko lokalnie. Były więc 1) zapalenie płuc w lekkiej formie, i 2) pożar, który wypalił meble, książki, papiery w pokoju z kominkiem, reprezentacyjnym i ulu-

bionym. Koty i ja przeżyliśmy ten kataklizm, ale powrót do życia przychodzi opornie, czarne myśli doskwierają i nie dają się skupić na lekturze nawet b. zajmującej.” A w kąciku na górze karteczki „Czy otrzymał Pan „Fado o moim życiu”? (10.02.2001)

... Z trudem staram się odhodować przy pomocy przyjaciół, którzy mnie nie zawiedli i nie zawodzą nadal. Wizyta Jovanki Čirlić sprawiła mi wielką przyjemność, żyję jej wspomnieniami i dowodami troski o moje samopoczucie... Odwiedzili mnie „angielscy” Danilewicze a na koniec maja zapowiada się dalszy ciąg dawnych i nowych przyjaciół. Znosi się też na moją nową książkę o stosunkach polsko-portugalskich – teksty 38 pogadanek radiowych. (30.04.2001)

W listach nadal dostawałem opinie, porady i zachętę do działania. W tym czasie pracowałem nad tłumaczeniami poloników z dickensowskiego „All the Year Round”, którymi pani Maria się interesowała. Niestety zdrowie coraz bardziej szwankowało. Miała trudności z chodzeniem, zawroty głowy...

Choruję, – dlatego musi się Pan zadowolić kartką pisaną ukradkiem, bo czytając i pisząc łamię zakazy portugalskiej lekarki. (18.08.2001)

słyszę, że niepokoi się Pan moim milczeniem: zły stan zdrowia i lenistwo z nim związane w połączeniu z odległą datą urodzenia składają się na piękną całość i zwalczają dobre chęci. Podczas bezsennych nocy układałem długie listy z opisem moich zatrudnień i nawet! sukcesów i z tego nici, guzik i kropka. (14.05.2002)

W ostatnim liście, jaki dostałem od pani Marii, pisała:

Dziękuję za list z 30.VII i, korzystając z poprawy zdrowia, staram się odpowiedzieć na gorąco na zawarte w nim pytania. Opowiadam się zdecydowanie przeciwko łączeniu tekstu angielskiego i polskiego – to muszą być organizmy zdolne do samodzielnego życia, będą inaczej odbierane: przez Polaków jako lektura „swobodna”, przez cudzoziemców połączona z tłumaczeniem zawilości tekstu i znaczenia poszczególnych słów. Wspomina Pan ilustracje – trzeba je powtórzyć i traktować obie wersje jako samodzielne publikacje. (28.09.2002)

W lutym 2003 r. nastąpił mały wylew. Lecz po powrocie ze szpitala, jak mi pisali państwo Słomkowie, którzy wraz z

księdzem Jerzym Prędko z zakonu Marianów, nadal często odwiedzali Feijó, można było rozmawiać z panią Marią bez trudności. Bardzo się ucieszyła zapowiedzianym wydaniem przez Akademię Polonijną w Częstochowie dwujęzycznej książki „Dickens i Polska”.

22 maja 2003 roku e-mail z Biblioteki Polskiej przyniósł wiadomość o jej śmierci.



Czas zatrze dobrze wydeptaną ścieżkę do najbardziej na zachód położonego polskiego dworku w Quinta das Romazeiras pod Lizboną, gdzie pod słonecznym niebem, wśród sosnowego lasu i kwiatów, jak w baśni żyła pani Maria, ten wspinały czarodziej polskiego słowa. Sędziwy już miała wiek, ale do ostatnich dni nie nosząc żadnych oficjalnych gronostaj, ani nie będąc w stanie obdarzać nikogo doczesnymi dobrami, przyciągała do siebie wszystkich, młodych i starych, gdyż była dla nich źródłem entuzjazmu i nowych pomysłów. Odeszła od nas, ale pozostała w naszych wspomnieniach i wdzięczności.

Rio de Janeiro

Krzysztof GLUCHOWSKI

Adam GAŁKOWSKI

LESZEK TALKO (1916-2003) O BIBLIOTECE POLSKIEJ W PARYŻU

Pomysł przeprowadzenia wywiadu z Leszkiem Talko dla *Kultury* narodził się w listopadzie 1999 r. Ówczesny prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego, szczerze przejęty

problemami Biblioteki Polskiej, działał z ogromnym entuzjazmem i wiarą w powodzenie misji rozwiązania najważniejszych problemów tej instytucji. Otóż w pewnym momencie uznał, że publikacja jego opinii, będącej zarazem swego rodzaju relacją z przebiegu różnorodnych działań w Paryżu, Warszawie i Krakowie, pomoże sprawie i ułatwi mu dalsze rozmowy i negocjacje, a z drugiej strony pozwoli szerszej opinii na bieżąco śledzić stan rzeczy związanych z Biblioteką.

Przekonany o słuszności pomysłu i pilnej potrzebie jego realizacji, odłożyłem inne sprawy na bok i czekałem na dogodny termin spotkania. Zbliżające się święta, jak również częste, a trudne do przewidzenia podróże Leszka Talki do Polski sprawiły jednak, że najbliższa okazja do rozmowy pojawiła się dopiero w pierwszych dniach stycznia 2000 r. Parę tygodni później pierwsza wersja tekstu została zredagowana i przedłożona mojemu Rozmówcy do „recenzji”. I odtąd stanęliśmy w miejscu. Prezes Talko generalnie zadowolony z tekstu, prosił jednak o cierpliwość w jego publikacji, bo właśnie w Krakowie toczą się kolejne negocjacje, może więc dorzucimy jakąś nową o nich informację, a zbyt pospiesznym drukiem niechcący im zaszkodzimy... Parę razy jeszcze wywiad konsultowaliśmy i poprawialiśmy, aż w końcu przyszły letnie wakacje, a jesienią 2000 r. mój Rozmówca doszedł do wniosku, że może już za późno na druk wywiadu, bo sprawy zaszyły o wiele dalej...

Propozycja Redakcji *Zeszytów Historycznych*, by sięgnąć do archiwum *Kultury* i powrócić do tego materiału, wydaje mi się godna uwagi z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że przypomina poglądy Leszka Talki na Bibliotekę Polską i jego pozytywną, nowoczesną wizję rozwoju tej instytucji. Ale jest w tym równocześnie niepowtarzalna okazja, by oddać hołd – jakże zasłużony! – wielkiemu społecznikowi, bezgranicznie oddanemu najważniejszym sprawom polskim we Francji. I tu pewna dygresja *à propos*, doskonale ilustrująca osobowość Pana Leszka.

Od lat za namową przyjaciół pisał wspomnienia. Odtworzenie i opisanie tej biografii, tyleż barwnej, co pełnej dramatycznych przeżyć, naprawdę wymagało niemało pracy,

poświęcenia i skupienia, lecz Autorowi i Bohaterowi tej biografii nigdy nie starczało czasu, by ją ukończyć. Gdzież tam ukończyć! Kiedy o stan tej pracy zapytałem go w połowie grudnia 2002 r., odpowiedział, że właśnie doszedł do lat pięćdziesiątych... Teoretycznie zgadzał się, że to praca bardzo ważna, zwłaszcza wobec tego, co niekiedy wypisują francuscy historycy o udziale Polaków w II wojnie światowej. I cóż z tego! Kiedy dochodziło do wyboru pomiędzy historią a przyszłością, u Pana Leszka zawsze zwyciężała przyszłość. Było rzeczą oczywistą, że kombatant Leszek Talko nie miał szans w konfrontacji z Leszkiem Talko romantykiem i wizjonerem. Ta bardzo ważna okoliczność lepiej pozwala zrozumieć podziwu godny, pełen pasji i zaangażowania stosunek mojego Rozmówcy do Biblioteki Polskiej.



ADAM GAŁKOWSKI: – *Czym jest dzisiaj Biblioteka Polska w Paryżu?*

LESZEK TALKO: – Tę najstarszą polską instytucję na obczyźnie nazywa się niekiedy małą Biblioteką Narodową. I nie ma w tym żadnej przesady, w różnych bowiem okresach naszej historii pełniła ona taką właśnie rolę. Wystarczy przypomnieć, iż to właśnie w kamienicy przy 6, quai d'Orléans przechowywane są rękopisy Adama Mickiewicza, pamiątki po Fryderyku Chopinie, kilka kolekcji muzealnych i wiele podobnych dóbr kultury narodowej ogromnej wartości historycznej.

A.G.: – *Ale tej skądinąd pierwszorzędnej placówki kulturalnej, pomimo oddalenia od granic Polski, także nie oszczędziły zawieruchy dziejowe...*

L.T.: – To prawda, szczęśliwie jednak, dzięki ogromnemu poświęceniu grupki pracowników z ówczesnym dyrektorem Franciszkiem Pułaskim na czele, udało się najcenniejsze skarby przed niemieckim okupantem uchronić, a co zostało wywiezione – w większości powróciło na swoje miejsce.

Kłopoty Biblioteki Polskiej nie skończyły się jednak z chwilą zakończenia II wojny światowej. Sytuacja polityczna kraju *nolens volens* uczyniła z Biblioteki i innych instytucji emigracyjnych na Zachodzie bastiony polskości i niezależnej kultury polskiej. Nie utrzymując żadnych kontaktów z ambasadą i konsulatem w Paryżu, równocześnie nasza placówka udzielała wszelkiej niezbędnej pomocy tym wcale jeszcze nielicznym badaczom przybywającym nad Sekwanę i – bywało – za ich pośrednictwem utrzymywała nieformalne więzy z krajem.

Zmieniać zaczęło się dopiero po roku 1989. Nawiązaliśmy pierwsze kontakty z polskimi instytucjami kulturalnymi i naukowymi, które to kontakty – chciałbym to z wdzięcznością podkreślić! – w ciągu kilku minionych lat okazały się dla nas niesłychanie owocne. Dzięki umowie z Ministerstwem Kultury już od roku 1993 zaczęli do nas przybywać wybitni specjaliści z dziedziny konserwacji i opracowywania rękopisów. Szczególnie ciepło wspominamy pracowników Biblioteki Narodowej w Warszawie, z którymi współpracę zaczęliśmy najwcześniej i z którymi przybrała ona największe rozmiary. Później wiele pomagali nam specjaliści z Biblioteki i Muzeum Czartoryskich oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, z Biblioteki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. To właśnie między innymi dzięki ich pracy w tym okresie udało się opracować pięciotomowy inwentarz (księgi akcesji rękopisów). Do dzisiaj zinwentaryzowano większość naszych zbiorów archiwalnych, a nasze mickiewicziana dostępne są już w dziale mikrofilmów Biblioteki Narodowej. Innym przykładem współpracy z instytucjami krajowymi może być wystawa naszych najcenniejszych zbiorów w Bibliotece Narodowej w Warszawie w 1994 r. Trzy lata później w Muzeum Secesji w Płocku zorganizowaliśmy wystawę malarstwa i rzeźby Bolesława Biegasa. Wystawa cieszy się powodzeniem, trwa do dziś i w związku z tym jej eksponaty pozostaną w formie depozytu w Płocku znacznie dłużej.

Biblioteka wiele zyskała na zmianach w Polsce. O ile wydaje się, że jeszcze do roku 1989 byliśmy instytucją w pewnym sensie XIX-wieczną, to w upływającej dekadzie

pośpiesznie, z coraz większym udziałem instytucji znad Wisły, szykujemy się do wejścia w wiek XXI.

A.G.: – *Porozmawiajmy jednak najpierw o problemach Biblioteki. Jednym z nich jest jej statut prawny. A zaczęło się tak: W roku 1890 Towarzystwo Historyczno-Literackie (TH-L), zatroskane przyszłością Biblioteki, a nie znajdując godnych następców w nowych generacjach imigrantów, postanawia powierzyć losy Biblioteki instytucji krajowej...*

L.T.: – ... i była to decyzja w pewnym sensie nieunikniona. Wielka Emigracja już prawie nie istniała, emigracja postyczniowa również się wykruszyła. Towarzystwo, z każdym rokiem coraz słabsze, nie miało już ani sił, ani środków na utrzymanie Biblioteki. Trzeba było szybko znaleźć jakieś rozwiązanie. Oczywiście większości zwróciły się w stronę Galicji, panująca tam bowiem od pokolenia autonomia kulturalna przynosiła już owoce. Nawiązano kontakt z krakowską Akademią Umiejętności.

A.G.: – *To wszystko są fakty znane z literatury, ale przypomnijmy: 18 września 1891 r. prezes Towarzystwa, książę Władysław Czartoryski, podpisuje w Krakowie umowę („projekt układu”) z władzami Akademii, w wyniku której Towarzystwo to – jak czytamy w jego dokumentach – „dotrzymawszy upoważnienie w dekreście Prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej z dnia 2.VII.1891, przekaże na własność Akademii swój majątek ruchomy i nieruchomy, obejmujący Bibliotekę Polską w Paryżu i inne zbiory Towarzystwa, dom w Paryżu [przy] 6, Quai d’Orléans, w którym te zbiory się mieszczą, oraz kapitał [...]”. 16 stycznia 1893 r. sekretarz generalny AU, Stanisław Smolka, podpisał w Paryżu stosowny akt urzędowy i od tej chwili siedziba Towarzystwa i Biblioteki oraz jego zbiory i kapitały przeszły w ręce krakowskiej Akademii, samo zaś Towarzystwo, zgodnie z umową, zakończyło swoją działalność.*

L.T.: – Warto tu może jeszcze dodać, że wszystko to było przez emigrację dyskutowane i nie panowała bynajmniej w tej

sprawie jednomyslność. Do Towarzystwa napłynęło wiele protestów, gdyż część wychodźców była przeciwna takiemu rozwiązaniu. Lepszego jednak nie wymyślono. Ponadto Towarzystwo Historyczno-Literackie podpisując umowę z krakowską Akademią nie przestało istnieć, a jedynie przeszło w stan hibernacji.

A.G.: – *Tamto rozwiązanie funkcjonowało i przetrwało pomimo różnych zawirowań aż do roku 1939 i pewnie, gdyby nie wybuch wojny, trwałoby nadal. Jaki był – Pana zdaniem – bilans tamtego okresu. Czy przyjęta 110 lat temu forma egzystencji okazała się dla Biblioteki korzystna?*

L.T.: – Krakowska Akademia odegrała – trzeba to podkreślić! – bardzo pozytywną rolę w przyszłym utrzymaniu paryskiej Biblioteki. Wprawdzie w pierwszych latach po I wojnie światowej pojawiały się pomysły przeprowadzki zbiorów do Polski, jednakże otwarcie Instytutu Francuskiego w Warszawie w 1925 r. postawiło przed naszą Biblioteką nowe zadania, w związku z którymi miała jednak pozostać tam, gdzie jej miejsce – nad Sekwaną – dzięki czemu nie podzieliła losu innych cennych księgozbiorów i archiwów, jakie wówczas do kraju powróciły. Chodzi zwłaszcza o Bibliotekę Rapperswilską, doszczętnie spaloną przez Niemców po Powstaniu Warszawskim. Rząd polski, od drugiej połowy lat dwudziestych, zaczął łożyć poważne sumy na reorganizację Biblioteki Polskiej i odbudowę domu. Działalność Biblioteki miała przybrać charakter naukowy i ułatwiać badania nad współczesną Polską. W tym celu w 1934 r. przy Bibliotece utworzono Centrum Studiów Polskich.

A.G.: – *Jak wygląda sytuacja prawna Biblioteki dzisiaj?*

L.T.: – Do roku 1946 stan prawny Biblioteki nie budził żadnych wątpliwości. Został uregulowany w 1893 r. i wszyscy byli zadowoleni. Dopiero sytuacja, jaka zaistniała po II wojnie światowej, wymusiła zmiany. Zapoczątkowane formalnym

rozdzieleniem Stacji Naukowej i Biblioteki na Walnym Zgromadzeniu PAU w Krakowie w czerwcu 1946 r., zostały przyspieszone rozwiązaniem PAU w roku 1952. Emigracja, zaszokowana rozwojem sytuacji politycznej w Polsce, przywróciła do życia Towarzystwo Historyczno-Literackie, którego pierwszorzędnym celem stało się teraz uniezależnienie Biblioteki od instytucji krajowej. Poczuwając się do moralnej odpowiedzialności za Bibliotekę Polską i jako jedyna reprezentacja emigracji w tej sprawie, Towarzystwo pragnęło uzyskać historyczne prawa do tejże Biblioteki. Wytoczyło likwidatorom PAU proces o unieważnienie krakowskiej umowy sprzed pół wieku. Rozprawy odbyły się w dwóch instancjach, w 1956 i 1959 r. Sąd Apelacyjny miasta Paryża, mając trudność w wydaniu jednoznacznego werdyktu, podjął decyzję niejako salomonową – Biblioteka Polska jest *res nulli*, czyli nie należy do nikogo, a więc nie ma właściciela. Polska Akademia Umiejętności – dlatego nim nie jest, bo już nie istnieje, Towarzystwo Historyczno-Literackie – również nie, gdyż nie jest formalnie kontynuacją dawnego Towarzystwa (czytaj: w jego szeregach brak żyjących członków dawnego Towarzystwa). Nowe Towarzystwo, jako instytucja użyteczności publicznej, jest natomiast właścicielem zbiorów nabytych przez Bibliotekę po jego utworzeniu w 1946 r. Do rozstrzygnięcia pozostaje więc sprawa własności zbiorów pozostałych, historycznych i zarazem najcenniejszych, oraz budynku. Czasowo są one podporządkowane jurysdykcji administratora sądowego powołanego przez francuski trybunał (obecnie jest nim p. Henri Gondre). TH-L zaś tym wszystkim w charakterze dzierżawcy zarządza, płacąc administratorowi czynsz, z którego z kolei ów zarządca w części finansuje koszty administracji. Obecnie Towarzystwo ma zapewnioną „dzierżawę” do roku 2030.

A.G.: – *Formalnie więc wszystko jest w porządku, ale nie o takie uregulowanie przecież chodzi?*

L.T.: – To prawda. Francuzi zdają sobie sprawę ze szczególnego znaczenia tego miejsca dla emigracji i całej kultury polskiej, stąd ten z pozoru dziwaczny wyrok sądu. Do 1989 r.

jednak zabezpieczało to Bibliotekę przed jakimikolwiek pretensjami ze strony instytucji krajowych. Nieoficjalnie przyznawali nam prawo moralne do władania tym historycznym majątkiem, nie mogli jednak tego w pełni zaaprobować. Niemniej w roku 1959, a więc kiedy zapadł wyrok sądu, Izba Deputowanych podjęła nawet uchwałę – zresztą, miażdżącą większością głosów (przeciw było tylko dziesięciu deputowanych komunistycznych) – która stwierdzała, że Biblioteka Polska powinna pozostać instytucją „niezależną i integralną”.

To brzmi paradoksalnie, ale można powiedzieć, że Biblioteka Polska stała się swoistym zakładnikiem sytuacji politycznej w kraju. Kiedy w 1956 r. robotnicy Poznania wystąpili przeciwko władzy, na paryską Bibliotekę właśnie nakładano pieczęcie. Jestem przekonany, że gdyby wówczas sytuacja w Polsce była inna, decyzja sądu mogłaby być dla TH-L mniej korzystna. Wypadki poznańskie obudziły w społeczeństwie francuskim wiele dla nas sympatii, tutejsza opinia zaczęła wywierać presję na władze, by te uszanowały niezależność Biblioteki. Od tego czasu nasza placówka stała się dla francuskiej opinii symbolem wolnej Polski. Im bardziej była ona przedmiotem ataków ze strony warszawskich władz, tym większą opiekę roztaczały nad nią władze francuskie. Problemy prawne zeszyły na dalszy plan.

A.G.: – *Czy były jakieś szczególne powody, dla których w sprawę włączył się francuski parlament?*

L.T.: – W okresie gomułkowskim władze polskie niedwuznacznie dawały do zrozumienia, że byłyby skłonne wyrazić zgodę na odtworzenie Instytutu Francuskiego w Warszawie pod warunkiem jednak, że nadsekwańska Biblioteka zmieniłaby swojego gospodarza. Przy takim obrocie sprawy, Biblioteka na wyspie św. Ludwika, w obronie której stanęła cała emigracja polska, stawała się problemem politycznym wykraczającym znacznie poza polskie podwórko. Nałożenie pieczęci na bramie naszej Biblioteki odbiło się echem we Francji i poza jej granicami. Uchwała francuskiego Zgromadzenia Narodowego była więc odzwierciedleniem stanowiska ogromnej większości francuskiej opinii publicznej. Uchwała

ta nawiązywała do wypowiedzi generała Lafayette'a, który w dniach klęski Powstania Listopadowego wołał z trybuny tegoż Zgromadzenia, że *toute la France est polonaise*.

A.G.: – *Po roku 1989, kiedy stosunki Polski ze światem zachodnim są już zupełnie normalne, czy dotychczasowy status Biblioteki nie ciąży na jej bieżącej i przyszłej kondycji?*

L.T.: – Rzeczywiście, Towarzystwo ma zapewnioną „dzierżawę” Biblioteki Polskiej jeszcze przez 30 lat, po których można by ten okres przedłużyć o dalsze 30 lat itd. Trzeba przyznać, że ta forma funkcjonowania spełniła swoje zadanie, gdyż pozwoliła Bibliotece względnie bezpiecznie przetrwać aż kilkadziesiąt lat. Ale to było jednak tylko przetrwanie. Będąc formalnie instytucją wpisaną w ustawodawstwo francuskie, jest Biblioteka przecież i zawsze będzie instytucją na wskroś polską, wydaje się więc rzeczą normalną, że w pierwszym rzędzie będzie ona korzystać z pomocy finansowej Polski. Tymczasem, ktokolwiek by to był – czy Ministerstwo Kultury, czy Wspólnota Polska, czy Senat, czy prywatni sponsorzy, deklarujący chęć zainwestowania w Bibliotekę poważnych sum, najpierw pytają o właściciela gruntu, budynku i zbiorów. Nie jest rzeczą prostą angażować środki w placówkę o nieuregulowanym statusie prawnym. Rozwiązanie tego problemu wydaje się więc dla nas dzisiaj rzeczą pierwszej wagi.

A.G.: – *Jakie są w tej sprawie możliwości?*

L.T.: – Musimy działać etapami. Najpierw powinniśmy dojść do porozumienia z PAU. Te dwie instytucje muszą spokojnie rzecz przemyśleć, przedyskutować, przeanalizować, by znaleźć formułę do przyjęcia zarówno przez Walne Zebra-
nie TH-L (a nie tylko Biuro czy Radę, które nie mają takiej kompetencji), jak również odpowiednie instancje Akademii, by nie było najmniejszych wątpliwości i podejrzeń, że coś zdecydowano z pominięciem obowiązujących reguł.

A.G.: – *Czy Towarzystwo otrzymało ze strony Akademii jakieś sygnały świadczące o woli rozmowy na ten temat?*

L.T.: – Tak. Jesteśmy już w kontakcie z PAU i prowadzimy z nią nieformalne negocjacje. Nasze stanowisko jest jasne: Biblioteka powinna pozostać w gestii TH-L, natomiast jest rzeczą do rozważenia, czy PAU nie mogłaby zostać jej współwłaścicielem. Gdyby obaj partnerzy porozumieli się i znaleźli jakieś polubowne rozwiązanie, wówczas sprawa powróciłaby do Towarzystwa, by zyskać aprobatę jego najwyższej instancji – Walnego Zebrania. Projekt porozumienia, uprawomocniony głosami członków TH-L, mógłby wówczas zostać skierowany do sądu (którego postanowienie sprzed 40 lat – przypominam – cały czas obowiązuje!) z wnioskiem o zmianę właściciela. Do przeprowadzenia nowego „procesu” należałoby jeszcze nakłonić władze francuskie i polskie. Tu nie widzę jednak większego problemu w przypadku polubownego załatwienia sprawy między TH-L i PAU. W takich bowiem okolicznościach sąd zyskałby solidne podstawy do rewizji swojej dawnej decyzji i mógłby wyznaczyć konkretnego właściciela Biblioteki.

A.G.: – *Jak długo, zdaniem Pana, może trwać poszukiwanie tej formuły porozumienia obu zainteresowanych stron?*

L.T.: – Jeśli chodzi o terminarz działań, to trudno byłoby narzucać sobie jakieś konkretne daty, gdyż sprawa jest jednak dosyć trudna i nie możemy sobie pozwolić na działania pochopne...

A.G.: – *Ale Biblioteka nie może długo czekać...*

L.T.: – To prawda, jest wiele pilnych prac do wykonania. Jestem jednak bardziej optymistą niż pesymistą. Jeszcze kilka lat temu byłoby to o wiele trudniejsze. W pierwszym okresie po roku 1989 emigracja, która przecież z natury swej była emigracją niepodległościową, z pewną nieufnością

spoglądała na zmiany w Polsce. Było wiele pytań bez jasnej odpowiedzi: dokąd Polska zmierza, kto będzie sprawować władzę, jaka będzie postawa sąsiadów ze Wschodu itd. Pamiętajmy, że w przeszłości zbyt wiele było złych doświadczeń w kontaktach z krajem, z którym przez kilkadziesiąt lat Biblioteka Polska nie utrzymywała żadnych stosunków bądź były one wręcz nieprzyjemne, trudno więc tej powściągliwości się dziwić. Nie można też zapominać, że instytucja nasza została stworzona przez emigrację i że wiąże się z nią pewne imponderabilia, które zawsze powinny być respektowane. Obecnie, kiedy swego rodzaju blokada psychologiczna emigracji została już pokonana – nikt rozsądny nie wątpi w trwałość demokratycznych przeobrażeń w Polsce, a więc ten dialog jest znacznie łatwiejszy.

A.G.: – *Można więc powiedzieć, że Biblioteka mimo woli stała się sprawdzianem poziomu wzajemnego zaufania między Emigracją a Krajem...*

L.T.: – Właśnie tak. Zarówno TH-L, jak i PAU wykazują tutaj dobrą wolę, dlatego wydaje mi się, że jest szansa na wyjaśnienie i załatwienie wielu kwestii jeszcze przed końcem bieżącego roku. W każdym razie liczę na przynajmniej uzgodnienie stanowisk partnerów we wspólnej sprawie i wystąpienie do sądu o rewizję postanowień z 1959 r.

A.G.: – *Proszę powiedzieć, jak obecnie wygląda sprawa finansowania bieżącej działalności Biblioteki Polskiej?*

L.T.: – W tej dziedzinie – podobnie jak w latach minionych – bazujemy w stu procentach na środkach emigracyjnych – mam tu na myśli przede wszystkim Fundację im. Zygmunta Lubicz-Zaleskiego, ale wiele zawdzięczamy również Fundacji Lanckorońskich. Z drugiej strony, zdajemy sobie sprawę, że dom jest stary i przeciążony. Ta XVII-wieczna kamienica przeszła już w swej historii wiele zmian, przeróbek, remontów, które miały służyć dostosowaniu jej do aktualnych potrzeb (do niedawna np. znajdowały się tu jeszcze mieszkania...), a które równocześnie mogły odbijać się niekorzystnie

na trwałości całej konstrukcji. Świadomi tego stanu rzeczy, już w ubiegłym roku, dzięki poważnej subwencji z Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej, wyremontowaliśmy magazyn na rękopisy. Obecnie, nie czekając na ostateczne rozstrzygnięcia prawnowłasnościowe, zamierzamy zrealizować kilka następnych projektów, mających na celu zabezpieczenie naszych skarbów i budynku. Chodzi o prace remontowe w piwnicach, w magazynach książek, zbiorów kartograficznych i muzealnych. Tych kilka projektów jest już gotowych...

A.G.: – *A środki?*

L.T.: – Opracowanie ekspertyz i projektów sfinansowała Wspólnota Polska. Jeśli zaś chodzi o ich realizację, bez wątpienia bardzo kosztowną, to liczymy na pieniądze rządowe z kraju. Mamy obietnice, które upoważniają nas do optymizmu. Pierwsze prace rozpoczniemy zresztą niebawem, w związku z tym – ta informacja może zmartwić naszych czytelników – z dniem 24 marca br. Biblioteka zostanie zamknięta na czas nieokreślony. Być może, subwencje te nie wpłyną do nas jednorazowo, a zostaną rozłożone na dwa-trzy lata, wówczas remont też trzeba będzie do nich dostosować. Jedno jednak jest pewne, bez solidnych gwarancji finansowych nie odważylibyśmy się podejmować realizacji tak poważnych inwestycji.

A.G.: – *Czy Biblioteka może obecnie pozwolić sobie na bieżącą konserwację starych druków, archiwaliów i dzieł sztuki?*

L.T.: – Niezależnie od prac remontowych, o których wspomniałem, już teraz potrzebne nam są duże pieniądze na konserwację zbiorów. Powinniśmy przeprowadzić skontrum książek, których codziennie otrzymujemy mnóstwo w formie darów. Musimy pozbyć się tych, które nie mieszczą się w profilu zainteresowań naszego Towarzystwa. Nie mamy na przykład miejsca na prace z nauk ścisłych, ani na prasę krajową dostępną w innych, większych bibliotekach i w internecie. Co innego zbiory emigracyjne, wśród których posiadamy kolekcje unikalne.

A.G.: – *Lista potrzeb Biblioteki Polskiej jest długa. Tymczasem, pomimo wielu niedostatków, placówka ta wykazuje – to nie komplement, lecz stwierdzenie faktu oparte m.in. na ilości wysyłanych z quai d'Orléans informacji i zaproszeń! – podziwu godną aktywność...*

L.T.: – Do stałego programu Biblioteki należą konferencje naukowe, odczyty, koncerty muzyki klasycznej i wystawy sztuk plastycznych. Tradycją np. stały się wykłady wybitnych humanistów z różnych krajów, od siedemnastu już lat organizowane we wrześniu, w ramach Uniwersytetu Letniego. Niezmiennie „od zawsze” listownie lub na miejscu udziela się naukowych konsultacji, a czytelnia przyjmuje i obsługuje badaczy z Francji, Polski i innych krajów. To są te główne, niejako rutynowe czynności, a przecież oprócz nich stale opracowywane są nowe zbiory, do druku przygotowuje inwentarze, publikuje *Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego*, których ukazały się już cztery tomy. A wszystko to dzięki garstce kieszonko opłacanych oddanych pracowników. Wzmocnienie kadry fachowców, finansowanych według stawek obowiązujących w podobnych placówkach francuskich, to jeszcze jeden problem do rozwiązania.

A.G.: – *Jakie są granice rozwoju przestrzennego Biblioteki. Czy są jeszcze jakieś możliwości wygospodarowania miejsca na zbiory w kamienicy przy 6, quai d'Orléans, czy też Biblioteka już te granice osiągnęła?*

L.T.: – Myślę, że już jesteśmy u kresu możliwości. Rozważaliśmy na przykład wykorzystanie innych lokali emigracyjnych w Paryżu, ale żaden nie nadaje się do naszych celów, a ich adaptacja byłaby zbyt kosztowna.

A.G.: – *Idealnym rozwiązaniem byłoby odzyskanie Hotelu Lambert...*

L.T.: – Ależ oczywiście. Powrót Hotelu Lambert w ręce Polaków miałby wydźwięk nie tylko symboliczny, nie tylko historyczny, ale również czysto praktyczny. Przecież nie jest

przypadkiem, że nasza Biblioteka znajduje się na wyspie św. Ludwika. Dziesięć lat przed nabyciem naszej kamienicy, książę Adam Czartoryski kupił położony w sąsiedztwie Hotel Lambert. Nawiasem mówiąc, pierwszy dyrektor Biblioteki Polskiej, Karol Sienkiewicz, proponował nabycie kamienicy na Polach Elizejskich... Odkupienie historycznej siedziby księcia Adama wydaje się jednak obecnie niemożliwe. Natomiast drugi lokal przydałby się nam już dzisiaj do przechowywania zbiorów mniej cennych i dubletów.

A.G.: – Czy teraz, kiedy Biblioteka Polska ma niespotykaną od dawna szansę wyjścia z tego zaklętego „kręgu XIX-go wieku”, stać się nowoczesną instytucją biblioteczną, archiwalną, muzealną i naukową na miarę XXI-go wieku, nie widziałby Pan potrzeby powołania czegoś w rodzaju Rady Naukowej; ciała, grupującego kilku, może kilkunastu wybitnych humanistów, niekwestionowane autorytety z Emigracji, Polski, Francji, z innych krajów, świadomych skarbów, jakie Biblioteka posiada, i jej historycznej roli?

L.T.: – Tu poruszył Pan rzeczywiście istotny problem. Nasze Towarzystwo liczy obecnie około 400 członków różnych profesji, rozsianych po całym świecie. W większości są to ludzie czcigodni i zasłużeni, ale niekoniecznie na tyle zorientowani w specyfice zawodowej takiej instytucji, jak nasza Biblioteka, by decydować o sposobie jej prowadzenia. Nie ma wśród nich na przykład przedstawicieli z kraju i jest to sytuacja, którą w najbliższym czasie powinniśmy zmienić. W Polsce żyje i pracuje wielu wybitnych humanistów, dla których hasło „Biblioteka Polska w Paryżu” nie jest pustym brzmieniem. To jest jedna z kwestii, jakie pragniemy załatwić na progu nowego millenium.

A co do idei powołania Rady czy też Komisji Naukowej to nie jest to sprawa nowa, już przed laty powstał taki pomysł, *nb.* z udziałem paryskiej Stacji Naukowej PAN – lecz pomysł był przedwczesny z powodów, o których już mówiliśmy, dlatego upadł. Sprawa nie jest prosta, ale bez wątpienia interesująca. Z jednej strony – jak wiadomo – Towarzystwo już w obecnym swym kształcie składa się z różnych instancji

– Rady, Biura, komisji, ale z drugiej strony – rzeczywiście brakuje mu takiego ciała kolegialnego, które w sposób kompetentny mogłoby wpływać na jego działalność naukową, wydawniczą czy też konserwatorską. Tyle że – jak Pan widzi – jest w tej chwili tak wiele spraw, że trudno je wszystkie załatwić jednocześnie.

A.G.: – Ale wracając do Towarzystwa, to pomimo braku w nim członków z Polski, znajdujemy tam nazwiska znanych uczonych, humanistów i pisarzy. Czy nie wydaje się Panu, że są oni na forum organizacji zbyt mało widoczni; czy TH-L potrafi ten potencjał należycie spożytkować dla dobra Biblioteki?

L.T.: – Humanisci, pisarze, publicyści są częstymi gośćmi naszej czytelnicy, w której korzystają z naszych archiwaliów i księgozbioru. Nierzadko zabierają głos na zebraniach publicznych, kolokwiah, uniwersytetach letnich i na łamach naszych publikacji. Ale oczywiście ten potencjał należy lepiej wykorzystać. To powinno być jednym z pierwszych zadań Komisji Naukowej.

A.G.: – Powiedzmy, że do wiosny 2001 r. sprawy zostaną uregulowane po myśli zainteresowanych: paryski sąd orzeka, że Biblioteka Polska ma dwóch właścicieli – Towarzystwo Historyczno-Literackie i Polską Akademię Umiejętności. I co dalej? Czy Rada TH-L ma jakąś wizję dalszego funkcjonowania Biblioteki? Czy przy obecnej sytuacji kadrowej i poziomie wynagrodzeń realizacja ambitniejszych zadań będzie w ogóle możliwa? Wreszcie, czy Towarzystwo znajduje w sobie dostatecznie dużo siły i kompetencji, by tym nietatwym przecież zadaniom podołać? Czy nie myśli się o jakiejś wewnętrznej reformie organizacji, która jeszcze do niedawna była twierdzą ideałów niepodległościowych i nie w głowie jej była współpraca z Polską? Czy spodziewana w najbliższym okresie rewolucja prawnowłasnościowa w Bibliotece Polskiej nie prowokuje Rady i członków TH-L do tego rodzaju dyskusji?

L.T.: – Co się tyczy reformy wewnętrznej, to dokona się ona niejako automatycznie. Zmiana sytuacji prawno-własnościowej Biblioteki wymusi na Towarzystwie zmiany w statucie. Jeśli chodzi o finansowe zabezpieczenie bieżącej pracy Biblioteki, to jest kilka możliwości. Teoretycznie, najlepszym rozwiązaniem byłoby – mówiłem o tym moim rozmówcom w Warszawie – powołanie specjalnej polsko-francuskiej komisji ministerialnej, która zapewniłaby nam stałe subwencje. Niezależnie od tego już teraz powstają nowe inicjatywy, służące rozwiązaniu naszego problemu – myślę o programie Fundacji im. L. Kronenberga „Trzy Biblioteki”, o którym zresztą niedawno była notatka w *Kulturze*. Poza tym rozważamy powołanie w przyszłości jakiejś specjalnej Fundacji.

A.G.: – *Placówka nowoczesna, wyposażona w komputery (także dla czytelników), obecna w internecie i obsługująca znacznie więcej gości niż obecnie; instytucja, do której drogę wskażą strzałki ustawione na pobliskich skrzyżowaniach – jak do Niemieckiego Instytutu Historycznego, Instytutu Świata Arabskiego czy też Instytutu Polskiego. Otóż kiedy Biblioteka Polska w Paryżu może stać się bardziej widocznym uczestnikiem życia kulturalnego stolicy Francji?*

L.T.: – Jeśli uda nam się zrealizować nasze zamierzenia, to myślę, że niedługo. W Europie z Polską demokratyczną, stabilną, wiarygodną, coraz zamożniejszą oraz ściśle powiązaną ze strukturami unijnymi, Biblioteka Polska będzie jednym z ważnych pomostów. Służąc promocji polskiej nauki, kultury i sztuki wspólnie z innymi placówkami – jak Instytut Polski, Ośrodek Kultury Polskiej na Sorbonie i Stacja Naukowa PAN – Biblioteka może odegrać jeszcze większą rolę w stosunkach kulturalnych polsko-francuskich niż dotychczas. Doczekaliśmy szczęśliwie czasów, w których historia przestała wreszcie uwierać i ciążyć, a jest cennym kapitałem w budowaniu przyszłości. Zdając sobie sprawę z rozlicznych zaległości, przechodzimy obecnie w Towarzystwie Historyczno-Literackim – jak cała Polska – swoją pośpieszną transformację, by powyższe słowa o historii nie pozostały tylko nowym sloganem.

Rozmawiał Adam GAŁKOWSKI

Leszek Talko urodził się 9 listopada 1916 w Bobrujsku. Po ukończeniu szkół w Ciechanowie i Ostrowi Mazowieckiej w 1936 r. rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Po wybuchu wojny, przez Rumunię i Jugosławię w styczniu 1940 r. dotarł do Marsylii, gdzie został zmobilizowany i skierowany do II Dywizji Strzelców Pieszych, a później do szkoły podchorążych w Coetquidan. Po klęsce Francji, od lipca do grudnia 1940 r. przebywał w obozie koło Nimes, następnie kolejno – w miejscowości Voiron koło Grenoble i w Lans koło Vilard de Lans, gdzie mieściło się liceum polskie im. Cypriana Norwida. Działalność w polskim ruchu oporu we Francji rozpoczął w Voiron.

Po zajęciu przez Niemców francuskiej „wolnej strefy” otrzymał rozkaz przedarcia się przez Andorę, Barcelonę i Gibraltary na Wyspy Brytyjskie. Aresztowany w drodze, siedem miesięcy spędził w hiszpańskim więzieniu w Barcelonie. Do Gibraltaru dotarł latem 1943, miesiąc później był już w szkole podchorążych artylerii w Szkocji. Od maja 1944 do końca wojny walczył w I Dywizji Pancerniej gen. Maczka, z którą wyzwalał północną Francję, Holandię i Belgię.

W latach 1945-47 na Wolnym Uniwersytecie w Brukseli i na polskim wydziale prawa Uniwersytetu w Oxfordzie kontynuował prze-rwane studia, które ukończył z tytułem magistra prawa, administracji i nauk politycznych, prawa ubezpieczeniowego oraz dziennikarstwa.

Od okresu studiów w Belgii – związany z polskim, belgijskim i francuskim ruchem socjalistycznym i związkowym; prezes Bratniej Pomocy Studentów w Belgii i Zrzeszenia Studentów Polskich na kontynencie (1947-49); dziennikarz prasy studenckiej, a następnie w Centrum Wolnych Związków w Europie Środkowowschodniej w Paryżu; od tego też czasu datuje się jego współpraca z polskimi pismami socjalistycznymi – *Robotnikiem* i *Światłem*; redaktor naczelny *Robotnika* w latach 1973-1985; korespondent prasy francuskiej i belgijskiej (*Le Peuple*).

W latach 1961-69 pracował w marokańskiej instytucji rządowej odpowiedzialnej za uprzemysłowienie tego kraju.

Wieloletni współpracownik (od lat 1950-tych) i pracownik radia francuskiego, a od 1 I 1975 r. – kierownik sekcji polskiej Radia France Internationale.

W latach 1980-tych bardzo aktywny w międzynarodowym ruchu związkowym; jako kierownik polskiej sekcji Force Ouvrière wspierał działania „Solidarności” w kraju i na emigracji.

Współzałożyciel i prezes stowarzyszenia Wspólnota Francusko-Polska, prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego i dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu (od 1994).

Zmarł 22 lipca 2003 w Chatillon pod Paryżem.

«NESTOR» – PAVEL TIGRID (1917–2003)

W 1968 roku – był to burzliwy czas praskiej wiosny – Václav Havel wyjechał chyba po raz pierwszy w życiu na Zachód (i aż do roku 1990 bodajże po raz ostatni), do Ameryki. Z Nowego Jorku wracał przez Paryż, gdzie miał przesiadkę na samolot do Pragi.

– Postanowiłem skorzystać z okazji. Umówiłem się z nim, że zobaczymy się na lotnisku. Chciałem kupić najtańszy bilet, jaki był, do Brukseli, by spotkać się z nim choć przez chwilę, w hali tranzytowej – opowiadał trzydzieści kilka lat później Pavel Tigríd¹.

Nie zdążył tego zrobić. Ledwie zjawił się na Orly, z głośników rozległ się komunikat, że w tej właśnie chwili rozpoczyna się strajk. Celnicy i policjanci pozamykali swoje okienka i odeszli.

– Przywitałem się z Havlem i powiedziałem więc: „Panie Václavie, nic nie poleci. Czy zgodzi się Pan być moim gościem?” – kontynuował Tigríd.

Havlowi ten pomysł bardzo przypadł do gustu.

– Został tydzień w Paryżu, potem odwoziłem go na samolot do Brukseli, skąd wrócił do Pragi. Przedtem jednak – opowiadał Tigríd – sam zaproponował konspiracyjną współpracę. „Kiedy będzie trzeba, zadzwoni pan do mnie i przedstawi się jako «Nestor»” powiedział.

Kilka tygodni później redaktor *Svědectví* postanowił

1. 26 lipca 2000, w ambasadzie RFN w Pradze, podczas uroczystości wręczenia mu najważniejszego niemieckiego odznaczenia, Wielkiego Krzyża Zasługi z Gwiazdą – tak jak zapamiętałem tę anegdotę. Tigríd opowiedział ją potem także w nieco innej wersji czeskiemu dziennikarzowi, Bohumilowi Pezince, w rozmowie zatytułowanej „Životní kliky Pavla Tigrida” („Życiowe farty Pavla Tigrida”) – [w:] Pavel Tigríd, „Marx na Hradčanach” („Marks na Hradczanach”), Barrister & Principal, Praha 2001 (korzystałem z manuskryptu udostępnionego mi przez autora, dlatego nie jestem w stanie podać numerów stron).

skorzystać z tej propozycji i zadzwonił do Pragi. Gdy w słuchawce usłyszał głos Havla, przedstawił się tak, jak się umówili.

– „Dzień dobry, tu «Nestor» – powiedziałem. – Kto? – usłyszałem w słuchawce. «Nestor», powtórzyłem z naciskiem. Przepraszam – «kto?» – spytał Havel ponownie. «NESTOR!», powtórzyłem. «Ach, to pan, panie Tigrid! Jakże się cieszę!» – opowiadał „Nestor” po latach. – „Rozumiecie państwo zapewne, że nasza konspiracja na tym się zakończyła”.

Tigrid to wojenny pseudonim. Naprawdę nazywał się Pavel Schönfeld i był Żydem tak po matce, jak po ojcu. Urodził się w praskim Žižkowie, ale – jak sam powiedział czeskiemu dziennikarzowi – jego ród pochodził z Semil: „Schönfeldowie kiedyś w tym mieście warzyli piwo”².

Ale Tigrid był przede wszystkim Czechem, a właściwie Czechosłowakiem. Kiedy jego ojczyzna się rozpadła w 1992 roku, rozstał się z nią nostalgicznym felietonem:

Pożegnajmy się więc. Ale nie bójcie się, to nie będzie mowa pogrzebowa nad trumną zmarłej republiki, a już na pewno nie tak, że o martwych tylko dobrze. To by zresztą już od razu śmierdziało hipokryzją. Mieliliśmy bowiem tych Czechosłowackich Republik kilka: lepszych, gorszych i takich, o których naprawdę lepiej byłoby zapomnieć³.

Urodził się 27 października 1917 roku. Rok i dzień później powstała pierwsza z nich, stworzona przez Tomáša Garrigue’a Masaryka.

Ta pierwsza przetrwała dwadzieścia lat, a straciliśmy ją z powodu agresji z zewnątrz, którą – jak się okazało później – mogła powstrzymać tylko największa z wszystkich wojen. Ta druga, pomonachijska, okrojona do niepoznania [przez III Rzeszę, Węgry i Polskę – AMP], ale jednak nazywana do dziś Czecho-

2. J. Chuchma; „Životní náhody a zákonitosti Pavla Tigrida” („Życiowe przypadki i prawidłowości Pavla Tigrida”), *Mladá fronta Dnes*, Praha, 11.03.2003.

3. P. Tigrid, „Jak to šlo. Komentáře k událostem 1992-1993” („Jak to przebiegało. Komentarze do wydarzeń 1992-1993”), Nakladatelství *Lidové noviny*, Kolonia 1974, Prostor, Praga 1990: felieton „Sbohem, republiko!” („Z Bogiem, Republiko!”) z 20 grudnia 1992, s. 17.

Słowacką (z kreszczką, wyraźnie złowieszczą) nie przeżyła sześciu miesięcy, i to dobrze, bo nie dało się tam ani żyć, ani wegetować. Potem na ziemiach czeskich powstał protektorat, na Słowacji satelickie państwo z łaski Hitlera. Na sześć lat Czechosłowacja znikła z mapy Europy. Pojawiła się na niej znów w maju 1945 roku bez swego najbardziej na wschód wysuniętego koniuszka, Rusi Podkarpackiej, odstąpionej tak trochę na zasadzie wykupu Związkowi Sowieckiemu, totalitarnemu mocarstwu, którego granice posunęły się głęboko do Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej. Ten fakt okazał się decydujący dla dalszych losów odnowionej Czechosłowackiej Republiki, tym razem już bezkreszczkowej, ale całkiem bez sensu nazywanej ludowo-demokratyczną. Nie przeżyła nawet trzech lat. Tu trzeba dodać, że także dlatego, ponieważ we względnie wolnych, tajnych wyborach dwa miliony siedemset tysięcy obywateli oddało swój głos, a z nim i zaufanie komunistom. Ci zaś szybko i zgodnie z logiką rzeczy stali się, jak sami ogłosili, decydującą siłą w kraju. Stąd był już tylko kroczek ku ich Zwycięskiemu Lutemu⁴.

Później mieliśmy jeszcze republikę komunistyczną i ta wytrzymała z wszystkich najdłużej – ponad czterdzieści lat. Katastrofę, z nieobliczalnymi i wciąż fatalnie działającymi skutkami. Aż wreszcie jesienią 1989 roku komunizm w ciągu kilku dni runął, a myśmy odziedziczyli, z wszystkim dokoła, z porządkiem i nieporządkiem, Republikę Czechosłowacką. Najpierw bez kreszczki, potem z nią, z dosłownie ostatnim napisem Czeska i Słowacka Republika Federacyjna. Czas życia: trzy lata⁵.

Tigríd przeżył ją – ostatnią z tych czterech Czechosłowacji – o dziesięć lat i osiem miesięcy. Zmarł 31 sierpnia 2003 na emigracji, w Héricy, miejscowości odległej o siedemdziesiąt kilometrów od Paryża.

„Swoim losem kierowałeś do samego końca, z odwagą i zdecydowaniem. Odszedłeś sam, dostojnie, tak, jak sobie tego życzyłeś” – powiedziała jego najstarsza córka Deborah podczas uroczystości żałobnej. Wraz z nią żegnali go jej siostra i brat, Katrin i Gregory; ich matka, a jego żona, Ivana; były prezydent Czechosłowacji i Czech, Václav Havel, oraz dalszych trzysta osób⁶.

4. Tak komuniści nazwali swój pucz z 25 lutego 1948, kiedy to obalili dotychczasowy rząd i przejęli władzę w Czechosłowacji.

5. P. Tigríd, „Jak to šlo”, s. 17.

6. M. Komárek, „Tigrídova dcera: Otec zemřel tak, jak chtěl” („Córka Tigrída: Ojciec zmarł tak, jak chciał”), *Mladá fronta Dnes*, Praha, 9.09.2003.

Z Czechosłowacji uciekł w marcu 1939 roku wraz z przyjacielem. Z pomocą oszustwa udało im się załatwić pozwolenie na wyjazd. Załadowali na pociąg jego motocykl i wyjechali do... Niemiec. Potem na tym motocyklu dojechali do Belgii, skąd dostali się do Anglii, do Londynu.

Tam stał się najpierw spikerem, potem redaktorem czechosłowackiej sekcji BBC. To właśnie zmusiło go do znalezienia sobie pseudonimu. W okupowanym kraju zostawił bowiem liczną rodzinę, a nie chciał jej zaszkodzić. Niestety, nic to nie dało. Gdy po wojnie powrócił, dowiedział się, że z wyjątkiem przyrodniej siostry, której udało się uciec do Stanów Zjednoczonych, wszyscy zginęli.

To było gorsze niż myślałem. Wie Pan, ja jestem Żydem z obu stron, według ustaw norymberskich nie było więc żadnych wątpliwości, a moja rozgałęziona rodzina została zupełnie wybita. Od mej matki i macochy, poprzez krewnych – ojciec na szczęście zdążył jeszcze umrzeć w 1940 roku. Już w Londynie wiedziałem, że jest źle, ale zakładałem, że chociaż ktoś ocaleje. Tego [co się stało] nie spodziewałem się jednak⁷.

„Tigris” to wspomnienie szkolnej pomyłki. W gimnazjum podobno tak właśnie przekręcił nazwę rzeki Tigris (Tygrys)⁸. Przypomnił sobie o tym, gdy zastanawiał się, jak ma się teraz nazywać.

Pseudonim tak przyłgnął do swego właściciela, że ten po wojnie w końcu go zalegalizował. A właściwie, jak mówił, zrobiła to jego żona Ivana, z domu Myšková – bo stało się to przy okazji ich ślubu.

Zawód emigrant

Emigrację przeżywał dwukrotnie, za każdym razem bardzo intensywnie. Po raz pierwszy trwało to „zaledwie” sześć lat: od momentu zajęcia przez wojska Hitlera okrojonej już pół roku wcześniej Czechosłowacji aż do upadku III Rzeszy.

7. B. Pečinka, „Životní kliky...”

8. B. Pečinka, „Životní kliky...”

Jego drugie uchodźstwo zaczęło się raptem niespełna trzy lata później, w dniach komunistycznego puczu 1948 roku i miało potrwać ponad sześć razy dłużej, do 1990 roku. Miał szczęście, akurat został przez redakcję wysłany do Monachium. Na granicy nie miał żadnych kłopotów, bo z poprzedniej pracy – ministerstwa spraw zagranicznych – zachował dyplomatyczny paszport. Z zemsty komuniści zamknęli jego żonę, którą z więzienia wypuścili po trzech miesiącach. Dopiero we wrześniu, dzięki pomocy brytyjskiej, udało się ją przeszmuglować przez granicę do Bawarii.

Przez czterdzieści lat na emigracji robił bardzo różne rzeczy. W Monachium tworzył Radio Wolna Europa i był pierwszym dyrektorem jego pierwszej, czechosłowackiej redakcji, która rok przed Rozgłośnia Polską zaczęła wysyłać program na drugą stronę żelaznej kurtyny.

Po kilkunastu miesiącach postawił jednak Amerykanom dziesięć warunków. Zgodzili się na osiem. Złożył więc wypowiedzenie i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Tam nie udało mu się jednak nawiązać współpracy z żadną redakcją. Przekonał się, że – tak jak go ostrzegał jego zwierzchnik z RWE – Ameryka na niego nie czekała. Został więc kelnerem.

„Czy to prawda, że było to w brooklińskim nocnym klubie?” – spytał go po latach dziennikarz. – „To był prawdziwy irlandzki pub. Trochę taki burdelik, kurewki siedziały przy barze i jakiś były nazista grał na fortepianie. No, takie piękne historyjki. Po jakichś dwóch latach pomogli mi ludzie z Głosu Ameryki i tak się powoli z tego wydostałem”⁹.

Na dogłębne obserwacje i przemyślenia miał więc wystarczająco dużo czasu. Zawarł je w książce „Emigracja polityczna w wieku atomu”¹⁰. Jego spostrzeżenia są niekiedy aż do bólu celne:

Emigracja polityczna zawsze usiłowała (dopóki nie zrezygnowała lub się nie utoczyła) walczyć tylko o jedno: rozbitcie, upadek, zniaczenie tej władzy rządowej czy państwowej, która ją stworzyła. Ów cel mógł być osiągnięty dzięki wojnie, którą inne

9. B. Pečinka, „Životní kliky...”

10. P. Tigríd, „Politická emigrace v atomovém věku” („Emigracja polityczna w wieku atomu”), Index, Kolonia 1974, Prostor, Praha 1990.

państwo, czy też grupa mocarstw wypowiedziała krajowi, z którego emigracja polityczna wyszła (a przy tym ta wojna częstokroć nie miała nic wspólnego z ideałami czy ambicjami politycznymi tej emigracji); albo dzięki rewolucji, konspiracji, przewrotowi w kraju, który emigracja musiała opuścić. Nierzadko wojna przyspieszała rytm przemian społecznych i przygotowała glebę pod rewolucję. Kiedy emigracja polityczna miała szczęście i postawiła na właściwą kartę – to znaczy ani nie została zdradzona przez sojuszników na zewnątrz, ani wzgardzona przez zwycięskie siły wewnątrz kraju – mogła liczyć na powrót do władzy lub przynajmniej na udział w niej. Tylko z rzadka się zdarzało, że emigracja dostawała się do władzy drogą ewolucyjną; normalny historyczny rozwój był często zbyt powolny; wszakże każda emigracja żyje w pośpiechu.

A zatem emigracja polityczna jest bardzo ryzykowną sprawą, jej cele są dalekie, jej perspektywy niepewne (...) Emigrant polityczny jest nie tylko gnany, ale też pozerany przez emocje – nieustannym przeplataniem się nadziei z beznadzieją, aktywnością ocierającą się o granice wytrzymałości i wymuszoną bezczynnością, niecierpliwością (...) A potem są naturalnie jeszcze rozczarowania. Założenia, które się nie spełniły, sytuacje, do których nie doszło, wydarzenia, które skończyły się inaczej, niż się wierzyło, czas, który nieubłaganie ucieka¹¹.

Z tych słów nie należy jednak malować sobie jedynie obrazu emigracji spiskującej z wrogami swego kraju, oliwiającej karabiny w pakamerach swych stowarzyszeń kulturalnych i oświatowych i przygotowujących krwawą łaźnię swym przeciwnikom w kraju.

Emigracja i uchodźstwo jako zjawisko polityczne są w zasadzie moralnym protestem, buntem, gestem – przeciw niesprawiedliwości, brutalnej sile, niewoli, tyranii, biedzie, korupcji; wymaga się przede wszystkim etycznych miar i reguł postępowania, a w ich obliczu emigrant, uchodźca zazwyczaj nie wytrzymuje, przynajmniej tak długo, jak długo prawdy nie zastąpimy legendą. I to nie tylko dlatego, że w historii uchodźstwa tak często zamiast rewolucjonisty na trybunie znajdujemy generała w łóżku, w trzeciorzędnym pokoju hotelowym, zamiast emigranta w paradnym mundurze zarozumiałego prezesa grupy skłóconych apatridów, ale także dlatego, że polityczne uchodźstwo musi „robić politykę”, a to oznacza kompromisy, ustępstwa,

11. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 11-12 (wydanie z roku 1990).

intrygi, taktyki. Pierwotne zasady etyczne popadają w konflikt z politycznymi praktykami, a w końcu jego protagoniści obwiniają się wzajemnie za zdrady tych zasad. Dziecięce choroby większości politycznych emigracji – frakcyjność, brak tolerancji, zazdrość, „kult osobistości”, podziały organizacyjne i ponowne skupianie się – atomizują ruch, osłabiają jego wpływy na zewnątrz i coraz mocniej alienują go od tych sił w kraju, które miały chęć wspierać uchodźstwo.

A do tego dochodzi jeszcze dylemat, który przed emigracją stawiają sojusznicy i zwolennicy w krajach, w których się ona schroniła (...) Siłowa i polityczna praktyka mocarstw, z którymi emigracja powiązała swój los, zazwyczaj nie pokrywa się z zasadami moralnymi (...)

Schizofreniczna sytuacja politycznych emigracji jest tu oczywista (...)¹².

Znamienny tytuł nosi esej, który otwiera rozważania Tigrida w książce pt.: „Od Jałty do rewolucji węgierskiej, czyli między pożądanym a możliwym”. Pisząc go w roku 1964, szesnastym roku swego uchodźstwa, Tigrid potrafił się zdobyć na optymizm:

Wydawałoby się więc, że emigracje polityczne (...) mogą dziś wybierać między podwójną impotencją: płonnym moralizowaniem a szczuciem do wojny, której nie będzie (...) Rzeczywistość jest inna i budzi niewspółmiernie wielkie nadzieje. Jesteśmy mianowicie już od kilku lat świadkami historycznego procesu, który bezpośrednio dotyka emigracji politycznych z Europy Środkowej i Wschodniej (...) na których losy i perspektywy wpływa dogłębnie i je zmienia¹³.

Napisanie następnych niespełna stu stron tej książki zajęło Tigridowi dziesięć lat. Zajmuje się na nich losami czechosłowackiej emigracji polutowej i posierpniowej. Czesi bowiem, tak jak i Polacy, też mają swoje miesiące. Luty to komunistyczny pucz z 1948 roku, który położył kres odrodzonej po wojnie i choć chromej, to jednak demokratycznej III Republice (czy raczej, jak Tigrid wielokrotnie podkreślał, „ludowo-demokratycznej”). Sierpień zaś to inwazja wojsk Układu Warszawskiego – w tym Wojska Polskiego – na Czechosłowację komu-

12. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 14-15.

13. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 33.

nistyczną, ale poszukującą dla swego systemu ludzkiej twarzy.

Wychodząc od słów historyka Jana Křena, który twierdzi, że „po drugiej wojnie światowej na Zachodzie powstała nowa, burżuazyjna emigracja, złożona z najbardziej reakcyjnych żywiołów¹⁴”, posługując się *à rebours* jego językiem, Tigrid przeprowadza dowód na twierdzenie odwrotne: „celem polutowej czechosłowackiej emigracji politycznej jest «umocnić i zabezpieczyć funkcjonowanie postępu społecznego w kraju, z którego wyszła»”¹⁵. W jego konkluzji dochodzi do wniosku, że „sześćdziesiąt tysięcy Czechów i Słowaków, którzy po lutym 1948 roku opuścili swój kraj, mają pełne prawo nazywać siebie – i być nazywanym – czechosłowacką emigracją polityczną”¹⁶.

Rzecz w tym, że „w naszym sporze z komunistami to, w czym nasze drogi się rozchodzą, w naszym sporze zasadniczym, którego nigdy nie skrywaliśmy, chodzi o wolność”¹⁷.

Napisał to Czech, ale mógłby przecież napisać też Polak, Węgier czy Rosjanin.

Te słowa – jeszcze sprzed roku 1967 – wyznaczały jednocześnie akceptowane przezeń granice dialogu z komunistami. Bo Tigrid, choć sam był antykomunistą, nie odrzucał możliwości dyskusji ze swymi adwersarzami. Niebawem zresztą sami przyszli do niego – ci, którzy nagle znaleźli się po tej samej co i on stronie.

Ale najpierw wybuchła „praska wiosna”:

Byliśmy (polutowa emigracja polityczna) jak w transie! Czytaliśmy komunistyczne gazety i nie chcieliśmy wierzyć własnym oczom! Słuchaliśmy kierowanego przez komunistów radia i mówiliśmy sobie: To chyba nie jest możliwe! Przyjmowaliśmy telefony od komunistów, z którymi kontakty i przyjaźnie dotąd starannie taliśmy, a kiedy słuchawka rozbrzmiewająca przed chwilą radością i optymizmem była znów na widełkach, pytaliśmy sami siebie: jawa to czy sen?¹⁸

14. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 47, cytowane za J. Křen, „Do emigrace”, „Naše vojsko”, Praha 1963, s. 16-17.

15. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 50.

16. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 56.

17. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 57.

18. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 83.

21 sierpnia 1968 roku bańka mydlana „socjalizmu z ludzką twarzą” prysła. Rozjechały ją czołgi. Nie tylko sowieckie, także polskie. Czechosłowację zaczęła opuszczać druga emigracyjna fala, szacowana na sto i więcej tysięcy ludzi.

Tym razem z komunistycznego kraju uciekali także komuniści, także (a może zwłaszcza?) niedawni przywódcy czechosłowackiej kompartii. I to oni właśnie stali się polityczną elitą nowej emigracji. Dla tych, którzy już od dwudziestu lat doświadczali uchodźstwa, stali się nadzieją.

Sytuacja posierpniowej emigracji była jakościowo inna [od sytuacji emigracji polutowej – AMP] poprzez fakt, że miała ona potencjalnych partnerów politycznych wszędzie na świecie. Była tu przede wszystkim wpływowa europejska lewica intelektualna, która sympatyzowała z praską wiosną, a później z jej pokonanymi protagonistami; była tu skrajna lewica trockistowska, anarchistyczna, „nowa”; były niezależne partie komunistyczne; oderwane organizacje komunistyczne w kilku krajach europejskich; antystalinowskie partie komunistyczne na uchodźstwie, jak hiszpańska, czy grecka; lewe skrzydła partii socjaldemokratycznych; wpływowe grupy w partiach komunistycznych i robotniczych krajów nie należących do żadnego z bloków, przede wszystkim Jugosławii; niektóre partie afrykańskie i azjatyckie, aż wreszcie, bynajmniej nie na szarym końcu, rząd i partia ludowych Chin. Jeśli nie wszystkie, to przynajmniej niektóre z tych wcale nie zaniedbywanych ruchów były chętne udzielić wsparcia nowej emigracji politycznej z Czechosłowacji¹⁹.

Tak się jednak nie stało, gdyż emigracja posierpniowa nie potrafiła się zorganizować. Tigrid nie krył swego zaskoczenia. W końcu byli to ludzie, których całe dotychczasowe życie polityczne było zorganizowane – nawet bardzo – w szeregach partii komunistycznej. Ten brak organizacji doprowadził do tego, że „nie doszło do porozumienia i współpracy z tak perspektywicznie interesującym sojusznikiem, jakim są Chińczycy”²⁰.

Takie słowa mogą zdumiewać, zwłaszcza że wyszły spod pióra człowieka, którego niechęć do komunizmu nie była żadną tajemnicą. Ale Tigrid był Czechem i pragmatyzm miał we krwi.

19. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 98.

20. P. Tigrid, „Politická emigrace...”, s. 99.

Ostatni rozdział tej niewielkiej książeczki pisał Tigríd w 1974 roku i zastanawiał się w nim, jakie są polityczne perspektywy obu fal czechosłowackiej emigracji w atomowym wieku.

Najważniejszym nowym elementem jest atom sam. Zrewolucjonizował stosunki międzynarodowe, a jednocześnie je na swój sposób sparaliżował. Teza brzmi: nowoczesna technologia wyklucza ogólną wojnę (...) jako instrument polityczny²¹.

Ale Tigríd dobrze wiedział, że nie jedynie równowaga strachu zadecyduje o losach świata:

Ludzie są niewspółmiernie lepiej i szybciej informowani niż kiedykolwiek przedtem nie tylko o świecie, ale także o sobie, jak naprawdę żyją, kto nimi rządzi, jak by mogli żyć, a jak żyją inni (...) Gdy pokój trwa trzydzieści lat, nie można już zasłaniać się skutkami wojny, jeśli ludzie nie mają gdzie mieszkać, albo na próżno poszukują guzików do koszuli. Ludzie chcą używać wszystkich korzyści, które pokój przynosi²².

Ale chyba nawet i on nie spodziewał się, jak wielką rolę przyjdzie odegrać mediom zaledwie piętnaście lat później, gdy najpierw w Europie Środkowej, a potem także Wschodniej, komunizm zacznie się walić w gruzy.

Jutro nasze

Tigríd nie miał chyba jednak wątpliwości, że do tego kiedyś dojdzie. Aż nazbyt wymowny jest tytuł jego kolejnej książeczki, którą skończył w 1982 roku: „Dzisiaj wasze, jutro nasze”²³. To jasna aluzja do hasła tamtych mroźnych miesięcy: „Zima wasza, wiosna nasza”. Dodajmy, że zamierzona. Tigríd pisał ją, gdy Polska przeżywała kilkunastomiesięczną euforię zakończoną brutalnym szokiem grudniowej nocy. To

21. P. Tigríd, „Politická emigrace...”, s. 117.

22. P. Tigríd, „Politická emigrace...”, s. 122.

23. P. Tigríd, „Dnešek je váš, zítřek je náš. Dělnické revolty v komunistických zemích” („Dzisiaj wasze, jutro nasze. Robotnicze rewolty w krajach komunistycznych”), Index, Kolonia 1982, Vokno, Praha 1990.

jest bowiem książka przede wszystkim o polskich czerwcach i grudniach, o KOR-ze i Solidarności, o walce i nadziei.

Na zaledwie stu kilkudziesięciu stronach udało się Tigridowi nie tylko dość szczegółowo zrekapitulować „rewolty, burze, strajki” w krajach pod rządami komunistów (przede wszystkim w Polsce), ale także ukazać głęboką przemianę, jaka dokonana się między pierwszymi robotniczymi protestami w Pilźnie i Berlinie (1 i 16 czerwca 1953), oraz Poznaniu i w Budapeszcie (w czerwcu i październiku 1956), a 31 sierpnia 1980 roku, kiedy to polscy robotnicy wspólnie z wywodzącymi się z inteligentckich kręgów dysydentami i nieskrywanym wsparciem Kościoła zmusili komunistów do zaakceptowania ich najważniejszego żądania: zgody na wolne i niezależne związki zawodowe.

Rok 1976 był w tym kontekście punktem zwrotnym. Wprawdzie tylko w jednym kraju bloku sowieckiego, ale nie został niezauważony w pozostałych. Co się wtedy stało w Polsce, stworzyło przesłanki współpracy między strajkującymi robotnikami a dysydencką inteligencją tak, jak do niej doszło w tym kraju cztery lata później. Robotnicy – a w każdym razie ich rzecznicy – zrozumieli ostatecznie, że opozycyjna inteligencja jest naturalnym sojusznikiem usiłowań urzeczywistnienia ich podstawowych praw, negowanych przez sprawujący władzę establishment, i że poszerzenie swobód, do czego dąży inteligencja, jest związane z tą walką, jest wręcz jej nieodłączną częścią. A dla dysydenckiej inteligencji było to z jednej strony sygnałem, że robotnicy przemysłowi, albo przynajmniej ich awangarda, zrozumieli znaczenie tego sojuszu i zaakceptowali go, z drugiej zaś potwierdzeniem ich dawnego przeświadczenia, że mobilizacja mas robotniczych i ich udział w walce o wolności obywatelskie jest niezbędnym warunkiem sukcesu²⁴.

Swą książkę Tigrid kończył w roku 1982 roku. Sukces Solidarności był już czasem przeszłym. Jej czołowi działacze niemal w komplecie siedzieli w obozach dla internowanych i więzieniach. Ulice polskich miast patrolowało wojsko, w nocy obowiązywała godzina milicyjna.

Największy dotąd narodowy bunt w krajach bloku sowieckiego skończył się więc jego siłową likwidacją. Dopadł ją

24. P. Tigrid, „Dnešek je váš...”, s. 130 (wydanie z roku 1990).

los wszystkich poprzednich rewolt. Z punktu widzenia naszych rozważań w ten sposób zamyka się krąg wydarzeń i okresów, które były przedmiotem naszych obserwacji. Jednocześnie dojrzewamy do końcowych pytań i do prób odpowiedzi na nie. Z tych pytań całkiem zasadnicze brzmią następująco: czy powstanie, włączając w to robotniczą rewoltę, musi w tych krajach zawsze skończyć się porażką – zmiążdżeniem przez siły zewnętrzne lub wewnętrzne, ewentualnie przemyślaną i konsekwentną manipulacją ze strony władzy, przeciw której skierowana jest manifestacja masowego niezadowolenia? Czy w ogóle możliwy jest kompromis z siłami rządzącymi w systemach typu stalinowskiego? Czy w krajach „realnego socjalizmu” dojdzie do nowych rewolt? Jakie są perspektywy?²⁵

Dziś już – Bogu dzięki – znamy te odpowiedzi. W 1982 roku mało kto umiał je sformułować. Tigrid jednak umiał – a w każdym razie potrafił wyobrazić sobie pośród potencjalnie możliwych wariantów i taki, który stał się kilka lat później faktem:

Czyż dla zagrożonych systemów władzy, źle funkcjonujących i cieszących się nieskończonym brakiem zaufania swych poddanych, nie pozostanie w końcu jedynym wyjściem przemoc – czy to krajowego, czy też importowanego pochodzenia? (...) A co, jeśli raz – w kontekście, który nas tu interesował – robotnicy zamiast rozmawiać z władzą przystąpią od razu do konfrontacji z nią, w warunkach dla nich przychylnych – to znaczy w sytuacji, w której nie sposób ani zaskoczyć, ani rozstrzelać. Co, jeśli dojdzie do politycznego rozwiązania kryzysu, ponieważ ani Moskwa, ani jej protegowani nie będą mieli wyboru. Co, jeśli nie będą mieli wyboru po prostu dlatego, bo do masowych buntów dojdzie nie w jednym, ale od razu w kilku krajach na raz. Co, kiedy wymieniony garnitur władzy na Kremlu po tysiącokrotnych złych doświadczeniach dojdzie do wniosku, że kraje, które Stalin po drugiej wojnie światowej zabrał do swego imperium, są raczej balastem, a ich strata, na pewno bolesna dla namiestników i ich satelitów, nie oznacza ani końca Związku Sowieckiego, ani sowieckiego komunizmu²⁶.

Tak się stało naprawdę – z tym tylko, że ów „wymieniony garnitur” pomylił się: ani Związek Sowiecki, ani sowiecki

25. P. Tigrid, „Dnešek je váš...”, s. 140.

26. P. Tigrid, „Dnešek je váš...”, s. 147.

komunizm nie przetrwały liberalizacji. Co jednak nie znaczy, że już wszędzie na jego gruzach kwitnie demokracja.

Ale to już zupełnie inna bajka.

Tigrid i Giedroyc

Pavel Tigrid miał spory udział w podkopywaniu sowieckiego systemu. Dla Czechów – przynajmniej dla czeskich dysydentów i czeskiej emigracji politycznej – był kimś takim, jak dla Polaków Jerzy Giedroyc. Porównanie z Redaktorem *Kultury* narzuca się już choćby dlatego, że Tigrid wydawał najważniejsze pismo czeskiej emigracji, kwartalnik *Svědectví*²⁷. I że wydawał je w Paryżu.

Ale na tym bynajmniej nie koniec. Podobnie jak Giedroyc nie ograniczał się jedynie do kraju, z którego wyszedł. Polską interesował się szczególnie, bo dobrze rozumiał, że przyszłość jego kraju jest nierozzerwalnie związana z naszą ojczyzną. Tym bardziej, że po rozgromieniu praskiej wiosny nie za bardzo wierzył w swoich rodaków. Sam mi to powiedział:

Czesi bowiem – ja to mogę powiedzieć, jako Czech – raczej pisali manifesty, niż coś naprawdę czynili (...) O Polakach można powiedzieć wiele złego – to wie Pan lepiej, niż ja – ale jednego o Polsce i Polakach rzecz nie można: że znajdują się w kryzysie moralnym. Mają oni swą wiarę, swoich przywódców, tak w związkach zawodowych, jak pośród inteligencji, mają swego papieża, i mają swego Pana Boga. Nic z tego Czesi nie mają. Czesi znajdują się w stanie ciężkiego moralnego kryzysu, który wynikł – moim zdaniem – z przyjęcia filozofii kapitulacji. Już dawno, w czasie Monachium i potem. To znaczy – w przeciwieństwie do Polaków – Czesi nie ruszają do z góry przegranego boju²⁸.

Do dnia, który stał się początkiem końca komunistycznej Czechosłowacji, 17 listopada 1989 roku, brakowało roku i czterech dni.

27. Czytaj: *Świadectwii* (Świadectwa).

28. A. M. Pędziwoł, „O Polakach wiem strasznie mało”, *Gwiazda Polarna*, Stevens Point, 4.2.1989.

Rozmawialiśmy także o wzajemnych kontaktach między Polakami a Czechami:

Narody, które z sobą sąsiadują, tak jak Czesi i Polacy, znają się zazwyczaj niezwykle słabo. Ja osobiście o Polakach i ich historii wiem strasznie mało. I *vice versa*: Polacy nie wiedzą o Czechach prawie nic i Czesi ich wcale nie interesują. To są dwie różne mentalności. Nie mówię, która jest lepsza, która zaś gorsza. Po prostu są różne. Dzięki tym młodym generacjom i poprzez to, że jest to nasz nieszczęsny wspólny los w sowieckim bloku, problemy te – tak sądzę – prędzej czy później znajdą rozwiązanie. Ważnym jest lepiej się poznać, nawiązać kontakty. Również na emigracji. Ja sam nawiązałem wiele takich przyjaźni. Znaleźliśmy wspólny język, potrafimy się wspólnie bawić, no i mamy też wspólne cele (...) Ja żyję w Paryżu, a tam jest bardzo dużo Polaków i sporo Czechów i Słowaków. Nasze kontakty są bardzo dobre, wzajemnie się informujemy o różnych sprawach, wspólnie trochę szmuglujemy, papier i maszyny, wspólnie oglądamy filmy, no i niekiedy także coś wspólnie robimy. Myślę, że to jest bardzo dobrze, że jest właśnie tak²⁹.

W 1956 roku Tigrid osobiście posyła Giedroycowi pierwszy numer swego pisma *Svědectví* ze Stanów Zjednoczonych³⁰ i prosi go o zgodę na przedruki z *Kultury*. „*Of course*”, odpowiada Redaktor, „może Pan swobodnie publikować te fragmenty z *Kultury*, które Pan chce, wraz ze zwyczajowym podaniem źródła”³¹.

Transatlantycka współpraca zaczyna nabierać rumieńców dwa lata później. Tigrid pisze po polsku, że „zgodnie z Pańskim życzeniem przygotowuję obecnie opracowanie na temat czechosłowacko-polskiej współpracy gospodarczej, które ma być wydrukowane równocześnie w obu czasopismach”, oraz obiecuje przysłać „fotograficzną kopię sensacyjnej książki Józefa Škvorecký’ego pt. «Zbabělci» (Tchórze), która rok temu została wydana w Pradze”³².

„Cieszę się, że nasza współpraca zaczyna się nawiązywać”, odpowiada Redaktor tydzień później. Giedroyc jest ciekaw

29. A. M. Pędziwol, „O Polakach...”

30. Pierwszy numer *Svědectví* ukazał się 28 października 1956 r.

31. J. Giedroyc do P. Tigrida, 19 stycznia 1957 r.

32. P. Tigrid do J. Giedroycia, 11 września 1959 r.

tekstu o gospodarce, najbardziej jednak czeka na książkę Škvo-
reckiego i ponawia swoją prośbę o polonika z czeskiej literatury
historycznej i pamiętnikarskiej, która ukazała się po wojnie:

Te „polonika” mogą okazać się nie specjalnie przyjemne czy
nie zawsze słuszne, ale taki wybór niewątpliwie przyczyni się do
bliższego poznania i zorientowania się Polaków jak ich i ich poli-
tykę oceniali Czesi. Z tego nikt właściwie nie zdaje sobie sprawy³³.

W 1960 roku Tigrid po ośmiu latach w Ameryce wraca
do Europy i osiedla się wraz ze swym pismem w Paryżu. Zbliżenie
najwyraźniej ułatwia współpracę. Rok później Tigrid posyła do
Maisons-Laffitte dziesięć egzemplarzy 18 numeru *Svědectví*, w
którym ukazało się opowiadanie rosyjskiego pisarza Abrama
Terca (Andrieja Siniawskiego) „Gołedź”, ponownie dziękuje za
pozwolenie na jego przekład i publikację, oraz zapowiada, że
w jednym z kolejnych numerów wyjdzie *résumé* polemiki między
Kisielewskim a Mieroszewskim, która „jest niezwykle interesująca
i świadczy o wpływie i oddziaływaniu Pańskiego pisma w Polsce”³⁴.

Oprócz korespondencji związanej z działalnością redakcyjno-
wydawniczą (jak choćby prośba Giedroycia o pełny tekst
pierwszego oświadczenia Karty 77) zachowały się też listy o
innym charakterze.

W 1967 roku Tigrid pisze do Giedroycia w imieniu
Centrum Pisarzy na Uchodźstwie przy PEN Club International o
kłopotach personalnych jego sekcji we Francji³⁵. Zmarł bowiem
jej honorowy sekretarz, Lászlo Gara, a przewodniczący, Jan Čep,
jest ciężko chory (po wylewie krwi do mózgu praktycznie nie
mógł opuszczać swego mieszkania). Tigrid prosi o pomoc w
zestawieniu listy kandydatów do władz sekcji – Giedroyc
odmawia jednak. Jest wprawdzie członkiem PEN, ale nie
pisarzem i nie czuje się kompetentny w kwestiach
personalnych³⁶.

33. J. Giedroyc do P. Tigrida, 19 września 1959 r. (pisownia oryginalna).

34. P. Tigrid do J. Giedroycia, 21 września 1962 r.

35. P. Tigrid w imieniu PEN Club International, Centre pour les Ecrivains en Exil, Section en France, do J. Giedroycia, 21 kwietnia 1967 r.

36. J. Giedroyc do P. Tigrida, PEN Club International, Centre pour les Ecrivains en Exil, Section en France, 26 kwietnia 1967 r.

W 1975 roku Tigrid informuje Giedroycia o apelu do opinii publicznej świata zachodniego przygotowywanym przez pisarzy, artystów i naukowców z ZSSR oraz innych krajów Europy Wschodniej, a skierowanym przeciw „progresistom” z Zachodu, którzy zarzucają dysydemtom i wygnańcom ze Wschodu, że są reakcjonistami. Tigrid prosi też o nazwiska i adresy polskich osobistości, które mogłyby dołączyć swój podpis.

Dwa lata później czternastu znaczących przedstawicieli polskiej, rosyjskiej, węgierskiej i czeskiej emigracji podpisuje „Deklarację w ukraińskiej sprawie”:

Polacy, Czesi czy Węgrzy mają bez porównania więcej możliwości zachowania swej tożsamości narodowej i kulturalnej, niż Ukraińcy, Białorusini, Bałtowie czy narody muzułmańskie. Pierwsi są poddawani procesom sowietyzacji, lecz wciąż jeszcze nie rusyfikacji. Drudzy są sowietyzowani i z każdym rokiem intensywniej rusyfikowani. Ale losy jednych i drugich są ze sobą ściśle związane: nie będzie wolnych naprawdę Polaków, Czechów czy Węgrów bez wolnych Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. I, w ostatecznym rozrachunku, bez wolnych Rosjan. Bez Rosjan wolnych od ambicji imperialnych, rozwijających własne życie narodowe, szanujących prawo do samostanowienia innych narodów (...)

Ogłaszając zatem niniejszą deklarację stawiamy w niej przed opinią publiczną trzy sprawy. Po pierwsze, samą sprawę ukraińską. Po drugie, sprawę wszystkich innych nacmienszenstw (stanowiących już w sumie, od pewnego czasu, nacbolszenstwo w ZSSR), które aspirują do samostanowienia, do zagwarantowanego na papierze przez konstytucję sowiecką prawa wychoda. I po trzecie wreszcie, sprawę narodu imperialnego, dla którego tym lepiej będzie im pręcej zrozumie, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w jego własnym interesie, bo ona tylko może zażegnać groźbę przyszłej wzajemnej rzezi³⁷.

Tekst Deklaracji przedrukowują wszystkie pisma ukraińskiej emigracji. Kilka miesięcy później zaś dwudziestu ośmiu emigrantów z Ukrainy publikuje w *Kulturze* swoją odpowiedź:

Cieszymy się, że w „Deklaracji” zostały potępione imperializmy, więc, widząc nowe możliwości przesyłamy, polskiemu,

37. „Deklaracja w sprawie ukraińskiej”, *Kultura*, 5/356, 1977, s. 66-67.

rosyjskiemu i czeskiemu narodom nasze szczerze pozdrowienia, a zarazem życzenia, aby narody te całkowicie wyzwoliły się spod obcego panowania. Naród ukraiński pozostawiając w niepamięci tragiczne wydarzenia przeszłości gotów jest nie szczędzić wysiłków, aby uzgodnić współżycie z wszystkimi swoimi sąsiadami na podstawie wzajemnego zaufania, pokoju i przyjaźni³⁸.

Jeszcze inny ukraiński emigrant, historyk i publicysta Bohdan Osadcuk, na tych samych łamach pisze, że Deklaracja była „pierwszym krokiem do przełamania zaklętego czy też raczej przeklętego koła nienawiści, nieufności lub jak w wypadku Czechów a nawet po części Węgrów – obojętności”³⁹.

Osadcuk podkreślał znaczenie faktu, że pod Deklaracją znalazły się podpisy Rosjan:

Podpisy Amalrika, Bukowskiego, Gorbaniewskiej, Maksymowa i Niekrasowa pod deklaracją zostały złożone w sto lat po „ukazie Emskim” cara Aleksandra z roku 1876, zabraniającym drukowania książek i prasy w języku ukraińskim i w czterdzieści lat po pogromie nauki, kultury i literatury ukraińskiej w imię stalinowskiej ofensywy rusyfikacyjnej. Podpisy te mają więc symboliczny charakter jakiejś cząstki dążenia do wyrównania krzywd i zbrodni, dokonywanych na żywym ciele Ukrainy. Są one zapowiedzią nadziei i moralno-politycznym zobowiązaniem⁴⁰.

Niemniej symboliczny – choć w innym sensie – był podpis Czecha Tigrida. Dla Czechów Ukraina leży bowiem gdzieś na końcu świata, na pewno dalej niż na przykład Francja⁴¹. Najlepszym dowodem trwającej nadal obojętności Czechów wobec państw położonych na wschód od dawnej Czechosłowacji, o której przed laty pisał Osadcuk, jest łatwość, z jaką ten kraj (wraz ze Słowacją) wprowadził wizy dla obywateli państw powstałych na gruzach Związku Sowieckiego. Stało się to już w roku 2000⁴², przy czym

38. „Deklaracja solidarności”, *Kultura*, 9/360, 1977, s. 85-86.

39. B. Osadcuk, „Pierwszy krok”, *Kultura*, 9/360, 1977, s. 87-90.

40. B. Osadcuk, „Pierwszy krok...”

41. Od września 1999 roku Republika Czeska ma status obserwatora Międzynarodowej Organizacji Frankofonii (Organisation Internationale de la Francophonie).

42. Obywatele Ukrainy potrzebują czeską wizę od 28 czerwca 2002,

głównym (choć nie jedynym) argumentem było twierdzenie, że tego wymaga od kandydatów Unia Europejska.

Tigríd nie tylko pod tym względem okazał się inny niż większość jego rodaków.

W 2000 roku w Paryżu Francuski Instytut Stosunków Międzynarodowych zorganizował konferencję poświęconą *Kulturze*. Jednym z zaproszonych był oczywiście także Pavel Tigríd, ale z powodu choroby nie mógł w niej wziąć udziału. Przesłał jednak list do Redaktora:

Z zupełnie prywatnego punktu widzenia chciałbym Panu wyjawić jeden z moich grzechów (jeden z tak wielu): grzech plagiatu. Jesienią 1956 roku, w Nowym Jorku, kiedy to jako emigrant zarabiałem na życie dzięki importowi kawy i herbaty (pasjonująca robota, jeśli się ją ma), wpadłem na pomysł (oświecony wydarzeniami w Polsce i na Węgrzech) założenia periodyku czeskiego i słowackiego. Kiedy z pomocą kilku przyjaciół zrealizowałem ten pomysł, przypominał w podejrzany sposób *Kulturę*. Nie przez swą zawartość, zwłaszcza w pierwszych numerach, wydawanych raz na trymestr, zwanych *Svědectví* – ale przez „ducha”, orientację polityczno-kulturalną, strukturę, a zwłaszcza podstawowe zadanie: być czytany i wydawanym (rozpowszechnianym) w kraju, w tym kraju ujarzmionym i ospałym, zwanym Czechosłowacją komunistyczną. Redagowane były z tą intencją, dokładnie zgodnie z intencją Pańskiego miesięcznika (...) Przyznaję więc w końcu publicznie, nie bez odrobiny wstydu, że podkradłem Panu pomysł i proszę o wybaczenie⁴³.

Rok później na pytanie czeskiego dziennikarza, czy *Kultura* była dlań inspiracją, odpowiedział bez wahania:

No pewnie (...) Mocno kopiowaliśmy *Kulturę*, na przykład to, że Giedroyc był nieubłagany naczelnym, który nie patrzył się na jakieś sympatie, surowo kreslił i rządził twardą ręką. Dlatego *Kultura* tak dobrze wypadła. Mnie było daleko do tego, ale i tak niektórzy mówili, że całe *Svědectví* właściwie pisze Tigríd, dlatego że to jest w jednym stylu. Coś w tym było,

wobec Rosji i Białorusi obowiązek wizowy został wprowadzony miesiąc wcześniej. Polska, jak wiadomo, wprowadziła wizy dopiero od 1 października 2003.

43. „Mémoires d'un combat: *Kultura*, 1947-2000”, Les cahiers de l'Ifri, Ifri, Paris, 2001, s. 77-78.

zwłaszcza po trzech latach życia w Paryżu, kiedy mi się rozkręciła firma wydawnicza i miałem więcej czasu na inne rzeczy, włącznie ze *Svědectví*⁴⁴.

Powrót

Analogie się jednak skończyły w momencie, gdy runął komunizm. Podczas gdy Jerzy Giedroyc nigdy nie przyjechał do Polski, Pavel Tigríd niemal natychmiast po raz drugi powrócił do Pragi. Właściwie miał zamiar chwilę poczekać, do lutego 1990 roku, „przyjrzeć się, poczytać, posłuchać”⁴⁵, ale te plany pokrzyżował Václav Havel, zapraszając go na swą prezydencką inaugurację. W ten sposób Tigríd znalazł się w swej ojczyźnie wcześniej, niż zamierzał:

Dwudziestego dziewiątego grudnia przechodziliśmy na Zamku całą tę procedurę z chlebem, solą, piosenkami i dostaliśmy się do takiej zwartej grupki, która stale była ze sobą. A tak na marginesie, przyszedł prezydent miał wtedy te słynne spodnie z przykrótkimi nogawkami, ale to nikomu nie przeszkadzało, bo wszystko było bajecznie nowe, nieudawane, surowe, po prostu prawdziwe, włącznie z tymi spodniami. Nagle Havel mnie dostrzegł a ja... ja się po prostu rozpląkałem. Widzi pan, jak mnie to wzrusza jeszcze dziś. Marx na Hradczanach zakończył się strapieniem Tigrídem, którego obejmował zakłopotany Havel⁴⁶.

Myślał, że po dziesięcioleciach boju z komunizmem wreszcie nadszedł czas na zasłużony odpoczynek. Zamiast tego czekała go praca. Szybko stał się jednym z najbliższych doradców prezydenta, jego prawą ręką. I tak było aż do abdykacji Václava Havla po uchwaleniu przez parlament Słowacji deklaracji suwerenności⁴⁷. Wtedy wraz z szefem państwa odeszli wszyscy jego współpracownicy.

44. B. Pečinka, „Životní kliky...”

45. B. Pečinka, „Životní kliky...”

46. B. Pečinka, „Životní kliky...”, Zamek to Pražský Hrad, siedziba prezydenta – wówczas Czechosłowacji, a dziś Republiki Czeskiej.

47. Słowacka Rada Narodowa przyjęła deklarację suwerenności 17 lipca 1992 roku. 20 minut później Havel oznajmił, że abdykuje z urzędu szefa państwa. Stało się to 20 lipca 1992 podczas konferencji prasowej w ogrodach letniej rezydencji prezydenta w Lanach pod Pragę.

Pavel Tigrid znów chwycił za pióro. Jego glosy i felietony zaczęły się pojawiać na łamach praskich dzienników. Aktualne i rzeczowe, celne i trzeźwe – mogłyby być drogowskazami dla tych, którzy mieli budować nowe, czeskie państwo. Gdyby zechcieli z nich skorzystać, Republika Czeska byłaby dziś być może już daleko dalej pod każdym względem – a przede wszystkim nie zaplątałaby się w bezsensowne spory z sąsiadami. No cóż, czeskim politykom zabrakło jego mądrości, rozważli i odwagi.

Z jednym jedynym wyjątkiem – prezydenta Václava Havla.

W 1994 roku Tigrid zgodził się przyjąć tekę ministra kultury w gabinecie premiera Václava Klause. Urząd sprawował do końca kadencji w 1996 roku.

W końcu podjął się ostatniego wielkiego zadania: działania na rzecz pojednania z Niemcami. Stał na czele Czesko-Niemieckiego Forum Dyskusyjnego, powołanego na mocy czesko-niemieckiej deklaracji przyjętej przez parlamenty obu państw w 1997 roku. Właśnie za to prezydent Johannes Rau przyznał mu w roku 2000 najwyższe niemieckie odznaczenie: Wielki Krzyż Zasługi z Gwiazdą.



31 sierpnia 2003 odszedł po raz kolejny, ale tym razem już na zawsze.

„Mieliśmy niekiedy wrażenie, że Pavel Tigrid jest nieśmiertelny”, powiedziała w Czeskim Radiu komentatorka dziennika *Lidové noviny*, Petruška Šustrová. „Okazało się, że jest śmiertelny jak my wszyscy. Myślę, że to wielka strata, bo przez czas komunizmu zostało tu tak mało publicznych osobowości, na których moglibyśmy się opierać, że każda śmierć jest zawsze strasznie bolesna”⁴⁸.

Aureliusz M. PĘDZIWIOL

48. *Český rozhlas*, 6.9.2003.

ŚWIADECTWO OBECNOŚCI. STEFANIA KOSSOWSKA (1909-2003)

Była dziennikarką próbującą sił w wielu gatunkach publicystycznych oraz autorką krótkich form prozatorskich; człowiekiem słowa drukowanego, a przez związek z Radiem Wolna Europa również mówionego. Była przedstawicielem „klasy” inteligenckiej, która w swojej niedawnej jeszcze okazałości i przejawach działania w zasadzie już nie istnieje.

Śmierć Stefanii Kossowskiej zamknęła rozdział w historii emigracji powojennej. Była także wydarzeniem mieszczącym się w najnowszych dziejach polskiej kultury. Odeszła osoba, której zawodowy związek z dziennikarstwem, rozpoczęty w połowie lat 30., trwał niemal do ostatniego okresu życia, i której biografia jest przykładem losów polskiej inteligencji w XX w.

Stefania Kossowska, córka Stanisława Szurleja, adwokata należącego do czołówki palestry Dwudziestolecia, występującego w najsłynniejszych procesach politycznych lat 20. i 30., sympatka Narodowej Demokracji, urodziła się we Lwowie w 1909 r. W rok po odzyskaniu przez Polskę niepodległości rodzice *via* Poznań przenieśli się do Warszawy, gdzie uczyła się w gimnazjum im. Juliusza Słowackiego. W 1928 r. rozpoczęła studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, od początku ich trwania świadoma, że kariera jurystyczna nie stanowi jej powołania.

Pod wpływem osób, które spotykała w warszawskim mieszkaniu Szurlejów przy Alejach Ujazdowskich – Stanisława Strońskiego, Kornela Makuszyńskiego, Stanisława Strzelskiego i mającego szczególne przywileje Adolfa (Ady) Nowaczyńskiego, częstego gościa także w Słupi koło Jarocina, gdzie Szurlejowie mieli odwiedzany głównie latem rezydencjonalny dwór – przed I wojną światową własność zarządcy lasów należących do Hohenzollernów – zdecydowała się spróbować sił w dziennikarstwie. Debiutowała (jako Szurlejówna)

w kobiecym *Bluszczu*, jednak stałą współpracę, zgodnie z orientacją wyniesioną z domu, nawiązała z warszawskimi dziennikami i czasopismami o orientacji narodowej. Pisywała do dzienników *ABC* i *Wieczór Warszawski*; nowele i opowiadania drukowała w wydawanym w Katowicach chadeckim dzienniku *Polonia*. W 1935 r. związała się z tygodnikiem *Prosto z mostu* Stanisława Piaseckiego, najlepszym pravicowym czasopismem kulturalnym ukazującym się przed wojną. Oprócz aktualnej publicystyki i recenzji prowadziła w nim cykl „Tajemnice twórczości”, w ramach którego przeprowadziła wywiady z Janem Parandowskim, Heleną Boguszewską i Jerzym Kornackim, Adolfem Nowaczyńskim i Marią Kuncewiczową.

Właśnie w *Prosto z mostu* (1935, nr 48) opublikowała reportaż „Dwa Wilna”, który odbijał sposób myślenia, jakiego wówczas hołdowała w kwestiach narodowych. Tekst ten godzien jest wspomnienia nie tylko dlatego, że zyskał aprobatę Stanisława Mackiewicza, redaktora wileńskiego *Słowa*, co stanowiło nie byle jaki awans dla początkującej autorki, ale przede wszystkim dlatego, że był dowodem wielokrotnie później zaznaczanej woli chodzenia pod prąd stereotypowych i uładowanych ocen. Był także przejawem umiejętności pisania o mieście jako takim, co za jakiś czas rozwinię się w specjalność Kossowskiej.

W 1938 r. *Prosto z mostu*, które mecenas Szurlej reprezentował w procesach prasowych, wysłało ją do Rzymu na uroczystości kanonizacyjne Andrzeja Boboli. Efektem tej wyprawy były reportaże ogłoszone w tygodniku oraz poznanie dwóch osób, które zaważyły na jej życiu. Malarza i asystenta warszawskiej ASP Adama Kossowskiego i Mieczysława Grydzewskiego, redaktora *Wiadomości Literackich*, który zaproponował jej współpracę z tym najgłośniejszym piśmem Dwudziestolecia.

Ślub z Kossowskim odbył się w końcu października 1938 r., wydarzenie to odnotowała warszawska prasa, a młoda para zamieszkała nieopodal sejmu (i mieszkania rodziców) przy ul. Matejki. Spotkanie z Grydzewskim natomiast miało przynieść efekty dopiero za jakiś czas. Póki co Kossowska odmówiła pisywania w *Wiadomościach*, jak nietrudno zgadnąć, ze względu na złą sławę, jaką tygodnik ten cieszył się w

środowiskach narodowych widzących w nim splot wszystkiego, co najgorsze w polskim życiu kulturalnym.

Oceny te przyszło już niebawem zweryfikować. We wrześniu 1939 r., rozdzielona z mężem, zesłanym w 1940 r. w głąb Związku Sowieckiego, podróżując wraz z rodzicami pielgrzymim szlakiem przez Kuty i smutnej pamięci most na Prucie, znalazła się w Paryżu i, podobnie do wielu emigrantów, jej życie zaczęło biec rytmem sprzyjającym innemu patrzeniu na to, co niedawno jeszcze wydawało się być poza dyskusją. Rozpoczęła współpracę z *Wiadomościami Polskimi* założonymi, albo raczej wskrzeszonymi, w Paryżu przez Grydzewskiego. Poświęcała mało czasu na pisanie zajęta pracą biurową w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji. Po klęsce Francji ewakuowała się do Londynu. Przyjechała na dworzec Paddington pociągiem wiozącym prezydenta Raczkiewicza, którego na peronie witał król Jerzy VI. Po zakończeniu wojny nie miała wątpliwości, gdzie jest jej miejsce.

Z karierą urzędniczą definitywnie pożegnała się w początku lat 50. Rozstała się wówczas z Polish University College, z którego lada moment wyrósł Polski Uniwersytet na Obczyźnie, i wróciła do pisania. Na trwałe związała się wówczas z *Wiadomościami* (już bezprzymiotnikowymi) Grydzewskiego. Współpracy z tygodnikiem towarzyszyła nierozpoznana jeszcze do końca publicystyka w londyńskim *Dzienniku Polskim* oraz *Tygodniu Polskim*, jego weekendowej wersji, gdzie drukowała felieton pod nagłówkiem „Ważne i nieważne”.

W połowie lat 50. zaczęła pisać dla Radia Wolna Europa, przed którego londyńskimi mikrofonami była częstym gościem, współpracowała również z sekcją polską BBC. Mówiła głównie o wydarzeniach kulturalnych poza krajem i o wydanych na obczyźnie książkach, nie uważając się, nawiasem mówiąc, za urodzonego człowieka radia – miała zastrzeżenia do brzmienia swojego głosu. Cieszyła się jednak uznaniem, co potwierdzają zachowane skrypty jej audycji.

Głównym polem aktywności były jednak *Wiadomości*. Od 1954 r. Kossowska publikowała w tygodniku felieton sygnowany „Big-Ben” (a w sezonie wakacyjnym „Big-Ben w podróży”), który konkurował popularnością z twórczością mistrzów gatunku, choćby Zygmunta Nowakowskiego. W fe-

lietonistycie i okolicznościowej publicystyce dała się poznać jako właścicielka rozpoznawalnego, niewidocznego jakby stylu, zwracającego uwagę związłą prostotą naturalnie łączącą się, jeśli trzeba było, z monumentalnym patosem.

Spora część jej felietonistyki była udaną, w sensie efektów tego zabiegu, próbą spotykania i osvajania Polaków z Londynem, nie uznawanym przez emigrantów, ani za piękne, ani tym bardziej za swoje miasto. Sympatia do Londynu i umiejętność pisania o nim, w jakimś stopniu także sympatia do Anglii czy nawet Wielkiej Brytanii, emocja równie rzadko spotykana wśród emigrantów, przekładająca się na przełamywanie antywyspiarskich fobii londyńskich Polaków, sąsiadowała w postawie i publicystyce Kossowskiej z patriotyzmem emigracyjnym.

Zapewne już po wojnie czuła się współtwórczynią polskiego Londynu, na którego mapie takie punkty, jak Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, zakładany przy współudziale mecenasa Szurleja, nieodległa od niego Biblioteka Polska oraz siedziby innych instytucji, towarzystw i organizacji emigracyjnych wyznaczały granice niepodległej Polski. Świata uzupełnionego polskimi księgarniami, kawiarniami, sklepami z kiszonymi ogórkami i marynowanymi grzybami, innymi słowy świata, w którym można było czuć się u siebie. Teksty poświęcone temu światu, w którym dostrzegąca zwyczajną codzienność graniczącą z misją emigracji pojmowanej jako zakon walczący o wolność swego kraju, wzmacniały wartości składające się na polskość pielęgnowaną poza Polską.

Jeśli chceć dzisiaj zrozumieć, czym było tak rozumiane nieprzejednanie, wystarczy rzucić okiem na te jej teksty, które układając się w kronikę polskiego Londynu jednocześnie współtworzyły kodeks emigranta kompletnego. Przeczytać te, które budowały legendę Andersa, objawiały sceptycyzm wobec idei budowy Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego nadwyrężającego topografię „starego”, powojennego polskiego Londynu, protestowały przeciw przenoszeniu do kraju prochów pisarzy zmarłych poza krajem. Rzucić okiem na napisany w 1991 r. dla *Dziennika Polskiego* i wydrukowany w formie ulotki krótki tekst, manifest właściwie („Dziesiąte przykazanie”) sprzeciwiający się pomysłowi przeniesienia do

kraju zbiorów Instytutu Historycznego im. Sikorskiego od lat 60. noszącego imię Instytutu Polskiego i Muzeum Polskiego im. Gen. Sikorskiego.

W sensie politycznym jej publicystyka była dowodem twardej niezłomności, postawy odrzucającej wszystko, co było choćby nikłą emanacją Polski Ludowej, zarówno w sferze polityki, jak mentalności, stylu myślenia i sposobu bycia. W sensie społecznym głosem przeciw wszystkiemu, co narzązało na szwank więzi stanowiące tkankę życia poza krajem.

Formy obecności Kossowskiej w polskim Londynie wyznaczały nie tylko zalety jej pióra. Od połowy lat 60. dom Kossowskich w londyńskim Fulham, przy Chesilton Road, w którym mieściła się pracownia męża, stał się oazą gościnności, zwracając uwagę wszystkich go odwiedzających klimatem niewymuszonej, artystycznej elegancji. Przez salon na ostatnim piętrze przewinął się bodaj cały literacko-artystyczny polski Londyn z Mieczysławem Grydzewskim na czele, człowiekiem z zasady nie składającym wizyt. Bywały tu osoby stanowiące trzon *Wiadomości* i współpracownicy pisma tymczasowo goszczący w Londynie, jak choćby Kazimierz Wierzyński.

Bliski związek Kossowskiej z *Wiadomościami*, utrwalony opublikowaniem tomu felietonów („Mieszkam w Londynie”, Londyn 1964) oraz antologii tekstów drukowanych w tygodniku („Wiadomości na emigracji”, Londyn 1968) spowodował, że pani Stefa, jak mówili o niej przyjaciele, znalazła się w wąskim gronie osób, które mogły, nie tylko mocą swoich kompetencji, ale i związków z pismem, zastąpić Grydzewskiego w jednoosobowej redakcji pisma. Po pierwszym ataku jego choroby, w jesieni 1966 r., i po drugim, znacznie poważniejszym, który nastąpił w rok później, tygodnik prowadził Michał Chmielowiec. Okazało się jednak, że i jego stan zdrowia uniemożliwił całkowite poświęcenie się pismu. Kossowska zaczęła zatem redagować *Wiadomości* początkowo wspierając lub zastępując Chmielowca, a po jego śmierci w 1974 r. robiąc to już całkowicie na własną odpowiedzialność.

Sprawie tej wypada poświęcić kilka słów. Mieczysław Grydzewski, założyciel i *de facto* właściciel pisma, nie pozostawił ostatniej woli precyzującej los tygodnika po swojej śmierci. Wielokrotnie jednak mówił, że chce, by *Wiadomości*

skończyły się honorowo, to znaczy, by nie wiodły żywota pisma byle jakiego. Nie wiadomo jednak, czy oznaczało to, że nie życzył sobie, by pismo ukazywało się po jego śmierci, czy też, by redagował je ktokolwiek poza nim. Rozstrzygnięcie problemu komplikował fakt, że w początkach choroby Grydzewskiego egzekutorzy jego nie istniejącego testamentu, w tym Kossowska i Chmielowiec, brali pod uwagę jego powrót do zdrowia; to zaś czyniło bezprzedmiotowe dyskusje, co robić z *Wiadomościami*.

Pozostawiając na boku kwestię, czy wydawanie tygodnika od czasu choroby Grydzewskiego, który w klinice manifestacyjnie, bez czytania, odkładał przynieszone mu kolejne numery, zgodne było z jego wolą czy też nie, decyzja ta nałożyła na Kossowską brzemię, o które nie zabiegała, w przeciwieństwie np. do Józefa Łobodowskiego widzącego się za redakcyjnym biurkiem *Wiadomości*. Z ciężaru przyjętej odpowiedzialności, co przyznała po latach, nie zdawała sobie sprawy, ufając zapewne redakcyjnej dewizie Grydzewskiego, chętnie zapewnającego, że pismo robi się samo. Miało to wyglądać w sposób następujący: poczta przynosi kolejne porcje materiałów, a redaktor je adiujuje i układa w kolejny numer pisma. Okazało się, że nie jest to takie proste.

Wychodzące w Londynie od 1946 r. *Wiadomości*, kontynuacja wojennych *Wiadomości Polskich* i przedwojennych *Wiadomości Literackich*, były instytucją życia kulturalnego poza krajem, tygodnikiem, z którym współpracowała większość najwybitniejszych piór emigracyjnych. Upływ lat znacznie przetrzebił grono autorów, w Londynie tygodnik nadal pojmowany był jednak jako wizytówka jego dokonań. Na przełomie lat 60. i 70., czyli w czasie, w którym Kossowska obejmowała redakcję, *Wiadomościom* zaczęło brakować autorów i czytelników. Generacja założycieli emigracji śladem Strońskiego, Andersa, Grydzewskiego i wielu innych schodziła ze sceny, co nakładało na redaktorkę obowiązek godnej kontynuacji sprzężony z walką o przetrwanie tygodnika.

Odpowiedź na pytanie, czy zadaniu temu stawiała czoło, nie należy do łatwych. Przygotowała mający objętość grubej książki specjalny numer tygodnika z okazji przypadającej w

początkach 1974 r. pięćdziesiątej rocznicy założenia *Wiadomości Literackich*, zawierający ozdobione rysunkami Feliksa Topolskiego i wydrukowane na specjalnym papierze faksymile pierwszego numeru. Szukała atrakcyjnych tematów i wiązała z pismem nowych autorów, w tym wychodźców marcowych 1968 r. Los tygodnika przesądziła jednak nie jego wartość, znajdująca nawiasem mówiąc krytyków w Londynie i poza nim, ile kurcząca się z miesiąca na miesiąc kartoteka prenumeratorów. W końcu 1980 r. samotnie urzędująca w redakcji przy Great Russel Street w Bloomsbury, w opustoszałym, przeznaczonym do remontu domu *vis à vis* British Museum, Kossowska podjęła decyzję o zamknięciu *Wiadomości*, dochowując wierności woli Grydzewskiego „by skończyły się honorowo”. Ostatni numer ukazał się wiosną 1981 r.

Decyzja ta wywołała nie mniej emocji i komentarzy niż tamta sprzed kilkunastu lat o kontynuowaniu wydawania pisma. Zdaniem niektórych, m.in. Józefa Garlińskiego, prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, tygodnik był do uratowania. Inni twierdzili z kolei, że jeśli miał przestać wychodzić, wybrany został najlepszy moment. Oczywiście wszystkich zwrócone były na to, co działo się w kraju, i mogło się wydawać, że misja *Wiadomości*, będących od zakończenia wojny forum wolnego słowa, została wypełniona.

Namiastką egzystencji tygodnika była utrzymana z inicjatywy Kossowskiej, przy materialnym wsparciu Jana Badeniego, nagroda *Wiadomości*. Przyznawana od 1958 r. dla najlepszej książki polskiej wydanej na obczyźnie, była dowodem znaczenia pisma, a zarazem próbą hierarchizowania życia literackiego poza krajem. Kossowska przewodniczyła jury od 1976 r., a w początku lat 90., kiedy uznała, że na skutek zmian w kraju kontynuowanie nagrody przestało mieć sens, zdecydowała o jej likwidacji. Pożegnaniem z tą ostatnią już formą *Wiadomości* były opublikowane przez nią dyskusje jurorów poprzedzające i komentujące przyznawanie nagród. Książka, która jest dzisiaj znakomitym źródłem do dziejów kultury literackiej poza krajem, zatytułowana została „Od Herberta do Herberta. Nagroda *Wiadomości* 1958-1990”, na pamiątkę fundatora pierwszej – Auberona Herberta i laureata ostatniej – Zbigniewa Herberta.

Od 1986 r. kontynuacją pracy redakcyjnej stało się dla

Kossowskiej kierowanie *Środą Literacką*, dodatkiem do londyńskiego *Dziennika Polskiego*, w pewnym sensie także współpraca z Polską Fundacją Kulturalną, dla której opinowała maszynopisy i redagowała książki przyjęte do druku.

Nie rezygnowała przy tym z publicystyki. W połowie lat 80. rozpoczęła współpracę z *Kulturą*, w której wcześniej obecna była jako autorka listów do redakcji wyrażających bardzo londyński punkt widzenia. Za debiut w miesięczniku Jerzego Giedroycia uznać można wart wspomnienia wspomnieniowy tekst poświęcony Wacławowi Zbyszewskiemu, zmarłemu w 1985 autorowi *Kultury* i *Wiadomości*. Stała się „płaczką emigracyjną”, co oczywiście, jeśli pamiętać, że z upływem czasu należała do coraz węższego kręgu osób, których pamięć spinała Dwudziestolecie, wojnę i czasy powojenne.

Pisanie w *Kulturze* było jednak nie tylko wymogiem upływającego czasu. Było dowodem zacierających się różnic i odchodzących w przeszłość animozji między Londynem a Giedroyciem oraz umiejętności przewartościowywania przekonań. Mimo swej manifestowanej dawniej niezłomności nigdy wprost nie krytykowała linii miesięcznika Giedroycia, tym niemniej *Kultura* i *Wiadomości* były dwoma nieprzenikającymi się światami. Teraz, nie zapominając przecież ani o wartościach, z jakimi identyfikowała się po wojnie, ani o bagażu wyniesionym z domu i środowiska swojej młodości stawiała się nie tylko autorką wspomnień o zmarłych, w tym przejmującego wspomnienia o Ksawerym Pruszyńskim, z którym w wojennym Londynie łączyła ją więcej niż przyjaźń, lecz także ukrytą pod pseudonimem *Quidnunc* krytyczną recenzentką londyńskiego establishmentu, próbującego odnaleźć sens działania w warunkach wolnej Polski i emigracji, która po 1989 r. przestawała być emigracją, nie bardzo wiedząc, czym ma być dalej.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o dwóch podobnych w charakterze książkach, do których powstania przyłożyła rękę. W 1989 r. w londyńskiej „Polonii” ukazał się wybór nieznannej szerzej wojennej publicystyki Ksawerego Pruszyńskiego, odkłamywujący wizerunek pisarza, któremu w PRL nadano wymiar „postępowego”, a tym samym „proradzieckiego”. W trzy lata później Instytut Literacki wydał powojenne artykuły

Wacława Zbyszewskiego („Zagubieni romantycy i inni”) zarówno przez Kossowską, jak i Giedroycia, uznawanego za jednego z najwybitniejszych polskich publicystów.

Próbując opisać aktywność Pani Stefy trzeba wspomnieć o jej zaangażowaniu w działalność społeczną. Była patriotką Instytutu Historycznego i emigracyjnego Związku Polek. W 1971 r. weszła w skład Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim, instytucji działającej do dnia dzisiejszego, mało znanej, a zasługującej na dobrą pamięć. To z inicjatywy Komitetu w początku lat 50. założony został w Beckenham (Kent) „Antokol”, dom dla zasłużonych starszych osób, w którym mogli wieść godziwe życie mając zapewnioną wszechstronną opiekę; jego rezydentami byli między innymi, kojarzeni z bardzo odległą już przeszłością, Władysław Studnicki czy Karol Niezabytowski. Z biegiem czasu Kossowska weszła do Zarządu Komitetu, pracowała w komisji „domowej” zwracającej uwagę na relacje, zwykle zresztą więcej niż poprawne, między rezydentami i personelem.

Właśnie w „Antokolu”, który w 1971 r. przeniesiony został w nowe miejsce, do Chislehurst w gminie Bromley, i w którym mieszkała po śmierci mecenasa Szurleja jej matka, Kossowska przeprowadziła ostatni wywiad ze Stanisławem Swianiewiczem, świadkiem zbrodni katyńskiej. Rozmowa ta, nie pozbawiona zaskakujących fragmentów, Swianiewicz bowiem z nieukrywanym sentymentem wspominał pobyt na Łubiance (ze względów nie tyle politycznych, ile lingwistycznych – lubił, a może nawet więcej niż lubił, język rosyjski) była pożegnaniem Kossowskiej z zamykającym się Radiem Wolna Europa.

Ostatni etap jej życia siłą rzeczy sprowadzał się do pożegnań, co oczywiste w podeszłym wieku. W wypadku Kossowskiej oznaczały one jednak nie tyle rozstawanie się, ile porządkowanie i zamykanie tego, z czym trzeba było się rozstać. Przykładem książka o nagrodzie *Wiadomości*, zbiory jej publicystyki (drugi, zatytułowany „Jak cię widzę, tak cię piszę” ukazał się w Londynie w 1973 r.), zabezpieczenie archiwum *Wiadomości* złożonego najpierw w londyńskiej siedzibie Fundacji Lanckorońskich z Brzezia, a potem przekazanego Uniwersytetowi w Toruniu oraz opracowany z jej inicjatywy

album poświęcony twórczości zmarłego w 1986 r. męża „Adam Kossowski. Murals and Paintings”. Wydany w prestiżowej londyńskiej oficynie Armelle Press w 1990 r. przy współudziale Benedicta Reada oraz Tadeusza Chrzanowskiego, Tymona Terleckiego i Andrzeja Borkowskiego stanowi opatrzony wspaniałymi reprodukcjami hołd złożony bliskiemu człowiekowi i artyście, który wpisał się swoją twórczością w brytyjską sztukę religijną.

Od początku lat 80., w miarę wzrostu zainteresowania tym, co działo się w polskiej kulturze na obczyźnie od czasu wybuchu wojny, Kossowska zaczęła występować w nowej roli, trwającej w zasadzie aż do śmierci. Udzielała informacji na temat życia kulturalnego na emigracji, wysyłała do kraju kopie artykułów, książki i czasopisma, innymi słowy wspomagała odkrywanie tego, co w PRL narazone było na fałsz, a w III Rzeczypospolitej na zapomnienie. Miała poczucie odpowiedzialności za ocalenie i przekazanie materii, którą po części tworzyła, ale także satysfakcji z tego, że jej twórczość znalazła drogę do kraju. W 1991 r. ukazał się w Bibliotece *Więzi* zbiór jej szkiców biograficznych „Galeria przodków”, którego ciąg dalszy stanowił tom „Przyjaciele i znajomi” (Toruń 1998).

W sierpniu 1999 r., w Instytucie Sikorskiego, odbyła się uroczystość celebrująca 90-lecie Kossowskiej, wówczas już, obok Lidii Ciołkoszowej, ostatniej historycznej postaci polskiego Londynu. Z tej okazji wydana została książka zatytułowana „Pani Stefa”, na którą złożyły się teksty w większości poświęcone jej zawodowej aktywności i dokumentujące pamięć o niej. Powiedzieć można, że tradycji towarzyszącej *Wiadomościom* stało się zadość. Po książkach poświęconych *Wiadomościom* i Grydzewskiemu (w obu Kossowska była obecna), „swojej” doczekała się nie tylko nie zabiegając o nią, ale będąc mocno sceptyczna wobec całej inicjatywy, ostatnia redaktor tygodnika.

Biografia Kossowskiej, na którą składa się siedemdziesięcioletni okres pracy dziennikarskiej, publicystycznej i redaktorskiej, jest świadectwem obecności w swoim czasie. Świadectwem ocalającym wszystko to, co uważała za ważne i godne pamięci.

Rafał HABIELSKI

Piotr DASZKIEWICZ

Z ARCHIWUM PROFESORA TADEUSZA VETULANIEGO

W poznańskim oddziale Polskiej Akademii Nauk¹, przechowywane są archiwa wybitnego polskiego przyrodnika profesora Tadeusza Vetulaniego. W archiwach tych znajduje się wiele bardzo cennych, a stosunkowo mało znanych dokumentów dotyczących historii polskiej nauki. Tadeusz Vetulani pozostaje nadal postacią znaną chyba jedynie wąskiej grupie specjalistów historii zoologii, miłośnikom koni i starszemu pokoleniu polskich przyrodników i wykształconych rolników. Dlatego też celowym wydaje się przedstawienie na wstępie krótkiego biogramu² tego jakże zasłużonego uczonego.

1. Pragnę bardzo serdecznie podziękować za życzliwość i fachową pomoc pani prof. Annie Marciniak oraz pracownikom archiwum poznańskiego oddziału PAN. Panu prof. Zygmunтови Vetulaniewi oraz jego żonie dziękuję za zezwolenie na korzystanie z archiwum rodzinnego, za wszechstronną pomoc i wielogodzinne rozmowy, bez których byłoby niemożliwym odczytanie i zinterpretowanie znacznej części wykorzystanych w artykule dokumentów.

2. W przypomnieniu życiorysu profesora Vetulaniego oparłem się na niepublikowanej pracy, będącej zbiorem artykułów i wypowiedzi dotyczących tego uczonego, „Prof. dr Tadeusz Vetulani badacz tarpana leśnego” zestawionej przez pana profesora Zygmunta Vetulaniego, syna Tadeusza. Krótki biogram został ostatnio wydrukowany przez czasopismo Akademii Rolniczej im. Augusta Cieszkowskiego w Poznaniu: P. Daszkiewicz, Z. Vetulani, „Tadeusz Vetulani w świetle współczesnej nauki” *Więści Akademickie*

Tadeusz Vetulani urodził się w Sanoku 13 marca 1897 roku. Po ukończeniu w 1915 roku polskiego gimnazjum w Wiedniu był słuchaczem Uniwersytetu Wiedeńskiego, gdzie studiował filologię klasyczną, germanistykę i filozofię. Wychowany w patriotycznej tradycji angażuje się w działalność niepodległościową zgłaszając się m.in. do Polskich Wojskowych Formacji Pomocniczych. Ciężka choroba nerek uniemożliwia mu zaangażowanie się do armii czynnej. Pomimo złego stanu zdrowia ponownie zgłasza się na ochotnika do służby wojskowej w czasie agresji bolszewickiej; przydzielony do formacji pomocniczych pozostaje w nich aż do ich rozwiązania w 1920 roku. Począwszy od 1919 roku kontynuuje naukę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie w 1922 roku otrzymuje dyplom inżyniera rolnictwa. W pierwszych latach po uzyskaniu dyplomu praktykuje jako agronom, rządca majątków w Woli Sławińskiej w lubelskim, a następnie w Polance Wielkiej w krakowskim.

W 1923 roku rozpoczyna prace badawcze nad konikiem polskim. Prace te prowadzić będzie do końca swojego życia i są one niewątpliwie najważniejszą częścią jego dorobku naukowego. Począwszy od 1925 roku całkowicie poświęca się pracy naukowej. To właśnie już w pierwszych latach pracy sformułował ważną hipotezę, że rodzimy chłopski konik polski stanowi jedną z najpierwotniejszych form konia należącego do grupy koni wschodnich typu tarpana stepowego. Dalsze badania pozwoliły Vetulaniemu na wyróżnienie wymarłej już, ale żyjącej jeszcze stosunkowo niedawno na ziemiach polskich, formy tarpana leśnego³. Zarówno badania z dziedziny anatomii porównawczej, morfologii, jak i oparte na źródłach historycznych przekonanie o bliskości chłopskiego konika z okolic Biłgoraja i jego dzikiego przodka tarpana sprawiły, że profesor Vetulani poświęcił im kilkadziesiąt lat

kie Nr 9-10 (26-27) 2000. O pracach profesora Vetulaniego wspomina także Adam Wajrak w swoim artykule „Powrót hitlerowskiej krowy”, *Gazeta Wyborcza*, Magazyn nr 13 (369) z 31 marca 2000. Już zresztą przed kilkoma laty (wrzesień 1994) w *Kulturze* ukazał się mój artykuł „Tadeusz Vetulani”.

3. Ostatnie dzikie tarpany schwyte w Białowieży hodowane były w Zwierzyńcu w dobrach Zamojskich. Około 1820 roku zostały rozdane okolicznym chłopom. Znane są zresztą one m.in. z opisów cudzoziemskich przyrodników, pracujących jak Baltazar Hacquet w Rzeczypospolitej.

swojej twórczej pracy. Postawił sobie za zadanie ocalenie tej prymitywnej polskiej rasy końskiej, a w następnym etapie poprzez hodowlę selekcyjną i rezerwatową otrzymanie formy identycznej lub przynajmniej jak najbardziej zbliżonej do tarpana leśnego. Zakończone sukcesem prace nad konikiem polskim i badania dotyczące historii konia nie były zresztą jedy- nymi osiągnięciami pracy tego uczonego. Wspomnieć należy ważne w jego dorobku pionierskie prace nad rodzimymi raso- mi zwierząt domowych (oprócz koni m.in. owiec), a także liczne i bardzo ważne prace będące rezultatem podróży naukowych do Rumunii, Bułgarii, Turcji oraz prowadzoną na bardzo szeroką skalę działalność publicystyczną i popuła- ryzatorsko-oświatową. Wojna i okupacja przerwała na kilka lat pracę naukową.

Pracami nad konikiem (ale także niektórymi innymi) interesowano się poza granicami Polski, a w szczególności w Niemczech. To zainteresowanie w okupacyjnych warunkach przybrało zresztą bardzo złowieszczą formę, albowiem koniki jak i rezultaty badań zostały w sposób zaplanowany i zorga- nizowany po prostu zrabowane przez grupę hitlerowskich naukowców, wśród których szczególnie ponurą rolę odegrał dyrektor berlińskiego ZOO Lutz Heck i jego brat Heinz, dyrektor ZOO w Hellabrunn pod Monachium. W 1939 roku Niemcy proponują zresztą profesorowi Vetulaniemu możliwość kontynuowania badań, wykorzystanie jego włos- kiego pochodzenia i pracę na Uniwersytecie Rzeszy w Pozna- niu. Profesor Vetulani odrzucił tę propozycję i narażając życie zdecydował się na „zniknięcie” czyli wyjazd do Krakowa. Już w 1940 roku zaangażował się w bardzo niebezpieczną akcję bycia łącznikiem i rzecznikiem Polskiego Czerwonego Krzyża wobec władz okupacyjnych. Rodzina państwa Vetulanich po dzień dzisiejszy przechowuje pamiątki, liczne podziękowania za opiekę ze strony polskich jeńców wojennych z oflagów⁴.

Po wojnie profesor powraca do Poznania, gdzie konty- nuuje pracę naukową, kieruje m.in. Zakładem Szczegółowej

4. Między innymi podziękowania generała broni Leona Berbeckiego czy też wykonaną przez jeńców oflagu szkatułkę na cygara z dedykacją „Drogiemu Opiekunowi P. Dr Vetulaniemu Obóz Oficerski Polskich Jeń- ców Wojennych w Dössel 24 XII 1943”.

Hodowli Zwierząt. Wiele energii poświęca także odzyskaniu zrabowanych przez Niemców koników, innych wywiezionych zwierząt, sprzętu naukowego, rezultatów badań. Zakłada także rodzinę. Praca w nowych warunkach nie należy do łatwych, nie tylko często koniecznym jest praktycznie zaczynanie od zera odbudowy warsztatu naukowego, ale w dodatku „nowa władza” patrzy bardzo podejrzliwie na poznańskiego uczonego. Niedobre pochodzenie społeczne, przedwojenne ścisłe związki z kawalerią i wojskiem, zapewne także zaangażowanie w pracę licznych organizacji społecznych i zawodowych (także ziemiańskich) w Drugiej Rzeczypospolitej nie ułatwiają życia w powojennym Poznaniu. Zmęczony, zaszczyty i coraz bardziej schorowany Tadeusz Vetulani umiera nagle w Krakowie w wieku zaledwie 55 lat.

Hodowla koni należała, nie tylko przecież w Polsce, w latach międzywojennych do najważniejszych dziedzin gospodarki i to zarówno ze względu na rolę tego zwierzęcia dla słabo jeszcze zmechanizowanego rolnictwa, jak i dla armii, w znacznej części opartej bądź na kawalerii, bądź na transporcie konnym. Wytyczenie linii polskiej polityki hodowlanej należało więc do głównych zadań polityki państwa. Już na początku lat dwudziestych profesor Vetulani zanotował: „Przy wytyczaniu programu hodowli koni w Polsce na dalszą przyszłość należy wystrzegać się szablonu i zbytniego naśladownictwa państw obcych. Przez swą użytkowość bowiem koń jest w szczególności związany z klimatycznymi i topograficznymi warunkami bytu, poza tym w odróżnieniu od innych państw Europy Środkowej i Zachodniej rozporządzamy na wschodniej połaci naszych ziem doskonałym rodzimym materiałem końskim (konik i hucuł), który należy wykorzystać racjonalnie jako materiał wyjściowy dla masowej produkcji wyrównanych w typie koni użytkowych. Prymitywne tarpanowate koniki polskie mają już za granicą ustaloną markę, zwłaszcza w czasie wojny światowej zadziwiały one sfery wojskowe państw centralnych swą wytrzymałością i szczególnym przystosowaniem do naszych warunków terenowych. Na terenie okupowanych ziem północno-wschodnich Niemcy założyli nawet w czasie wojny stadninę poświęconą hodowli konika polskiego, którą jednak zniszczyła dalsza wojna”.

Godnym odnotowania jest duże zainteresowanie pracami profesora Vetulaniego ze strony armii. Oczywiście zainteresowanie to miało charakter nie tylko społecznej i charytatywnej pomocy dla badań naukowych związanych z rasami rodzimymi, liczone na uzyskanie użytecznych dla wojska rezultatów hodowlanych. Przechowywany w archiwum protokół drugiego dorocznego zjazdu Grona Przyjaciół Zwierzyńca Koników Typu Tarpana Leśnego w Puszczy Białowieskiej, odbytego w Białowieży 9 maja 1938, pozwala na stwierdzenie, że wśród piętnastu uczestników zjazdu wyżsi oficerowie stanowili większość (dziewięciu uczestników), a także, że 12 koników, uznanych przez profesora Vetulaniego za szczególnie cenne z naukowo-hodowlanego punktu widzenia, nabyto ze specjalnego funduszu Ministerstwa Spraw Wojskowych. Konie te przekazano Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych i wypuszczono w białowieskim zwierzyńcu. Jak dowodzą liczne dokumenty z archiwum, profesor Vetulani był bardzo cenionym przez armię specjalistą, regularnie uczestniczył w wojskowych remontach koni i wielokrotnie był ekspertem w sprawach wojskowych zakupów (w archiwum zachowała się m.in. interesująca relacja: „Wrażenia z targu koni remontowych w Oszmianie w 1935 roku”).

Profesor Vetulani zaangażowany był także w organizowanie szkolnictwa rolniczego, zwłaszcza na poziomie akademickim. Brał udział w opracowywaniu programów nauczania. Jest również współautorem i sygnatariuszem memoriału Związku Zawodowego Rolników z Wyższym Wykształceniem w sprawie utrzymania i dalszej rozbudowy Studium Rolniczego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W memoriale przygotowanym na zjeździe w 1934 roku (dokumentacja zjazdu jest częścią archiwum) wyrażono zaniepokojenie pogłoskami na temat likwidacji studium i przedstawiono argumenty przemawiające za koniecznością jego utrzymania i rozbudowy. Przypomniano niski charakter kultury rolnej Wileńszczyzny, jej odrębność klimatyczną, a także, iż studium odgrywa niebagatelną rolę polityczną, albowiem jest „szczególnie ważne dla polskiej młodzieży spoza kordonu w szczególności z Litwy, Łotwy i Rosji i nawet z Estonii. Co ma szczególne znaczenie wobec istnienia wyższych uczelni

rolniczych w pobliżu Wilna za kordonem min. w Kownie, Rydze, Mińsku i Dorpacie. W związku z powyższym bardzo ważnym jest wpływ studium rolniczego USB na konsolidację oraz harmonijne współzycie na gruncie państwowości polskiej całej młodzieży rolniczej o wyższych aspiracjach naukowych ziem północno-wschodnich”.

Znacząca część dokumentacji przechowywanej w archiwum poświęcona jest próbie rekonstrukcji wojennych losów doświadczenia nad konikiem polskim, a także wysiłkom mającym na celu odzyskanie zrabowanych zwierząt i wyników doświadczeń. Jak wiadomo w 1939 roku Puszcza Białowieńska znalazła się pod okupacją sowiecką. Rosjanie bardzo interesowali się polskimi doświadczeniami nad konikiem polskim. Do Białowieży ściągają swoich specjalistów. Niezbyt wprawdzie interesuje ich projekt selekcji konika zbliżonego do tarpana i wypuszczenie go na wolność, uważają natomiast, że wyselekcjonowane przez profesora Vetulaniego koniki stanowią interesujący materiał hodowlany dla potrzeb rolnictwa, a zwłaszcza dla wojska. Już w 1939 roku dokonują pierwszej selekcji, część koników oddają do pracy w gospodarstwach, ogiera Liliputa zarzynają dla „celów naukowych” dla którejś z rosyjskich kolekcji zoologicznych, a resztę zachowują, aby kontynuować hodowlę i badania. Oczywiście wszystko to, jak wynika z zachowanych dokumentów, odbywa się w typowy dla sowieckiej organizacji sposób, tzn. z braku należytej opieki i chorób pada połowa urodzonych w tym czasie źrebiąt. Gdy w rezultacie złego odżywiania pada w 1940 roku klacz Tanew, rozpoczynają się oskarżenia o dywersję i sabotaż. Przedwojenny dozorca zwierzyńca ma być sądzony, ale udaje mu się w porę „zniknąć”. W maju 1941 roku na krótko przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej odbywa się w Białowieży konferencja poświęcona konikom z udziałem wielu znanych sowieckich zoologów.

Białowieża błyskawicznie, bo już latem 1941 roku, zostaje zajęta przez Niemców. Oni także bardzo interesują się doświadczeniem nad konikami. Bracia Heck, „szczególnie zasłużeni dla nazizmu” zoolodzy, a zarazem wysokiej rangi dygnitarze hitlerowscy od lat prowadzą w Niemczech badania nad regeneracją tarpana. W przeciwieństwie do doświadczenia

prof. Vetulaniego ich hodowla ma praktycznie wyłącznie charakter ideologiczno-propagandowy. Chodzi o zrekonstruowanie „starogermańskiego” gatunku. Również metoda pracy jest zupełnie inna, krzyżują oni ze sobą bardzo odległe rasy koni, aby „zatracić ich domowy charakter”. Dopóki było to możliwe, ich prace nad końmi, jak i równie absurdalna „rekonstrukcja tura” poprzez krzyżowanie kilku ras bywała ostro krytykowana przez niemieckich zoologów. W 1942 roku nikt już oczywiście nie odważa się w Niemczech krytykować nawet najbardziej absurdalnych prac bliskiego doradcy samego Führera.

Od lat bardzo pożądanym okiem Heckowie spoglądają na koniki i rezultaty prac profesora Vetulaniego. Nie udaje im się uzyskać jego rezultatów, tzn. wyselekcjonowania koników odznaczających się cechami uznawanymi za prymitywne (jak np. stojąca grzywa, zimowe bieleni sierści, myszowata maść). Przed wojną usiłują zakupić większą ilość koników. Strona polska za poradą profesora Vetulaniego nie zgadza się jednak na sprzedaż najwartościowszego materiału hodowlanego. W 1942 roku Heckowie „korzystają z okazji” i organizują grabież koników, jak i naukowej dokumentacji doświadczenia. Po wojnie profesor Vetulani bardzo skrupulatnie zgromadził dane dotyczące owej grabieży, włącznie ze spisem „wywiezionych” do Rzeszy zwierząt. Pierwsza, najważniejsza faza rabunku objęła 30 koników. Przy okazji „oficjalnej” kradzieży, niemieccy dygnitarze korzystają z okazji i koniki z następnych wywózek trafiają częściowo do majątków prywatnych, m.in. do majątku majora Freverta z Luftwaffe, komendanta garnizonu białowieskiego. Ostatnia faza rabunku odbywa się w 1944 roku na krótko przed ponownym przejściem Białowieży przez Sowieców. Niemcy, co później ułatwiło poszukiwania, w trakcie rabunku zachowują się bardzo arogancko. Wpisują się do księgi pamiątkowej w białowieskim muzeum, a swoje kradzieże zwierząt, także koni Przewalskiego z rezerwatu Askania Nowa na Ukrainie, triumfalnie opisują w hitlerowskiej prasie. Zresztą niekiedy zawodzi ich „niemiecka dokładność” i przy rabunku zdarzają się wypadki. W relacji spisanej już po wojnie przeczytać można „Z przychówku z roku 1938 zginęła tragicznie Dubitka białowieska. Przezna-

czona na wywóz do Niemiec, spłoszona i zdenerwowana w owym pamiętnym dniu w lutym 1942 roku, kiedy to Niemcy, w swej zachłanności, przystąpili do masowej grabieży naszego cennego materiału naukowego tarpanowatych koników, jak gdyby na znak protestu popełniła «harakiri», wieszając się na jednym z drzew, wplątana w jego gałęzie (...). Przeznaczone na wywóz drugie źrebię od klaczy Sarny, prawdopodobnie z roku 1941, zastrzelili Niemcy już w wagonie, gdy podczas ładowania go złamało nogę”.

We wrześniu 1944 władze sowieckie „oddają polskiej stronie” część Puszczy Białowieskiej i gdy w dniu 24 X 1944 przejęty zostaje zwierzyniec koników, ich stan liczebny wynosi zaledwie 13 sztuk. Utracona zostaje także znaczna część dokumentacji hodowlanej. Wprawdzie dr Demiaszkiewiczowi udaje się w okresie okupacji ukryć przed Niemcami rejestry i księgi hodowlane, ale ukradziono je, aby bezmyślnie wykorzystać jako „czyste kartki papieru” już po odejściu Niemców.

Zaraz po zakończeniu wojny podejmuje prof. Vetulani starania o powrót skradzionych koników do Polski. Chodzi zresztą nie tylko o odzyskanie wartościowego materiału hodowlanego i naukowego, ale także o zasadę: „Przeprowadzona w imię dobra nauki polskiej i należnego jej prestiżu rewindykacja naszych koników, (...) zrabowanych i wywiezionych z Polski, niechaj będzie dla zachłannych niemieckich kół naukowych jednym z przykładowych dowodów, że także grabież mienia naukowego nie uchodzi w Polsce bezkarnie”. W ministerialnym piśmie oceniającym w kilka miesięcy później te starania przeczytać można: „Zgodnie z opinią prof. dr Tadeusza Vetulaniego Biuro Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych uważa rewindykację tych 5 koników pochodzących po ogierze polskim za niezbędną, gdyż pozostawione w berlińskim Ogrodzie Zoologicznym służyłyby one niemieckiej nauce dla tanich, gdyż na grabieży opartych, osiągnięć naukowych, gdy przeciwnie te dalsze osiągnięcia naukowe winny pozostać duchowym dobrem nauki polskiej. Wydaje się bowiem pozostawać w zgodzie z takim wycuciem prawa, że jeżeli przywłaszczył sobie jakąś rzecz, to i dalsze korzyści z jej posiadania są nieprawne i winny być uwzględnione przy naprawie wyrządzonej krzywdy”.

Już w grudniu 1945 roku udaje się profesorowi Vetulanemu zorganizować misję rewindykacyjną i uzyskać pozwolenie na wyjazd do Niemiec. Relacja z tej podróży, jak również korespondencja związana ze staraniami rewindykacyjnymi jest niezwykle interesującą częścią zbiorów archiwum profesora Vetulaniego. Jest to także cenny dokument życia w Niemczech w pierwszym okresie po zakończeniu działań wojennych. Już sama kilkudniowa podróż z Poznania do Berlina nie była przecież wówczas przedsięwzięciem łatwym, po raz pierwszy przejeżdżał profesor Vetulani przez poniemieckie ziemie zachodnie „na terenie dzikiego zachodu ziemia leży odłogiem, ludzie kopią marchew i ziemniaki, przyprószone śniegiem, żołnierze sowieccy rzną piłą słup telegraficzny, Kostrzyń miasto w 100% spalone sprawia wrażenie makabryczne”.

W Berlinie opisuje uderzającą usłużność Niemców wobec wojsk okupacyjnych, a także nastroje ludności „rozmowa z szewcem na Albrechtstrasse. Uwagi szewca: Wojna nieunikniona. Tak zostać nie może. Maksimum 1-2 lat. Nowa wojna krótka wobec wynalazku bomby atomowej”, jak i informacje o stratach „Zniszczenie Berlina na podstawie przygodnych rozmów w S-Bahn: Berlin szkody w budynkach 60-70%, najwięcej w Stadmitte i Steglitz (75%). Mieszkańców zginęło od bombardowania 200000, a razem z rannymi straty w ludziach obliczane na 600000. (..) Ludzie chudną, starzy wymierają, np. Fusspflegerin pochowała w ciągu jednego tygodnia 5 osób spośród krewnych. Wszyscy mieszkańcy uwijają się po ulicach miasta z małymi wózkami (Deutsche Volkswagen), przewożąc głównie materiał opałowy. W kinie Regina Berlińczycy przykryci kocami, gorące termosy itd.” Szczegółowo relacjonuje także skromne, kartkowe racje żywnościowe.

Sprawą zrabowanych koników, ale także żubrów interesują się alianckie władze okupacyjne⁵: „17 grudnia Prof. Ba-

5. W USA sprawa żubrów, jak również pogłoski na temat ich rabunku przez Niemców wywoływały duże zainteresowanie. Zaraz po wojnie przebywał w Polsce z misją zbadania zasobów leśnych i rolnych pracownik Departamentu Stanu E. N. Munns. Oprócz potencjału polskiego rolnictwa i leśnictwa najbardziej interesowała go właśnie „historia żubrów w okresie okupacji”, patrz E. N. Munns, „Further note on the European Wisent”. *Journal of Mammalogy*, 1948, Vol. 29, nr 3.

biński opowiadał, że był w sprawach rewindykacyjnych u Amerykanów, u naczelnych ich władz wojskowych, dał mi listę naszych spraw i był zdumiony, że właśnie sprawa rewindykacji żubrów i tarpanów w szczególności zainteresowała pułkownika amerykańskiego, tak iż zaraz przy nim telefonował w tej sprawie do głównej kwatery amerykańskiej we Frankfurcie nad Menem”, oraz: „Ponownie pokój 201, gdzie przyjął mnie wyższy oficer angielski w towarzystwie cywila (tłumacza); obaj mówili po niemiecku. Oficer gdy przeczytał me pismo polecające w języku angielskim, zaczął się śmiać, że z pewnością już dawno zjedli sowieci żubry i koniki”. Wszędzie jednak zarówno u Brytyjczyków, jak i Amerykanów udaje się Vetulaniemu zainteresować grabieżą władze okupacyjne. Pierwszym krokiem jest ustalenie losów, a zwłaszcza aktualnych adresów niemieckich przyrodników bądź zamieszanych osobiście w rabunek, bądź mogących posiadać jakieś informacje o wywiezionych zwierzętach: „Dr Steinmetz, zastępca prof. Hecka, przebywał także na Zachodzie. Tam ukrywa się też prof. dr Lutz Heck, który pod datą 18 listopada 1945 roku pisał do dr Heinroth (...) Od Dr Heinroth dowiaduje się, że profesor Antonius i jego żona powiesili się w końcu kwietnia 1945 roku, gdy Rosjanie wkraczali do Wiednia. Antonius bardzo bał się Sowietów. (...) Arndt zamordowany przez hitlerowców w kwietniu 1944, skazany na śmierć za to, że gadał na reżim hitlerowski.”

W Schorfheide⁶ prof. Vetulani zauważa wywiezionego z Askanii Nowej na Ukrainie konia Przewalskiego, odnotowuje także „pomnik z czerwonego granitu, ufundowany w roku 1934 przez Goeringa. Pomnik ten przedstawia rzeźbę żubra, wykonaną przez M. Essera (1934), na odwrocie cytat o starogermańskiej zwierzynie i wzmianka o niezniszczalnej

6. Podberliński rezerwat hodowlano łowiecki, to właśnie tam prowadzono badania hodowlane nad żubrami, prymitywnymi końmi, czy też pseudoturami Hecka. Rezerwat był chlubą Goeringa, „głównego łowczego Rzeszy”. Odgrywał zresztą ważną rolę dla niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych. To właśnie tutaj zapraszano uznawanych za szczególnie ważnych gości. Admirał Horthy wspomina, iż jednym z najważniejszych momentów jego wizyty w Rzeszy, gdy Hitler pragnął, aby Węgry przyłączyły się do ataku na Czechosłowację, było „polowanie na tury” w Schorfheide.

potędze Niemiec”. Przepytywani Niemcy są w dziwny sposób prawie zawsze uprzedzeni o wizycie komisji rewindykacyjnej i przygotowują się do rozmów. „Rozmowa z Sieberem, łowczym (...) widać, ktoś go już uprzedził o wizycie. Co do żubrów, to jego zdaniem 54 żubry i żubrobizony mieli wystrzelać Rosjanie. Byk Pupil z Białowieży był w Schorfheide”. Co godne odnotowania, postawy niemieckich przyrodników są bardzo zróżnicowane, wielu odnosi się bardzo krytycznie do działań „swoich kolegów”: „17 XII zetknąłem się na Invalidenstrasse 43 z prof. dr Pohle. Niestety o konikach nic mi nie potrafił powiedzieć. Bardzo ostro i krytycznie wyrażał się o prof. dr Lutzu Hecku (...) Mówił, że wśród zoologów niemieckich Lutz Heck nie miał żadnego uznania, że nie nadawał się, jako die oberste Naturschutzbehörde” lub „informacja o spaleniu zbiorów i biblioteki Naturschutz w trakcie ewakuacji z Berlina. Dr Hans Hedicke polecał naszej opiece zbrocza Odry koło Bellinchen, jako najpiękniejszy i najważniejszy obiekt ochrony przyrody są to zbrocza pontyjskie o przepięknej wegetacji i bardzo bogatej faunie. Chciałby móc przyjechać do Polski i pokazać nam ten obiekt. (...) Dr Hedicke poddał bardzo surowej krytyce działalność prof. dr Lutza Hecka na odcinku ochrony przyrody i w ogóle. Zoologowie nie uznawali go. Dopiero za trzecim razem dano mu doktorat przez wzgląd na jego ojca”.

Poszukiwania nie dają jednak oczekiwanych rezultatów, w dodatku poruszanie się po Niemczech wymaga specjalnych zezwoleń „ponieważ z poszukiwań dra Stefana Jarosza i prof. dr Tadeusza Vetulaniego przeprowadzonych na terenie Berlińskiego Ogrodu Zoologicznego oraz Schorfheide wynika, że wywiezione przez Hecków z Puszczy Białowieskiej koniki mają przebywać już to w Monachium (Hellabrunn), już to w Nymphenburg pod Monachium, przeto Biuro Rewindykacji i Odszkodowań Wojennych Ministerstwa Przemysłu w Warszawie podjęło starania o przepustki dla wym. delegatów Polski do strefy amerykańskiej dla odszukania tam wywiezionych z Polski koników, oraz do strefy angielskiej dla zacerpnienia w Hamburgu w tamtejszym Muzeum Zoologicznym danych o losach żubrów wywiezionych z Polski z Niepołomic, Pszczyny i Spały. Przy rewindykacji koników

idzie nie tylko o sztuki wywiezione z Puszczy Białowieskiej w liczbie ok. 32, ale nadto o cały przychówek z lat od roku 1942, urodzony w Niemczech. Tymczasem Biuro Rew. i Odszkodowań Wojennych prosi o zabezpieczenie dla Polski i rewindykowanie dla Poznańskiego Ogródu Zoologicznego pięciu młodych koników zrodzonych w Schorfheide”.

Liczba zachowanych pism i odpisów urzędowych listów uświadamia, jak wiele zabiegów potrzeba było choćby po to, aby uzyskać zezwolenia na przejazd przez okupacyjne strefy Niemiec. W poszukiwanie koników wciągnięte zostają różne organa administracji, i tak np. list z Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z 28 maja 1946 roku podpisany przez Naczelnika Wydziału Hodowli Koni (inż. Stanisława Sucha) informuje, że „koników z rezerwatów puszczy Białowieskiej w strefie brytyjskiej nie spotkałem. Zaznaczam jednakże, że nie byłem we wszystkich stadninach, które gromadzą materiał rewindykowany. Wydaje mi się, że część koników białowieskich jest już pod opieką pułkownika Zamoyskiego i jeśli tak, będą one przywiezione do Polski przy pierwszej sposobności. W razie otrzymania bliższych danych nie omieszkamy Pana Profesora powiadomić”. Kłopoty poruszania się po Niemczech ilustruje list jednego z urzędników: „Moja ostatnia podróż sprawiła mi tyle kłopotu w wjeździe i wyjeździe, trzy tygodnie czekałem na zezwolenie na wyjazd i z granicy czeskiej cofnięto mnie do głównej kwatery w Berlinie i podróż w czasie śnieżyc zimowych kolejami w wagonach bez szyb i noclegi w hotelach bez szyb a poza tym absolutna niemożliwość kupienia żywności w strefie amerykańskiej, tak dała mi się we znaki, że obecnie zrezygnowałem z dalszych wyjazdów. Dobrze jednak się stało, że wykorzystałem posiadane zezwolenie amerykańskie, gdyż obecnie uważam sprawy te trudniej byłoby załatwić”. Poszukiwania prowadzone są także w Austrii (Sprawozdanie Rewindykacyjne nr 733 w sprawie koników. Rewindykacja inż. Marian Gmach data i czas wyjazdu 26/11/1947), nie odnoszą jednak skutku, a prowadzący je urzędnicy przekazują informację, że poszukiwany przez nich w tej sprawie niejaki Staffe przebywa w Szwajcarii i doradzają, aby kontynuować poszukiwania przez poselstwo RP w Bernie.

Nawet w przypadku zidentyfikowania (jak w berlińskim ZOO) koników ich rewindykacja wcale nie jest sprawą prostą. Bardzo interesujące są dokumenty obrazujące niemiecką strategię stosowaną zaraz po wojnie, aby nie oddać koników i zrabowanego mienia. Sam główny organizator kradzieży Lutz Heck, poszukiwany przez Rosjan jako zbrodniarz wojenny, ukrywał się przez kilka lat prawdopodobnie w amerykańskiej strefie okupacyjnej, a następnie w niemieckich osadach w Namibii, aby kilka lat później powrócić do RFN. Jego brat Heinz, a także grupa dawnych współpracowników, wśród nich dr Heinroth z berlińskiego ZOO, podjęła jednak działania, aby sparaliżować żądania powrotu skradzionych zwierząt. Zachowany w archiwum profesora Vetulaniego list z Ministerstwa Leśnictwa z Wydziału Ochrony Przyrody z 12 kwietnia 1946 roku informuje, iż polskiej misji wojskowej w Berlinie został przekazany list Heinza Hecka z uzupełnieniem napisanym przez jego brata (wówczas ukrywającego się zresztą przecież przed władzami alianckimi) Lutza. List ów opatrzony został w ministerstwie następującym dopiskiem „w załączeniu przesyłam odpis pisma H. Hecka, w którym wyraża gotowość do pomocy w odzyskaniu naszych zwierząt, osobiście sądzę, że wszystkie oświadczenia Hecków pozornie prawdziwe i lojalne spowodowane zostały zagrożeniem oskarżenia ich jako zbrodniarzy wojennych, gdyby nie udzielili mi wszystkich możliwych informacji”. W piśmie Heinz Heck „cieszy się” [sic!] z poszukiwań wszczętych przez polską stronę, albowiem jak pisze w ten sposób „nawiązała się międzynarodowa współpraca między specjalistami”, a „ratowanie zagrożonych gatunków zwierząt możliwe jest jedynie w ramach współpracy międzynarodowej”. Jako Niemiec [a oczywiście nie jako osobiście odpowiedzialny za organizację rabunku – PD] Heck „chce wnieść swój udział w zadośćuczynienie szkód wyrządzonych polskiej hodowli zwierząt”, podkreśla także, że owa „chęć pomocy Polsce” jest „wyrazem jego dobrej woli, a nie rezultatem nacisków ze strony władz okupacyjnych”. Nie tylko „pragnie oddać ogiera lub inne koniki, ale uczyni to bezpłatnie choć je nabył legalnie” [sic!]. „Legalnie” koniki miały zostać nabyte przez Niemców w Generalnej Guberni (tzn. Heck twierdzi, że zapłacono za nie), a częściowo zostały zakupione już po

wojnie od armii amerykańskiej, gdzie znalazły się jako „zdobycz wojenna”, bo cofający się Wehrmacht przywiózł do Niemiec wiele „prymitywnych koników typu wschodniego”. Oświadcza także, że gotów jest „współpracować z Polakami w poszukiwaniu wywiezionych żubrów”. Jego ukrywający się brat natomiast zdecydował się jednak na przesłanie przez pośredników listu, w którym tłumaczy, że uratował koniki... broniąc ich z jednej strony przed bałaganem, a z drugiej strony przed niemiecką administracją leśną, która dążyła do likwidacji rezerwatu konika. W końcu pisze, że wywózka objęła jedynie „osobniki bezwartościowe z hodowlanego punktu widzenia”.

W podobnym tonie jest utrzymany list nadesłany do misji wojskowej z Berlina przez dr Heinroth. Obok zapewnień, że koniki, które zdaniem Vetulaniego powinny zostać zwrócone Polsce, wcale nie zostały skradzione, znaleźć można informacje iż „berlińskie ZOO będzie dochodzić pochodzenia owych koników”, a także, iż ZOO nie było własnością Rzeszy, a spółką akcyjną⁷. Heinroth przypomina także, że berlińskie ZOO odgrywa ważną rolę kulturotwórczą docenioną przez aliantów, którzy zaakceptowali przecież jego odbudowę, jednocześnie przypomina, że ZOO w trakcie nalotów

7. Dzisiaj po latach można zauważyć, że ten argument, tak silnie akcentowany w dezinformacyjnej akcji mającej na celu nieoddanie Polsce zrabowanych zwierząt, obraca się przeciwko tej instytucji. Otóż berlińskie ZOO, które za czasów Hecka stało się „wzorową nazistowską instytucją”, odgrywającą bardzo ważną rolę w państwowej propagandzie, m.in. podczas olimpiady, ale także rasistowskich wystaw, jak i pracujące nad nową „aryjską” prezentacją zwierząt, bardzo szybko pozbawiło tytułów własności żydowskich akcjonariuszy. Dzisiaj po wieloletnim przemilczaniu roli, jaką ta instytucja odgrywała w hitlerowskim okresie berlińskie ZOO z jednej strony poddane zostało krytyce za hołd złożony Heckowi i odsonięcie jego popiersia (patrz artykuł Kai Artingera: „Lutz Heck: Der «Vater der Rominter Zure» Einige Bemerkungen zum wissenschaftlichen Leiter des Berliner Zoos im Nationalsozialismus”. *Der Bär von Berlin* 43/1993), jak i jest w trakcie dyskusji z amerykańskimi adwokatami reprezentującymi osoby i instytucje poszkodowane (głównym inicjatorem tej akcji jest amerykański profesor Werner Cohn, na jego internetowych stronach zapoznać się można z „kłopotami”, jakie ma ZOO w Berlinie z rozliczeniem swojej hitlerowskiej przeszłości). Należy ubolewać, że przy tej okazji w ogóle nie wspomina się na temat polskich instytucji będących przecież głównymi ofiarami rabunków.

i walk o Berlin tak bardzo ucierpiało, że jakakolwiek najdrobniejsza nawet konfiskata zagroziłaby jego istnieniu. Po owym „dialektycznym” wstępie Heinroth wręcz twierdzi, że musi wystąpić przeciwko „polskim roszczeniom”, ponieważ są... bezpodstawne. W dalszej części listu przeczytać można, że żaden ze wskazanych koników nie jest polskiego pochodzenia. Ogier pochodzący z Polski miał paść na zapalenie płuc⁸. Heinroth pisze także, że Niemcy „od dwustu lat pracują nad prymitywnymi końmi”, jak i że owych poszukiwanych koników należy... poszukiwać w Białowieży⁹.

Oczywiście kłamstwa te są stosunkowo łatwe do zdemaskowania. W liście z 19 listopada 1947 roku do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie profesor Vetulani pisał, że „Pierwsza główna i masowa wywózka z naszego rezerwatu 28 koników, uskuteczniiona w lutym 1942 przy czynnym i decydującym udziale Hecków, przyczem prof. dr Lutz Heck z Berlina był podówczas najwyższym czynnikiem ochrony przyrody w Niemczech, to nieznanym chyba dotąd w świecie kulturalnym skandal naukowy, który dziś po przegranej wojnie nie są Heckowie w możności wytłumaczyć ani względami strategicznymi, ani chęcią ratowania koników przed wrogimi im wojskami sowieckimi, jakby to byli niewątpliwie uczynili, gdyby losy wojny miały dla ich państwa inny przebieg” oraz „Nic więc dziwnego, że dostarczone nam za pośrednictwem dr Stefana Jarosza, naczelnika Wydziału Ochrony Przyrody w Ministerstwie Leśnictwa sprawozdanie Hecków z marca 1946 w sprawie wywiezienia przez nich naszych koników rezerwatowych, a także wyjaśnienia prof. dr Lutza Hecka, objęte sprawozdaniem dr K. Heinrotha z dnia 17 września 1947 mające jakoby wybielić ich wobec nas i całego kulturalnego świata, a zarazem umożliwić im pasyżowanie na zrabowanym materiale naukowo-hodowlanym,

8. Warta podkreślenia jest owa sprawność, z jaką nagle pokazywane są przez Niemców zaświadczenia o legalnych zakupach ... w Generalnej Guberni czy też weterynaryjne akty zgonu zwierząt pochodzących z Polski.

9. Polnische Wirtschaft jak widać niezmiennie towarzyszył najpierw hitlerowskiej argumentacji rabunku, a następnie ... po wojnie służył dla argumentacji, iż żadna wywózka nie miała miejsca [sic!]. Jakoś nikt nie dostrzegał sprzeczności w owych twierdzeniach, jakie prominentni przyrodnicy niemieccy produkowali w niewielkim przecięz odstępce czasu.

roi się od cynizmu i tendencyjnego zakłamania, zdemaskowanie których nie nastęrcza najmniejszych trudności”. Vetulani wykazuje także bezsensowność twierdzenia, jakoby Heck (tak wysoki urzędnik) musiał „walczyć” z niemiecką administracją leśną, która chciała po prostu te koniki wytepić. Kłamstwem jest, że „Heckowie wysortowali i wywieźli z rezerwatu rzekomo nieomal jedynie tylko sztuki wadliwie umaszczone i nie nadające się skutkiem tego do hodowli w naszym rezerwacie”. Zrabowane koniki trafiły do różnych niemieckich ogrodów zoologicznych w Królewcu, Berlinie i Schorfheide, Augsburgu, a największa grupa (7 ogierów i 5 kłaczy) dostała się do firmy Hagenbecka, znanego handlarza i dostawcy zwierząt dla światowych ogrodów zoologicznych w Hamburg-Stellingen¹⁰. Wreszcie demaskuje również kłamstwo, jakoby zrabowane koniki trafiły do Poznania (była to próba przekonania, że owe koniki znalazły się po wojnie w Polsce).

Profesor Vetulani pisze także iż „Wzmianka w sprawozdaniu Hecków, jakoby za nasze koniki wywiezione z rezerwatu zapłacili oni w *ordnungsgemaess* podobnie jak i rzekomo za inne koniki polskie nabyte od amerykańskich władz okupacyjnych (w charakterze amerykańskiej zdobyczy wojennej), oraz deklarowana dzisiaj przez Hecków gotowość odstąpienia nam obecnie jednego z naszych koników, «nabytego» przez nich w «legalny» sposób, a mianowicie myszatego ogierka, przebywającego obecnie w monachijskim Ogrodzie Zoologicznym, jako zbędnego dla tamtejszej hodowli, to iście niezrównany w swym kręctwie i cynizmie «tric» braci Hecków, nadający się do sensacyjnej powieści. Opowiadano mi w Berlinie, że panowie Heck to geszefciarze, którzy być może pospieniężali nasze koniki (...) dodatkowa notatka Heinza Hecka z Monachium (z marca 1946) jakoby z cofającymi się ze wschodu wojskami niemieckimi dostało się do Niemiec bardzo dużo koni wschodniego pochodzenia, wśród których trafiają się okazy bielejące zimą, które jako zdobycz amerykańska zostały następnie Niemcom sprzedane,

10. W przypadku Hagenbecka interesującym jest podkreślenie, jak na „państwowych” rabunkach dokonanych w Polsce i innych krajach okupowanych wzbogacały się niemieckie firmy prywatne, często funkcjonujące zresztą po dzień dzisiejszy.

to moim zdaniem aż nazbyt przejrzysty dalszy «chwyt» Hecków, obliczony na salwowanie ich wobec świata naukowego przed zarzutami plagiatu na wypadek, gdy w przyszłości, żerując na zrabowanym nam cennym materiale naszych koników rezerwatowych, oraz na ich licznym potomstwie zrodzonym już po wojnie w Niemczech, zaczną ogłaszać wyniki swych «oryginalnych» badań i «dorobków naukowych», opartych na owocach naszej pracy¹¹. Profesorowi Vetulaniemu udaje się także wykazać, iż K. Heinroth mylnie, prawdopodobnie tendencyjnie, wyszczególnia inne osobniki niż te wskazane przez polską misję rewindykacyjną i celowo w swoim sprawozdaniu pomija niektóre z koników znajdujących się w Berlinie.

Rewindykacja nie jest jednak zadaniem łatwym. Z prawniczego punktu widzenia, zważywszy na bezprecedensowy charakter sprawy, trudne do odzyskania jest potomstwo skradzionych koników, ale skrzyżowanych z osobnikami nabytymi przez Niemców legalnie. Vetulani jest świadom, iż „Ponieważ w świetle tych przedstawionych wyżej sprzecznych względnie kłamliwych zeznań i wyjaśnień niemieckich, wobec nie istnienia względnie nawet możliwego ukrywania osobników rodzicielskich¹², trudno dziś z całą pewnością rozstrzygnąć, czy owych pięć koników Berlińskiego Ogrodu Zoologicznego o cechach konika polskiego typu tarpana leśnego, do których zgłosiłem naszą pretensję, wywodzi się od naszych koników rezerwatowych, czy też od innych koników polskich

11. Warto podkreślić, jak bardzo trafne były te obawy, wystarczyło, iż upłynęło zaledwie kilka lat, aby w Niemczech przyrodnicy związani z Heckami ogłosili, iż są autorami wyników uzyskanych przez Vetulaniego. Informacje na ten temat docierały zresztą różnymi drogami, w archiwum znajduje się np. list z 22 kwietnia 1949 profesora Jana Czekanowskiego, znanego antropologa, który przeglądając w poznańskiej kawiarni „Marago” *London Illustrated News* natrafił na informację o „zrekonstruowanych tarpanach” w Niemczech. Czekanowski informuje, że w artykule są także zdjęcia koników, i zastanawia się, czy to nie te skradzione w Polsce. Kłamstwo to pokutuje zresztą po dzień dzisiejszy, stając się dzięki internetowi coraz bardziej powszechnym.

12. W przypadku żubrów praktyka niemieckiego fałszowania rodowodów i zatajania dokumentów sprawiła, że nie uwzględniano w księgach rodowodowych okazów z Hellabrunn pod Monachium ze względu na niemożliwość jasnego określenia ich pochodzenia.

zrabowanych nam podczas wojny i ponieważ w świetle przytoczonych zeznań niemieckich nie ma wątpliwości co do tego, że przynajmniej ze strony ojca są one potomstwem owego myszatego polskiego ogiera chełmskiego, wyprzęgniętego chłopskiemu od woza przez członka formacji SS (...) przeto w mej notatce z dnia 20 grudnia 1945 roku, wręczonej prof. dr Babińskiemu w Centrali Polskiej Komisji Rewindykacyjnej w Berlinie wystąpiłem o zabezpieczenie dla Polski i rewindykowanie tych koników dla Poznańskiego Ogrodu Zoologicznego”.

W przypadku rewindykacji zwierząt chodzi, co jeszcze raz warto podkreślić, nie tylko o powrót zwierząt, ale i potomstwa urodzonego już w Niemczech. „Zasługuje przy tym na szczególną uwagę, że wymienieni nie wspominają ani słowem o przychówku tych koników z lat wojennych, nadmieniają natomiast o obecności innych koników, również bielejących, wprowadzonych do Niemiec rzekomo ze wschodu przez armię niemiecką. Niewątpliwie w ten sposób usiłują oni zabezpieczyć sobie prawa do przychówku po okazach wywiezionych z rezerwatu naszej Puszczy Białowieskiej, zrodzonego już w Niemczech”. Wreszcie udowodnienie kłamstw nie jest rzeczą trudną „pełni arogancji Heckowie nie tylko zostawili swoje podpisy w Białowieży¹³, ale przecież chełpli się owymi rabunkami na łamach hitlerowskiej prasy. Przyjazd niektórych ze zrabowanych w Polsce koników jest zresztą odnotowywany w księdze inwentarzowej berlińskiego ZOO. Wśród wypytywanych Niemców nie brak także świadków pamiętających przywóz rabowanych zwierząt. „Wendt przypomina sobie, że w maju 1940 roku przybył do ZOO-Berlin pierwszy

13. Wśród dokumentów w archiwum znajduje się m.in pismo następującej treści „W uprzejmej odpowiedzi na pismo z dn 11/01/1946. Dyrekcja Oddziału Instytutu Badawczego Leśnictwa komunikuje, że skład komisji niemieckiej, która bawiła w Białowieży w styczniu 1942 r. w sprawie grabieży koników polskich typu tarpana leśnego z rezerwatu tutejszego i wywozu ich do Niemiec wchodzili: U. Scherping, Oberägermeister, prof L. Heck, H. Heck, F. Nüsslein, Oberlandförstmeister H. Kramer, Jägermeister i H. Krause. W charakterze *corpus delicti* Dyrekcja Oddziału Instytutu Badawczego Leśnictwa przesyła 5 odbitek fotograficznych sporządzonych z karty z podpisami wymienionych w «Księdze Pamiętkowej» Białowieskiego Muzeum Puszczańskiego”.

transport koni z Polski, w ilości 15-16 sztuk. Były to konie większe i zostały poroździelane do pracy”.

Poszukiwania koników wzbudzają zresztą w Polsce nie-małe zainteresowanie. Piszę o nich prasa, jak choćby *Głos Wielkopolski* z 14 listopada 1945, który zamieszcza notatkę o pierwszej powojennej wizycie Vetulaniego w Białowieży, o kłopotach związanych z najprostszymi sprawami, takimi jak znalezienie karmy dla żubrów w okresie pierwszej powojennej zimy. Gazeta zamieściła także informację o rabunku koników i że profesorowi Vetulaniemu udało się ustalić, gdzie zostały wywiezione. W archiwach nie-mało jest listów zarówno od współpracowników prof. Vetulaniego, ale także od zupełnie zapewne nieznanych mu osób przesyłających wyrazy poparcia dla jego zabiegów rewindykacyjnych. Elżbieta Willman, tłumaczka prac Vetulaniego, pisała z Krakowa w czerwcu 1947 „mam nadzieję iż wkrótce otrzyma Pan Prof. wizy do strefy angielskiej i amerykańskiej i przywiezie do Polski te koniki, które już zdołałam polubić poprzez Jego pracę”. Akcja rewindykacyjna jest coraz szerzej znana zarówno administracji, jak i czytelnikom prasy. Do profesora Vetulaniego dociera np. raport napisany przez Henryka Szrajera poszukującego zrabowanej biblioteki i urządzeń laboratoryjnych Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach. W swoim raporcie pisze: „W bibliotece Uniwersytetu w Halle nie natrafiłem na żaden ślad. Natomiast dyrektor Landwirtschaftsinstitut, Ludwik Wucherer i prof. Woermann mógł mi udzielić pewnych informacji, mianowicie Dnia 11 lutego 1945 r. przybył na folwark Gut Seeben koło Halle (własność Instytutu) prof. Christiansen i prawdopodobnie Horn z administratorem Bellionem (wszyscy niemieccy pracownicy Puław podczas okupacji) z karawaną samochodową i konną. Jak informował zarządca tego folwarku książki i sprzęt laboratoryjny złożone zostały w zamku Morizburg (...). Według informacji inspektora Gut Seeben Boettchera Christiansen przywiózł ze sobą cenne sztuki zapłodzone bydła, koni, świnie puławskiej (...) koni sztuk 17 w tym 1 klacz czystej krwi arabskiej i kilka dzikich koników (zawiadomić prof. Vetulaniego)”.

Nigdy jednak nie została zrealizowana pełna rewinda-

dykacja zrabowanych zwierząt. Przechowywane w archiwum profesora Vetulaniego dokumenty nie pozwalają na definitywną odpowiedź, dlatego owa misja nie powiodła się. Dokumenty pozwalają jedynie na ustalenie, iż do Polski powrócił zaledwie jeden z koników. O jego rewindykacji świadczy pismo Naczelnej Dyrekcji Państwowych Zakładów Hodowli Koni z 29 października 1948 roku, w którym nakazuje się kierownikowi Państwowego Stada Ogierów przekazanie do Zakładu Szczegółowej Hodowli Zwierząt ogiera rewindykowanego z Niemiec oraz pokrycie kosztów rewindykacji, tzn. około 6000 zł. Profesor Vetulani kilkakrotnie wspominał zresztą w powojennych publikacjach bezpowrotną utratę najcenniejszego materiału hodowlanego w rezultacie niemieckiego rabunku. Do polskich żądań rewindykacyjnych, bardzo życzliwie, jak wskazują dokumenty, ustosunkowały się alianckie władze okupacyjne. W archiwum znajdują się odpisy dokumentów sporządzonych przez kwaterę główną amerykańskiego Military Government for Germany i Office of Military Government for Bavaria z 1946 opisujących historię zrabowanych koników, przypuszczalne miejsca ich aktualnego pobytu. Amerykanom udaje się jednak zlokalizować i „podać kontroli własności” jedynie trzy koniki, co do reszty, podobnie jak i poszukiwanych przez Polskę żubrów nie odnajdują ich w amerykańskiej strefie. Podobnie Brytyjczykom nie udaje się zlokalizować koników w kontrolowanej przez nich części Niemiec.

Amerykanie sugerują, aby sprawę dołączyć do rewindykacji innych zrabowanych polskich koni. Rewindykacja ta jest bowiem prowadzona jak na ówczesne warunki w miarę sprawnie i na stosunkowo dużą skalę. Witold Pruski pisał „W 1945 r., gdy tylko wojska alianckie zajęły Niemcy i uwolniły Polaków z obozów jenieckich, oficerowie nasi w porozumieniu z władzami angielskimi utworzyli w tej strefie okupacyjnej Zarząd Stadnin Polskich w Niemczech i zaczęli zbierać konie wywiezione z Polski podczas okupacji hitlerowskiej. W wyniku odpowiednich starań władze angielskie wyznaczyły kilka gospodarstw rolnych w Schleswig Holstein, w których gromadzono odnalezione konie. W 1946 r. po przeprowadzeniu pertraktacji z władzami polskimi uzyskano zgodę aliantów

na zwrot tych koni Polsce i od sierpnia 1946 r. zaczęto przewozić je i ich obsługę dwoma małymi statkami z Lubeki do Gdyni. W rezultacie tej akcji przywieziono do Polski 1719 koni (...). Był to cenny materiał pochodzący z dawnych polskich stadnin państwowych i prywatnych, który ogromnie przyczynił się do odbudowy zniszczonej wojną hodowli”. Niekiedy zresztą losy koni ukradzionych w Polsce układały się dość tajemniczo i dziwnie. Jak to napisał Pruski „Niezwykłą sławą cieszył się polski Witeź II 1938 (ofir-Federacja), przywieziony tam przez amerykańskie wojsko w 1945 r. z Niemiec, dokąd był zabrany przez hitlerowców. W ciągu wielu lat uważany był on za najlepszego reproduktora arabskiego w USA. Uzyskał tytuł Grand Champion Arabian i (...) Kellog Perpetual Trophy”.

Choć jak wskazuje cytowane uprzednio pismo Dyrekcji Państwowych zakładów Hodowli Koni koszt akcji rewindykacyjnej jest stosunkowo wysoki (6000 zł za sztukę), to jednak nie strona „ekonomiczna” czy też brak środków materialnych zadecydowały o fiasku prowadzonych poszukiwań. O sprawach tych pisał zresztą do prof. Vetulaniego dyr. Jarosz informując, że „na rewindykację koników oddana do dyspozycji została kwota 20000 zł, a transport będzie można dołączyć do transportu repatriantów z Monachium i w Dziezicach zwierzęta wyładować, należy tylko uzyskać dla Pana Prof. zezwolenie na wjazd do strefy amerykańskiej i zezwolenie władz amerykańskich na zabranie zwierząt”. Kwota 20000 jak i pozostałe informacje pozwalają przypuszczać, że chodziło o trzy koniki, o których mowa w amerykańskich dokumentach wojskowych.

Do Askanii Nowej powracają ukradzione przez Hecka konie Przewalskiego. Możliwości sowieckiej armii i administracji są oczywiście nieporównywalnie większe niż polskich misji rewindykacyjnych. Niewątpliwie zręczna polityka kręctw, odwołań, fałszowania danych, ukrycia zrabowanych koników odegrała pierwszorzędną rolę w braku sukcesu misji rewindykacyjnej konika polskiego. W dodatku chyba w niezbyt szczęśliwy sposób związane sprawę rewindykacji koników z rewindykacją żubra. Jarosz pisał do Vetulaniego iż „W sprawie rewindykacji naszych zwierząt (...) stosownie do

oświadczenia dra Żabińskiego nie jest wskazanym rewindykowanie jednego żyjącego byczka, pochodzącego prawdopodobnie z Pszczyny, ze względu na nadmiar byków w Polsce, a poza tym niebezpieczeństwo sprowadzenia mieszańca¹⁴. Innych żubrów nie znalazłem. Możliwe, że są w Springe, Hamburgu, lub Neardenthal”. Zresztą sprawa rewindykacji żubrzych mieszańców wzbudzi polemikę. Vetulani nie zgadza się z argumentacją Jana Żabińskiego i przypomina, że „Tymczasem właśnie na kwietniowym Walnym Zgromadzeniu Polskich Zoologów w Krakowie uchwalono jednomyślnie wnioski potępiające wobec całego świata grabież polskiego mienia zoologicznego przez zoologów niemieckich i apelujące do miarodajnych naszych czynników o ukaranie winnych tych grabieży”, a także „Co się zaś tyczy żubrów i wzmianki Dr Jarosza, nie jest wskazane rewindykowanie jednego żyjącego byczka, pochodzącego prawdopodobnie z Pszczyny, ze względu na nadmiar byków w Polsce, a poza tym niebezpieczeństwo sprowadzenia mieszańca to stoję na stanowisku, że nikt inny prócz Państwowej Rady Ochrony Przyrody nie jest powołany do decydowania w takich i podobnych sprawach i że nie pora dziś do czynienia Niemcom prezentów, nawet gdyby chodziło istotnie jedynie tylko o mieszańce, a nie o żubry czystej krwi. Moim zdaniem wszystkie żubry i żubrobizony pochodzenia polskiego, bez względu na płęć winny być przez nas bezwzględnie rewindykowane. Nie pora dziś na jakiegokolwiek ustępstwa z naszej strony na rzecz Niemców, a obłudne ich deklaracje o gotowości międzynarodowej współpracy z nami i narzucanie się z tą gotowością (...) winny być moim zdaniem z całą godnością zlekceważone, jako jaskrawy wyraz nadętej buty niemieckiej, nie na czasie i nie na miejscu”.

Próby odzyskania koników trwają praktycznie do końca

14. Wbrew zaleceniem Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra Heck ze względów ideologicznych, aby zapobiec „degeneracji rasowej” krzyżował żubry z amerykańskimi bizonami. Z tej właśnie racji dr Jan Żabiński obawiał się, aby akcja rewindykacyjna nie doprowadziła do omyłkowego wprowadzenia do polskiej hodowli mieszańców. Sprawę komplikował dodatkowo fakt, że pochodzenie niektórych z niemieckich okazów było bardzo trudne do wyjaśnienia.

lat czterdziestych. Profesor Vetulani próbuje, bezskutecznie, wywrzeć nacisk na władze, aby kontynuowano poszukiwania zrabowanych zwierząt. W archiwum znajduje się np. kopia listu wysłanego przez prof. Władysława Szafera do Ministerstwa Oświaty Departamentu Nauki i Szkół Wyższych Wydziału Nauki informująca, iż „XXI Zjazd Państwowej Rady Ochrony Przyrody obradujący w Białowieży w dniach 2-5 X ubiegłego roku powziął na wniosek prof. dr. T. Vetulaniego uchwałę treści następującej: «Stojąc na stanowisku, że niedokończenie wszczętej przed dwoma laty akcji rewindykacyjnej, zmierzającej do odzyskania koników typu tarpana leśnego, wywiezionych przez Niemców z rezerwatu w Puszczy Białowieskiej, tudzież ich potomstwa urodzonego w Niemczech, powoduje szkodę dla interesów nauki polskiej, XXI Zjazd zwraca się do Ministerstwa Oświaty i Ministerstwa Leśnictwa z prośbą o wznowienie tej akcji i umożliwienie członkowi Państwowej Rady Ochrony Przyrody, prof. dr T. Vetulanemu, wyjazdu w tym celu do poszczególnych stref okupowanych Niemiec.» Podając powyższą uchwałę do wiadomości Ministerstwa uprzejmie proszę o rozważenie możliwości jej realizacji”. Starania nie przynoszą jednak efektu. Być może jedną z przyczyn owego zaniechania jest także to, że profesor Vetulani staje się coraz bardziej *persona non grata* dla nowych władz PRL.

Przechowywane dokumenty dają interesujące świadectwo odbudowy warsztatu naukowego w pierwszych powojennych latach. Oczywiście poszukiwania i rewindykacja zrabowanych koników, jakkolwiek pracochłonne, są zaledwie jednym z wielu elementów pracy nadal bardzo aktywnego profesora Vetulaniego. Organizuje on akcję poszukiwania koników typu polskiego w całym kraju, również na ziemiach zachodnich. O wysiłkach tych pisał: „Trudno dzisiaj przewidywać i przesądzać dalsze losy rezerwatu, zakrojonego na dłuższą metę, zwłaszcza wobec rozgrabienia przez hitlerowskich pseudonaukowców, z udziałem Lutz'a i Heinza Hecków, większości najcenniejszego naszego przedwojennego i wojennego materiału koników rezerwatowych, straconych dziś dla nas [1949] bezpowrotnie. Ważnym jest, że z gruzów wojennych rezerwat nasz odradza się na nowo, że rozporządzamy dziś znów

cennym przychowkiem powojennym, że przez wprowadzenie do rezerwatu nowych osobników dorosłego materiału wyjściowego, uzdrawiamy i rozszerzamy jego bazę hodowlaną”. W nowej rzeczywistości nawet konikom trudno jest jednak „uciec od ideologii i przyjaźni z ZSRR”.

Niektóre z wojennych strat są nie do odrobienia. W odpowiedzi na nadesłaną z Torunia w 1946 roku prośbę o ocenę tematu badawczego profesor Vetulani pisze „proponowany temat pracy «charakterystyka konia Powiśla» byłby doskonałym ale przed rokiem 1939. Koń o którym Pan Profesor wspomina należy niestety już do przeszłości i z tej racji nie może być przedmiotem badań. Działania wojenne bowiem przyniosły zupełną zagładę hodowli pomorskiej. Pomorze zostało potraktowane przez armię radziecką jako ziemie niemieckie i cały inwentarz żywy (pozostawiony przez okupanta) uległ rekwizycji jako zdobycz wojenna względnie został podczas marszu wojsk zamieniony na osobniki zniszczone i mniej wartościowe. Obecne pogłowie jest zasadniczo napływowe i przedstawia mieszaninę wszelkich ras i typów”.

Szczególnie ważnym jest także utrzymanie i nawiązanie kontaktów naukowych z resztą Europy. Już w 1946 roku dociera do Vetulaniego list z Paryża od profesora E. Bourdelle, wybitnego znawcy historii koni z Narodowego Muzeum Historii Naturalnej. Przed wojną niektóre ze swoich prac prof. Vetulani publikował we Francji. Francuski uczonec cieszy się, że „jego polski kolega jest cały i zdrowy pomimo strat materialnych jakie poniósł. Nie wątpi, że powoli uda mu się odbudować i zrekonstruować część tych strat, choć wie, że niektóre są nie do odrobienia.” Wkrótce wysyła zresztą francuskie czasopisma zoologiczne, które w rezultacie strat wojennych są w Polsce nieosiągalne. Przeżyte doświadczenia sprawiają, że profesor Vetulani nie chce współpracować z pismami niemieckimi. W notatkach z pobytu w Berlinie pisze „Odwiedziłem prof. dr. M. Hilzeimera na Osnabrückenstrasse 16. U niego i jego żony nastrój antyhitlerowski i antyheckowski. Odmówiłem współpracy z jego czasopismem naukowym”.

Warte odnotowania są kontakty z zoologami rosyjskimi, a zwłaszcza ze światowej sławy paleontologiem, Wierą Gro-

ową. Vetulani korespondował z nią zresztą już przed wojną. Korespondencja dotyczy nie tylko wymiany publikacji i rezultatów badań nad końmi, ale także jednego z przedwojennych projektów badawczych. Otóż jednym z zamierzeń profesora Vetulaniego było utworzenie dwóch rezerwatów konika polskiego, jednego w środowisku leśnym i drugiego w warunkach stepowych. Związane to było z koncepcją, według której „konika polskiego charakteryzuje przemieszanie elementów pierwotnego tarpana stepowego oraz wtórnie zmienionego tarpana leśnego”. W wyniku utraty przez Polskę kresów wschodnich było niemożliwym po wojnie zrealizowanie tego projektu i przedwojenne plany musiały ulec zmianie. Vetulani informuje Gromową o założeniu rezerwatu leśnego na Pomorzu i pragnie zainteresować zoologów rosyjskich projektem rezerwatu stepowego. Wiadomość o śmierci profesora widać nie dotarła do Gromowej, bo kolejne listy przychodziły jeszcze przez kilka kolejnych lat¹⁵.

W archiwum znajdują się także listy nadesłane z Nowej Zelandii przez Kazimierza Wodzickiego, przyrodnika, w czasie wojny polskiego konsula w Nowej Zelandii. Skąpa korespondencja zdaje się wskazywać, że władze PRL-u chciały wciągnąć Wodzickiego w pułapkę ściągając go do kraju. Informacje przesłane mu przez Vetulaniego były dla niego cennym źródłem informacji o sytuacji w powojennej Polsce i rzeczywistych zamiarach „nowej władzy”.

Wprawdzie ideologiczny atak na doświadczenie profesora Vetulaniego rozpocznie się dopiero po jego śmierci, w latach pięćdziesiątych wraz z „potępieniem burżuazyjnej mendelowskiej genetyki” i sprawdzaniem, czy chodzi o „tarpana dialektycznego”¹⁶, ale już w pierwszych powojennych miesiącach

15. Jako ciekawostkę można podkreślić, że korespondencja z rosyjskimi zoologami odegrała rolę „parasola”, gdy rozpoczęła się, także w Polsce, łysenkowska nagonka na genetyków i doświadczenie nad konikiem polskim stało się celem ataków ideologicznych. Fakt wieloletniej korespondencji z członkami akademii nauk ZSSR skutecznie chronił przed „rodzimiymi aktywistami”.

16. Patrz niepublikowany, przeznaczony dla *Po prostu* artykuł dr Macieja Czarnowskiego „Jak giną prawdziwi uczeni i dzikie zwierzęta” [kopia artykułu napisanego prawdopodobnie w 1956 roku znajduje się w archiwum T. Vetulaniego].

przeczytać można: „Jak wynika z podanej nomenklatury, pierwotne nazwy niektórych koników, jakie im nadano podczas wojny, zastąpiono nowymi, opierając się na przedwojennym założeniu, że należy unikać powtarzania nazw, że nazwy koników urodzonych w Puszczy Białowieskiej winny się wiązać w miarę możliwości z jej środowiskiem (nazwy rzek, uroczysk oraz flory i fauny puszczańskiej) i nosić dodatek białowieski u ogierów względnie białowieska u klaczy. (...) Sowieckie nazwy koników, Gordyj i Muraszka, utrzymane zostały na wniosek naszych miejscowych czynników administracyjnych w Białowieży(...)”

Sytuacja profesora Vetulaniego bardzo pogarsza się pod koniec lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych. Atmosfera nagonki staje się coraz gęstsza. Administracja coraz bardziej stara mu się utrudniać pracę i życie. Chory na serce prosi o urlop zdrowotny; choć w Poznaniu prośba zostaje zaakceptowana, „czynniki wyższe” w Warszawie nie dopuszczają ani do przyznania urlopu zdrowotnego, ani do zalecanego przez lekarzy wyjazdu do sanatorium. Rektor Uniwersytetu Poznańskiego, wybitny logik Kazimierz Ajdukiewicz, korzysta ze swoich, coraz bardziej ograniczanych przez władzę, uprawnień i wbrew decyzji Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki przyznaje profesorowi krótki urlop zdrowotny. Wkrótce później „zdrowy zdaniem ekspertów z ministerstwa” profesor umiera.

Piotr DASZKIEWICZ

OKRUCHY HISTORII

Eugeniusz GUZ

NIEMIECKIE ZABIEGI WOBEC INTERNOWANEGO MINISTRA J. BECKA

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych III Rzeszy przypuszczano, że byłego polskiego ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka, internowanego w Rumunii, uda się wykorzystać do propagandowej tezy, iż nie Niemcy, lecz Wielka Brytania wepchnęła świat w otchłań II wojny światowej. Z polskim ministrem wiązano pewne nadzieje, pamiętając o proniemieckich złudzeniach Becka przed wojną. Teczka Auswaertiges Amt¹ odsłania jedną z nieznanych kart życiorysu politycznego Becka, który obok Paderewskiego i Piłsudskiego był najbardziej chyba popularnym za granicą mężem stanu Polski międzywojennej.

Niemcy sądzili, że były polski minister spraw zagranicznych może im się w jakiejś mierze przydać, ponieważ w poszukiwaniu dialogu z III Rzeszą wykazał wyjątkową wręcz konsekwencję i cierpliwość, mając do ostatniej chwili nadzieję, że Hitler Polskę oszczędzi². Uwagi Berlina nie uszło

1. Archiwum bońskiego MSZ, AA Dienstselle Ribbentrop.

2. Dodatkowy szczegół potwierdzający, jak daleki był Beck od widzenia realiów, ukazał w refleksjach o wrześniu Henryk Wereszycki: „Zetknąłem się z kapitanem rezerwy, tak samo jak ja byłym legionistą, który był urzędnikiem w MSZ i pełnił dyżur w nocy z 31 sierpnia na 1 września. I on usłyszał wieczorem komunikat radia niemieckiego o 16 punktach,

rozczarowanie Becka z powodu symbolicznej pomocy, jakiej we wrześniu udzieliły naszemu krajowi Francja i Wielka Brytania. W hitlerowskim MSZ spekulowano więc, że może uda się wycisnąć z Becka chociażby okruchy wypowiedzi antybrytyjskiej, a ponadto uzyskać wgląd w ministerialne dokumenty, które według kalkulacji Berlina powinny mieć wymowę antybrytyjską.

Dlatego wkrótce po zajęciu Polski Berlin postanowił uciec się do pomocy agentów, by określną drogą dotrzeć do Becka. Pierwszym, który za wiedzą MSZ nawiązał kontakt z byłym gospodarzem pałacu Brühla, był niejaki Savern, podający się za duńskiego dziennikarza, faktycznie agent Rzeszy, narodowości żydowskiej, legitymujący się paszportem niemieckim. Inni agenci Rzeszy nie bardzo mu dowierzali, pisząc do Berlina donosy, że Savern „pracuje dla obu stron”. W lutym 1940 roku udało mu się dotrzeć do Becka, który, będąc pod czujną opieką władz rumuńskich, w zasadzie unikał kontaktów. Od czasu klęski wrześniowej Savern był pierwszym dziennikarzem rozmawiającym z Beckiem.

Pracownik ambasady niemieckiej w Bukareszcie, Klaus Schickert, pisał 12 lutego 1940 roku do swego przełożonego (zapewne po linii agenturalnej – przyp. EG), radcy legacyjnego Likusa w berlińskim MSZ:

Tutejszemu „duńskiemu” dziennikarzowi o nazwisku Savern, który świadczy mi pewne usługi, udało się przed około 10 dniami z mego polecenia, po przewycięzeniu licznych trudności, dotrzeć do ministra Becka, mieszkającego w Braszow, i przeprowadzić

i zawiadomił o tym ministra. Zrelacjonował mi reakcję Becka na tę wiadomość: «A to dobrze, to znaczy, że będą rokowania» – powiedział minister” (*Tygodnik Powszechny*, 30 listopada 1979).

Bardzo negatywne dla byłego szefa pałacu Brühla obserwacje poczynił również Melchior Wańkowicz, jedyny polski publicysta, któremu udało się dotrzeć do Becka na przymusowym wygnaniu i przeprowadzić z nim rozmowę. Swoje wrażenia Wańkowicz opisał obszernie w miesięczniku *Więź* 1959, nr 7/8. Beck nie udzielił Melchiorowi Wańkowiczowi, który odwiedził go 7 grudnia 1939, wywiadu, a historyka Pobóg-Malinowskiego zapewniał: „Wywiadów nikomu nie udzielam. O wielu rzeczach nie mogę jeszcze mówić”. W. Pobóg-Malinowski, „Na rumuńskim rozdrożu”, *Kultura*, 1948, nr 7-10. Z kontaktów z Savernem wynika, że minister skłaniał się do zmiany stanowiska.

z nim dwie dłuższe rozmowy. Okazało się przy tym, że Beck, który dotychczas odrzucał wszelkie tego rodzaju inicjatywy, byłby obecnie skłonny udzielić wywiadu. Teksty te winny się jego zdaniem ukazać jeśli to możliwe w prasie amerykańskiej, a następnie zostałyby wydane w formie książkowej. Beck pragnie, by przyniosły mu one możliwie wiele dolarów. Rozmowy wykazały jasno, że wywiady te miałyby tendencję dla nas sympatyczną. Beck powstrzymał się od wszelkiego ataku na Führera. Jego wypowiedzi na temat Anglików były pełne gorczy. Na Francuzów był wściekły, ponieważ rząd francuski, na skutek zabiegów obecnego polskiego rządu w Paryżu, zwrócił się do rządu rumuńskiego o dalsze internowanie Becka.

Schickert donosił następnie, że Savern poinformował współpracującego z nim Matzholda o wynikach rekonesansu u Becka. „Duński dziennikarz” miał bowiem jedynie przetrzeć drogę do Becka agentowi Rzeszy, występującemu pod nazwiskiem Louis A. Matzhold. Ten z kolei, mając stałą bazę wypadową w Budapeszcie, podawał się za dziennikarza amerykańskiego. Pisywał zresztą do pism amerykańskich. Zanim Berlin zdecydował się powierzyć mu tę delikatną misję, ludzie Ribbentropa zasięgnęli dodatkowo opinii m.in. u ówczesnego burmistrza Wiednia, SA – Obergeruppenführera H. Neubachera, który odpisał 18 lutego 1940 roku: „Moje doświadczenia z Matzholdem wypadają dotychczas zawsze pozytywnie. Sądzę, że może się on okazać użyteczny”.

Savernowi udało się zarekomendować polskiemu ministrowi Matzholda jako tego, który w prasie amerykańskiej wydrukuje z nim wiele wywiadów. Praktycznie, prasa Stanów Zjednoczonych była wówczas jedyną dostępną trybuną dla byłego szefa polskiej dyplomacji, ponieważ we Francji czy w Wielkiej Brytanii nie mógłby on wypowiedzieć swego porwraźniowego *credo*, bez ryzyka ukłucia zarówno jednego, jak i drugiego państwa. Dodatkową przynętą, by zgodzić się na rozmowy były obietnice znalezienia amerykańskiego wydawcy książki, której tłem stałyby się właśnie owe wywiady.

Nie zdając sobie sprawy, że nawiązał kontakt z agentem Rzeszy, Beck przekazał mu nawet konspekt przygotowanej przez siebie pracy, dla której znalazł już tytuł roboczy „Mój wkład w sprawiedliwy pokój”. Matzhold zrewanżował mu się

nazwą wydawnictwa, w którym publikacja ta miałyby się ukazać, wymieniając wydawnictwo jednego z uniwersytetów amerykańskich. Trudno powiedzieć, czy i jak dalece materiały do tej książki stały się później podstawą względnie częścią pożegnalnej pozycji Becka „Mój ostatni raport,” której wydanie francuskie ukazało się w 1951 roku. W berlińskim MSZ przygotowano aż 18 pytań roboczych, jakie Matzhold powinien zadać Beckowi podczas planowanych z nim spotkań. Pytania były tak sformułowane, by niepostrzeżenie poruszyć u rozmówcy antyangielską strunę. Oto przykład:

„Czy wierzył Pan, że Wielka Brytania dotrzyma danych Polsce gwarancji?”, „Dlaczego Polska, gorzko rozczarowana brakiem angielskiej pomocy, nie szukała jeszcze w tym stadium wojny oddzielnego pokoju z Niemcami?”. Ostatnie z pytań brzmiało: „Czy obecnie również i Pan podziela pogląd, że Polska była dla tej brytyjskiej wojny jedynie zapłonem?” W berlińskim MSZ całą akcją kierował wspomniany już Obergruppenführer Likus.

Z wymiany korespondencji między Bukaresztem a Berlinem wynika, że urzędnik ambasady Schickert chciał sobie przypisać laury tego przedsięwzięcia. Bardziej wpływowy pretendent do zasług w tym kontekście, Likus, uświadomił go jednak w piśmie z 7 marca 1940 roku, że cała sprawa narodziła się i została szczegółowo rozpracowana w Berlinie, nie zaś w ambasadzie niemieckiej w Bukareszcie.

Pytania, jakie Pan Matzhold postawił Beckowi, są tylko skromną resztką dokumentacji, jaka się tutaj zrodziła. Dalsze podejście do całej sprawy zależeć będzie od tego, jaką postawę zajmie Beck. Tego, co ma w tej chwili miejsce, nie należy traktować jako czegoś wiążącego. Minister spraw zagranicznych informowany jest o całej sprawie na bieżąco. Poza nim nikt o niej nic nie wie.

Likus, który po pierwszej rozmowie Matzholda z Beckiem spotkał się z agentem w Wiedniu, otrzymał od niego opinię o Savernie, w której była informacja, że prawdopodobnie pracuje on dla obu stron. 20 lutego 1940 roku nadeszła z Berlina do Budapesztu należność za rachunki Matzholda, wraz z wnioskiem o przyznanie mu 200 dolarów

premii na wydatki związane z zadaniami, jakie wykonuje w Rumunii i w ogóle za dobrą służbę.

Wróćmy jednak do spotkań agenta z Beckiem. Trzy rozmowy Matzholda z byłym szefem polskiej dyplomacji doszły do skutku 12 lutego, 11 marca i 14 marca 1940 roku. Podczas gdy pierwsza odbyła się jeszcze *tete-à-tete*, drugą i trzecią przeprowadził on z Beckiem częściowo telefonicznie (podśluch telefoniczny był w Rumunii wówczas sprawą przyszłości), a częściowo przez sekretarza osobistego Becka, Rogoyskiego. Sekretarz odwiedzał agenta znajdującego się w hotelu naprzeciwko rezydencji Becka, odbierał od niego pytania, po czym wracał z odpowiedziami, udzielał wyjaśnień na dodatkowe pytania bądź wracał do Becka po uzupełnienia. Po pierwszej rozmowie Beck zdecydował się zachować pewien dystans w kontakcie z agentem, powodowany bądź ostrożnością, bądź zmuszony do tego wzmożoną czujnością Rumunów, alarmowanych przez Niemców z powodu ciągłych ucieczek Polaków. Kroki Becka śledziły zresztą nie tylko służby rumuńskie lecz także agenci niemieccy i polscy pełnomocnicy rządu w Angers.

Matzhold, zaopatrzony w pytania przez Berlin, naprowadzał Becka jak mógł na pożądane odpowiedzi. Jeszcze bardziej jednak zależało mu na wglądzie w materiały dotyczące stosunków polsko-angielskich. W tym celu agent argumentował, że nie może zapewnić wydania książki, jeśli nie zapozna się z pewnymi dokumentami, aby móc się przekonać, czy Beck rzeczywiście dysponuje materiałem wartym zabiegów. Na przykład tajnymi dokumentami londyńskimi, które mówiłyby o brytyjskich obietnicach dla Polski.

Beck wszakże reagował wymijająco, tłumacząc m.in., że ma pod ręką jedynie ich odpisy, oryginały zaś zdeponowane są u ambasadora polskiego w Waszyngtonie. Innym razem wyjaśniał, że nie chce sprawiać Rumunom kłopotu aktywnością, która wykraczałaby poza status internowanego. W jednej z rozmów Beck podjął z własnej inicjatywy temat paktu francusko-sowieckiego³, twierdząc, że „często błędnie wi-

3. Układ o pomocy wzajemnej, zawarty w 1935 roku w ramach przygotowań do paktu wschodniego.

dziano w tym związku obu państw groźbę dla Polski. Mogę powiedzieć, że nie dostrzegałem w tym porozumieniu żadnego zagrożenia dla mojej ojczyzny”.

Z trzech rozmów, jakie agent Rzeszy przeprowadził z Beckiem, przekazuję jego relację z ostatnich dwóch spotkań, relację okraszoną cytatami dosłownych ponoć wypowiedzi Becka.

Z uzasadnionych przyczyn (ze względu na własne bezpieczeństwo i dla ochrony Becka) rozmawiałem z nim tym razem częściowo telefonicznie, głównie jednak przez sekretarza Rogoyskiego. Od czasu mojej wizyty 12 lutego policja rumuńska podjęła kroki, aby zapobiec rzekomemu planowi uprowadzenia byłego polskiego ministra spraw zagranicznych. Posterunki zostały podwojone, a jeden z moich informatorów ostrzegł mnie, zaraz po przybyciu do Braszow, bym unikał wchodzenia do hotelu, w którym mieszkał Beck. Dlatego rozmowy prowadziłem z domu, w którym się zatrzymałem. Beck polecił powiedzieć mi, co następuje: pragnie, bym uzbroidł się jeszcze nieco w cierpliwość, zanim postanowi, jak dalece udostępni mi udokumentowane kulisy swojej polityki. Na dowód logiczności takiej postawy powiedział mi, że rząd rumuński czyni wszystko, aby zmienić mu miejsce internowania.

Rzuca się nań oskarżenia, ponieważ po Monachium razem z Węgromi działał on wbrew interesom Rumunii (np. w odniesieniu do Ukrainy)⁴. Rumunia czuje się przez to poszkodowana i oszukana. Dalszym powodem wahań Becka, z ujawnieniem zbyt szybko tego, co ma do powiedzenia, są „pewni mężowie stanu we Francji, kapuściane głowy, które swego czasu potępiały moją politykę probrytyjską, a teraz obawiają się, że podanie tych faktów i nazwisk może ich strącić z ministerialnych stołków”...

„...Niemcy interweniowały w Rumunii wielokrotnie – kontuuje Matzhold relację Becka – aby wycisnąć ze mnie pewne stwierdzenia, które mogłyby się przydać panu ministrowi spraw zagranicznych Rzeszy. W tym kontekście strona niemiecka czyniła mi również bezpośrednie propozycje, które jednak nie dają się pogodzić z moim poczuciem honoru”⁵. Jeszcze jedno: „również

4. Chodzi o Ukrainę Zakarpacką, która w okresie kryzysu monachyjskiego w 1938 przypadła Węgrom, co było nie na rękę Rumunom, pozostającym w ogóle w ostrym konflikcie o sprawy graniczne z Węgromi.

5. Likus zdając raport ze spotkania z Matzholdem, pisze wręcz, że według Becka owe interwencje niemieckie miały na celu wyduszenie oświad-

tak zwany rząd polski we Francji pragnąłby zamknąć mi usta na zawsze. Obawia się bowiem, że o polityce «ministrów» tego rządu miałbym niejedno do powiedzenia». Beck odniósł się do tego rządu bardzo negatywnie. Nie wierzy, by którykolwiek z tych panów kiedykolwiek wszedł w Polskę w skład rządu. „Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że straciłem nadzieję na odrodzenie Polski, aczkolwiek być może, jak się obecnie wydaje, chwilowo nie odzyska ona tego kształtu terytorialnego, jaki miała przed wojną. W tej nadziei pozostaję jednocześnie idealistą i realistą”.

To nie tylko Niemcy zmusiły króla Karola do złamania słowa honoru (chodzi o zgodę na wyjazd polskiego rządu z Rumunii – przyp. EG), lecz również rząd francuski i stojący za nim nowy rząd polski – powiedział Matzholdowi Beck. Zapytany, co myśli o Wielkiej Brytanii – milczał, trwając w zadumie.

Wprawdzie misja Matzholda zakończyła się niepowodzeniem, jednakże Beck nie zniknął z pola widzenia niemieckiego wywiadu. Odwiedził go znów Savern, który 7 kwietnia 1940 roku treść swej rozmowy przekazał Matzholdowi:

Beck, zapytany co myśli o hitlerowskiej „Białej Księżce”, w sprawie odpowiedzialności Polski i Wielkiej Brytanii za wybuch wojny, miał wyrazić pogląd, że „wiele z tego co tam zawarte, wydaje się być słuszne”, lecz on, Beck, nie może wyrobić sobie jeszcze pełnego sądu o tej sprawie, ponieważ „«Księżkę» zna jedynie z urywków”. Na uwagę Saverna, że polski rząd emigracyjny w Paryżu wystawił ocenę Beckowi, stwierdzając, iż „doprowadził on Polskę do upadku i oszukał swoją ojczyznę”, Beck powiedział: „Polski rząd we Francji może mnie pocałować w d...”.

Doniesienia agentów mają to do siebie, że trzeba je oceniać szczególnie krytycznie i nie brać każdego słowa na wagę złota, bo to, co piszą, jest często w znacznym stopniu lub w ogóle niesprawdzalne. Niemniej z relacji tych zdaje się wynikać, że pewne kręgi hitlerowskie usiłowały wciągnąć Becka do rozgrywania karty antybrytyjskiej, a nawet wiązały

czenia, że to Wielka Brytania parła do wojny. Z relacji Matzholda wynikało wszakże, iż przed nim nikt z Berlina z Beckiem kontaktu nie nawiązywał. Możliwe, że dyplomaci niemieccy w Bukareszcie niejako na własną rękę sondowali takie możliwości. Podobnie jak niewykluczone jest, że wcześniejsze interwencje niemieckie wymyślił Beck, chcąc podnieść swój prestiż w oczach dziennikarza.

ciche nadzieje, że znajdą w nim polskiego Quislinga.

Nierealność tych nadziei nie powstrzymała Berlina od planów porwania Becka.

Próby Polaków i Anglików zorganizowania ucieczki Becka warto uzupełnić o nieznaną plan niemiecki uprowadzenia go do Berlina. Beck, szczególnie po udanej ucieczce Rydza-Śmigłego był tak pilnie strzeżony przez Rumunów i Niemców, że jedynie współdziałanie obu tych stron rokować mogło powodzenie porwania. Szczególnie, że oficjalne żądanie Berlina wobec Rumunów, by wydali Rzeszy Becka, zostało przez nich odrzucone⁶.

Gdy próby nakłonienia byłego ministra spraw zagranicznych do złożenia niekorzystnych dla Wielkiej Brytanii wypowiedzi politycznych zakończyły się niepowodzeniem, wówczas w Berlinie zaczęto rozważać możliwości porwania polskiego ministra z Rumunii do Rzeszy. Potwierdzają to dokumenty hitlerowskiego MSZ⁷. Z raportu przygotowanego specjalnie dla Ribbentropa, datowanego 15 stycznia 1941 roku, wynika, że decyzja porwania wyszła od samego Hitlera. Nie musi to oznaczać, że był on jednocześnie autorem pomysłu.

Wykonaniem niemieckiego planu porwania Becka zajęł się Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Niemcy postanowili posłużyć się najbardziej wówczas faszystowskim ugrupowaniem w Rumunii, „Żelazną Gwardią”, której dowództwo obiecało Berlinowi ułatwić porwanie nie tylko Becka, lecz także marszałka Rydza-Śmigłego. Plany te doszły wszakże do uszu ówczesnego dyktatora Rumunii Iona Antonescu, którego pozycję, za cichym przyzwoleniem Berlina, podkopywała dyskretnie „Żelazna Gwardia”. Przypomnijmy, że ciążyło na niej zamordowanie premiera Armanda Calinescu, co wydarzyło się 21 września 1940 roku. Nie odbyło się to bez inspiracji Berlina. Już w 1933 roku jej agenci zamordowali ówczesnego premiera Rumunii Iona Duca. Antonescu, który podobno dał słowo honoru Beckowi i Rydzowi-Śmigłemu, że

6. J. Sobczak „Polska w propagandzie i polityce III Rzeszy 1939-1945”, Poznań 1988.

7. AA Inland II Geheim-Berichte und Meldungen zur Lage in Polen und über Polen 1940-1944.

nie wyda ich Niemcom, zablokował czynione już przez rumuńskich faszystów przygotowania do uprowadzenia sanacyjnych mężów stanu. Mimo weta Antonescu „Żelazna Gwardia” nie zarzuciła planu porwania Becka, aczkolwiek zakłóciła go poważnie wiadomość o udanej ucieczce Rydza-Śmigłego. Sprawiała ona, że z jednej strony zaostrozono nadzór nad Beckiem, lecz jednocześnie „Żelazna Gwardia” miała dodatkowe argumenty, by domagać się przekazania Becka z rąk policji pod jej bezpośredni dozór.

Po ucieczce Rydza-Śmigłego z tym większą energią przystąpiono do opracowywania szczegółów porwania. Obawiano się, że również Beck ucieknie, a sprowadzenie go do Berlina zlikwidowałyby te obawy ostatecznie. Zresztą nikt nie musiałby się dowiedzieć, gdzie przebywa porwany. Po prostu zniknąłby pewnego dnia, a odpowiednio preparowane informacje ujawniałyby kolejne jego miejsca pobytu na terenach przeciwników Rzeszy. Aby urealnić szanse porwania, postanowiono doprowadzić przede wszystkim do odpowiednich zmian personalnych w kierownictwie policji rumuńskiej, pod której kontrolą znajdował się Beck. Dotychczasowy szef policji pułkownik Riosanu, człowiek Antonescu, sabotował plany porywaczy z „Żelaznej Gwardii”. SS-Obergruppenführer Heydrich, który z polecenia Hitlera zajął się całą operacją osobiście, podsunął myśl przeprowadzenia w policji rumuńskiej zmian organizacyjnych. W ich rezultacie Beck znalazłby się stopniowo pod nadzorem „Żelaznej Gwardii”. Zredukowałyby to do minimum szanse ucieczki Becka, zorganizowanej ewentualnie przez aliantów.

Gdyby pomysł tej pozornie wewnątrzrumuńskiej rozgrywki okazał się nierealny, wówczas miano wybrać inną drogę – niby poufne przekazanie informacji dyktatorowi Antonescu, że Hitler jest osobiście niezadowolony z pracy policji rumuńskiej. Żąda więc, by jej szefostwo przejął dotychczasowy sekretarz generalny „Żelaznej Gwardii” – Biris. Policja pozostałaby wprawdzie nadal nie związana organizacyjnie z „Żelazną Gwardią”, lecz sama zmiana personalna na górze automatycznie sprawi, że „znajdzie się pod międzynarodowym i niezbędnym wpływem Służby Bezpieczeństwa” – argumentował Heydrich. Faszyci z „Żelaznej Gwardii” byli

bowiem bezwolnym narzędziem Himmlera. Po zakończonej fiaskiem próbie puczu „Żelazna Gwardia” została w styczniu 1941 zdelegalizowana, a Antonescu przejął pełnię władzy.

Powyższe rozumowanie zawarte zostało w depeszy, jaką agent Himmlera w MSZ, Picot, zredagował pod dyktando Heydricha i SS-Brigadeführera Muellera, a następnie 15 stycznia 1941 roku przekazał ją, w pociągu specjalnym ministra Ribbentropa, posłowi Lutherowi. Czytamy w niej:

Obergruppenführer Heydrich, którego poinformowałem dzisiaj o zarządzonym przez Führera sprowadzeniu byłego polskiego premiera Becka do Niemiec, zlecił mi przekazać ministrowi spraw zagranicznych co następuje: Obietnica wydania Becka i Rydza-Śmigłego rozbiła się o weto Antonescu, ponieważ rumuński sekretarz stanu do spraw policji, pułkownik Riosanu, sabotował wykonanie planu. Antonescu czuje się podobno również związany słowem honoru danym Beckowi i Rydzowi-Śmigłemu, iż nie wyda ich Niemcom. Dokonane przez legionistów nielegalne egzekucje⁸ hamowały początkowo realizację tego planu, ponieważ chodziło o to, aby uniknąć napięć w polityce zagranicznej. Legioniści są jednakże w dalszym ciągu gotowi, nawet wbrew woli Antonescu, jeśli trzeba używając siły, wykonać swój plan sprowadzenia Becka do Niemiec. Ze względu na skutki, SS-Obergruppenführer Heydrich uważa, że konieczna jest decyzja Führera co do tego, czy należy sprowadzać Becka. SS-Obergruppenführer Heydrich proponuje, by w powiązaniu z reorganizacją policji rumuńskiej samemu uporządkować całą sprawę w Rumunii, postępując według następującego planu:

On, Heydrich, spowoduje przejęcie nadzoru nad Beckiem przez „Żelazną Gwardię”, aby w ten sposób wykluczyć możliwość jego ucieczki na wzór Rydza-Śmigłego. Wspólnie z posłem von Killingerem⁹ zostaną upoważnieni do wyrażenia wobec Antonescu niezadowolenia Führera i jak najostrzejszego zaprotestowania przeciwko pozostawianiu Riosanu na stanowisku. Będą domagać się zastąpienia go przez legionistę Birisa. W ten sposób zapewni się wydanie Becka. Jednocześnie pozwoli to na objęcie policji rumuńskiej niezbędnym wpływem niemieckiej Służby Bezpieczeństwa. Aby móc informować Obergruppenführera Heydricha na bieżąco, proszę możliwie uprzedzić mnie, kiedy mogę oczekiwać odpowiedzi. Picot.

8. Mowa o terrorze, jaki mordercy premiera Rumunii rozpętali w kraju.

9. Manfred Freiherr von Killinger, nowy poseł niemiecki w Bukareszcie w latach 1941-1944.

Na tym dokumencie kończą się zasoby archiwalne dotyczące przygotowań do porwania Becka. Być może plany te miały dalszą historię, chociaż bardziej prawdopodobne jest, że Hitler, widząc bezsilność swoich ludzi wobec barier, jakie stworzyli Rumuni wokół Becka, kazał przerwać całą akcję. Rozumował zapewne, że gra nie warta świeczki, bo ważniejsze od Becka są dobre stosunki między Rumunią a Rzeszą.

Wspomniany agent Rzeszy Matzhold, podający się za amerykańskiego dziennikarza, opowiedział już w marcu 1940 roku swemu berlińskiemu przełożonemu, SS-Obergruppenführerowi Likusowi, że według relacji uzyskanej od berlińskiego agenta w Bukareszcie, również Polacy konkretyzowali plany uprowadzenia Becka. Komplikowały je niekorzystne dla lądowania samolotu warunki atmosferyczne. Beck miałby otrzymać zgodę na zamieszkanie w Wielkiej Brytanii i obietnicę 250 funtów renty miesięcznie¹⁰. O tym, że Brytyjczycy czynili w tym kierunku konkretne przygotowania, świadczy także depesza z Berlina do poselstwa niemieckiego w Bukareszcie z 20 września 1940 roku:

Z pewnego angielskiego źródła prasowego wynika, że w rezultacie starań poselstwa brytyjskiego udało się uzyskać od władz rumuńskich obietnicę zwolnienia 500 internowanych polskich obywateli. Wśród nich znajdować się ma również były polski minister spraw zagranicznych Beck. Zwolnieni Polacy mieli udać się na Cypr¹¹.

Rzeczywiście plany ucieczki Becka przygotowywane przez tandem polsko-brytyjski przewidywały wywiezienie go nie do Anglii, lecz na Cypr, gdzie zresztą znalazło się kilkuset polskich uchodźców.

W teczce archiwaliów znajdujemy, przekazaną przez Referat Deutschland II, a pochodzącą od Rumunów, notatkę, w której streszcza się przechwyconą polską depeszę dyplomatyczną. Nosi ona tytuł „Przygotowania do ucieczki Becka”. Dowiadujemy się z niej, że prezydent Raczkiewicz zwrócił się do władz brytyjskich o wyasygnowanie 2 milionów

10. Teczka Diensstelle Ribbentrop.

11. AA Pol V Po 58. T.3.

lei na przeprowadzenie całej operacji ucieczki. Decyzję uzasadniał on zmieniającą się sytuacją na Bałkanach i rosnącymi tam wpływami niemieckimi. Prawdopodobnie sygnał ten przekazany został z Bukaresztu Berlinowi innym niż dyplomatyczny kanałem, ponieważ 16.10.1940 roku, podsekretarz stanu w MSZ, Woermann, informował o tych przygotowaniach niemieckie poselstwo w Bukareszcie. Pisał on: „Raczyński¹² miał rozmawiać z tamtejszym posłem angielskim na temat, jak wyciągnąć z Rumunii Becka i pozostałych członków byłego rządu polskiego”. Raczyński zażądał dostarczenia w tym celu, przez Londyn, dodatkowo 2 mln lei. Jednocześnie poinformował polski rząd, że poselstwo brytyjskie oświadczyło, iż będzie w stanie dostarczyć oczekiwaną większą sumę. W tym też duchu poseł angielski przekazał informację do Foreign Office.

20.10.1940 roku do Berlina nadeszła depeza od posła niemieckiego w Bukareszcie Fabriciusa, zawierająca relację z rozmowy, jaką przeprowadził z rumuńskim ministrem spraw zagranicznych. Najwidoczniej Niemcy, zdopingowani sygnałami agentów o planach porwania Becka i kolejnych uciezkach, wytropili znów przewinienia rumuńskie i poseł pospieszył z pretensjami. Fabricius pisał, że

Minister samokrytycznie przyznał, iż zezwolił, by Pani Beck została przyjęta przez sekretarza generalnego MSZ i to w jego gabinecie. Nie uwzględnił on jednak jej wniosku o zgodę na opuszczenie wraz z mężem Rumunii, podobnie jak nie zgodził się na złagodzenie nadzoru. Pozwolono im jednak zamieszkać w innej willi. Minister poinformował, że przyjął osobiście ambasadora Raczyńskiego w swoim mieszkaniu prywatnym i uzyskał obietnicę, że Raczyński opuści Rumunię w ciągu najbliższych 14 dni.

Niemcy naciskali bowiem na zlikwidowanie polskiej placówki dyplomatycznej.

Władysław Pobóg-Malinowski¹³, pisze że bezskuteczną interwencję u króla Karola w sprawie Becka podejmował jesienią 1940 roku prezydent Roosevelt, a Churchill upoważnił Sikorskiego, by ten przy pomocy poselstwa brytyjskiego

12. Roger Raczyński, ambasador RP w Bukareszcie.

13. „Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1945”, t. 3, s. 102.

(w Bukareszcie) przygotował plan ucieczki.

Znaleźli się jednak ludzie, Polacy, niechybnie z siatki Kota¹⁴, którzy swój urzędowy udział w organizowaniu ucieczki łączyli z ukrytym staraniem o storpedowanie sprawy. Policja rumuńska, najwyraźniej uprzedzona, czekała na „ściśle tajnej” trasie ucieczki Becka. Zatrzymano go 20 października 1940 roku. Do ciężkich już poprzednio warunków internowania doszły nowe, drakońskie obostrzenia. Odbiło się to na stanie zdrowia Becka.

Tyle Pobóg-Malinowski.

Henryk Batowski¹⁵ pisze, że ani tworzące się na emigracji nowe władze Rzeczypospolitej, ani Anglicy za Beckiem nie tęsknili – wręcz przeciwnie. Nikt więc nie starał się za wszelką cenę wyzwolić Becka spod kurateli rumuńsko-niemieckiej.

Po nieudanej próbie ucieczki, Fabricius informował Berlin 11.11.1940 roku:

Według doniesień ministra spraw zagranicznych Rumunii Beck znajduje się aktualnie w mieszkaniu byłego prefekta policji Marinescu w Bukareszcie, gdzie trzymany i strzeżony jest jak jeniec. Pozostali członkowie byłego rządu polskiego mają zostać wkrótce przeniesieni z Baile Herculane do Baile Govora i tam będą pozostawać pod silną strażą.

Minister Józef Beck, wyróżniony najwyższymi odznaczeniami rumuńskimi, zmarł na gruźlicę krtani 5.6.44 r. w małej wiosce, 35 km od Bukaresztu. Pochowany został z honorami wojskowymi na cmentarzu w Bukareszcie.

Eugeniusz GUZ

14. Stanisław Kot, działacz Stronnictwa Ludowego, w latach 1941-1942 ambasador RP w Związku Sowieckim.

15. „Z dziejów dyplomacji polskiej na obczyźnie – wrzesień 1939 – lipiec 1941”, Kraków 1984.

WSPOMNIENIA

Marian K. DZIEWANOWSKI

U POLAKÓW W NIEMCZECH

Po raz pierwszy pojechałem do Niemiec we wrześniu roku 1936 na zaproszenie mego kolegi szkolnego Edwarda Osmańczyka; kolegowaliśmy się przez ostatnie trzy lata w Gimnazjum Księży Marianów na Bielanych pod Warszawą, gdzie obaj zdawaliśmy maturę w roku 1932. Osmańczyk już wówczas odznaczał się zamiłowaniem do dziennikarstwa i publicystyki i wkrótce stał się redaktorem nowo założonego miesięcznika szkolnego *Wiadomości Bielańskie*. Współpracowałem z nim, pisząc tam recenzje z książek historycznych. Tak nawiązała się nasza przyjaźń.

Osmańczyk urodził się na Śląsku legnickim, w rodzinie pochodzącej chyba od tatarskich jeńców pojmanych przez Sobieskiego pod Wiedniem; tak przynajmniej tłumaczył nam swe nazwisko. Ojciec jego był śląskim Czechem, a matka Ślązacką, gorącą patriotką polską, która właśnie w tym duchu wychowała syna; wysyłając go do gimnazjum w Polsce, kazała mu przysiąc, że po maturze wróci, by pracować dla Polaków w Niemczech. Tak też się stało.

W czerwcu 1932, przed rozstaniem się po maturze, Os (bo tak go nazywaliśmy) powiedział do mnie: „Pracowało nam się znakomicie. Czy nie chciałbyś przyjechać do nas do Berlina na praktykę do Centrali Prasowej Związku Polaków w Niemczech? Doktor Jan Kaczmarek, kierownik naczelny Związku, chce koniecznie, abym ja objął kierownictwo tej

Centrali, i zostawił mi wolną rękę do skompletowania mego zespołu”. Propozycja przypadła mi do gustu. Kariera dziennikarska nęciła mnie bardzo. A że już wówczas zdawałem sobie sprawę, że będę musiał dorabiać, aby ukończyć studia uniwersyteckie, więc perspektywa pracy jako początkujący dziennikarz wydała mi się niezwykle pociągająca. Jednakże na taką kombinację – studiowanie z jednoczesnym zarabianiem pieniędzy – pozwalały tylko studia na wydziale prawa. Studia te nie wymagały chodzenia na wykłady, a potrzebne było tylko podpisanie indeksu akademickiego przez odpowiedniego wykładowcę i zdanie ostatecznych egzaminów. Tak zdecydowany został mój plan studiów.

W praktyce nie była to jednak sprawa prosta. Żeby pracować w Berlinie, trzeba było znać język niemiecki, a ja, tak z domu jak i z gimnazjum, znałem tylko francuski. Zaraz po powrocie do Warszawy ze Szkoły Podchorążych w Grudziądzu, we wrześniu 1933 i zapisaniu się na Uniwersytet, kupiłem sobie patefon i komplet płyt firmy „Linguaphone” i zacząłem wkuwać niemiecki; tak trwało to przez dwa lata. Jednakże, już po drugim roku studiów, gdy zetknąłem się ze studentami austriackimi, ze smutkiem stwierdziłem, że ani ja ich nie rozumiem, ani oni mnie nie mogą pojąć. Ratunek był jeden: żywa praktyka w kraju niemieckojęzycznym. Na szczęście, w lecie 1936 akademicka Liga Zbliżenia Międzynarodowego organizowała wycieczkę na letni kurs językowy w Ledenitzen, koło Klagenfurtu. Dopiero po ukończeniu tego kursu, w sierpniu 1936, zdecydowałem się na skorzystanie z propozycji Osmańczyka. Wyjechałem do Berlina gdzieś w połowie września 1936.

Zamieszkałem w polskiej bursie akademickiej razem z Osem i co rano, około godziny 8-ej, chodziliśmy do pracy w siedzibie Związku Polaków, która mieściła się na Potsdammer Platz. Tam też mieściła się Centrala Prasowa. Pracowało w niej pięciu czy sześciu dziennikarzy. Jednym z nich był młodszy brat kierownika naczelnego, Edmund Kaczmarek. Był tam też Edward Kmiecik (z którym w czasie wojny miałem się kolegować jako współredaktorem tzw. „audycji światowej”, nadawanej przez BBC). Najciekawszą chyba osobą była Hala Lehrówna, pochodząca z rodziny mieszanej: ojciec

Niemiec, matka Polka. Syn ich stał się hitlerowcem, członkiem SS (w czasie wojny był dowódcą doborowej dywizji pancernej Waffen SS!). Córka Hela, pod wpływem matki, stała się działaczką Związku Polaków, redaktorką jednego z jego organów, *Młodego Polaka w Niemczech*. Napisałem dla Hali parę artykułów historycznych, m.in. o księciu Józefie Poniatowskim jako „Polaku z zagranicy”.

Jak powstał Związek Polaków w Niemczech? Wkrótce po ustaleniu się Republiki Weimarskiej, w roku 1922, zjednoczyły się kilka czołowych organizacji polonijnych i razem stworzyły swą centralną reprezentację. Związek składał się z pięciu jednostek terytorialnych, zwanych Dzielnicami. Główna, bo licząca najwięcej ludności mówiącej po polsku, była Dzielnicą śląska z siedzibą w Opolu; drugą – Berlin z okolicą; trzecią – Dzielnicą westfalska z siedzibą w Bochum; czwartą – mazursko-warمیńska z kierownictwem działającym w Olsztynie; piąta pokrywała dwa oderwane od siebie tereny: pruską część Kaszub, ziemię złotowską oraz lubuską, czyli tzw. „Pogranicze”, z siedzibą w Złotowie. Od początku ustaliliśmy z Osmańczykiem, że zapoznam się po kolei z każdą z tych Dzielnic. Os załił się: „Za mało pisze się u nas w kraju o tych terenach, gdzie według ostatniej jako tako obiektywnej statystyki niemieckiej, z roku 1910, mieszkało przed Pierwszą Wojną Światową przeszło półtora miliona ludzi mówiących po polsku”. Zaczepiony w Berlinie o Centralę Związku, przy pomocy Osa zapoznawałem się ze strukturą całej organizacji. Miałem się zapoznać z każdym terenem, pozostając na nim przynajmniej przez kilka dni lub nawet przez parę tygodni. Oczywiście najważniejszy był Berlin, bo tam mieściła się Centrala Związku.

Obok codziennej pracy, polegającej na studiowaniu prasy, tak niemieckiej jak i polonijnej oraz pisaniu dla niej artykułów, odbywały się południowe „kawy”. W połowie pracy biurowej, około godziny 12-tej, zbieraliśmy się w sali obok gabinetu dra Kaczmarka, aby pijąc kawę, omawiać główne wydarzenia dnia. Królował na tych spotkaniach energiczny i wymowny kierownik naczelny. A była to postać nietuzinkowa. Kaczmarek, urodzony w Westfalii, jako piętnastoletni chłopak pojechał po raz pierwszy do Krakowa. Był to rok

1910 i świętowano uroczystość odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego, ufundowanego przez Ignacego Paderewskiego dla uczczenia 500-letniej rocznicy pamiętnego zwycięstwa polskoliteńskiego nad Krzyżakami. Uroczystość ta olśniła młodego chłopca. Jako student uniwersytetu w Kolonii chciał początkowo osiedlić się w Polsce. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że społeczeństwo polskie w Niemczech gwałtownie potrzebuje przywództwa rodzimej inteligencji. Z wybuchem Pierwszej Wojny Światowej został zmobilizowany i, jako ogniomistrz artylerii, odbył całą kampanię na froncie zachodnim. Po wojnie pracował w polonijnych organizacjach. Jako zręczny organizator i znakomity mówca szybko wybił się w pracy społeczno-kulturalnej na Westfalii i został wybrany pierwszym kierownikiem naczelnym utworzonego w roku 1923 Związku Polaków w Niemczech. Działając w tej organizacji od razu pojął, że Polacy powinni współpracować z innymi mniejszościami narodowymi powersalskiej, weimarskiej Drugiej Rzeszy: Duńczykami, Fryzami, Litwinami, a nawet z zaniechanymi dotąd Serbo-Łużyczanami. Zaproponowano też przystąpienie do wspólnego frontu i przedstawicielom niemieckich Żydów; ci jednak odrzucili propozycję z oburzeniem, podkreślając, że nie są mniejszością, ale integralną, patriotyczną częścią narodu niemieckiego.

Po kilkutygodniowej pracy w Berlinie wysłany zostałem na Śląsk; tam, w Opolu, działał kierownik tej Dzielnicy, starszy o dwa lata od Osmańczyka i ode mnie, Stefan Murek, też niedawny maturzysta gimnazjum na Bielanych. Był on m.in. twórcą logo, jakiego Polacy w Niemczech używali jako swoje godło. Używanie białego orła było wykluczone: jako obywatele obcego państwa nie mogli oni posługiwać się herbem państwowym bez oskarżenia o nielojalność. Murek wpadł na pomysł, aby za znak organizacyjny Związku uznać graficznie stylizowany bieg Wisły od jej źródeł, poprzez Kraków, aż do Bałtyku. Ten biały zygzak na amarantowym polu nazwał „Rodłem”. Znak ten był wyrazem podstawowego przekonania członków Związku: „Jesteśmy ludźmi pochodzącymi z narodu żyjącego w dorzeczu Wisły”.

Murek oprowadził mnie po Opolu i po nadbrzeżu Odry, gawędząc o tym i owym. Ten syn zamordowanego powstańca

znał dobrze historię rodzimej ziemi. „Śląsk odpadł od Polski już w średniowieczu. Do połowy osiemnastego wieku, do wojen śląskich, ta habsburska wówczas prowincja nie była systematycznie germanizowana. To zaczęło się dopiero od podboju Śląska przez Prusy Fryderyka II. To właśnie on, zaraz po okupacji tej z gruntu słowiańskiej ziemi, nasał tu chmurę urzędników i obsadził Śląsk potężnymi garnizonami. Ale zdobywcy przez przeszło sto lat musieli liczyć się ze stanem faktycznym. Na Śląsku Opolskim po niemiecku nie mówił wówczas prawie nikt poza arystokracją, bogatszymi ziemianami i kupiectwem. Stąd dekryty i rozporządzenia aż do Wiosny Ludów, czyli do roku 1848, wydawane były wciąż po polsku...”

„A co było punktem zwrotnym?”

„To był *Kulturkampf*, a więc schyłek dziewiętnastego wieku. Wypowiadając wojnę Kościołowi Katolickiemu, Bismarck rzucił też i wyzwanie chyba najzarliwszym wyznawcom – Ślązakom. *Kulturkampf* zmobilizował do walki księży, jeszcze wówczas element raczej polski. To oni stanęli na czele walki z niemczyzną, najpierw w kościele, potem w szkole, a wreszcie w miejscowej prasie. Kler poparł patriotyczny odzew słabiutkiej wówczas rodzimej inteligencji. Tak na przykład, Karol Miarka stworzył *Katolika*, który wkrótce stał się najpoczytniejszym organem prasy polskiej na całym Śląsku. Potem powstały liczne inne pisma. Cała ich sieć. Ale prawie wszystkie były bojowo katolickie”.

„Ale przecież aż do samej Pierwszej Wojny Światowej Ślązacy głosowali nie na Polaków, ale głównie na kandydatów wystawianych przez niemiecką partię Centrum.”

„Tak, ale musieli się liczyć też i z nastrojami miejscowej ludności, a więc ze Ślązakami o polskich sympatiach. Na to zareagowali socjaliści. Udzieliło się to i naszemu PPS. Pionierem, który pojawił się na Śląsku, był Ignacy Daszyński; potem wysłał on tam takich ludzi, jak Stanisław Grabski (wówczas jeszcze zapalony socjalista!); nie można pominąć Jana Kasprowicza (ukończył uniwersytet we Wrocławiu!), a nawet Stanisława Przybyszewskiego. Ten, choć nie członek PPS-u, zawsze gotowy był walczyć z klerykalizmem. W roku 1882 powołano go na stanowisko redaktora *Gazety Robotniczej* z siedzibą w Katowicach”.

Tutaj ja wtrąciłem moje trzy grosze – „Socjaliści próbowali pewnie rozdmuchać choć słaby, ale ciągle tłący się, nurt antyklerykalny, który odkryli np. w folklorze śląskim. Ze szkolnych czasów pamiętam opowiadania kolegi Ślązaka, który cytował nam niektóre przyspiewki ludowe o ironicznym wydzwisku. Jedną z nich do dziś mam w uszach:

*Poszła baba do fardoża,
Była bardzo zmartwiona:
«Powiedz-że mi, mój księżulku,
Czy ja będę zbawiona?»
Ksiądz babie do gęby zajrzał,
Baba zymbów nie miała.
«Nie bój się, babo, piekliska,
Czymbyś tam zgrzytała».*

„Tak”, odparł Murek, „ale to chyba rzadki wyjątek. Główny nurt śląskiej ludności to potulny, ale zwykle szczerzy katolicyzm i szacunek dla kleru. To on odegrał główną rolę w narodowym odrodzeniu Śląska. To właśnie na nim i wychowanych przez niego działaczach robotniczych oparł się Wojciech Korfanty. Pod sam koniec wieku na Śląsk napłynęła fala patriotów polskich z Westfalii. To oni, no i księża katoliccy, zdecydowali o odrodzeniu narodowym Śląska”.

„A dlaczego to odrodzenie narodowe nie znalazło swego echa w czasie plebiscytu?” zapytałem.

„To jest sprawa trudna. Plebiscyt odbył się w roku 1921. W tym czasie samo istnienie Polski jako państwa wydawało się wątpliwe. Propaganda niemiecka szalała... głosiła, że Polska to «państwo sezonowe». Większość Ślązaków w to uwierzyła. Poza tym Międzysojusznicza Komisja Plebiscytowa, pod naciskiem Berlina, zgodziła się dać prawo głosu wszystkim ludziom tu urodzonym, choć na Śląsku już nie mieszkali. Z całych Niemiec ściągnięto tu pociągami tłumy ludzi tylko na oddanie głosu. To oni zdecydowali o losach Opolszczyzny. Ale, na szczęście, zdołaliśmy uratować wschodnią część Śląska z Katowicami. A sprawiły to trzy powstania. To był pierwszy w naszych dziejach zryw ludowy. Wszystkie nasze powstania były z gruntu szlacheckie. I skończyły się klęskami. Szlachta wołała stepy ukraińskie, niż odbijać prastare prowincje piastowskie. Jeszcze gdy Sobieski szedł tędy na

Wiedeń, delegacje Ślązaków błagały go o przyłączenie do Rzeczypospolitej. Wiemy co on zrobił: pamiętał tylko o Podolu, ale nie o Śląsku...”

Murek zorganizował mi wkrótce wypad do Wrocławia, gdzie miał spore znajomości. Jako przewodnika wyznaczył mi urodzonego tam Ślązaka, studenta gimnastyki na tamtejszym uniwersytecie, a czynnego członka Związku Polaków. Na pierwszy rzut oka Wrocław zrobił na mnie wrażenie miasta do cna niemieckiego. Dopiero wycieczka po jego zabytkach historycznych, a zwłaszcza komentarze mojego przewodnika zwróciły mi uwagę na liczne ślady polskości, jak np. herby Piastów śląskich, napisy nie tylko po łacinie, ale nawet po polsku, które wskazywały niezłomie na silne polskie początki Śląska.

„Niemcy zrobili olbrzymi wysiłek, aby ślady te zatrzeć”, zauważył mój towarzysz, „ale całkowite ich zniszczenie nie jest, prawdopodobnie możliwe bez poważnego uszkodzenia budynków, a w każdym razie bez zrujnowania ich wartości artystycznych. No i kosztowałyby to masę pieniędzy, a te potrzebne są głównie na szaleńcze zbrojenia...”

Po powrocie do Berlina dr Kaczmarek zdecydował, że powinienem pojechać do Bochum w celu odwiedzenia najbardziej narodowo uświadomionej dzielnicy westfalskiej, z której był niezwykle dumny. Po szybkim zaliczeniu rozmaitych imprez, koncertów, chórów kościelnych, zebrzań zorganizowanych z okazji rocznic narodowych (a nawet z powodu przyjazdu „rodaka z Warszawy”!), byłem zdumiony zapałem patriotycznym i poziomem uświadomienia nie tylko działaczy miejscowych, ale nawet i zwykłych „szeregowych” polskich organizacji. Niektórzy nigdy w życiu Polski nie widzieli, niektórzy mówili już tylko łamaną polszczyzną, ale z wszystkich bił zapał do (jakże często!) wyidealizowanego kraju przodków. A przecież w większości było to drugie pokolenie robotników przybyłych tu za kawałkiem chleba pod koniec dziewiętnastego wieku, czy też tuż przed Pierwszą Wojną Światową! Legenda o Polsce, wbrew usilnej propagandzie niemieckiej, urosła tu do ogromnych rozmiarów! Doprawdy miał rację dr Kaczmarek, chlubiąc się swoimi westfalskimi współziomkami. Wracałem do Berlina, tuż przed Bożym

Narodzeniem, gruntownie pokrzepiony na duchu. Warto było przyjechać do Niemiec, choćby dla takich odwiedzin.

Po powrocie do pracy w Centrali Prasowej długo uradza-
liśmy, na jaki teren mam się następnie wybrać. W końcu dr
Kaczmarek zdecydował, że powinienem pojechać do Prus
Wschodnich, aby zapoznać się z tamtejszą Dzielnicą, obejmu-
jącą dwa zgoła odmienne tereny: Warmię i Mazury. Warmia
to ziemia od pokoju toruńskiego z roku 1466 aż do pierw-
szego rozbioru, to znaczy 1772, należąca do Rzeczypospolitej
pod nazwą Prusy Królewskie. Choć ta ziemia była zamieszka-
na w większości przez Mazurów, a więc katolików, pod
krzyżackim naciskiem stała się w końcu luterkańska. Było to
w imię ówczesnej zasady *cuius regio eius religio*. To
utrudniało utrzymanie polskości: modlitewniki narzucone
przez protestanckich pastorów były często drukowane w
języku niemieckim (choć nie brakowało też starszych,
wydanych jeszcze przed *Kulturkampfem* w antycznej gwarze
mazurskiej!), kazania były wygłaszane coraz częściej po
niemiecku, zwłaszcza po dojściu do władzy Hitlera. Coraz
częściej zdarzały się wypadki odmawiania członkom polskich
organizacji *Winterhilfe*, to jest pomocy zimowej dla
najuboższych ludzi; zdarzały się też wypadki wypowiedania
mieszkań, odmawiania różnego rodzaju koncesji, dzierżaw, a
nawet wypowiedania pracy ludziom podejrzanym o polskie
sympatie. «coraz częściej mamy teraz wypadki pobicia dzieci
z polskich szkół», skarżyli mi się w Olsztynie działacze
Związku Polaków. Dawna Rzesza weimarska to dziecinna
zabawka w porównaniu z reżymem, który mamy pod
hitlerowcami. Zwłaszcza groźny jest nacisk na szkolnictwo. W
całych Niemczech są tylko dwa gimnazja polskie. Mniejszość
niemiecka w Polsce (choć znacznie mniej liczna niż nasza) ma
ich aż sześćdziesiąt siedem”.

„Ale co w tej sprawie robi Warszawa?”

„Próbuje wydebić w Berlinie prawo do otwarcia nowych
szkół średnich, ale, jak dotychczas, na próżno. A sytuacja jest
krytyczna. Resztki naszej rodzimej inteligencji uciekły do Pol-
ski po plebiscycie. Pozostały tylko dwie rodziny ziemiańskie:
Donimirskich i Sierakowskich. Sierakowscy, nękani podat-
kami i szykanami administracyjnymi, wynieśli się już do

Polski. Trwają jeszcze Donimirscy. Ale jak długo wytrwają tu?”

Wróciłem do Berlina w dość ponurym nastroju. Spodziewałem się, że niedługo odwiedzę ostatnią Dzielnicę: Pogranicze. Ale po dłuższej naradzie w Centrali uznano, że wizyta dziennikarza polskiego na terenach, które od roku 1934 przekształcane są gwałtownie w wielki poligon wojskowy, oraz moje podróże i rozmowy mogłyby dać pretekst do oskarżenia mnie o przespiewgi. Wobec tego dr Kaczmarek zdecydował, że lepiej do Złotowa nie jechać, a pozostały czas mojego pobytu (a musiałem wracać, aby przygotować się do egzaminów) lepiej spożytkować na zwiedzenie najbardziej zapomnianego terenu zachodniej Słowiańszczyzny: Serbo-Łużyc.

Po podzieleniu się z członkami Centrali Prasowej moimi spostrzeżeniami, a zwłaszcza w związku z masowymi przygotowaniem wojskowymi na terenach Prus Wschodnich, dr Kaczmarek „na kawie” dał wyraz swym, dotychczas raczej ukrywanym, przekonaniom. Uwagi jego utkwiły tak głęboko w pamięci, że niemal każde jego słowo pamiętam do dziś dnia: „Idziemy ku nowej wojnie światowej. Może ona wybuchnąć wkrótce, prędzej niż sądzą nawet pesymiści. Niemcy ją z pewnością przegrają, pomimo swej początkowej przewagi militarnej: są zbyt zadufani, zbyt wierzą we własną wyższość techniczną. Wojna ta będzie rozprawą z całą Słowiańszczyzną. Ja osobiście jestem przekonany, że i tym razem Niemcy tę rozprawę przegrają. Klęska tym razem będzie druzgocąca. Nowa granica polsko-niemiecka ustali się na Odrze i Nysie Łużyckiej, choć na pewno nie obejmie samych Łużyc. Ta nowa granica to jedyne logiczne rozwiązanie naszych tysiącletnich zmagani z światem germańskim.”

Ta wypowiedź, jak się okazało prorocza, zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Z tym większą ciekawością przygotowałem się do podróży na Łużycę. Tym bastionem Słowiańszczyzny Związek Polaków interesował się od dawna: dawał studentom pochodzącym stamtąd stypendia, wysyłał ich do Polski, a na redaktora swego organu, poważnego kwartalnika poświęconego sprawom mniejszościowym, pt. *Kulturwehr*, wybrał uczonego pochodzenia serbsko-łużyckiego, dra Jana

Skalę. Przed wyjazdem do Budziszyna odbyłem z nim parę rozmów na temat jego ojczyzny, tak zagrożonej germanizacją. Nie przypuszczałem, że czeka mnie chyba najbardziej pasjonująca wycieczka z całego mojego pobytu w Niemczech.

Wsiadając w Berlinie do pociągu jadącego do Budziszyna, byłem podniecony. Za parę godzin miałem zobaczyć coś niezwykłego: kraj, od dziewięciuset lat odcięty od reszty Słowiańszczyzny, otoczony zewsząd przez Niemczyznę, a pomimo to trwający wbrew wszelkim rozumowym przesłankom. Odrodzenie narodowe Śląska było bezsprzecznie narodowym fenomenem, ale przebudzenie Serbo-Łużyczan wręcz cudem.

Resztką połabskiej Słowiańszczyzny, Serbo-Łużycanie oparli się zwycięsko germanizacji, długie wieki drzemali, biernie czekając podobnego końca do tego, jaki spotkał wszystkie pozostałe zachodnie szczepy słowiańskie, aż dzięki niezmordowanej pracy kilku entuzjastów doczekało się odzyskania swego poczucia narodowego.

Gdy Lutrowi przedstawiono do zatwierdzenia łużyckie tłumaczenie Biblii, wyraził on swoje głębokie zdziwienie, że podjęto się tak żmudnej, a niewdzięcznej pracy: przekładu Biblii na język, którym za lat 50 czy 60 nikt już na pewno mówić nie będzie... Czy to się w ogóle opłaci.

W stałej walce z otoczeniem, o swój język, obyczaj, kulturę, wytworzyli oni w sobie silne poczucie narodowej odrębności, zahartowali się, stali się ludem twardym. Walka stała się dla nich chlebem codziennym, atmosferą, w której jedynie czuli się swojsko.

Rozmyślenia moje zostały przerwane przez okrzyk konduktora: „B-a-u-t-z-e-n!” (tak bowiem brzmi niemiecka nazwa Budziszyna). Wysiadam. Dworzec kolejowy, zapewne dopiero przed paru laty wystawiony, ozdobiony jest wewnątrz freskami, przedstawiającymi zabytki miasta, na ławkach siedzi kilka kobiet w ludowych strojach.

„Mężczyźni już od lat kilkunastu zarzucają strój narodowy i coraz bardziej ubierają się na po miejsku; tzn. banalnie i bezbarwnie” – objaśnia mnie mój znajomy Łużyczanin, który ma być moim towarzyszem przy zwiedzaniu Budziszyna i okolicy. Nowy Budziszyn, jaki się ogląda bezpośrednio po

wyjściu z dworca, nie różni się w niczym od setek innych kilkudziesięciotysięcznych miast niemieckich; dopiero gdy zbliżamy się do centrum, widać coraz więcej starych domów, przeważnie dość późny barok. Wiele sklepów obok emblematów przynależności do *Arbeitsfrontu* ma wywieszony napis: *Juden nicht erwünscht*. Dosłownie: Żydzi niepożądani; czyli po prostu „Żydom wstęp wzbroniony”.

Idziemy główną ulicą Budziszyna, przepychając się przez niedzielny tłum.

„To jest «Dom Serbski»” – rzekł mój towarzysz, przystając i wskazując na dużą kamienicę, która już na pierwszy rzut oka robi wrażenie, że została zbudowana w ciągu dłuższego okresu czasu, partiami.

„Tak, budowaliśmy ją częściami w miarę dopływu składek. Mieszczą się w niej wszystkie nasze główne instytucje: „*Serbska Macica*”, księgarnia; redakcja naszego pisma codziennego *Serbskich Nowin*, „Serbska Ludowa Banka”, a poza tym kawiarnia «kofejownia»”.

Wchodzimy do księgarni. Kierownik jej, młody działacz łużycki, przyjmuje nas bardzo serdecznie. Sala ozdobiona jest portretem Smolera, twórcy łużyckiego ruchu narodowego, ta szlachetna i mądra twarz dominuje nad całym sklepem.

Przed pięćdziesięciu kilku laty Smoler wraz ze swym współpracownikiem w dziele rozbudzenia narodowego swych braci, ks. Hornikiem, odwiedzili Warszawę. *Tygodnik Romansów i Powieści* (Nr 638, t. XXV) z dnia 7 marca 1881) roku charakteryzuje Smolera:

„Jan Bohuwier Smoler, były księgarz, pracuje dziś wyłącznie na niwie dziennikarskiej. Uczony filozof i teolog (Smoler jest protestantem) od dawna już, na użytek swoich parał się piórem. On też podał projekt «Macicy Serbskiej», instytucji w dziejach Łużyc wielce zasłużonej. Smoler jest typem patrioty. Krom ziemi swojej zrębu – nie widzi nic więcej. Nie złudzisz go żadną obietnicą, nie wyciągniesz z gniazda niczym – tytuły i zaszczyty dymem marnym dla niego. Gdy mu ofiarowano katedrę języków słowiańskich w Szkole Głównej Warszawskiej, Smoler pochlebną propozycję odrzucił, bo... któżby znoił się nad sprawą Łużyczan w ukochanym Budziszynie? Powiecie fanatyzm, ale jaki szlachetny!”

Dziś ten szlachetny fanatyk patronuje z portretu rozpoczętej przez siebie pracy tutaj, na tym samym stanowisku, w księgarni. Na półkach przeważnie kalendarzowe bajki dla dzieci, elementarze, śpiewniki łużyckie, książki do nabożeństwa, broszurki z opowieściami ludowymi lub nowelkami, m.in. łużyckie tłumaczenie „Za chlebem” Sienkiewicza. Przygotowuje się teraz kilka nowych przekładów literatury polskiej, przeważnie nowel.

Wchodzi dwóch chłopców łużyckich. Chcą kupić kalendarz. Z ciekawością przysłuchuję się po raz pierwszy spotkanemu językowi. Chwilami przypomina czeski, to znowu rosyjski, czasem przechodzi nieomal w gwarę śląską; gdybym przyjechał z Polski, przypuśćmy w XII lub XIII wieku, mógłbym się z nimi zapewne wcale nieźle rozmówić, dziś rozumiem tylko pojedyncze słowa. Nic dziwnego, dziewięć stuleci żyliśmy osobno...

„Ale najciekawszym zabytkiem Budziszyna jest zamek – powiada mój towarzysz – część murów pamięta jeszcze czasy Bolesława Chrobrego; zdobycie Budziszyna, słabo zresztą umocnionego i bronionego, zakończyło wojnę. Tu został w roku 1018 zawarty pokój pomiędzy Polską a Cesarstwem, mocą którego Łużyce, Lubusz, Morawy i Śląsk przypadły Polsce, Miśnia zaś Niemcom”.

Idziemy wolno, po stromej drodze, ku zamkowi. Uliczka starych, pięknych domków zamożnego mieszczaństwa, gdzieś wyraźnie wyrasta okazalszy budynek z herbowym znakiem. „To są rezydencje miejscowej szlachty, w znacznej części łużyckiego pochodzenia, ale od wieku XIV zupełnie zniemczonę. Dziś zupełnie nie posiadamy tzw. «warstw wyższych». Każda jednostka zamożniejsza podlega zmateralizowaniu, a w następstwie germanizacji. Zmaterializowanie i germanizacja to nieomal synonimy”.

„W jaki sposób dajecie sobie radę bez warstwy kierowniczej, przewodniczej?”

„Nie mamy wprawdzie wyodrębnionej warstwy, którą wy nazywacie «inteligencją», ale za to wytworzyliśmy oryginalną kulturę ludową oraz wysoki, a zarazem wyrównany poziom całego, dosłownie całego narodu; takiego jednolicie wysokiego poziomu mas ludowych może nam pozazdrościć każ-

dy naród. Oczywiście specjalnie uzdolnione lub rzutki jednostki kształcą się dalej, ale z powodu trudnych warunków, w jakich żyjemy, jest ich niewiele.”

Zatrzymujemy się koło późnogotyckiej katedry, o wieży charakterystycznej dla wielu saskich kościołów. Na murze kościelnym duży napis czerwoną farbą: *Wer beim Juden kauft ist ein Volksverrater* (kto kupuje u Żyda jest zdrajcą narodu).

„Katedra to ciekawy okaz symbiozy katolicyzmu z protestantyzmem, katedra ta bowiem jest zarówno katolicka jak protestancka. W czasie Reformacji mieszkańcy Budziszyna podzielili się na dwie nieomal równe części, gdy po kilkuletnich walkach i sporach, żadna ze stron nie mogła odnieść decydującego zwycięstwa, zdecydowano się załatwić całą sprawę krakowskim targiem, kompromisowo: podzielono katedrę żelazną kratą na dwie równe części. *Status quo* nieomal czterysta lat temu ustalone trwa do dnia dzisiejszego bez zmian i naruszeń, czy choćby prób rewizji”.

Katedra jest doskonale zachowana w obu częściach, znać tu rękę inteligentnego konserwatora. Część protestancka, poza nowoczesnymi urządzeniami w rodzaju elektrycznego oświetlenia czy centralnego ogrzewania, zachowała na ogół wygląd i styl z okresu podziału kościoła: całość późnogotycka, wiele ozdób, figur i wszystkie ołtarze renesansowe. Proces nawarstwiania stylów w części katolickiej nie uległ zatrzymaniu przez Reformację. Epoka baroku pozostawiła tu również swoje piętno w postaci dwóch pławiących się w złocie ołtarzy i kilku obrazów.

Zbliżamy się do zamku. Tuż przy murze zamkowym ohydna, kilka lat temu zbudowana wieża wodna jest nieprzyjemnym zgrzytem na tle szlachetnych linii otaczających ją ruin kościoła Franciszkanów. Ciekawy okaz tak rzadko w tych okolicach spotykanego ceglano-gotyckiego wali się w gruzy, bezapelacyjnie skazany na zagładę, obok megalomańsko pyszniejszej się nowej, konkurującej swą wysokością z zamkiem wieży. Przechodzimy szybko obok tego przykrego widoku, ale przez długą chwilę nie możemy odepchnąć tego wrażenia; prześladuje nas ono aż do dziedzińca zamkowego. Przychodzą mi na myśl losy piastowskiego zamku w Opolu, pięknego zabytku historycznego, zburzonego przy ogromnym nakładzie

środków technicznych oraz pieniędzy. Doskonale zachowane mury, kilkumetrowej nieraz grubości, wysadzano dynamitem, burzenie kosztowało prawie milion marek.

Jesteśmy w końcu na dziedzińcu zamkowym...

Mur obronny od strony południowo-wschodniej zbudowany na krawędzi skalnego jaru, na dnie którego płynie Szprewa. W miejscach gdzie stoki wąwozu są łagodniejsze, kurczowo uczezione do skały trzymają się małe domki otoczone zielenią.

Zamek budziszyński to wytwór wielu epok. Najwięcej śladów pozostawił po sobie wiek XIV i XV. Część murów obronnych zbudowana z nieciosanego kamienia, spojona gliną, pochodzi z wieku XI i widziała prawdopodobnie jeszcze czasy Bolesława Chrobrego.

Głębokie milczenie przerywa mój towarzysz. – „Tradycja Chrobrego żyje w legendzie i ludowej pieśni łużyckiej. Słowo «Chrobry» jest do dziś dnia używane w języku potocznym dla oznaczenia człowieka mądrze odważnego; rozsądnego, a zarazem dzielnego. Wspomnienie jego czasów – to jedna z tych sił moralnych, które pozwoliły narodowi łużyckiemu otrząsnąć się w drugiej połowie ubiegłego wieku z długiego snu narodowego. Praca Smolera i Hornika nie wydałaby nigdy takich owoców, gdyby nie krzepiący wpływ epopei Bolesława Wielkiego”.



Stromą ścieżką schodzimy z zamku. Nie mogę się powstrzymać, aby co chwila nie spojrzeć poza siebie, na zamek, a zwłaszcza na ten niezapomniany kawałek starego, szarego muru... Widać go było jeszcze, gdyśmy weszli z powrotem w wąską uliczkę...

Mijamy piękną siedzibę dawnego łużyckiego sejmu krajowego, dziś zamienionego na dom czynszowy; kilka starych, wyjątkowo pięknych uliczek, skromny pałac biskupi i jesteśmy znowu w centrum Budziszyna przed „Domem Łużyckim”.

Na ulicy niedzielny, ożywiony ruch... Plac przed odrestaurowanym tylko od frontu teatrem (reprezentacja, ale i oszczędność!) ozdobiony jest trybuną ze znakami swastyki oraz łopatą.

Po południu będzie tu zapewne jakieś zebranie *Arbeitsfrontu*.

Z trudem przeciskamy się przez tłum, co chwila nagabywani przez chłopców z Hitlerjugend, zbierających na *Winterhilfe*. Jako odznakę otrzymuje się złotego lub srebrnego gołąbka z blachy. Z oddali dolatuje nas chrapliwy ryk partyjnej orkiestry, dającej co niedziela publiczne koncerty na ulicach miasta. Tłum na ulicy mimo woli idzie w takt marsza.

Na każdym nieomal rogu ulicy *die junge Soldaten der jungen Nation* z zapalem potrzásają zawartością skarbonek.

Obaj idziemy zamyśleni... Grupka kobiet w barwnych strojach uprzytamnia mi, że jestem pomimo wszystko w głównym mieście łżyckim.

Co kryje dla Łżyzczan przyszłość?... – myślałem wracając do Berlina.

Wycieczką z Opolà na Łżycc zakończyłem mój pierwszy pobyt w Niemczech. Był już styczeñ 1937 roku. Trzeba było wracać do Warszawy i zacząć przygotowywać się do egzaminów. Na początku lutego byłem już z powrotem w Domu Akademickim na placu Narutowicza. Na stole piętrzyła się kupa skryptów.

Marian K. DZIEWANOWSKI

Józef KLESZCZYŃSKI

ZRZUT POD WIERZBNEM

Miesiąc maj przywodzi w pamięci ludzi Polski Walczącej wspomnienia żywe, mocne, tętniące młodą, gorącą krwią żołnierzy, pachnące świeżo skoszonymi łanami łąk, odorujące zapachem polnych kwiatów i gałązek przydrożnego bzu... Boże! Toż upłynęło sześćdziesiąt lat od tej pamiętnej nocy, którą pamiętam jak dziś!

Noc z 21 na 22 maja 1944 roku. Operacja lotnicza Weller „29”. Na dwóch brytyjskich samolotach bojowych typu Halifax, z odległej bazy w południowych Włoszech, Brindisi, dokonano zrzutu na placówkę odbiorczą Armii Krajowej „Kos” położoną 24 kilometry na północny wschód od Krakowa, na łąkach i polach pod majątkiem Wierzbno. Właścicielami tego wspaniałego gospodarstwa nasiennego byli dr Teofil i Janina z Kallatorowiczów Szańkowscy. Uczestnikami akcji byli: mjr nawigacyjny Eugeniusz Arciuszkiewicz, ekipa nr 53 składała się z sześciu „Cichociemnych”. Porucznik Marian Golarz, ps. „Góral”, rtm. Krzysztof Grodzicki, ps. „Jabłoń”, ppor. Władysław Marecki, ps. „Żabik”, gen. brygady Leopold Okulicki, ps. „Kobra” (później „Niedźwiadek”), ppor. Zbigniew Waruszyński, ps. „Dewajtis”, kpt. Tomasz Wierzejski, ps. „Zgoda”.

Z dwóch samolotów zrzucono na spadochronach również zasobniki z materiałami minerskimi, bronią i amunicją. Zrzut przyjął i zabezpieczył oddział dywersji Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich ziemi proszowskiej Inspektoriatu Rejonowego powiatu Miechów (krypt. „Maria”). Dowódcą kompanii z Proszowic był por. Jerzy Biechoński, ps. „Kłos”, plutonami z Jakubowic i Stogniowic dowodzili plutonowy Stanisław Gas, ps. „Modrzew” oraz podch. Bogusław Kleszczyński, ps. „Jabłoński”.

Przygotowania do zrzutu trwały parę miesięcy, było kilka fałszywych alarmów, codziennie nasłuchiwano umówionych sygnałów w zaszyfrowanej melodii radio BBC. Wreszcie zapalają się ogniska w oznaczonym trójkącie na lądowisku i tuż po północy z oddali rośnie znajomy pomruk motorów... są, lecą... ciarki przechodzą po grzbiecie, radość, krzyk wewnętrzny, są... już widać w przyćmieniu deszcz parasoli... lecą, dobijają ziemi, są wśród nas... teraz już tylko pośpiech. Zasobniki, ludzie ładują się na stojące rzędem furmanki, zaciera się ślady, część pola bronią konie, ognie wygaszone i wio!, do z góry przygotowanych melin.

Trzech skoczków wraz z gen. Okulickim przewieziono do gospodarstwa Marcińskich w pobliskiej wsi Szarbia (obecnie prywatne muzeum regionalne AK, w domu już wnuka Kazimierza Marcińskiego), gdzie generał będzie przez kilka dni

kurował zwichniętą na kartoflisku nogę. Trzech pozostałych i większość zasobników przewieziono do odległego o 6 kilometrów majątku ziemskiego Jakubowice. Głębokie tunele w sianie zwiezionym do dworskiej stodoły pochłoneły tak upragnioną broń, amunicję, materiały minierskie i mundury. W kilka dni potem oddział Wehrmachtu spał pokotem na tym sianie nie przeczując nawet, że śpią na wielu kilogramach najnowszych środków wybuchowych!

W odległym o 4 kilometry miasteczku Proszowice niemiecki posterunek żandarmerii i granatowej policji zabarykadował się na dobre, wiedząc, że coś się dzieje w okolicy. Nazajutrz patrol wypadowy AK przeprowadził „lekcję pogładową” we wsi Wierzbno w celu wyciszenia plotkującej za głośno ludności.

Tak zakończył się jeden z epizodów tego pamiętnego okresu, ale jaki był epilog? Jak potoczyły się losy bohaterów jednego przypadkowego spotkania?

Tak więc w porządku chronologicznym. 7 października 1944 roku por. Jerzy Biechoński, ps. „Kłos” wraz z „cichociemnym” por. Rudolfem Dziadoszem, ps. „Zasaniec” i sierżantem o ps. „Ryś” zostali rozszarpani przez niemiecką minę w lasach Knyszyńskich koło Sancygniowa. 18 grudnia tegoż roku pchor. Bogusław Kleszczyński, ps. „Jabłoński” zginął od kul niemieckich osłaniając odwrót swojego oddziału pod Naramą, w pobliżu historycznych Michałowic w powiecie Olkuskim. W lutym 1945 dr Teofil Szańkowski po aresztowaniu go przez NKWD i osadzeniu w więzieniu Montelupich w Krakowie zostaje wywieziony do Związku Sowieckiego i umiera w wagonie kolejowym. Ciało wyrzucono w tajgę. W kwietniu 1946 roku sierżant Stanisław Gas, ps. „Modrzew” z Jakubowic zostaje w nocy porwany przez ludzi „walczących o utrwalenie władzy ludowej”, zakłuty nożami i wrzucony do rzeki Szreniawy. W wigilię świąt Bożego Narodzenia umiera, opuszczony przez wszystkich, w pojedynczej celi w więzieniu na Łubiance ostatni dowódca Armii Krajowej generał Leopold Okulicki, ps. „Kobra”, „Niedźwiadek”. Kapitan saperów Tomasz Wierzejski, ps. „Zgoda”, ciężko ranny na Starym Mieście w Powstaniu Warszawskim, dostał się do niewoli niemieckiej, wyemigrował do Anglii, gdzie zginął tragicznie

w wypadku samochodowym w 1957 roku. Por. Marian Golarz, ps. „Góral” walczył w 30 Dywizji Piechoty Okręgu AK Brześć, zmarł w 1985 roku w Gdańsku. Rtm. kaw. Krzysztof Grodzicki, ps. „Jabłoń” był oficerem wyszkolenia oddziałów partyzanckich w Obwodzie Myślenice w Okręgu AK Kraków – zmarł na emigracji w Argentynie. Ppor. Władysław Marecki, ps. „Żabik” walczył w baonie szturmowym „Suszarnia” w 106 dyw. p. AK ziemi miechowskiej, okręg Kraków – zmarł w Polsce. Ppor. Zbigniew Waruszyński, ps. „Dewajtis” walczył w samodzielnym batalionie partyzanckim „Skała” i w dywersji Okręgu AK Kraków – zmarł na emigracji w Wielkiej Brytanii w 1987 roku.

Stany Zjednoczone, październik 2003

Józef KLESZCZYŃSKI

ps. „Młodzik”

Robert KACZMAREK

W OCZACH DZIELSKIEGO

Na co czekał

Moja historia z Dzielskim zaczęła się, naturalnie, od *Merkuriusza*, którego w 1979 roku wydawałem anonimowo. Lubilem pracę na Akademii Górniczo-Hutniczej i nie miałem ochoty dać się zepchnąć do biegu czysto opozycyjnego. Moich ambicji nie podzielali jak się zdaje ówcześni rektorzy: Ney, Janowski i wyjątkowo niesympatyczny Długosz. Problem polegał tylko na tym, czyimi rękami uda się wyrzucić człowieka z pracy. Nie byłem jednak sam na uczelni i zwolnienie, kilkakrotnie przygotowywane, nie udało się czerwonym. Tymczasem więc zacząłem wydawać *Merkuriusza*, ale po kilku numerach rozpowszechnionych bezimiennie zdecy-

dowałem się na nowe doświadczenie. Czwarty numer wydałem już pod własnym nazwiskiem i udałem się na krążanki klasztoru Dominikanów, dla zbadania pierwszych reakcji. W grę wchodziły wszak takie rzeczy, jak poszerzanie wolności, wzrost osobistego zagrożenia, przyjemność człowieka przeciwstawiającego się gwałtowi bolszewików...

Tam dopadł mnie Mirek. Spacerowaliśmy wzdłuż słynnego XII-wiecznego muru, jedną ręką gniótł mi ramię, drugą odgarniał wąsy: Robbi, to doskonały pomysł z podpisywaniem. Czekałem na to od pewnego czasu, będziemy mieli wiele do pogadania... Cieszę się, to podniesie poziom pisma... Przerwał i spojrzął na mnie surowo: mam nadzieję, że przestaniesz pisać wprost na matryce?!

Finanse liberałów

Nasza firma, zwana PIK – Prywatna Inicjatywa Krakowska – oprócz *Merkuriusza* przejawiała także inne formy działalności antysowieckiej. Niektóre z nich, jak nagrywanie i sprzedaż taśm z historycznymi piosenkami, były całkiem dochodowe, inne, jak pomoc potrzebującym, oczywiście nie. Stale potrzebowaliśmy pieniędzy i nieoceniona była pomoc zaprzyjaźnionych środowisk: taterników Jasińskiego, Filharmonii Krakowskiej, PAN-u... Za prace na rzecz PIK-a gotów byłem płacić, ale na ogół ludzie z góry rezygnowali z honorariów. Inny był, jak zwykle, rząd z Dzielskim.

Od razu poinformował mnie, że traktuje poważnie zawołanie firmy – Prywatna Inicjatywa – i domagał się wyraźnego określenia stawki. Ze ściśniętym sercem zaproponowałem stawkę *Tygodnika Powszechnego*.

Potem następowały długie tygodnie biesiad intelektualnych. Spędzałem u niego wolne od zajęć przedpołudnia, opowiadał o przygotowywanych przez siebie tekstach, zapalczywie bronił się przed moimi próbami przemycenia nieczystości ideowych. Objętość materiału rosła, z przyjemnością informował mnie na bieżąco, ile u mnie zarobi. Po wydaniu numeru pobierał od łączniczki dwadzieścia egzemplarzy do kolportażu, odliczał ich cenę od własnego honorarium i bez śladu wzruszenia inkasował pozostałe złotówki. Na ogół wy-

chylaliśmy kielicha na pochybel – po czym, kiedy już wychodziłem – zwracał mi dopiero co otrzymaną kwotę, przeznaczając ją na fundusz *Merkuriusza*. Z naciskiem podkreślał, że nie zależy mu na pokwitowaniu w następnym numerze, nawet pod pseudonimem.

Mirek

Robił na mnie wrażenie człowieka, do którego z wyjątkową trafnością pasowało motto *Merkuriusza*: „Śmiech mędrca rozrywa zasłonę bytu”. Instrumentami jego ruchliwego umysłu były paradoks i łagodna perswazja. Radykalizm przejawiał tylko w sposobie pojmowania wolności jednostki oraz w żywiołowej niechęci do głupstwa. Jego koncepcje iskrzyły się wszystkimi formami niezależności intelektualnej oraz – dowcipu. Był to umysł w pełni suwerenny i może dlatego liberalizm Dzielskiego to raczej stan ducha niż operacyjna koncepcja polityczna. Spróbujmy jednak wyobrazić sobie polską scenę polityczną lat dziewięćdziesiątych bez Mirkowego zaczynu.

Nie mogę się oprzeć przyjemności przytoczenia małego znanego fragmentu z jego artykułów pomieszczonych w *Merkuriuszu*. Rzecz jest o wynikach wyborów do sejmu w marcu 1980. Warto przy tym powiedzieć, że firma PIK miała zwyczaj nie tyle atakować właścicieli kraju, co raczej wyrażać najgłębszą troskę o ich przyszłość. Pisał Dzielski („ufo”):

W kraju socjalistycznym [...] wszyscy ludzie normalni głosują za socjalizmem. Znaczenie polityczne mają tu wyłącznie głosy ludzi nienormalnych, tzw. wariatów, których, jak podają lekarskie statystyki, jest dziesięciu na każde dziesięć tysięcy osób zdrowych psychicznie (0,1%). Kandydujący z Sosnowca Edward Gierk uzyskał 99,97% głosów, czyli 9997 na każde 10 000. Zakładając, że głosowało na niego 9990 normalnych obywateli i badając rozkład pozostałych głosów (oddanych przez 10 wariatów), otrzymamy natychmiast efektywny wynik wyborów. Na każdym dziesięciu wariatów siedmiu poparło Gierka. W porównaniu z rokiem 1976 notujemy znaczny regres. Wówczas 90% wariatów uznało w Gierku swojego człowieka. Nie ulega wątpliwości, że popularność Gierka wśród wariatów maleje. Jeśli niebezpieczny ten proces nie ulegnie za-

hamowaniu, musimy się liczyć ze zmianą rządzącej w PRL ekipy. Bez poparcia wariatów socjalizmu nie da się zbudować.

Symbol

Cenił wartość porozumienia i mocno odczuwał jego potrzebę. Spotykalismy się, by je osiągnąć i dokąd to nie nastąpiło, krążył nastroszony po mieszkaniu, w milczeniu oczekiwał na moją inicjatywę albo dopadał mnie z nowym argumentem. Kiedy po wyczerpującym sporze udawało nam się przeniknąć zapętlone zwoje stojącego przed nami problemu, zapadała cisza, sączyłem kieliszek po kieliszku i nie mogłem się oprzeć poczuciu, że nic więcej nie potrzeba.

Robił wrażenie człowieka żyjącego słowem i stale prowokował mnie do próby przeniknięcia, na czym jeszcze mu zależy. Drukowanie go nie bawiło, chyba się bał. Śpiewać nie umiał, książki kupował sobie sam, a z resztą robił na mnie wrażenie doświadczonego ascety. Wychodziło na to, że czeka na kolejne zapasy – i tu obsługiwaliśmy się dobrze. Nawet na balach zapadaliśmy zwykle w jakiś kąt dla dokonania nowego podziału świata.

Zdaje się, że jeden raz się zapalił, żeby coś otrzymać. Chodziło o odręczny list od Hayeka. W 1979 roku zwróciłem się mianowicie do austriackiego patriarchy o prawa autorskie na wydawanie w podziemiu jego książek. Środoń, który jeździł po świecie, bez wahania podjął się przewiezienia listu i wrócił z bardzo przychylną odpowiedzią. Rękopis Hayeka w zbiorach *Merkuriusza* to była duża uciecha. Jaka szkoda, powiedział Mirek, przecież wezmą przy pierwszej rewizji. Zresztą – zasępił się prorok racjonalnej natury człowieka – nie przywiązujesz żadnej wagi do symboli...

I tak list Hayeka przeszedł w jego posiadanie. Stał się on zresztą znakiem pewnego ochłodzenia naszych stosunków. Z wiosną 1980 postanowiłem opracować obszerną monografię zniszczeń kultury polskiej w okresie komunizmu i rozpocząłem od zbierania materiałów do śpiewnika narodów Rzeczypospolitej. Miał on zawierać utwory litewskie, niemieckie, ukraińskie, żydowskie i polskie. W tym okresie pojawiły się w środowisku *Merkuriusza* objawy przygnębienia. Komuna

wydawała się bardziej niż kiedykolwiek złowroga i konieczne wydawało mi się podjęcie pracy, której atrakcyjność zespoliłaby na nowo firmę i dodała ludziom otuchy. Sprawa wydania książek Hayeka zesłała tym sposobem na dalszy plan, czego Mirek absolutnie nie popierał.

W zasadzie konflikt został zażegnany, ponieważ PIK zaczął odnosić pewne sukcesy w huzarskim ataku na związki zawodowe w AGH. Obiecujące wyniki, zarówno w próbach stopniowego przekształcania związków w AGH, jak i w przygotowaniach do zamachu stanu w całym pionie szkół wyższych Związku Nauczycielstwa Polskiego nadały realne kształty liberalnej koncepcji firmy PIK. Dzielski zaangażował się w te wydarzenia z entuzjazmem, ale wyraźnie odczuć się u niego dało kiełkujące z dawna wątpliwości co do ideowych priorytetów PIK-a. Mam wrażenie, że nie zaskoczyła go moja decyzja zamknięcia *Merkuriusza* i przejścia do innych zajęć we wrześniu 1980 roku.

Teleks Okarmusa

Latem '81 byłem w Krakowie wpływową osobą. Prezes „Solidarności” AGH, członek prezydium Zarządu Regionu Małopolska, szef regionalnej informacji, redaktor naczelny *Gońca* i *Aktualności*, szef systemu więzi międzyzakładowej ABC, wcześniej jeszcze koordynator krakowskiej Komisji Porozumiewawczej Nauki, a nawet opiekun regionalnej sekcji emerytów – wcale mnie nie dziwiło, że niektórzy byli przekonani, że to wszystko zmierza do zamachu stanu. Wszelako potrzeba pośpiechu rysowała się coraz wyraźniej. Mogłem wówczas wiele, więc brałem każdą robotę.

Wśród nielicznych spraw, gdzie stwierdzałem własną bezradność, dotkliwie znaczenie miał problem drugiego teleksu. Był w Sekcji Informacji niezwykle potrzebny, a ja nic nie mogłem poradzić. Mijały tygodnie, mnożyłem interwencje, oferty przekupstwa – bez rezultatu. Bezradne było prezydium Zarządu Regionu, bezradny dyrektor techniczny.

Pewnego dnia odwiedził mnie od miesiący nie widziany Okarmus. W swoim czasie był on mocnym człowiekiem tymczasowego zarządu Regionu, walczyliśmy ze sobą ostro i roz-

staliśmy się bez żalu. Tego dnia Okarmus zaskoczył mnie nadzwyczajną, nawet jak na niego, wylewnością. Robuś – mówił obejmując mnie – dla ciebie wszystko. Zastrzygłem uszami – a teleks?

Okarmus po prostu wyszedł i wrócił po kilku dniach dźwigając dalekopis. Zbaraniałem. Okarmus przybliżył twarz do mojej. – Niedawno Dzielski wyjaśnił mi sprawę. On cię zna dobrze – i w oczy mi się roześmiał, kiedy zastanawiałem się, kto za tobą stoi. Ty jesteś zupełnie sam i zdaje się, że twoją główną troską jest trwanie poza wszelkimi układami. Weź ten dalekopis ode mnie – i od Mirka...

Wojna

Krótko po północy 13 grudnia 1981 Lenka pojechała do Mirka z wieścią, że mnie zwinęli. We dwójkę objeżdżając do rana znane adresy zorientowali się, że zwinęli wszystkich i że to nie incydent, ale wojna. Mirek zachowywał się bardzo ostrożnie, nie wychodził z taksówki: nie powinienem się dać, mówił, będąc musiał pisać...

Związek przegrał, walka trwa nadal. Nie ma powodu, by ją przerwać. Trzeba natomiast zmienić środki i cel. Widział dla siebie miejsce poza strukturami, które wchodzi w czołowe zwarcie z systemem, przejmując przy tym niektóre z jego cech. W starciu tym struktury doznały klęski, kraj został zamieniony w wojskowy obóz. Tej nocy, przemykając się pomiędzy patrolami wojska i milicji Dzielski utwierdzić się mógł w swym planie podjęcia systematycznej pracy poza NSZZ „Solidarność”, według własnej koncepcji taktycznego kompromisu społeczeństwa i władzy wokół idei liberalnych. W Polsce pogrudniowej zapowiadało się to na wyjątkowo niewdzięczne zadania. Podjął je niezwłocznie i zaprowadził daleko.

Rozstanie

Z początkiem 1983 roku przyspieszyłem przygotowania do wyjazdu na Zachód. Nieoczekiwanie okazało się, że Mirek ma poważne powody interesowania się moją emigracją. Pewnego dnia łącznik przyniósł od niego cynk: – Nadaj do

Paryża datę przybycia, niech Wildstein przestanie wydzwaniać do mnie po nocy!

Minęło jeszcze parę miesięcy. Przekazanie kierownictwa Międzydzielnicowego Komitetu Solidarności Kraków, ostatnie odprawy, zebrania, pożegnania. Wszyscy się szczerze martwią, niektórzy po prostu nie przeżyją rozstania. Najbliżsi współpracownicy wręczają mi książkę z podpisami; będą wyglądać mojego powrotu.

W przeddzień odlotu odwiedziłem Mirka. Wyjeżdżam! – rzuciłem od drzwi. Twarz gospodarza w mgnieniu oka pojaśniała: – Naprawdę? Tak się cieszę!... – zatarł dłonie. – Już ci robię herbatę... A nie mógłbyś jeszcze wziąć Maleszki?

Śmiałem się jeszcze godzinę później, mijając w bramie na dole typa, który nie krył niechęci do mojej niczym nie uzasadnionej wesołości.

(fragment większej całości)

Robert KACZMAREK

Mirosław Dzielski (1941-1989) krakowski filozof, w ostatnich latach PRL niezależny publicysta i wydawca, działacz „Solidarności”. W okresie stanu wojennego założyciel Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego i współzałożyciel warszawskiego klubu myśli politycznej „Dziekania”, członek Prymasowskiej Rady Społecznej i rady polsko-amerykańskiej fundacji na rzecz rozwoju polskiego rolnictwa. Pod koniec stanu wojennego czynny przy zakładaniu Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, ekspert zaproszony do udziału w rozmowach okrągłego stołu. Jeden z pionierów myśli liberalnej w Polsce komunistycznej.

APEL OGNISKA RODZIN OSADNIKÓW KRESOWYCH W WIELKIEJ BRYTANII

Zwracamy się z gorącą prośbą o pomoc w gromadzeniu informacji o osadnikach wojskowych i członkach ich rodzin zmarłych, zamordowanych, poległych i zaginionych w latach wojennych w Związku Sowieckim, pod okupacją niemiecką jak i na polu bitwy. Prosimy o informacje nie tylko o ofiarach z własnych rodzin, ale i o wszystkich innych z rodzin osadników wojskowych z całych Kresów.

Poniżej podany jest zestaw pytań, dotyczących każdej ofiary (bez względu na wiek, włączając niemowlęta), na które prosimy odpowiedzieć w miarę ich stosowności i zakresu posiadania informacji. Nawet bardzo krótka wiadomość jest cenna. Może to być nazwisko, wiek oraz orientacyjna data i miejsce śmierci ofiary. W ten sposób uratujemy od zapomnienia wiele osób, szczególnie z rodzin, z których nikt nie pozostał.

Zgromadzone materiały po opracowaniu, zamierzamy wydać drukiem i złożyć w Archiwum Wschodnim (Ośrodek KARTA) w Warszawie.

Pytania:

1. NAZWISKO I IMIĘ OSOBY ZMARŁEJ (osadnik wojskowy, jego żona, syn, córka, rodzice jeśli z osadnikiem razem mieszkali. Przy członkach rodziny proszę podać pokrewieństwo z osadnikiem.)

2. DATA I MIEJSCE URODZENIA

3. NAZWA OSADY POCHODZENIA (również powiat i województwo)

4. WYKSZTAŁCENIE

5. PRZEBIEG SŁUŻBY WOJSKOWEJ (w I i II wojnie światowej, formacja wojskowa, pułk, stopień wojskowy)

6. DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA, POLITYCZNA I ZAWODOWA

7. ODZNACZENIA WOJENNE I INNE

8. W przypadku członków rodziny osadnika proszę podać INFORMACJE O MĘŻU/OJCU OSADNIKU (imię, rok urodzenia i śmierci, przeszłość wojskowa, odznaczenia i ew. inne ważne informacje)

9. LOSY W OKRESIE WOJNY (deportacja – nazwa posesji, rejon, obłast, losy po „amnestii”, losy na terenach okupacji niemieckiej)

10. DATA, MIEJSCE I OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI I POCZÓWKU

11. INNE DODATKOWE INFORMACJE

ODPOWIEDZI PROSIMY PRZESYŁAĆ na adres:

Janina Stobniak-Smogorzewska, 26 Dunboe Place, Sherpperton,
Middx. TW 17 9HH, Great Britain

Za wszelką pomoc z góry dziękujemy

*Ryszard Grzybowski – Prezes,
Janina Stobniak-Smogorzewska – członek Zarządu*

WPLĄTY NA FUNDUSZ INSTYTUTU LITERACKIEGO

Poniżej zamieszczamy wykaz wpłat na Fundusz Instytutu Literackiego, jakie wpłynęły w okresie od 15 listopada 2002 do 15 listopada 2003.

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

Anonimowo, Lawrence, KS (USA) – z <i>Kansas anoni- mowo</i> – po raz 2	€ 500,00
H. M. ARTER, Padstow, NSW (Australia) – po raz 2	€ 70,00
Mieczysław BORNET, Toronto, ON (Kanada) – po raz 3	€ 104,00
Marek BOROWIK, Warszawa (Polska)	€ 100,00
Stanisław BORUCKI, Palm Beach Gardens, FL (USA)	€ 14,00
Aleksander I. BRAGIŃSKI, Albany, NY (USA) – po raz 3	€ 150,00
Andrzej i Nancy BRZESKI Davis, CA (USA) – <i>Pamięci Zofii Hertz</i> – po raz 3	€ 541,00
Jacky CHALLOT, Bayonne (Francja)	€ 50,00
C. P. CZUCHWICKI, Panorama, SA (Australia) – po raz 3	€ 30,00
Alexander FREJSZMIDT, Toronto, ON (Kanada) – po raz 2	€ 62,02
Stefan J. GINILEWICZ, Bakersfield, CA (USA) – po raz 3	€ 24,00
Lucja GLIKSMAN – zapis testamentowy przekazał	
Stanley I. ARNOLD, Waynesville, NC (USA) . . .	€ 19231,00
Ryszard GLOWACKI, Noble Park, Vic. (Australia)	€ 28,00
Stanisław IWANICKI, Calgary, AB (Kanada)	€ 22,00
Andrzej JĘDRKIEWICZ, Luserna San Giovanni (Włochy) – po raz 2	€ 40,00
Wacław KAMIŃSKI, Lawrenceville, NJ (USA) – <i>Dar na cele wydawnicze</i> –100 USD	€ 96,00
Wojciech KARPIŃSKI, Paryż (Francja) – <i>W 40-lecie przekroczenia progu milego domu przy avenue de Poissy...</i> – po raz 3	€ 140,00
Dorota Izabella KERNER-GIEDROJC, Pilchowo (Polska) – po raz 32	€ 115,26
Jan i Mirosława KLAMUT, Wrocław (Polska) – po raz 30	€ 245,75

KONSULAT GENERALNY RP w Paryżu (Francja) – po raz 3	€ 300,00
Stefania KOSSOWSKA, Chislehurst (Wielka Brytania) – <i>Dla uczczenia pamięci Jerzego Giedroycia przesyłam £ 1000 na archiwum Instytutu, które tak mu leżało na sercu</i> – po raz 2	€ 1575,00
Henryk P. KOZŁOWSKI Dunrobin, ON (Kanada) – Na Fundusz Instytutu – po raz 2	€ 131,30
Z. Anthony KRUSZEWSKI, El Paso, TX (USA) . .	€ 92,50
Andrzej KRZECZUNOWICZ, Oxford (Wielka Bryta- nia)	€ 1000,00
Janina KRZYSTANEK, Trzemeszno (Polska) – <i>Dla uczczenia pamięci redaktora Jerzego Giedroycia w III rocznicę śmierci</i> – 60 PLN – po raz 2	€ 13,03
C. W. LIEBERT, Mississauga, ON (Kanada)	€ 18,46
Władysław MAJKRZAK Olsztyn (Polska)	€ 24,79
Alina MALECKA, Burwood, NSW (Australia)	€ 150,00
Irena i Mieczysław MAZUREK, St. Paul, MN (USA)	€ 91,00
Teresa MYSKOW, Luxembourg (Luksemburg) . . .	€ 20,00
Stanisław i Krystyna ORŁOWSCY, Toronto, ON (Kanada) – <i>Na potrzeby Instytutu</i> – po raz 3	€ 30,00
Bronisław PARTYKA, Port Orange, FL (USA) – po raz 3	€ 48,00
Hanna Maria PIASECKA, Louveciennes (Francja) – po raz 2	€ 45,64
Maria PODHORSKA, Londyn (Wielka Brytania) – po raz 3	€ 60,00
Krzysztof i Grażyna POMIAN, Antony (Francja) – po raz 4	€ 350,00
François PRAUSE, Chiangmai (Tajlandia) – po raz 4	€ 76,00
Henryk RATAJCZAK, Paryż (Francja) – po raz 5 .	€ 300,00
Regina i Jacques ROSSI, Paryż (Francja)	€ 100,00
Marek A. RUDZKI, Forest Hills, NY (USA) – <i>Na Fundusz Instytutu</i> – po raz 2	€ 48,00
Anna SABBATOWA, Londyn (Wielka Brytania) – <i>Proszę przyjąć ode mnie, zamiast kwiatów na trumnę czek na Instytut Literacki</i> – 300 GBP – po raz 3 . .	€ 985,00
Tadeusz SAWASZKIEWICZ, Toronto, ON (Kanada)	€ 14,00
Piotr SIERANT, Uncasville, CT (USA) – po raz 3 .	€ 21,00
Wojciech SKALMOWSKI, Bruksela (Belgia) – <i>Zamiast kwiatów...</i> – po raz 3	€ 100,00
Małgorzata SOBOL, Warszawa (Polska) – po raz 3 .	€ 24,22

Zygmunt SOWA, Indian River, MI (USA) – po raz 2	€ 9,30
Irena SZWEDE, Redwood City, CA (USA) – <i>zamiast kwiatów na świeży grób Pani Zofii</i> – po raz 3	€ 175,00
Agnieszka SZYPULSKA, Bruksela (Belgia) – po raz 2	€ 50,00
Halina ŚWIDERSKA, Londyn (Wielka Brytania) – po raz 2	€ 71,00
Marian TALARCZYK, Port Augusta West, SA (Australia) – po raz 2	€ 20,00
Witold J. TARASIEWICZ, Grand Junction, CO (USA) – <i>Na potrzeby Instytutu</i>	€ 92,00
Jadwiga UNGAR, Irvington, NJ (USA) – <i>z potrzeby serca przesyłam czek</i> – po raz 4	€ 6534,00
L. WIŚNIEWSKI, Avondale Hights, Vic. (Australia)	€ 50,24
Henryk ZEGADŁO, Mesenich/Mosel (Niemcy) – <i>na Fundusz Redakcji</i> – po raz 3	€ 20,00

**Wpłaty na Fundusz Instytutu Literackiego
w odpowiedzi na „List otwarty” opublikowany
w *Gazecie Wyborczej i Rzeczpospolitej*
25 lipca 2003**

Anna M. CIENCIAŁA, Lawrence, KS (USA)	€ 221,00
J. S., Los Angeles, CA (USA) – w związku z apelem który ukazał się w <i>Przeglądzie Polskim</i> w dniu 8-ego sierpnia 2003	€ 180,00
Leszek KOŁAKOWSKI, Oxford (Wielka Brytania) – po raz 2	€ 944,00
Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI, Warszawa (Polska) .	€ 90,00
Ryszard SIENKIEWICZ, Paryż (Francja)	€ 100,00

Wpłaty na Fundusz Instytutu Literackiego, jakie wpłynęły na konto warszawskiego Towarzystwa Opieki Nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu (w odpowiedzi na „List otwarty”)

Osoby prywatne

Dariusz ADAMEK, Kamienna Góra	25,00 zł
Jan BANDROWSKI, Gliwice	100,00 zł
Marta BARANOWSKA	30,00 zł
Henryka BOCHNIARZ, Konstancin-Jeziorna	5000,00 zł

Andrzej BOGUCKI, Bydgoszcz	30,00 zł
Borys BOKIN, Łódź	100,00 zł
St. BONKOWICZ-SITTAUER, Warszawa	50,00 zł
Natalia BRYŻKO ZAPÓR, Kijów (Ukraina)	100,00 zł
Krystyna i Stefan CHWINOWIE, Gdańsk	800,00 zł
Ewa CIAĆKA – URBAŃSKA, Warszawa	100,00 zł
Karol CIEŚLAK, Zamość	100,00 zł
Małgorzata CZYŻEWSKA, Suwałki	1000,00 zł
Krzysztof CZYŻEWSKI, Suwałki	1000,00 zł
Władysław DEMKOWICZ-DOBRZAŃSKI, Warszawa	1000,00 zł
Janina DUTKIEWICZOWA, Puławy	100,00 zł
Marek EDELMAN, Łódź	100,00 zł
Helena EILSTEIN, Warszawa	50,00 zł
Jan FILIPIAK, Poznań	50,00 zł
Stanisław FLEJTERSKI, Szczecin	200,00 zł
Władysław FRASYNIUK, Wrocław	700,00 zł
Wacław GABERLE, Kraków	20,00 zł
Janusz GALEWICZ, Łódź	100,00 zł
Robert GLIŃSKI, Warszawa	100,00 zł
Agnieszka GRUDZIŃSKA, Paryż (Francja)	100,00 zł
Barbara GOIBION-BRZOZOWSKA, Kraków	300,00 zł
Marian GRZYMSKI, Leszczyny	100,00 zł
Jan HARTMAN	100,00 zł
Dorota HECK, Wrocław	50,00 zł
Jacek HENNEL, Kraków	100,00 zł
Ewa HERMAN IŻYCKA, Warszawa	1000,00 zł
Krzysztof Witold JANASZ, Szczecin	50,00 zł
Lidia i Dariusz JAROSZEWSKY, Kłodzko	30,00 zł
Przemysław i Elżbieta JAŚKIEWICZ, Lublin	50,00 zł
Zbigniew JÓZEFOWICZ, Łódź	200,00 zł
Tomasz Piotr KAMIŃSKI, Łódź	50,00 zł
Dorota Teresa KELLER, Warszawa	300,00 zł
Jadwiga KOMORNICKA, Warszawa	500,00 zł
Mariusz KONDRAT, Warszawa	100,00 zł
Tomasz KONOPKA, Liège (Belgia)	100,00 zł
Maria KOSSAKOWSKA, Warszawa	200,00 zł
Jerzy KOSZARNY, Ostrzeszów Wielkopolski	500,00 zł
Barbara KOZERSKA, Cieszyn Śląski	1000,00 zł
Adam KOZIEŁ, Warszawa	150,00 zł
Anna KRÓL, Sochaczew	50,00 zł
Joanna KRUŚ, Warszawa	100,00 zł
Paweł KRUŚ, Warszawa	100,00 zł

Marian KRYSZEWSKI, Łódź	100,00 zł
Zygmunt KRZYWICKI, Warszawa	300,00 zł
Jolanta KULPIŃSKA, Łódź	500,00 zł
Marcin KUNICKI, Warszawa	100,00 zł
Marek KUŹNIAK, Częstochowa	100,00 zł
Maria LENC, Żywiec	200,00 zł
Antoni LEOPOLD, Warszawa	1000,00 zł
Dorota i Jacek LEŚKOW, Wrocław	100,00 zł
Elżbieta LIBERADZKA, Warszawa	100,00 zł
Józef Andrzej LORSKI, Warszawa	100,00 zł
Eugeniusz LUBOSCH, Bytom	10,00 zł
Mirosław Zbigniew LUSTYCH, Warszawa	100,00 zł
Kazimiera MAKOWSKA, Warszawa	400,00 zł
Andrzej MAŁECKI, Poznań	50,00 zł
Michał MARKIEWICZ, Warszawa	500,00 zł
Mirosława MILEWSKA, Warszawa	3000,00 zł
Przemysław MIŚKIEWICZ, Katowice	100,00 zł
Ewa MODRZEJEWSKA, Gdynia	50,00 zł
Bogdan MROCZYŃSKI, Toruń	20,00 zł
Piotr NIEMCZYK, Warszawa	100,00 zł
Ewa NORBERCIAK, Legnica	300,00 zł
Ryszarda Hanna NOWAK, Warszawa	50,00 zł
Maria OFIERSKA, Warszawa	200,00 zł
Irena OLECHOWSKA, Warszawa	1000,00 zł
Kazimierz ORŁOŚ, Warszawa	100,00 zł
Piotr PACHOLSKI, Warszawa	100,00 zł
Andrzej PACZKOWSKI, Warszawa	200,00 zł
Magdalena i Tomasz PALUSOWIE, Szczecin	100,00 zł
Maria PAPIERZ, Kraków	50,00 zł
Sławomir PARTYGA, Gliwice	200,00 zł
Regina PAWŁOWSKA, Gdynia	100,00 zł
Jerzy PERZANOWSKI, Toruń	200,00 zł
Zbigniew PĘCZALSKI, Warszawa	70,00 zł
Wacław PIETKIEWICZ, Warszawa	300,00 zł
Wojciech PODGÓRZAK, Warszawa	50,00 zł
Krzysztof PODKÓWKA, Gdańsk	500,00 zł
Stanisław REMUSZKO, Warszawa	100,00 zł
Czesław RUTA, Piła	100,00 zł
Elżbieta SAWICKA, Warszawa	100,00 zł
Jerzy SAWICKI, Gdańsk	50,00 zł
Henryk Józef SIKORA, Wejherowo	100,00 zł
Małgorzata SOBOL, Warszawa	700,00 zł
Witold STACHNIK, Tarnów	750,00 zł

Jerzy STĘPIEŃ, Warszawa	150,00 zł
Ewa STĘPNIAK, Warszawa	200,00 zł
Ewa SUŁKOWSKA-BIEREZIN, Łódź	200,00 zł
Halina SUWAŁA, Warszawa	100,00 zł
Marek TOBERA, Warszawa	100,00 zł
Barbara TORUŃCZYK, Warszawa	200,00 zł
Aleksandra i Łukasz TRUSKOLASCY	20,00 zł
Łukasz TURSKI, Warszawa	200,00 zł
Anna UKLEJSKA, Warszawa	100,00 zł
Aniela UZIEMBŁO, Ustanów.	60,00 zł
Jan VENULET, Warszawa	500,00 zł
Władysław Jerzy WĘŻYK, Warszawa	100,00 zł
Beata Jadwiga WITKOWSKA, Warszawa	2500,00 zł
Stanisław WŁODARCZAK, Zielona Góra	200,00 zł
Anna WOLIŃSKA, Warszawa	100,00 zł
Stanisława i Bolesław WOSZCZYŃSCY, Warszawa	200,00 zł
Andrzej Franciszek WOŹNIAK, Lublin	100,00 zł
Henryk WOŹNIAKOWSKI, Kraków	500,00 zł
Małgorzata ZAKRZEWSKA, Warszawa	100,00 zł
Marek ZAPÓR, Kijów (Ukraina)	100,00 zł
Janina ZAPYTOWSKA-PUSŁOWSKA, Świnoujście	200,00 zł
Grzegorz ZARZYCKI, Pruszków	500,00 zł
Katarzyna ZAWISTOWSKA, Otwock	500,00 zł
Marek ZIELIŃSKI, Warszawa	200,00 zł
Franciszek ZIELIŃSKI, Poznań	100,00 zł
Wiktor ZIULIKOWSKI, Wrocław	300,00 zł
Marek ŻEBROWSKI, Warszawa	100,00 zł
Ryszard ŻELAZKO, Racibórz	50,00 zł

Instytucje

BISE SA, Warszawa	5000,00 zł
DaimlerChrysler Automotive, Warszawa	5000,00 zł
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o., Warszawa	10000,00 zł
Fundacja Centrum Prasowe dla Krajów Europy Środkowej, Warszawa	4000,00 zł
Fundacja Ośrodka KARTA, Warszawa	2500,00 zł
Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa	500,00 zł
Instytut Adama Mickiewicza, Warszawa	10000,00 zł
Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa	3000,00 zł
Krajowa Rada Notarialna, Warszawa	2500,00 zł
MEDIA RODZINA, Poznań	5000,00 zł
Międzynarodowe Targi Poznańskie, Poznań	5000,00 zł

Naczelna Organizacja Techniczna, Warszawa	5000,00 zł
PP Dom Wydawniczy „BELLONA”, Warszawa	5000,00 zł
PP UP POCZTA POLSKA, Warszawa	12000,00 zł
Polski Koncern Naftowy ORLEN SA, Płock	10000,00 zł
Polish Culture, Warszawa	300,00 zł
Prószyński i S-ka SA, Warszawa	5000,00 zł
Przegląd Polityczny, Gdańsk	240,00 zł
Spółeczny Instytut Wydawniczy ZNAK Sp. z o.o., Kraków	5000,00 zł
Świat Książki, Warszawa	15000,00 zł
Targi Książki Edukacyjnej EDUKACJA, Warszawa	2000,00 zł
Targi w Krakowie SA, Kraków	1000,00 zł
Warszawska Szkoła Zarządzania, Warszawa	1000,00 zł
Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne SA, Warszawa	10000,00 zł
Wydawnictwo Edukacyjne Sp. z o.o., Kraków	800,00 zł
Wydawnictwo ISKRY Sp. z o.o., Warszawa	2000,00 zł
Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa	8000,00 zł
Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław	1000,00 zł

DZIĘKUJEMY!

SPIS TREŚCI

Marek Kornat: <i>Interpretacje bolszewizmu i systemów totalitarnych w Polsce (1918-1939)</i>	3
Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Ucieczka z sowieckiego Griażowca</i>	46

WOŁYŃ 1943

Bogumiła Berdychowska: <i>Ukraińcy wobec Wołynia</i> .	65
--	----

CI, CO ODESZLI

Krzysztof Głuchowski: <i>Czarodziej polskiego słowa. Maria Danilewicz Zielińska (1907-2003)</i>	105
Adam Gałkowski: <i>Leszek Talko (1916-2003). O Bibliotece Polskiej w Paryżu</i>	120
Aureliusz M. Pędziwol: <i>«Nestor». Pavel Tigrid (1917-2003)</i>	137
Rafał Habielski: <i>Świadectwo obecności. Stefania Kosowska (1909-2003)</i>	157

SYLWETKI

Piotr Daszkiewicz: <i>Z archiwum profesora Tadeusza Vetulaniego</i>	167
---	-----

OKRUCHY HISTORII

- Eugeniusz Guz: *Niemieckie zabiegi wokół internowanego ministra J. Becka* 193

WSPOMNIENIA

- Marian K. Dziewanowski: *U Polaków w Niemczech* . 206
Józef Kleszczyński: *Zrzut pod Wierzbnem* 220
Robert Kaczmarek: *W oczach Dzielskiego* 223



- Apel Ogniska Rodzin Osadników Kresowych w Wielkiej Brytanii w sprawie wojennych strat osobowych osadnictwa wojskowego 1939-1946* 230



- Wpłaty na Fundusz Instytutu Literackiego* 231



ZESZYTY HISTORYCZNE

ASSOCIATION INSTITUT LITTERAIRE KULTURA
Adres Redakcji: 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzemplarz pojedynczy	Cena prenumeraty rocznej
Ceny na rok 2004		
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, tel.: (1) 526-31-14	€ 22,00	€ 80,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji i w księgarniach polskich w Paryżu	€ 22,00	€ 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 rue Picard, Brossard, QC J4W 1S5, tel.: (450) 465-23-62; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-82-60, fax: (613) 789-10-51	\$ can. 28,00	\$ can. 110,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln 1, tel.: 0221/24-61-60	€ 22,00	€ 80,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE, tel.: 343-05-84	F. Szw. 32,00	F. Szw. 120,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, PostGiro konto 614 8710-4	Skr. 190	Skr. 750
USA: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, WI 53211; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541, tel.: (650) 327-55-90 & (650) 851-07-48; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, NY 10018, tel.: (212) 594-22-66	\$ USA 24,00	\$ USA 90,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books Ltd., 206 Blythe Road, London W14 0HH, tel.: (020) 7602-55-41	€ 22,00	€ 80,00

Dopłata za wysyłkę pocztą lotniczą:

USA, Kanada:

4 USD (lub 4 €) za jeden egzemplarz; 16 USD (lub 16 €) rocznie

Azja, Oceania, Ameryka Południowa:

5 USD (lub 5 €) za jeden egzemplarz; 20 USD (lub 20 €) rocznie

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konta:

Numer konta pocztowego: La Poste, SCE 4797689V033

**Konto bankowe: Credit Lyonnais, 2, Avenue de Longueil,
78600 Maisons-Laffitte, Agence 023 32, nr konta 79595 P.**

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 22 DECEMBRE 2003
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 4^{ème} trim. 2003
N° d'imprimeur : 7556

€ 22